

MAREK HARNY:

Samotnoœæ wilków.

Copyright Marek Lubac 2006

Projekt okładki Maciej Sadowski

Redaktor prowadzący serii Jan Koźbiel

Redakcja Jan Koźbiel

Redakcja techniczna Elżbieta Urbańska

Korekta Grażyna Nawrocka

Łamanie Aneta Osipiak

ISBN 83-7469-406-8

Wydawca

Prószyński i S-ka SA 02-651 Warszawa, ul.

Garażowa 7 www.

proszynski.

pl

Druk i oprawa ABEDIK S.

A.61-311 Poznań, ul.

Ługańska 1.

I wot - ochota na wo³ków, idiot ochota -Na sierych chiszcznikoir,
matorych i szczenkow!

Kriczatzagonszcziki, i lajutpsydo nroty,Krów' na œniegu ipiatna krasn-
yjej³a¿kow.

W³odzimierz Wysocki:"Ochota na wo³ków".

Ostatni¹ noc w celi spędzi³ niemal bezsennie.

Dopiero nad ranem zmorzy³o go i wtedy znów przyćni³ mu się wilk.

Wci¹ż o nimmyśla³, stoj¹cna w¹skim chodniku przedmiejskiej uliczki,
naprzeciw zaniedbanego, zdzicza³ego parku.

Nie opuszcza³ go niejasny niepokój.

Od jakiegoś czasu, kiedy widzia³ tego wilkawe cienie, wi¹za³osiê to z
nadziej¹, która potem się nie spe³nia³a.

Dziś te¹ż mog³o tak się zdarzyć.

Myśla³: co jest z tob¹?

Powiniene¹ krzyczyć ze szczęścia.

Powtarza³ to sobienia próżno.

Nie czu³ radości.

Przez te dwa lata nic się nie zmieni³o.

Nie by³o lepiej.

Niemog³obyć.

Ze wszystkim musia³ zmierzyć się od nowa.

Kiedyś Marek Nowicki na chwilę traci³ pewności siebie.

Teraz nawet nie wiedzia³, w któr¹ stronę pójdzie.

Za sob¹ us³ysza³ metaliczny trzaskamykanej bramy.

Wzdrygn¹³ się.

Ogromny kasztan na skraju parku w³acenie zakwit³.

Nawet ten widokniczegow nim nieporuszy³.

Zmruż³y oczy, przyzwyczajone jeszcze do półmroku więziennych korytarzy.

Nacisn¹³ mocniej na czo³o daszekstarej bejsbolówki.

Może to zakrawa³o na maniê.

Kto mógł³by gojeszczerozpoznaæ na tej obcej ulicy obcego miasta?

A jednak czu³siê nieswojo.

W³oż³y ręce g³ęboko do kieszeni dż³insów, żeby dodaæsobie pewnoœci siebie, i chy³kciem rozejrza³ siê dooko³a spod daszka.

Nagle serce zabi³o mu gwa³townie, aż zabola³o.

Najpierw pozna³ samochód.

Stara ³ada niwakry³a siê w cieniu za rogiem,dlatego nie zauważy³ jej w pierwszej chwili.

Karoliny nie by³ow aucie.

Teraz zobaczy³ i j¹.

Sta³aoparta o znak drogowy, ze skrzyż³owanymi ramionami.

Kaptur kurtkinasunê³a na g³owê.

Deszczjuż nie pada³, wiêc wygl¹da³o, jakby siê kry³a.

Nie poruszy³asiê,choæ teżmusia³a go widzieæ.

Czeka³ wiêc.

Wci¹ż jeszcze ba³ siêuwierzyæ.

Gdybysiê pomyli³,zawód by³by niedo zniesienia.

W g³êbi uliczki k¹tem oka zarejestrowa³ ruch.

Nie podnosz¹cg³owy, zerkn¹³ w tamt¹ stronê.

A jednak byli.

Nie odpuœcili mu.

Dwaj w³acenie wysiadali z auta.

Trzeci ju^z siê zbli^za³ z mikrofonem w r^ęce.

Szlag by was trafi³, pomyœla³.

Ju^z jesteœcie, s^ępy.

Z rozpacz¹ popatrzy³ na róg ulicy, gdzie sta³a Karolina.

Jœli toby³a ona.

W tejsamej chwili wyprostowa³a siê, oderwa³a plecy od s³upa i zrobi³a krok naprzód.

Jakby chcia³a daæmu znak.

Ju^znie mia³ w¹tpliwoœci.

Ucisk w miejscu serca rós³, prawie nie pozwala³ oddychaæ.

Chcia³ biec, nie móg³.

Ledwo siê zmusi³, by ruszyæz miejsca.

Tamci³trzej zbli^zali siê szybko.

- Chwileczkê, panie ministrze!

- us³ysza³.

-Dwa s³owa.

Próbowa³ iœæ trochêszybciej.

Przecie^z nic mu nie dolega³o.

Przyczynatkwi³a w g³owie.

- Panie ministrze, niech pan nie ucieka.

Tylko parê pytañ.

Jakpan siêczuje na wolnoœci?

Nawet nie pozwoliliim siê przywitaæ.

Tylko chwilê trzyma³Karolinê w kurczowym uœcisiku, tamci zaraz nadbiegli, lampy ich cyfrówek zaczê³y b³yskaæ ze wszystkich stron.

Odwróci³ siê z wœciek³oœci¹, ale zanim zd¹ÿ³ rzuciaæ przekleñstwo do podstawionych mikrofonów, ona otworzy³adrzwiczkiswej ³ady.

- Nie zwracaj na nich uwagi - szepnê³a.

-Wsiadaj.

- Czy planujepanpowrót do polityki, panie ministrze?

A mo¿e nowe ma³ÿeñstwo?

Poczu³, jak tê³ej¹ mu miêœnie.

Karolina trzyma³a go mocno.

- Nie odzywaj siê do nich - uprzedzi³a jego reakcjê.

Wepchnê³a go do samochodui zatrzasnê³adrzwiczki.

Patrzy³ przez szybê prosto w b³yskaj¹ce lampy, nie odwraca³ twarzy,na której jegoucucia malowa³ysiê najwyraŹniej, jak by³omoÿna.

Karolinatymczasem obieg³a auto i wskoczy³a do œrodka.

Ruszyli, zostawiaj¹c z ty³u zawiedzionych, wci¹ÿ wo³aj¹cychcoœdziennikarzy.

- Co za œwinie!

- wybuch³a dopiero teraz.

Tymczasem jemu gniew min¹³ równie szybko, jak wczesniejsiê pojawi³.

- Tak¹ maj¹ pracê - powiedzia³.

- Ąalmi ich, w gruncie rzeczy.

- Ąal ciich?

Jesteœ za dobry, s³owodajê.

Skrêci³a wg³ówn¹ ulicê tak gwa³townie, ¿emusia³ 3apaæ równowagê.

Dopierokiedy byli ju¿na prostej, odpowiedzia³:

- Jesteœ chyba jedyn¹ osob¹ na œwiecie, która tak myœli.

Niepotrzebnie to powiedzia³.

Nie powiniensiê¿aliaæ.

Prze¿czeka³a na niego przed bram¹ wiêzienia.

Przeby³a d³ug¹ i mêcz¹c¹drogê,¿eby byæ tu o tej porze.

Czego wiêcej móg³ chcieæ od ¿y.

cia? Jeszcze kwadrans wcześniej ba³ siê nawet o tym marzyæ.

Mocniej przycisn¹³ do boku plecak, w którym mia³ wszystkie listy, jakie napisa³a do niego przez te dwa lata.

Zapad³o miêdzy nimi milczenie, jakby oboje niewiedzieli, co maj¹ mówiaæ.

Dopiero kiedy zbliŹali siê do œwiata³ przed skrzyŹowaniem z wylotow¹szos¹, spyta³a:

- Dok¹d chcesz, Źeby ciê zawieŹæ?

Do Warszawy?

- Jak najdalej od niej -odpowiedzia³ cicho.

-Tak myœla³am.

- Skinê³a g³ow¹.

-To siê nawet dobrze sk³ada.

Strza³kana zielonej tablicy drogowskazu pokazywa³a, Źe na Warszawê trzeba skrêciaæ w prawo.

Karolina szybko zjecha³a na lewy pas.

œwiat³a zmieni³y siê i po chwili sunêlijuŹ w przeciwn¹stronê dwupasmówk¹wœród zieleni¹cych siê pól.

Odetchn¹³ g³êboko.

Móg³ przynajmniej nakrótka od³oŹyæ spotkanie z domem, z miastem, ze wszystkim, co tam na niego czeka³o.

Jaka ulga.

Nieczu³ siê jeszcze gotowy.

Musia³ daæ sobie trochê czasu, oswoiaæ siê z t¹ myœl¹.

Nadal milczeli, wci¹¿ nie mogli znaleŹæ odpowiednich s³ów.

Minê³o kilka minut, zanim odwa¿y³ siê po raz pierwszy popatrzeæ nani¹otwarcie, nie kryj¹c siê z tym.

Nigdy wczêœniej nie podoba³a mu siê bardziej.

Ucieszy³ siê, ¿e nie skróci³aw³osów.

Tylko rysy jak by siê jej wyostrzy³y.

Bładowiosenna opalenizna wskazywa³a, ¿e musia³a du¿o czasu spêdzaæ na powietrzu.

Najwidoczniej poczu³a na sobie jego wzrok, bo spojrze³a na niego i uœmiechnê³a siê niepewnie.

- Wybacz, ¿e nie jestem rozmowna - odezwa³a siê wreszcie.

-Jeszcze niemo¿e uwiaryæ, ¿e ju¿ jesteœ.

- Ja tak¿e nie - przyzna³.

Wci¹¿ wydawa³o musiê takie dziwne, ¿e by³ z ni¹,siedzia³w jej samochodzie i jechałirazem gdzieœ daleko.

Nie wiedzia³,jak d³ugo to potrwa, czy wkrótce nie oka¿esiê jakimœ okrutnym¿artem.

Niedo koñca by³ pewny,dlaczego pisa³ado niego do wiêzienia przez ca³y ten czas.

Mia³aby prawo zapomnieæ o nim,jakprawiewszyscy.

Nawet matka ledwo siê odzywa³a.

Mikołaj Kiedroń, który kiedyś zastępował mu ojca, pomógł dużo, ale on był od rzeczy praktycznych.

Opiekował się mieszkaniem i rachunkiem w biurze maklerskim, w imieniu Marka grał na giełdzie.

Pomnożył jego oszczędności.

Karolina uratowała mu duszę.

Jednak nie chciał sobie wyobrazić zbyt wiele.

- Nie sidiem, że przyjedziesz -dodał.

-Nie dziwi się!

-wykrzyknęła.

- Nawet nie zadzwoniła.

Gdybym się sama nie dowiadywała, nie miałabym pojęcia, że to w ten sposób jest dzisiaj.

Chowałam się zarogiem jak idiotka, bo nie wiedziałam.

³am, czy ktocœ inny nie bêdzie na ciebie czeka³.

Dlaczego mnie niezawiadomi³eœ?

- Ba³em siê - powiedzia³ szczerze.

-Czego?

- e nie bêdziesz mia³a czasu przyjechaæ.

-Niemia³am czasu.

I co z tego?

Mimoto przyjecha³am.

Niewiedzia³eœ, ¿e tak zrobiê?

- Sk¹d mog³em wiedzieæ?

-Jesteœ niem¹dry, wiesz?

Poczuj siê niezrêcznie.

Tym bardziej ¿e wci¹¿ nie by³ pewny,dlaczego to robi³a.

Mo¿e wype³nia³a tylko jakieœ obowi¹zek.

Zastanawia³ siê, o co zapytaæ, ¿eby zmieniaæ temat, skierowaæ rozmowê w lepszym kierunku.

- Wydali ci ju¿ twoj¹ ksi¹¿kê?

Ucieszy³a siê, jakby w³aczenie nato czeka³a.

- Zajrzyj do schowka.

- Pokaza³a palcem, nie patrz¹c.

Otworzy³ skrytkê, wyj¹³ nieduż³y tomik owiniêty w reklamówkê ma³o znanego wydawnictwa.

Rozpakowa³ i na chwilê³ zamara³.

Na ok³adce proste litery uk³ada³y siê w tytu³: "Życie wilków.

Mity i prawdy".

Nie tego zaskoczy³o.

Wiedzia³ przecie³, jak¹ksi¹żkê napisa³a Karolina.

Wstrz¹snê³a nim fotografia, której grafik uż³y³ jako³o.

Wpatrywa³ siê wni¹ d³ugo, ze ocienionym gard³em.

Czarno-bia³e amatorskie zdjęcie przedstawia³o ma³ego ch³opca stoj¹cego boso na cieniu obok powieszzonego za tylne ³apy martwego wilka.

- Nie gniewasz siê?

- spyta³a z niepokojem.

- Co?

Nie, sk¹d.

Tylko nie wiedzia³em, że wykorzystasz je na ok³adce.

O tymmi nie pisa³ac.

- Ba³am siê, że siê niezgodzisz.

Przepraszam.

Odpowiedzia³ dopiero po chwili:

- Widzisz?

Ty też się czegoś bałaś.

Niepotrzebnie.

Delikatnie pogadziś okadkę dżoni, jakby chciaś zetrzeć z niej coś niewidocznego.

Pogrążyś się w myślach, podniósł wzrok.

Za oknami samochodu po obu stronach szosy przesuwały się terazpaśki, przy rowach kwitły kaczeńcami.

Za nimi, na horyzoncie, majaczyły zamglone lasy.

Nie pytaś, dokąd jadł, ale jęłisł usznie się domyślaś, mieli przed sobą jeszcze długą drogę.

Wróciś do księżki, próbowaś ją przeglądać, ale oczy mu się zamykały.

Dopiero teraz poczuś skutki nieprzespanej nocy.

Zaczęła ogarniać go senność.

Po raz ostatni próbowaś unieść coraz cięższe powieki i pozostał mu pod nimi czarno-biały obraz małego chłopca z martwym wilkiem.

Wiele lat wcześniej, kiedy dziadek Stanisław przywiózł do domu zabitego wilka, Andrzej Nowicki, ojciec Marka, był jeszcze małym chłopcem.

Ciekawi zbiegali się wtedy do leśniczówki z całej okolicy.

Każdy chciał na własne oczy zobaczyć ocierwo drapieżnika.

Bo też nie chodziło o jednego ze zwyczajnych wilków, które wałęsały się po lasach wokół doliny.

Ten był inny od wszystkich.

Wyjątkowy.

Myśliwi opowiadali, że wymknął się już kilkunastu obywatelom, jakie urządzali na niego od wielu miesięcy.

Nie dał się ani zagonić we fladry, ani otruć, ani schwycić w pułki.

Aż tu gruchnęła wieść, że leśniczy dopadł go w pojedynkę.

Zdarzyło się to owej zimy, kiedy zaginęła ona kierownikaszko z Wilczej Polany i mówiono, że wilki ją zjadły.

Na próżno kierownik jeździł na milicję i upierał się, że to niemożliwe, bo wilki nie zjadają ludzi.

Miejscowi wiedzieli swoje.

O kierowniku mówili, że głupi, bo przyjezdny i naniwym się nie zna.

To znaczy, może i zna się na książkach, ale na wilkach na pewno nie.

Wilki to wilki.

Urodzony morderca i tyle.

Nawet sam Nowicki, doświadczony leśnik przecież, twierdzi,
że wilki nie gardzą ludzkim mięsem.

A skoro on mówi, to być o cewięte.

Andrzej, kiedy był jeszcze chłopcem, wierzy w niego jak w Pana Boga.

Jego ojciec musiał przecież wiedzieć lepiej niż inni, bo sam widywał
takie rzeczy niewiele wcześniej, podczas wojny ukraińskich bandami.

Wojsko często brało go na przewodnika po zdradzieckich lasach, w
których nawet miejscowi niekiedy przepadał bez śladu.

Opowiada o tym rzadko i niechętnie.

Ale kiedy trzeba było zaświadczyc prawdę, nie waha się.

Gryzie wargi i mruczy powieki, jakby znów stawał mu przed oczami ten
mroźny dzień, las w woźnie potoku i trupy żołnierzy w głębokim
śniegu, nadjezione przez drapieżniki.

Zaczyna zawsze tak samo i jakby nie na temat:

- Dzień był taki piękny, taki cichy.

Potem rozwija opowieść o tym, jak przeszli w wóz
zawożem w poszukiwaniu patrolu, który zaginął poprzedniego dnia.

Śnieg przestał padać dopiero po nocu, więc ślady, pozostawione do
wieczora, zostały zasypane.

Ale Nowicki ich nie potrzebował.

Wszystkie ślady miały w górze.

Wiedzia, gdzie żołnierze zmylili drogę w zamieci i w którym
miejscu bandyci zrobili zasadzkę.

Musieli œledziæ zb³1kanypatrol od d³u¿szego czasu.

Mo¿e nawet wiedzieli, ¿e dowodzi nim
m³ody,niedoœwiadczoneypodporucznik, ¿¹dny zemsty za rodzinê
wymordowan¹ dwa lata wczesniej na Wo³yniu.

I chytrze czekali, a¿pope³ni b³1d.

11.

Chcæ wytropienia bandy za wszelk¹ cenê zaelepi³a oficera.

Niezorientowa³ siê, ¿e sam by³ tropiony.

Mo¿e kombinowa³, ¿e Ukraiñcy naczas niepogody schronili siê, jak ju¿ nieraz wczesniej, w starej cerkwi na skraju wsi.

Próbowa³ podejœæ ich od niespodziewanej strony, przez szczyt wzgórza.

Zlekcewa¿y³ przestrogi, ¿e w œnie¿ycy gubili siê nawet ludzie znaj¹cy te okolice jak w³asne podwórko.

Na nagim, ob³ym wierzcho³ku, opadaj¹cym równomiernie we wszystkich kierunkach, zupe³nie straci³ orientacjê.

Zgubi³ drogê, schowan¹ teraz g³êboko podœniegiem.

Kiedyto zrozumia³, nie potrafi³ ju¿ jej odnaleŹæ.

Wiedzia³ tylko, ¿e musizawszelk¹ cenê zejœæ przed noc¹ w dolinê.

Skierowa³ wiêc swoich¹o³ nierzy do pierwszego w¹wozu, na jaki trafi³.

A tam czekali ju¿ na nich bandyci z tryzubami i mundurach.

Kiedy Andrzej trochê podrós³, pyta³ ojca, dlaczego ukraiñscy partyzanci nie pob³dzili w zamieci.

Leœniczy tylko mru¿y³ oczy i rzuca³ z nienawiœci¹:

- Oni byli jak wilki.

W jego opowieœciach wilki i bandyci zlewali siê w jedno wcielone z³o.

Wilki czêsto nazywa³ wprost bandytami, a bandytów wilkami albo wœciek³ymi wilkami.

Jedno jednak by³o pewne.

To niewilkirozebra³y i^o3nierzy do naga, zabra³y im buty, mundury i broń.

Nie wilki skrêpowa³y im rêce i nogi.

Ale i nie ludzie wyi^{ar}li pokonanym brzuchy.

Dla leœniczego Ukraiñcy i wilki bylinarówni sprawcami zbrodni w w¹wozie.

Andrzej od ma³ego uczy³siênienawidziæ jednych i drugich.

W koñcu jednak usta³y walki z bandami, ostatni partyzancizniknêli z okolicy, a wszystkich Ukraiñców spêdzono pewnej nocy na stacjê, wsadzono do wagonów i wywieziono gdzieœ daleko.

Od tej chwili wilki pozosta³y jedynym wrogiem, którego mêt³czyŸni zgórskich wiosek têpili bez litoœci.

Akiedy i ona kierownikaszko³y nie wróci³a do domu, zyskali dodatkowy powód, by ostatecznierzozprawiæ siê z watah¹ zamieszkuj¹c¹ lasy ci¹gn¹ce siêku granicy.

Z najwiêksz¹ zajad³oœci¹ tropilistarego basiora, którego nazwali Prowidnykiem, niby przywódcê ukraiñskiej bandy.

W tym przewisku kry³a siê œmiertelna nienawioœæ, ale tak i e podziwi rodzaj ponurego szacunku.

Opowiadali o nim legendy.

Mówili, i ekiedyœprzedar³ siê przez fladry, a potem nauczy³ ca³¹ watahê, jak nie baæ siê powiewaj¹cych na wietrze czerwonychszmat, i e jest po wilczemu okrutny, a m¹dry ca³kiem po ludzku, i e potrafi przewidywaæ, co ludzie pomyœl¹ i jak post¹pi¹.

Jakby naprawdę wcieliła się w niego dusza
prowidnyka Serhija, rozstrzelanego kilka lat wcześniej z
wyrok polskiego sądu wojskowego.

12.

Kiedy więc rano przed domem rozległ się krzyk ojca: "Wstawajcie, ubiłem Prowidnyka!

Ubiłem bandziora", Andrzej wyskoczył z łóżka w samej piżamie i boso wybiegł na sienie.

Nie czuł mrozu.

Jeżeli dygotał, to z emocji.

Stał i patrzył, jak mężczyźni wyciągali z wojskowego gazika wielkie szare cielsko.

Wilkmusia zginęła bardzo niedawno, bo znosiła wciąż ciekła mu jaskrawoczerwona krew.

- Uciekaj, mały, bo cię Prowidnyk zje!

- zawołał wesoło jeden z gajowych.

Mężczyźni byli bardzo podnieceni udanym polowaniem.

Młody gajowy chwycił martwy wilczy łeb, odwrócił w stronę Andrzeja i głośno zawarczał.

Chłopiec zmartwiało, kiedy rozchyłony pysk znalazł się tuż przy jego twarzy.

Prowidnyk patrzył na niego ponuro przekrwionym, nieruchomym okiem.

Uniesionym śmiertelnym skurczu czarne wargi odsłaniały łóżkowe, przerażające do głębi kły.

Jeżeli gajowy chciał przestraszyć Andrzeja, to udało mu się aż nadto.

Co z tego, że wilk był martwy.

Móg³przecie³ udawaæ.

Nie darmo myœliwi mówili o szatañskiej przebieg³oœci Prowidnyka.

A co, jeœli zechce siê zemœciaæ i w ostatnim œmiertelnymskurczu zaciœnie zêby na szyi dziecka swego zabójcy?

Czy³ wilkinie by³yrównie zdradliwejak ukraiñscy bandyci?

Jednak nie by³w stanie zrobiaæ ³adnego ruchu.

Jednoco móg³,to wytrzymaæ kpi¹cy wzrok gajowegoi kurczowo wykrzywiæ ustaw grymasie niby topogardliwym, a w rzeczywistoœci maskuj¹cymprzera³enie.

- Zuch ma³y!

- zawo³a³ gajowy.

-Nie posika³ siê w majtki.

- A co myœlicie, przecie³ to mój syn - odezwa³ siê Nowicki.

Wg³osie starego leœniczego brzmia³o rozdra³nienie,³e podw³adny tak siê spoufala, ale i Ÿle ukrywana дума.

Gajowystropi³siê, widocznie dotar³o do niego, ³e pozwoli³ sobie na zbyt wiele.

Szybko zabra³ g³owê wilka sprzed twarzy³opca.

Kilkachwilpó³niej martwecielskozawis³o na haku pod daszkiem werandy.

Nawet powieszony za tylne ³apy, z ods³oniêt¹, zakrwawion¹ s³abizn¹, ³bemopadaj¹cym bezw³adnie ku ziemi, Prowidnyk nie utraci³ swej wilczej godnoœci.

Andrzej jak zaczarowany przygl¹da³ siêkrzepn¹cym kroplomkrwi, które coraz wolniejspada³y z wilczego nosa, robi¹cw œniegu czerwonedziurki.

Jakaœ si³a kaza³a mu zbli¹çyæ siê dotrupa.

Nie móg³ znieœæ myœli, çe jeszcze kilka chwil wczœœniej tak bardzo przestraszy³ siênieboszczyka.

I çe wci¹ç siê go ba³.

Musia³ pokazaæ, çe to nieprawda.

Podszed³ ca³kiem blisko, przemóg³siê i szybko³oçy³ d³oñ nazwisaj¹cym ³bie.

Poczu³ pod palcami szorstkie, twardekud³y.

Polatach wci¹ç pamiêta³ dziwne wraçenie, jakie go w tym momencie

ogarnę³o.

Jakby przez jego ramię ze sztywniej¹cego cia³a wilkaprzebieg³ s³aby,
ledwie wyczuwalny pr¹d, a mo³e raczej dreszcz.

A³ serce zabi³o mu mocniej, a ³o³dek ³ocisn¹³ przelotny skurcz.

- Zaczekaj!

- zawo³a³ Nowicki.

-Nie ruszaj się.

Stójtak.

Musz³e zrobia³ ci zdj³ecie.

Wydoby³ z my³eliwskiej torbyswoj¹ star¹ leic³e, zbli³y³ się i zacz¹³
pstryka³.

Zd¹3y³jednak zrobia³ za ledwie kilka klatek, kiedyz domu z krzykiem
wybieg³a babcia Andrzeja.

- Czy wy³ecie powariowali?

Jakiten stary durny, tak samo tegoma³ego uczy.

Opami³etaj się, Stanis³aw.

Ma³o ci zabijania, chcesz jeszcze zabi³a³ własnego syna?

Nie widzisz, ³e stoi bosona ³eniegu?

Chcesz, ³eby dosta³ zapalenia p³uc?

Andrzejek, w tej chwili do domu!

Z boku gajowiprzygl¹dalisi³eż uc³emieszkami, czekaj¹c, jakskończy
si³e³ta rodzinna próba si³.

Andrzeja ogarn¹³ pal¹cy wstyd;

jego babcia potraktowa³ago jak ma³e dziecko, a w dodatku jegotacie zrobi³a taki wstyd przy ludziach.

- Nie przeszkadzaj, babciu- powiedzia³ g³osem najbardziej stanowczym, na jaki umia³ siê zdobyæ.

Tym bardziej ¿e w tej samej chwili sam poczu³ ci¹gn¹ce od œniegu przejmuj¹ce zimnoi drêtwienie bosych stóp.

Wyprostowa³ siê, a potem natê¿y³wszystkie si³y, zacisn¹³ palce na wilczych kud³ach i o kilka centymetrów uniós³ martwy ³eb Prowidnyka, wprost do obiektywudziadkowej leiki.

Dziadek mrugn¹³ doniego z uznaniem i po razostatni pstrykn¹³ migawk¹.

Marek pierwszy raz us³ysza³ tê historiê od swego ojca, kiedyskończy³ dziesiêæ lat.

Potem wci¹¿ chcia³ s³uchaæ jej od nowa.

W koñcu i onzna³ j¹na pamiêæ.

Mieli teraz wspóln¹ tajemnicê.

Andrzej Nowicki nie by³ cz³owiekiem otwartym, w m³odoœci robi³rzeczy, o których Marekd³ugo nie mia³ pojêcia.

Kiedy jeszcze mieszkali w Warszawie, widywa³ go rzadko; prawieniezna³ swojego taty.

Matkamu w tym nie pomaga³a.

Co najwy¿ej w nerwach krzycza³a na swojego mê¿a, ¿ema go doœæ, czasem rzucaj¹c te¿ w stronê Marka: "Twój ojciec chce naprawiaæ œwiat, choæ nie potrafi naprawiaæ samego siebie".

Toniczego nie wyjaœnia³o.

Ba³ siê pytaæ, o co jej chodzi³o.

Nikt nie chcia³ rozmawiaæz nim powa¿nie.

A¿ któregoœ dnia ojciec opowiedzia³ mu o wilku,którego przed wielu laty zabi³ dziadek Stanis³aw.

Odtej pory rozumieli siê lepiej.

Jakiœ czas wczesniej ojciec nagle przesta³ wyje¿d¿aæ w tajemniczysprawach, które dot¹d wype³nia³y mu ¿ycie.

Wkrótce potem przenieœli siê do Wilczej Polany.

Teraz przesiadywa³ w domuca³ymidniami.

Marekus³ysza³ od matki tylko tyle, ¿e tato straci³

pracê, bo zapomnia³, że ma rodzinê na utrzymaniu, i wda³ siê w niebezpieczne g³upoty.

Wed³ug niej g³upot¹by³o ito, że postanowi³ zamieszkaæ w górach.

Mia³ pomys³, żeby wydzierżawiæ górskie schronisko niedaleko leœniczówki dziadka.

Z jakiegoœ powoduwszystko siê odwleka³o i nie robi³ nic, tylko czyta³ gazety albo spacerowa³ po okolicy.

Jeden Marek bardzo siê z tego cieszy³.

Wreszcie móg³ spêdzaætat¹ ca³e dni.

Na pocz¹tku lutego w górach zapanowa³y wielkiemrozy, tak wielkie, że zamkniêto szko³ê.

Tato Marka nie przejmowa³ siê tym, owija³ mu szczelnie g³owê szalikiem, zostawiaj¹c tylko szparkê na oczy, i zabiera³ na d³ugie wycieczki po lesie.

Matkaz niminie chodzi³a.

Nie lubi³a wsi, ba³a siê gór, nie znosi³a zimy i bardzoby³a nieszczêœliwa, kiedy zamieszkali w leœniczówce.

Za to Marek uwielbia³ te wyprawy we dwóchz tat¹, kiedy mia³ go tylko dla siebie.

Nigdy wczecœniej nie rozmawiali takdużo i otak ciekawych rzeczach.

Wilki podchodzi³y wtedy nocami pod sam¹ wieœ, a ojciec pokazywa³ mu na œniegu ich tropy i uczy³ odróżniaæ od œladów wa³êsaj¹cych siê psów.

I po raz nie wiadomoktóry opowiada³, jak dziadek upolowa³ wielkiego basiora.

W domu, kiedy matka nie widziała, Marek wciął od nowa domaga się dowodu, że ta historia była prawdziwa.

Wtedy ojciec wyjął z szafy rodzinny album dziadka Stanisława i razem oglądali zdjęcie z martwym Prowidnykiem.

Pewnego dnia przytłoczyli na tym i rzuciła z pogardą:

- Co za barbarzyństwo.

Mam nadzieję, synku, że ty będziesz inny.

Wielki mi powód do chwały, zabijać bezbronne zwierzęta zestrzelby.

- O co ci chodzi?

- spytał ojciec.

- O to, że tylko psychopaci lubią fotografować się z trupami swoich ofiar.

- Wiesz co?

- rozgniewał się ojciec.

- To ty powinnaś się leczyć.

Marek poczuł żal do matki.

Niczego niezrozumiała.

Od tej pory był coraz bardziej po stronie ojca.

3

W góry wjechali już w nocy.

Droga wspięła się ostro kilkoma zakrętami przez las, w którym przeważały stare świerki.

W ówiat³ach samochodu ich ga³êzie zwisa³y nisko pobokach
w¹skiego pasa asfaltu.

Minêli prze³êcz i w dole rozb³ys³ Sanok.

- Nareszcie - westchnê³a Karolina.

- Padam ju¿.

A więc od początku dobrze domyśla się, dokąd jechali.

Obiecywali to sobie kiedyś, jeszcze w poprzednim życiu.

Wtedy jakoś się nie spotykali, bywali razem w różnych miejscach, ale nigdy tutaj, gdzie wszystko się zaczęło, na długo przed ich narodzinami.

Bo już od dawna nie wątpi, że ich ciężki zaczęły się zbliżać do siebie dużo wcześniej, a nie dopiero w dniu, kiedy niespodziewanie znalazł się w jej warszawskim mieszkaniu.

Wtedy wydawało mu się, że to przypadek.

Znał Karolinę dopiero od paru tygodni, ledwo przelotnie.

Wydzwania ją do niego, prosił o wywiad do "Zielonych Brygad".

Ktoś uznał, że był jednym z nielicznych ludzi w rządzie, którzy sprzyjali ekologom.

Kilka razy zmieniał termin i miejsce spotkania, aż wreszcie, przejeżdżając kurat przez Bemowo, zadzwonił i zaproponował, że po prostu doniej wpadnie.

Zależało jej widać na rozmowie, bo zgodziła się, choć wyczuła w jej głosie wahanie.

Musiała się domyślać, że jej znalazł czas dla niszowego pisemka, wydawanego przez skrajnych Zielonych, powód mógł być tylko jeden.

Podobała mu się.

Próbował nie okazywać tego zbyt jawnie.

Przyjął zaproszenie do wypicia kawy i kiedy gospodyni zniknęła w kuchni, ciekawie rozejrzył się po kawalerce.

Zobaczy³ ba³agan jakby niekobiocy-zmiêted¿insy na wersalce,nakrzes³ach porzucone bluzkii rajstopy, na pod³odze sterty ksi¹¿ek i gazet.

Stó³ te¿zarzucony by³ papierami, a na nich le¿a³aniedojezdzone dro¿d¿ówka.

Tylko ksi¹¿kana biurku obok komputerasprowia³a wra¿enie, jakby zosta³a tampo³o¿ona specjalnie.

Pozna³j¹ od razu.

Cienka broszurka "Wiersze zpo³onin" zosta³a wydrukowana w latach szeæædziesi¹tych poprzedniego stuleciaw Sanoku przeztamtejsze towarzystwo kulturalne, w bardzo ma³ym nak³adzie, byle jak i na lichym papierze.

Otworzy³a siê samaw miejscu zaznaczonym zak³adk¹.

Serce zabi³o mu mocniej.

Nalewej stroniezobaczy³ wiersz, na prawej czarno-bia³¹ fotografiê.

Przedstawia³a ma³ego ch³opca, mo¿e dziesiêciolatka.

Sta³ bosonaceniagu,a obok zwisa³ martwy wilk, powieszony na haku za tylne³apy.

Ch³opczykmia³ na sobie tylko pi¿amê, najego buzi zastyg³wyraz przera¿enia i wysi³ku.

Ma³¹ d³oni¹, której palce wpija³y siêkurczowo w kud³y drapie¿nika, dÿwiga³ jego martwy³eb w stronêaparatu.

Marekwpatrywa³ siê wstare zdjêcie swego ojca ze sprzecznymi uczuciami.

Nie ogl¹da³ go odlat.

Dawno zagin^ê³ow trakcie rodzinnych przeprowadzek.

Podejrzewa³, ĩematka wyrzuci³a je poœmierci ojca.

Teraz poczu³si^ê przy³apany, prawie obna^żony.

Wiersza nazwanego "Piosenkao zabijaniu wilków" te^ż nie pami^êta³.

Czyta³ wi^êc jakby po raz pierwszy:

16.

Zabijaæ was nie grzech, nie grzech
Niech æciga was nasz æwiêty
gniew
Tak mnie uczy³eœ, tato

Bo wilkwcieleniem diab³a jest
Od zawsze a¿ po æwiata kres
Ty w
to wierzy³eœ, tato

Wæciek³ych bandziorów wilczy ród
Wytêpia kaza³ dobryBóg
On
nasnagrodzi za to

Ogarn¹³ gowstyd.

Jego ojciec nigdy nie by³ wielkim poet¹, a ten wierszyk napisa³
jeszcze przed matur¹, chyba jako coœ w rodzaju manifestu przeciw
dziadkowi, kiedy postanowi³ pójœæ w³asn¹ æcie¿k¹.

Wiêc wycelujmy strzelby swe
Gdzie wmroku æwiec¹ælepia
z³eÆmieraæ bêdzie im zap³at¹

Lecz gdy ostatni padnie wilk
Po co zostanie w lufie minastêpna kula,
tato?

S³owa wiersza, jeœli ten utwór w ogóle mo¿na by³o tak nazwaæ, a¿
nadto wyraŹnie by³y skierowanedo dziadka.

Swoje zdjêciez wilkiem ojciec te¿ wybra³ na pewno po to, ¿eby zrobiaæ na
z³oææstare muleæeniczemu.

Potem jednak coœ mu siêw myœleniu odmieni³o.

Kilkanæcielat póŹniej chwali³ siê przecie¿ przed Markiem t¹ fotografi¹.

Wtedy ju¿ by³ z niej dumny.

Albo raczej budzi³awnim uczucia skomplikowane.

Marek jak przez mg³ê przypomina³ sobie gabinet dziadka
Stanis³awa w leæeniczówce.

On także w tym miejscu doznawa³ w dzieciństwie wzruszeń niemal religijnych.

Naciekanie naprzeciw biurkawisia³ obraz jednego z Kossaków, zapewne Wojciecha, "Obronaprzęd wilkami".

By³ doœæ zabawny.

Przedstawia³ galopuj¹cego jeŹdŹcaw mundurze leœnika, strzelaj¹cego do atakuj¹cych wilków z rewolweru.

Dziadek nie wyprowadza³ z b³êdu tych, którzy myœleli, Źe to on za m³odu pozowa³ Kossakowido tego dzie³a, cooczywiœcie by³o ma³o prawdopodobne.

œciana za biurkiem, na któr¹ patrzyli rozmawiaj¹cy z dziadkiem interesanci, obwieszona by³a trofeami ³owieckimi, a cen17.

tralne miejsce zajmowa³a na niej wielka skóra Prowidnyka z wypchanym ³bem i wyszczerzonymi k³ami.

Marekrozumia³, ¿e w takichrazach cz³owiek bywa rozdarty.

³al mu by³o zabitego wilka,ale równoczenie by³ dumny ze swojego dziadka.

Do dziecie czu³ nasobiespojrzenieszklanych oczu Prowidnyka.

- Nie przerazi³ pana mój ba³agan?

- odezwa³a siêza jego plecami gospodyni.

Poczu³ siê przy³apany,straci³ sw¹ zwyk³¹ pewnoœæ siebie, comu siêwtedy rzadko zdarza³o.

Instynkt kaza³ atakowaæ.

- Co mia³em w tym ba³aganie znaleŸæ, znalaz³em, prawda?

Widzê, ¿e odrobi³a pani lekcjê.

Gdzie pani to wygrzeba³a?

Nie s¹dzi³em,¿e ocala³ jakieœ egzemplarz.

Teraz dziewczynawygl¹da³a na zbit¹ z tropu.

Nawet poczerwienia³a, czegozupe³nieby siê po niej nie spodziewa³.

Zrobi³aruch, jakby mia³a ochotê wyrwaæ mutomik z rêki.

- Ach, to?

Wyszpera³am gdzieœna strychu.

Rozejrza³ siê po kawalerce.

- Na jakim strychu?

-U rodziców.

Ojciec jest historykiem, zawsze biera takie ciekawostki.

Wzięłam, bopomyślałam, że może przyda mi się do doktoratu.

Popatrz na nią kpić, ukrywaj własne zmieszanie.

- I akurat kiedy zadzwonię, ta ciekawostka przypadkowo leżała koło pani komputera.

Co za zbieg okoliczności.

Znow się spiesza, ale tylko na chwilę.

- Nie, to nie przypadek - powiedziała, patrz mu w oczy.

-Chciałam wiedzieć, z kim mam do czynienia.

To Źle?

- Skądże.

- Nie zrezygnowała z owego.

-To profesjonalne.

- Pomyślałam, że łatwiej będzie się nam porozumieć, bo mamy podobne wspomnienia.

Uśmiechnęła się, patrz na jego dziwną minę.

Sięgnęła napórkę po stary album ze zdjęciami, podobny do tego, który zapamiętała z leśniczówki dziadka Stanisława.

Przerzuciła sztywne, czarne karty.

Wskazała palcem na jedną z rodzinnych fotografii.

Na pierwszym planie klęczeli na cienie, gwiazdki mężczyźni w futrzanych czapach.

W rękach mieli strzelby, naramionach drąg, z którego zwisał trup wilka.

Z tyłu stał starszy człowiek w wojskowej uniformie, z kilkuletni dziewczynki narękach.

- Tego wilka nazywali Watajk - powiedziała, stukając paznokciem w zdjęcie.

- Prawie jak Prowidnyk, prawda?

Ten gościu w mundurze topu kownik Chmura, mój dziadek.

A kto to jest

- pokazała na dziewczynkę - chyba nie muszę mówić?

18.

Pocz¹tki ich znajomości wydawa³y się teraz Markowi nieskończenie odleg³e.

Nic już nie by³o takie samo.

Dlatego od kilku godzin dumiewa³ago obecność Karoliny na siedzeniu obok.

Inna, gdyby j¹ wpl¹ta³ w tak¹ aferę, nie chcia³aby później nawet o nims³yszeć.

Znow zasn¹³ to co najmniej na pół godziny, bo kiedy obudzi³o gonag³e hamowanie, wokół panowa³a ciemność, rozjaśniana tylko przez snopy światła z reflektorów.

Zanim zd¹ży³ spyta^æ, co się sta³o, Karolina zjecha³a na niewielki plac, na którym majaczy³y w mroku sterty ściętych pni.

Pod ko³ami zachrzęci³yp³aty wyschniętej kory.

- Dorana zostaniemy tutaj, dobrze?

- odezwa³a się.

- Jestem wykończona.

- Ale przecież jesteśmy już niedaleko, prawda?

- Masz rację, tylko że nie mam kluczy, ani chcę bez uprzedzenia budzić ojca tej porze.

Będzie ci przeszkadza³o, jeżeli przećpiemy parę godzin w samochodzie?

- Po co pytasz?

Wiesz, że nie.

Jechalitu przez wiêksz¹ czêœæ dnia i kawa³ nocy.

Wys³u¹on¹ niw¹Karolinyby³obytrudno pokonaæ tê drogê szybciej.

Mog³a przecie¹zadzwoniaæ wczesniej uprzedziæojca.

Nie zdziwi³ siê, ¹zê tegonie zrobi³a.

Jemu te¹z nie spieszy³o siê do tej wizyty.

Do ¹zadnychwizyt.

Narazie chcia³ jak najd³u¹ej byæ sam z Karolin¹.

Najwa¹zniejsze,¹zê by³a, ¹zê przywioz³agow³acenie tutaj.

Jakby spe³ni³ siênie do koñca zapamiêtany sen.

Sk¹d wiedzia³a?

Chyba nie pisa³jej nigdy z wiêzienia, ¹zê w najgorszych momentach trzyma³a goprzy ¹zyciu myœl, ¹zê kiedyœ tu jeszcze wróci.

A mo¹zê nawet zostanie.

Wysiedli.

Roz³o¹z³ ramiona, wci¹gn¹³g³êboko górskie powietrze, pachn¹ce œwierkowym drewnem.

Nad lasem wisia³ cienkipó³ksiê¹zyc, a obokniego wyj¹tkowo jasna gwiazda.

Wydawa³o musiê niezwyk³e, ¹zê œwiatmo¹zê tak wygl¹daæ.

Dopiero przywyka³ domyœli, ¹zê to jego pierwsza noc na wolnoœci.

A¹z ba³ siê wierzyæ, ¹zêpo niejrzeczywiœcie bêd¹nastêpne.

Czy spêdzije z Karolin¹?

O tym na razie nie myśla³.

-Odwróæ siê - powiedzia³a.

- Muszê siku.

Uœmiechn¹³ siê.

- Przecie¿ jest ca³kiem ciemno.

-S³ysza³eœ?

Pos³uszenie odszed³ kilka kroków i po omacku usiad³ na szorstkim œwierkowym pniu.

Zapach ¿ywicy o¿ywi³ obrazy z dzieciñstwa, wspomnienia pierwszych wypraw wgóry z ojcem, kiedy jeszcze ¿y³.

To dziêki niemu, jeszcze zanim poszed³ do szko³y, przedepta³ ju¿ w³asnymi nogami skalne granie Tatr, lesiste Beskidy i wyludnione powalkach z Ukrañcami doliny Bieszczadów.

19.

W tamtych czasach góry nie tylko dla nich były ucieczką przed beznadziejnym komunizmem.

A dla niego samego okazały się najlepszymi przyjaciółmi, jak została mu po ojcu.

Teraz też wiedział, że to właśnie góry naprawdę pozwoliły go z Karoliną.

Usłyszała, że podeszła i usiadła obok niego w ciemności, zanim jeszcze poczuł ją przy sobie.

- Właśnie uświadomiłem sobie, że pierwszy raz jestem sam z tobą w górach - odezwała się.

- Wiem - powiedziała.

- A myślisz, że dlaczego przyjechalibyśmy właśnie tutaj?

- Zaczekaj, niech pomyślimy.

Z powodu wilków?

- spytała trzecia.

Nie miał zamiaru udawać przed nią naiwnego.

Wiedziała przecież, że zaproszono ją do udziału w europejskim programie Wilk, pisała mu o tym.

Musiała więc prowadzić swoje badania tam, gdzie one były.

- Co za przenikliwość - odpowiedziała, jakby trochę speszona.

- Zgadzę, z ich powodu też.

Ale przecież do tego nie byłoby mi potrzebny, prawda?

- A do czego?

-Sam sobie odpowiedz.

Obj¹³ j¹ niepewnie.

Wci¹¿ nie wiedzia³, co ni¹ kierowa³o.

Niechcia³ryzykowaæ odepchniêcia.

Ostatnie lata odebra³y mu wiarêw siebie, której kiedyœ mia³ w takim nadmiarze.

Opar³a siê o niego ca³ym ciê¿arem i po³o¿y³a g³owê na jego ramieniu.

To jeszcze musia³o nic znaczyæ.

By³a po prostu zmêczona.

- I co?

- spyta³a.

-Zadowolony?

- Jeszcze pytasz?

Przywracasz mnie do ¿ycia- powiedzia³szczerze.

- Naprawdê?

Ba³am siê, ¿e tylkonie chcia³œ mi zrobiæ przykroœci.

Albo ¿e cipo prostu wszystko jedno.

Zdziwi³ siê.

Ona te¿ nie by³a tak pewna siebie, jak s¹dzi³.

Przycisn¹³ j¹ mocniej do siebie.

Mia³ wielk¹ ochotê j¹poca³owaæ,przyprawia³o go to o bicie serca tak mocne, ÷e a¹ bolesne.

Ale ba³siê j¹ sp³oszyæ.

- Sk¹d wiedzia³aæ, ÷e w³aænie tu ju¹ kiedyæ by³em?

-Kiedy?

- spyta³a.

-Z inn¹ kobiet¹?

- Agdybytak?

-Nie spodoba³oby mi siê to.

Uæmiechn¹³ siê.

To by³ ju¹ jakiæ sygna³.

- Nie -powiedzia³.

- Z ojcem.

Ciebie nie by³o jeszcze nawetw planie.

- Powinnam ÷a³owaæ?

-Bo ja wiem?

Zale¹y, jak na to spojrzeæ.

Wtedy by³o tu na20.

prawdê dziko.

Nie zbudowano jeszcze tylu dróg, turystów przyjeżdża³o niewiele.

- Toju¹ i³ujê.

Trochê j¹ oszukiwa³.

"W rzeczywistości niepamięta³ czasów, o których mówi³.

Powtarza³ opowieści ojca zas³yszane wdziecni³stwie.

- Wiesz, trochê zmy³elam -przyzna³.

- Nie jestem aż taki stary.

- Nie szkodzi.

Zmy³elaj dalej.

Ładnie zmy³elasz.

Chcia³abym, i³eby wci¹i by³o tu tak dziko, jak w tych dawnych czasach, którychnie mogê pamięta^æ.

Nie umia³ zapomnie^æ, i³eaby w tych dawnych czasachmog³otubya^æ tak dziko, najpierw trzeba by³o wymordowa^æ i wypêdzia^æ stotysiêcy ludzi.

Dopiero wtedy opró¹znione przez nich miejsca mog³a z powrotem opanowa^æ dzika przyroda.

Ale niepowiedzia³ tego g³o^æno.

W tej chwili nie chodzi³o przecie¹ o historyczn¹ prawdê, tylko o nastrój.

Serce wali³o mu mocno o i³ebra, kiedy wreszcie odwa¹y³ siê i pochyli³ nad jej twarz¹.

Nie odwróci³a g³owy.

Niepotrzebnie tak bardzo ba³ siê tejchwili.

Karolina te¿ na ni¹ czeka³a.

Jej jêzyk, poruszaj¹cy siê teraz w jego ustach, mówi³ muto a¿ nadto wyraŹnie.

D³onie, wpe³zaj¹ce podjegovkoszulê, by³y coraz bardziej natarczywe.

A¿ siê zacz¹³ peszyæ.

Dla niego sz³o toza szybko.

Wbrew opowieœciom omê¿czyznach, którzy wychodz¹ z wiêzienia, wci¹¿ trudno mu siê by³o przestawiaæ.

Potrzebowa³ wiêcej czasu, ale nie chcia³ siê jejdo tego przyznaæ.

Odpowiedzia³wiêc tym samym.

Poczu³ pod palcami nag¹ pierœKaroliny, aonazadygota³a.

Nagle podnios³a siê i ujê³a jego d³oñ w ciemnoœci.

- ChodŹ do samochodu- szepnê³a.

Na roz³o¿onych siedzeniach nie by³o wygodnie, koce œlizga³y siê, a on od dawna nie mia³ ju¿ osiemnastulat.

Kilka minut póŹniej przesta³ wierzyæ, ¿e jednak musiê uda.

Pozosta³o mu tylko zrobiaæwszystko, ¿eby mimo tojej nie zawieœæ.

Niepotrzebnie siê obawia³.

Karolina sprawia³awra¿enie tak spragnionej, ¿e osi¹gn¹³ to ca³kiem szybko.

Zaraz potem zaczęła zasypiać.

Jej ruchy zamarły.

- Przepraszam cię.

Jestem nieżywa - zamruczała zanikającym głosem.

- Nie szkodzi.

Epilator - szepnął, całując ją w ucho.

Resztkami przytomności wciągnęła na siebie dres i już spała, wciśnięta pod jego ramiona.

On wiedział, że dźwięku nie zaniecha.

Leżała nieruchomo, żeby nie zbudzić Karoliny, i myślała, co dalej.

Jeżeli nie chciała stoczyć się w beznadziejność, w którą wpadała większość byłych więźniów, nie mogła dłużej uchylać się od odpowiedzi na parę pytań.

Musiała podjąć kilka decyzji, a w końcu nie wiedziała jakich.

Nie było powrotu do tego, co przedtem.

Tapetę, która drzwiami kariery zamknęła się przed nim chyba na zawsze, wiele udało się.

twia³a.

Zreszt¹, nawet by już nie chcia³ wracaæ do polityki.

Dopiero teraz zacz¹³ siê zastanawiaæ, czy przypadkiem nie by³y to lata zmarnowane.

Tylko że nie mia³ żadnego awaryjnego pomys³u.

Dlatego jeszcze nie chcia³jechaæ do domu.

Nie wiedzia³by, co z sob¹ zrobiæ w Warszawie.

Powinien zaplanowaæ sobie coæ wczesniej.

Nie zdoby³ siê na to, bo nie wiedzia³, czego naprawdę chcia³a Karolina.

Póki siedzia³, nie chcia³ wymuszaæ na niej żadnych deklaracji.

A teraz?

Wci¹ż nie by³ niczego pewny.

Sen nie nadchodzi³.

Próbowa³ nie męczyæ siê na próżno szukaniem odpowiedzi, na które widocznie czas jeszcze nie nadszed³.

By³ wolny, otacza³a go górską noc, pachn¹ca œwierkow¹ żywic¹, a przy jego boku spa³a kobieta.

Toi tak by³o dużo wiêcej, niż mógł³ siê spodziewaæ.

4

Wilksta³ nieruchomona skraju szosy, nie wiêcej niż dziesiæ metrów odsamochodu.

Wyrwany nagle ze snu, zdrętwiały z zimnej niewygody Marek w pierwszej chwili nie zrozumiał, po co Karolina go zbudziła.

Udało mu się zasnąć dopiero tuż przed świtem, teraz był ledwo przytomny.

Pokazał mu gestem, co ma zrobić.

Posłusznie uniósł głowę i wyjrzał przez okno.

Ich oczy spotkały się.

Spojrzenie zwierzęcia było spokojne i uważne, pozbawione strachu.

Nie spodziewał się pierwszego w swoim życiu wilka zobaczyć tak blisko, po prostu na asfalcie, więc w pierwszej chwili pomyślał, że to pies.

Wyprowadziło go z błędem zachowanie Karoliny.

Szybko, ale ostrożnie wypełznął spod koca, gestem nakazała mu spokojnie.

- To on - powiedział bezgłośnie, samymi wargami.

Domyślił się, że to samotny samiec, którego obserwował już od dłuższego czasu.

Pisała mu otym.

Sięgnęła po swój cyfrowy aparat i zaczęła robić zdjęcia.

Wilki zrobiły jeszcze dwa kroki w ich stronę i znów zatrzymały się, jakby specjalnie pozowała Karolinie w pierwszych promieniach słońca, które, zamglone jeszcze, dopiero co pojawiło się nad wzgórzami.

- Cholera - zakłamała pod nosem.

Podniósł głowę za jej spojrzeniem.

Od strony pagórka nadjeżdża samochód.

Jechał bardzo szybko, ze zgaszonymi światłami, ledwo widoczny w cieniu lasu.

Zbliża się w oczach, jeszcze bardziej przyspieszając.

Wilk jakby go nie słyszał.

22.

- Uciekaj!

- wrzasnęła Karolina, uderzając dłońmi w szybę.

Dopiero teraz, dosłownie w ostatniej chwili, odskoczyła do rowu.

Samochód przemknął obok zaraz potem zaczęła hamować.

Gwałtownie, z piskiem opon.

Wilka już nie było, zniknęła nie wiadomo gdzie.

Z auta wyskoczył niewysoki mężczyzna w czerwonej koszuli w kratę i biegł ku nim.

Karolina opuściła szybę.

- Widzieliście?

- krzyczała z daleka.

-Prawie goniłem, może obrażę.

Byłbym go walnął.

- Zatrzymał się.

-A wy co?

Nie mogliście go walnąć?

Aż się prosi, bezczelna bestia.

Czegoście go nie walnęli?

W podnieceniu szeptem najwyraźniej, że oni też dopiero nadjechali.

-Dzień dobry, panie Drewniak - powiedziała Karolina.

- Niemieliśmy takiego zamiaru.

Dopiero teraz zbliży³ twarz do okna, przyjrza³ im się.

- A, to pani -odezwa³ się z zawodem wg³osie.

- Wilcza narzeczona, jak to mówi¹.

To teraz się nie dziwi.

- Umówmy się, że tego nie s³ysza³am, panie Drewniak.

Chcia³pan pope³nić przestępstwo.

Pan, so³tys, cz³owiek urzędowy.

- Jakie znowu przestępstwo, co pani opowiada?

- Wilki s¹ ci¹gle pod œcis³¹ ochron¹, zapomnia³ pan o tym, panie Drewniak?

- Chwa³a Bogu, już nied³ugo.

Napisaliœmy do wojewody.

Teraz to już na pewno zezwoli na odstrza³.

- Mam nadzieję, że nie.

-Zezwoli, zezwoli.

Od zimy zełar³y już dwieście baranów.

Wojewodzie brak³o forsy na odszkodowania.

Zapoluje się na wilczki, zapoluje.

- Zatar³ęce.

- Postaram się, żeby się nie zapolowa³o, panie Drewniak.

-Ale pani zawzięta.

Prawdziwa wilcza narzeczona.

Chce panikonicznie byæ jak ta francuska aktorka?

Bardot, czy jak tam?

Nudzi siê babie na staroœæ, to siê wtr¹caw nie swoje sprawy.

Łatwo jej chroniaæwilki w Monte Carlo, czygdzie tam.

Ja tomówiê,dawaa j¹ tutaj, pindê francusk¹, rozebraa do go³a,
przywi¹zaa nanoc do drzewa, zobaczymy, jak bêdzie rano œpiewaa.

- Mnie te¿ by pantakprzywi¹za³, panie Drewniak, co?

Go³¹do drzewa?

Ch³op otaksowa³ j¹ wzrokiem, potem rzuci³ szybkie spojrzenie do
œerodka samochodu, na Marka.

- E, pani¹ to by szkoda by³o.

M³oda pani jeszcze i naiwna.

Ale dojrzeje pani, zrozumie.

- Co takiegozrozumiem, panie Drewniak?

- e jak pani wilków broni, to ludzi krzywdzi.

Taka moda na23.

sta³a, ¿e bandyta ma wiêksze prawa ni¿ uczciwy cz³owiek, a wilk jest bardziej chroniony ni¿ owca.

- Chodzi pan do kocicio³a, panie Drewniak?

Nie s³ysza³ pan, ¿eto nasi bracia mniejsi?

Braci chce pan zabijaæ?

Spojrza³ nani¹ spod oka, podejrzliwie.

- Mi³a z pani kobieta, ale teraz to pani wywraca kota ogonem jak jakipolityk czy kto.

Jacy bracia?

Wiadomo, ¿e w wilku siedzi diabe³.

Ksi¹dz Oremus wyraŹnie mówi³ na kazaniu.

Ja wiem, ¿e naprawdê pani taka nie jest.

Rodzina przecie¿ porz¹dna, zas³u¿ona.

Pu³kownik Chmurato by³ dopiero myœliwy.

Prawdziwypogromca wilków.

Ile ich nat³uk³!

A ilu Ukraiñców!

Teraz ju¿ takich ludzi nie ma.

- Mój dziadek ¿y³ w z³ych czasach, panie Drewniak.

Teraz naszczêcie mamy inne.

Mê¿czyzna wzruszy³ ramionami, popatrzy³ z politowaniem.

- Wierzy pani w to?

Kiedy samochód samotnie zniknie wreszcie za zakrętem, do doliny powróci spokój.

Poranne słońce grzeje coraz mocniej.

Karolina zdjęła polarową kurtkę i dres, wsadziła podkoszulku w plecak z powrotem pod koc.

Odszukała drzwi Marka.

- Nie pospał za długo, biedaku- powiedziała.

- Obudziłam cię, zanim pomyślałam, co robię.

Koniecznym chciałam ci go pokazać.

- Dobrze zrobiła.

Nie miała myśli wilka.

Odwróciła się do niej.

Krótki sen sprawił, że był już gotów do tego, co nie udało się w nocy.

Kilka godzin wcześniej był za bardzo spięty.

Teraz myślała o nieofizjologii.

Objął Karolinę, wsunął drzwi pod jej podkoszulek.

Zadłgał jak chłopek, dobierał pierwszy raz do koleżanek klasy.

Ona też zadrżała, chwilę jeszcze leżała nieruchomo, potem przygłębła do niego, z niespodziewanym siłą oplótła ramionami i nogami.

Niecierpliwymi ruchami zdierała resztki ubrania na przemian z siebie i z niego.

Oboje byli gwałtowni, pośpiesznie go ocenili.

Wszystko trwało krótko, a końca nie odwoleli.

Leżąc na wznak, wyczerpany, jakby w ciągu dwóch minut zużył wszystkie zapasy energii, i czuł się jak przed wieloma laty, jakby pierwszy raz.

Bo też w jakimś sensie Karoliną była pierwszą kobietą w jego życiu.

A na pewno w tym, które dopiero zaczyna.

- Myślałem, że to się już nigdy nie stanie - wyznał jej.

- Naprawdę?

A ja bym była pewna, że tak.

- Od kiedy?

Nie odpowiedział.

Leżąc na boku, przylgnęła do niego mocno, przerzuciła udo przez jego biodra.

Przytomnie pomału, jej palce zaczęły poruszać się po jego skórze.

Jeszcze poprzedniego.

dnia, kiedy zobaczy³ j¹ na ulicy, przed bram¹ więzienia, ba³ siê,
¿e przyjecha³a tylko spe³nia ostatni dobry uczynek.

Teraz ju¿ uwierzy³, ¿e nie.

I zacz¹³ siê denerwowaæ.

Nag³y powrótnadziei by³trudny.

Znów mia³ wszystko do stracenia.

Pó³ godziny póŹniejszепnê³a:

- Chyba powinniemy siê ubraæ.

Nied³ugo drwale przyjd¹ dopracy.

Mam nadzieję, ¿e nie masz nic przeciw temu, ¿ebyemy teraz pojechali
do mojego ojca?

Wci¹¿ nie uwa¿a³ tego za dobry pomys³, ale powiedzia³:

- No wiesz?

Po co pytasz?

Poca³owa³a go szybko w policzek.

Wci¹¿ obejmuj¹c siê ramionami, usiedli i oboje równoczenie
wyjrzeliprzez okno.

Wilkznów tam by³.

- A to drañ.

- Zaczemia³a siê cicho.

- Widzia³eœ?

Ca³y czas nas podgl¹da³.

Karolina się nie spieszy³a.

Jecha³ado miasteczka okrêżnymidrogami.

Jakby szuka³a pretekstów, żeby przed³użyćæ podróży.

Tuzatrzyma³a się przy drewnianej cerkwi, otoczonej wieńcemstarych drzew, kilka kilometrów dalej obok samotnego, zapadaj¹cego się w ziemię nagrobka z ledwo już czytelnym ukraińskim napisem.

Marek bra³ udział³ w jej grze.

On też się denerwowa³.

Rozumia³, że chcia³a jeszcze trochę opóŹnić wizytę.

Z tego samego powodu, dla którego nie odważy³a się obudzić ojca w nocy.

Markowinie trzeba by³o tego tłumaczyæ.

Gdyby to chodzi³o jego córkę, sam by się wkurzy³.

Miasteczko wy³oni³osię z nienacka spoza ³agodnego wzgórza.

Zatrzymali się na niewielkiej uliczce na peryferiach, obok skromnego domu otoczonego ogródkiem pełnym wiosennych kwiatów.

- Zaczekasz?

- spyta³a Karolina przepaszaj¹cym tonem, jakby się tego wstydzia³a.

- Nie chcę go tak zaskakiwaæ.

- Jasne.

Teraz już³owa³, że nie sprzeciwi³ się Karolinie.

Wcale nie czu³się gotowy.

Zreszt¹, w jakiejw³acociwie rolimia³by wyst¹piæ przedjejojcem?

Starego przyjaciela?

Adam Chmura nie by³ idiot¹.

Gdybyokolicznoœci by³y inne, Marek pozna³by go z przyjemnoœci¹.

Mia³ na to ochotê, odkiedy dowiedzia³ siê,¿e historyk jestojcem Karoliny.

To by³ pierwszy powód.

Ale nie jedyny.

KiedyœChmura zna³ jego ojca.

Przed laty po³¹czy³y obu zami³owanie do.

wêdrówek na nartach i bunt przeciw komunie.

Marek już dawnoplanowa³, że musi przynajmniej z nim porozmawiać.

Tylko że to wcale nie byłoby dobry moment.

Czekaj¹c wsamochodzie na ulicy, Marek poczu³, że powinien być gdzie indziej.

Pomyśla³, że tak oceni to Chmura.

Na pewno spyta, przynajmniej w duchu, dlaczego Marek nie próbowa³ zobaczyć się przede wszystkim ze swoją¹ córką¹, tylko w³óczy się nie wiadomo gdzie z obc¹ kobiet¹.

Obaj byli ojcami.

Marek umia³ przewidzieć jego myśli.

By³yone także jego własnymi myślami.

Wyrzuci³sobie, że stchórzy³.

Skorzysta³ z okazji, żeby przynajmniej trochę odwlecspotkanie z Ew¹.

Nie odezwa³ się do niego przez te dwa lata, nie ona przywita³a go przed bram¹więzienia.

I co z tego?

To byłaby wina teściów, to oni przez cały czas robili wszystko, żeby odebrać mu córkę.

Wszystko to wiedzia³ od Miko³aja, a jednak uciek³.

Teraz byłoby za późno.

Karolina w³acenie pojawi³a się z powrotem, wybieg³a przez drewnian¹ furtkę, rozluźniona i weso³a.

- ChodŸ.

- Wyci¹gnê³a go z samochodu.

-Tata jest wniez³ymnastroju.

Mo¼e pójdzie ³atwiej, ni¼ s¹dzi³am.

- Co w³acæciwie?

- spyta³ niepewnie.

-Chyba nie chcesz powiedzieæ mu wszystkiego?

- A dlaczego nie?

Masz coæ przeciw?

Wola³byæ, ¿ebym siêz tym ukrywa³a?

Nie by³o odwrotu.

Drzwi ju¼ siê otwiera³y.

Marekwzi¹³ g³êbokioddech.

Ujrza³ mê¼czyznê szczup³ego, niemal chudego, o szpakowatych w³osach opadaj¹cych w nie³adzie na boki.

Adam Chmura niewygl¹da³by naswoje lata, gdyby nie niezdrowabladoææ i podkr¹¿oneoczy.

Porusza³ siê o kuli, z wyraŸnym trudem.

Mimo to krz¹ta³ siêpo niewielkiej kuchni bardzo sprawnie.

Te¼ by³spiêty.

Im bardziejstara³ siêzachowywaæ naturalnie, tym sztuczniej mu to wychodzi³o.

- Dlaczego nie zadzwoni³aœ wczesniej, ¿e przyjedziesz?

- spyta³, jakby siê t³umaczy³.

- I to w towarzystwie?

Postara³bym siê bardziej wystawne œniadanie.

- Tato, nie przyjecha³emyna œniadanie.

- Dlaczego, kiedy pora jest akurat œniadaniowa?

- Stary wzruszy³ ramionami.

- Nie wydaje mi siê, ¿ebyœ potrzebowa³a siê odchudzaæ.

Pan te¿ powinien chyba uzupe³niæ brak energii.

Marek nie wiedzia³, jak zareagowaæ.

Chmura nie by³ naiwny wiedzia³, ¿e spêdzili razem noc.

Ale ¿emóg³z tego ¿artowaæ w taki sposób?

Tego Marek nie potrafi³ zrozumieæ.

W koñcu Karolinaby³a jego córka¹.

- Dziêkujê, naprawdê nie jestem g³odny - odezwa³ siê g³upio.

- Czy¿by?

Ostatnio nie od¿ywia³ siê pan zbyt dobrze.

- Tato!

- wpad³a ojcu w s³owo Karolina.

- O co chodzi?

- spyta³ Chmura.

-Nie chcia³em byæ niedelikatny.

Jesteœmy wszyscy doroceli, nie musimy niczego udawaæ.

Zreszt¹, przed ludŹmi i tak nic siê nie ukryje.

- O czym ty mówisz?

- spyta³a Karolina podejrzliwie.

Chmura oderwa³ siê na chwilê od kuchni, siêgn¹³ do sterty gazet, wyci¹gn¹³ egzemplarz "Super Expressu".

- O tym mówiê.

Chwyci³a gazetê w obie rêce.

Marek spojrze³ przez ramiê.

Na pierwszej stronie zobaczy³ swoje du¿e zdjêcie w uœcisiku z Karolin¹ przy jej samochodzie.

Obok zamieszczono dwie mniejszefotki.

Jedna przedstawia³a budynek zak³adu karnego, w którymspêdzi³ dwa ostatnie lata.

Drug¹ zrobiono wczesniej, w czasie poprzedniej kampanii wyborczej do Sejmu.

Byli na niej oboje, nachylali się ku sobie głowami nad zarzuconym papierami stołem.

Ogromny, przezcaś szerokość kolumny biegnący tytułosi:

"Kochankowie znowu razem".

Na resztę nie chciał mu się nawet spojrzeć.

Karolina też przeczytała tylko kilka pierwszych zdań, potem wzburzona zmięsa pismo i wrzuciła do kubka na śmieci.

- Nie sldziam, że kupujesz takie gazety - odezwała się dręcym głosem.

- Nie kupuję - powiedziała Chmura spokojnie.

- Dobrzy ludzie podzucili ranodo ogródka.

- Przykromi, tato.

- Niepotrzebnie.

Jestem odporny.

Dziękuję tylko Bogu, że tosię stało pod nieobecność matki.

- Widzisz- Karolina odwróciła się do Marka - jakie ci winie?

Aty ich próbowała usprawiedliwiać.

- Nie przypuszczam, że będę aż taki śawny.

- Skrzywi się.

- Nawet na dalekiej prowincji.

Chciał, żeby zabrzmiało to kpić.

Nie udało się.

By³oby lepiej, gdyby siê w ogóle nie odzywa³.

- To teraz ju¿ pan wie -powiedzia³ Chmura.

- Wrogowie o panunie zapomnieli.

Ja do nich nigdy nie nale¿a³em.

Wiêc niech pan siada i je.

Z wytrenowan¹ zrêcznoœci¹ kaleki sam zastawi³ kuchennystó³, na du¿ej patelni usma¿y³ potê¿n¹ porcjê jajeczniczy.

Nie pozwoli³ Karolinie nawet zaparzyæ herbaty.

Wygl¹da³oby zbyt g³upio, gdyby Marek nada³ siê wzbrania³.

Tym bardziej ¿e naprawdê poczu³ g³ód, kiedy dolecia³ go zapach sma¿onego boczku, a na stole zobaczy³ ciemny chleb, wiejskie wêdliny i bia³y owczy ser.

- Skromnie, ale przynajmniej ekologicznie - usprawiedliwi³ siê jeszcze raz gospodarz.

Przy posi³ku na kilka chwil zapad³a niezrêczna cisza.

Wszyscy troje udawali, ¿e skupiaj¹ siê na jedzeniu.

Chmura pierwszy przerwa³ milczenie.

- Napêdzi³aœ mi strachu, córcia - odezwa³ siê, nie patrz¹c na Karolinê.

- Tym?

- Niecierpliwie pokaza³a na kube³ ze œmieciami.

- To g³upstwo.

- Machn¹³ rêk¹.

- Gazetowe brednie.

Zdenerwowa³em siê, bo wczêœniej zadzwoni³ nadleœniczy Prawica, ¿e ktoœ widzia³ w nocy twój samochód zepsuty na drodze.

Zatroska³ siê, czy nie trzeba ci pomóc.

- I co powiedzia³eœ?

- ¿e sama dasz sobie radê.

- Brawo, tatusiu.

- Co siê namartwi³em, to moje.

- To sprawa Drewniaka.

Spotkaliœmygo o œwiecie.

Zaraz doniós³, komu nale¿a³o, ¿e trzeba siê mn¹ zaopiekowaæ.

Przeszkadzam im.

Ale jeszcze zobaczymy, kto kogo.

- Córca, jeżeli chcesz tu pracować, to nie powinnaś sobie wszystkich zrażać.

Musisz mieć jakichś sojuszników.

- Masz na myśli Drewniaka?

Nie mam zamiaru zadawać się z kim.

- Nie traktuj go jak bylekiego.

To b³d.

Ludzie wybrali go na prezesa samoobrony hodowców.

Jeździ po wsiach, agituje, zbiera podpisy.

Robi, codo niegonał³y.

- Tato, co ty gadasz?

W³acenie na w³asne oczy widzieliśmy go w akcji.

Próbowa³ rozjechać wilka samochodem.

Nie zdziwi³abym się, gdyby ca³¹ noc kr¹ę³ po okolicy i polowa³ na niego.

To wariat!

- Ńe nie lubi wilków, nie znaczy, że od razu wariat.

Nietylko on uważa, że za dużo się ich namnożyło.

- Oczywiście, że ten g³upek jest tylko narzędziem takich facetów jak Prawica i jego bandami.

Prezes, umr³że o miechu!

Po moim trupie!

- Nie nadużywaj takich słów.

- Chmura spojrz³ na córki^z prawdziwym niepokojem.

-Po co przyjecha³ac^e?

Pracowa^e nad doktoratem czy awanturowa^esi^e z nimi?

- Nie mog^e im odpu^ecia^e, tato.

-Dlaczego?

- Ł¹ w żywe oczy.

Wilków jest w górach naprawdę co najmniej dwa razy mniej, niż oni twierdz¹.

G³upi pismacy daj¹ si^e podpuszcza^e i podgrzewaj¹ atmosfer^e.

Czyta³ec^e te tytu³y?

"Wilkiznów zabijaj¹", "Rze³ karpackich jeleni", "Urodzeni mordercy".

Same takie bzdury.

To zorganizowana kampania.

- Ico chcesz z tym robi^e?

28.

- Ktoœ musi udowodniæ tym goœciom, Ÿe oszukuj¹.

-A, rozumiem.

- Chmura kiwn¹³ g³ow¹.

- Sama chcesz z nimi walczyæ czy pan Marek ma ci pomóc?

- artuje pan?

- Marek potrz¹sn¹³ niecierpliwie ramionami.

- Z kim ja teraz mogê powalczyæ?

- Now³acenie.

- Tato, Marek poprostu towarzyszymi w podróŸy - wtr¹ci³asiê
Karolina.

- Rozumiem.

- Mówisz, Ÿe rozumiesz, a zachowujesz siê, jakbyœ nie rozumia³.

- Bo rozumieæ to nie znaczy zgadzaæ siê.

Pozwolisz mi mieæ w³asne zdanie?

Marek coraz bardziej czu³ siê intruzem.

PoŸa³owa³, Ÿe jednak da³ siê skusiæ na œniadanie, teraz nie wypada³o byæ niewdziêcznym.

- Z czym w³aceciwiê siê nie zgadzasz?

- spyta³a zaczepnie.

- Powiedz, nie krêpuj siê.

Jesteœmy doroceli, sam mówi³eœ.

Chmura zeznużeniempokrêci³ g³ow¹.

- Córca, nie chcê siê z tob¹ k³óciæ.

Nie mam zamiaru prawiaê cimora³ów.

- Jeszcze tego by brakowa³o!

-Po prostu martwiê siê o ciebie.

Dziecko, ty siê ci¹gle miotasz.

- Po czymtaks¹dzisz, jeœli mogê spytaê?

Marek powiedzia³ sobie, Ÿejeœlistary znów zrobi jak¹œdwuznaczn¹ aluzjê, tym razem on po prostu wyjdzie.

Ale Chmura mówi³ nie otym.

- Powinnaê siê zdecydowaê, czy pracujesz naukowo, czy wci¹Ÿbierzesz udzia³ w awanturach.

Zostaw tesprawy leœnikom.

- Tato, nie pogniewaj siê, naiwny jesteœ.

Leœnicy sami s¹ w tejzmowie.

Oni teŸchcieliby sobie znów postrzelaê do wilków.

Jednizwyczajnie lubi¹ zabijaê, innym chodzi o forsê, jak¹ mogliby zgarn¹æ odzбочonych bogatych frajerów, których marzeniem jest powiesiaê sobie wilcz¹ skórê na œcianie.

Pomyœl, kogo ty popierasz?

- Nikogonie popieram.

Chodzi mi tylko o ciebie.

Nie masz już osiemnastu lat, żeby siê rzuciæ pod koparki.

- Tato, nie rzucam siê już pod koparki.

-Nie tak rozrabiasz, to inaczej.

Teraz k³ócisz siê zch³opami.

Prawdêmówi¹c, zachowujesz siê trochê jak Bardotka.

- Tato, no wiesz?

Parê godzin temu dok³adnie to samo powiedzia³ mi Drewniak.

Umówiliæcisiê czy co?

Gratulujê!

Chmura wykrzywi³ usta w smutnym uœmiechu.

- Samada³æ mu powód.

W oczach takich jak onobie jesteœcie tylko przem¹drza³ymi paniusiami z miasta, które ich poucza².

j¹, jak maj¹ ȷyæ.

Tojestdenerwuj¹ce.

Pan Marek coœ o tym móg³by powiedzieæ, prawda?

Marek uœmiechn¹³siê kwaœno.

Ojciec Karoliny by³ rzeczywiedobrze poinformowany.

Pod sam koniec ȷycia leœniczy Nowickiprzeȷy³ przygodê z t¹ niegdysiejsz¹, jak siê wtedy mówi³o, seksbomb¹.

Moȷe przed laty ogl¹da³ w objazdowym kinie "Stokrotkê", moȷe nawet w tajemnicyprzed ȷon¹kocha³ siê w Bardotce.

Teraz, kiedy od dawna nie gra³a juȷ w filmach i poœwiêci³a siê obronie gin¹cych gatunków zwierz¹t, postanowi³ nawi¹zaæ z ni¹ bliȷszy kontakt.

Zosta³ potraktowany jak œmieszny wiejski podrywacz.

Zdarzy³o siê to krótko po tym, jak Brigitte Bardot kilka razyskrytykowa³a polski rz¹d za to, ȷe oci¹ga siê zwprowadzeniem zakazu polowañ na wilki.

DziadekStanis³aw napisa³do niej kilkustronicowy list pofrancusku i zaprosi³ do Wilczej Polany, ȷebyprzekona³a siê, jak sprawa wygl¹da z tutejszego punktu widzenia.

Moȷe po miesi¹cu dosta³ odpowiedŸ od sekretarki gwiazdy, ȷe pani Bardot dziêkujeza zaproszenie, ale z mordercami wilków rozmawiaæ nie ma zamiaru.

Dziadektak odchorowa³ ten afront, ȷeprzez tydzieñ w ogóle nie podnosi³siê z 3óȷka.

Ledwo zaczął wstawiać, spadł na niego nowycios; rzucił ugięty i objął wilkiochrona.

Karolina westchnęła.

- Nie kłóćmy się, tato.

Widocznie mam twoje geny.

Nic nieporadzę, że nie jestem taka, jak ty byś chciała.

Podniosła się i wyrzuciła ojca, zaczęła zmywać.

Chmura także wstała.

- To ja w takim razie wyjdę sobie zapalić na dwór.

Dotrzymaj mi pan towarzystwa?

- Jasne - zgodzi się Marek.

Usiedli przed domem nazniskzonej kawce.

W rogu ogródka przekwitają w powietrzu krzaki bzu.

- Niech pan jej nie wierzy - powiedziała Chmura.

- Nigdy jej doniczego nie zmuszę.

Choć czasem myślę, że powinienem.

Wyciągnął paczkę papierosów w zachęcającym geście.

Marek potrzymany w rękach.

Skrępowanie nie miało.

- Dba pan o zdrowie?

A ja mam twoje nosie.

Nie bédê sobie odmawia³, jakto mówi¹, ostatniej przyjemnoœci -
powiedzia³ ojciec Karoliny i zapali³.

Marek odwróci³ g³owê, patrz¹c na pust¹ulicê.

- Boisiê pan?

O Karolinê?

- spyta³.

- A nie mam powodów?

- Nie wiem.

Jeszcze nie ca³kiem wróci³em do œwiata.

- W³acenie.

Przyzna pan, że nie jest pan kimœ, na kim mog³aby

30.

siê oprzeæ kobieta, która sama nie umie poradziæ sobie z
w³asnym ¿yciem?

Marek nie odpowiedzia³.

Stary zaci¹gn¹³ siê g³êboko kilkarazy, strzepuj¹c popió³ na ziemiê, zanim
doda³:

- Pozatym nic przeciw panu nie mam.

Dawno chcia³em panapoznaæ.

Zna³em przecie¿ pañskiego ojca.

Marek skorzysta³ z okazji.

Za wszelk¹ cenê chcia³ zmieniaæ temat.

- Wiem - powiedzia³.

-I jakion by³?

- Mnie panpyta?

To pan powinien lepiejwiedziæ.

- By³emza ma³y.

S³abo gopamiêtam.

- A ja, muszê panu powiedziæ, pamiêtam go bardzodobrze.

Jaki by³?

No, œwietny.

Niedoœcigniony.

W³açciwie trudno powiedziæ, ¿e by³em jego bliskim koleg¹.

Choæ bardzo bym chcia³, jakprawie wszyscy moi rówieœnicy.

Dopiero zaczynaliœmy.

Chodziæpogórach, kombinowaæ przeciw komunie.

Byliœmy du¿o m³odsi.

TacyjakSzajba czy Kiedroñ to byli raczej nasiidole ni¿ koledzy.

- Zamyœli³ siê.

-Nie zd¹¿y³em.

Karolina pojawi³a siê w drzwiach.

- A, tu jesteœcie- odezwa³a siê.

- Na nas czas, tato.

Muszê jechaæ do moich wilków, czyci siê to podoba czy nie.

Chmurawsta³, opieraj¹csiê na kuli.

- Córca, przecie¿ wiem, ¿e jak siê uprzesz, to jaci nie przeszkodzê.

Nie bêdêciê chybagoni³ na jednej nodze.

Rób, jak uwa¿asz, tylko b¹dŸ ostro¿na.

A jeœli mogê ci jakoœ pomóc.

Karolinapowiedzia³a szybko:

- Mo¿esz.

S³ysza³am, ¿e schronisko pod Wilczym Przesmykiemwci¹¿ stoi puste.

Ty masz chodyw gminie.

Za³atwisz klucze?

Nakilka dni.

Chmura popatrzy³ przeci¹gle najpierw na ni¹, potem na Marka.

W końcu westchn¹³:

- Oczywiście.

Mam nadzieję, że oboje wiecie, co robicie.

- Wiemy, tato.

Nie martw się.

6

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

- spyta³.

- Czego?

-W g³osie Karoliny zadr³ża³o ledwowyuczualneznieczcierpliwienie.

- Tego, co nas czeka.

Nie odpowiada³a.

Widzia³, że rozgniewa³o j¹ to pytanie.

Możesz maju³ż³a³owa³a i nie chcia³a się do tego przyznać.

A może po

31.

prostu koncentrowa³a siê na kierownicy i by³a z³a, ¿e j¹ rozprasza³.

W¹skadroga by³a pe³na dziur, wiêc prowadzi³askupiona, omijaj¹c je slalomem, z zacieniêtymi wargami i wzrokiem wbitym przed maskê.

- S³yszysz?

- nie wytrzyma³w koñcu.

- Co siê czepiasz?

A mo¿e ty nie chcesz?

To powiedz odrazu.

Przepraszam, mo¿e by³am g³upia.

Porwa³am ciê z ulicy, bez pytaniao zgodê.

Ale mo¿ety wcale nie mia³eœ takiego zamiaru, a jaciê postawi³am przed faktemdokonanym?

Mo¿e wola³byœ byæ ca³kiem gdzie indziej?

Powiedz, nie krêpuj siê.

No?

Teraz on zamilk³.

W ich sytuacji k³ótnie by³y bezsensu.

Wtensposób niczego nieda siê rozwi¹zaæ.

By³y rzeczy, których niemóg³jej powiedzieæ.

Po prostu nie móg³.

Naprzykład tego, że gdyby przez cały czas nie pisał do niego do więzienia, gdyby nie jej listy, może któregoś dnia powiesiłby się w celi na przecieradle albo przegryzłby sobie żyły.

Tego nie da się powiedzieć.

Później byłoby jeszcze gorzej.

Mogłabyś poczuć jeszcze bardziej do niego uwiązana.

- No, słucham?

- Karolina - powiedziała zmęczonym gościem, który nikogo nie mógł przekonać, sam to słysza.

- Postaraj się zrozumieć, co chcę powiedzieć.

Jestem od ciebie starszy dziesięć lat.

- Tak?

A to dopiero nowina.

Dziękuję, jeśli to uświadomiłoby mi, ja przecież nie umiem liczyć.

- Jestem skończony.

Nie mogę ci nic dać.

- Tak?

No i co jeszcze?

To już koniec?

Same banały.

Znajdź jakiś naprawdę poważny argument, wysił się trochę.

- Niczego nie szukam.

Mówiê tylko, jak jest.

- A mo¿e niekoniecznie musisz mi coœ dawaæ?

Mo¿e akurat teraz wa¿niejsze jest, co ja mogê daæ tobie?

Nie zdziwi³ siê.

Tego w³aczenie móg³ siê spodziewaæ.

Takaby³a, odk¹d j¹ zna³.

Wci¹¿ coœ mu dawa³a.

Ju¿ nasamym pocz¹tku pomog³a mu w karierze.

Mo¿e samanie zdawa³a sobie sprawy, jak bardzo.

Wywiad, który ukaza³ siê w "Zielonych Brygadach", zacytowa³y ogólnopolskie dzienniki.

Z dnia na dzieñ Marek sta³ siê znany jako sojusznik m³odych zbuntowanych.

To dlatego, kiedy wybuch³a awantura na budowie zapory wodnej, w³aczenie jego wys³ano w roli mediatora.

Mija³ ju¿ tydzieñ protestu Zielonych i z ka¿dym dniem konflikt siê zaostrza³.

Ka¿dego ranka m³odzi ekolodzy chwyтали siê za rêce i siadalina drodze spychaczy albo unieruchamiali koparki.

OpóŹniali w ten sposób roboty, a¿ w koñcu ca³kiem je zatrzymali.

Dosz³o do bójk z robotnikami, którzy przez to mniej zarabiali.

W wiosce koczowały ekipy telewizyjne w oczekiwaniu, że wydarzy się coś naprawdę barwnego.

Tym bardziej że ludzie z okolicy też chcieli, żeby zaporą powstała, i szyskowali się do przepędzenia ekologów kijami.

Protest na zaporze był we wszystkich serwisach.

Byłoby upotrzebienie politycznie takiej okazji.

Robili to wszystkie partie.

Politycy jeden po drugim występowali w telewizji.

Potępiali Zielonych, których nazywali fanatykami, oszołomami i terrorystami.

Wyborcom to się podobało.

Zapora oznaczała przecież dla nich nie tylko ochronę przed powodzią.

Także przyjazdy turystów, rozwój, miejsca pracy.

Pieniądze.

Z ekologów robiono więc nawyście wrogów prostych ludzi, sugerując nierzadko, że muszą za to brać jakieś pieniądze z zagranicy.

Przyłączenie się do tego chóru byłoby bez sensu.

Partia Marka tak nie miała szans nagłosy chłopów i robotników.

Ale można było opowiedzieć o buntowniczo nastawionej młodzieży, która do tej pory w ogóle nie głosowała, nie wierzyła w możliwość zwycięstwa Zielonych.

Grasza o dużych stawkach, nawet o wejściu do parlamentu.

K³opot by³ tylko taki, ¿e powa¿na partianie mog³a wyst¹piæotwarciemprzeciw bêd¹cejju¿ na ukoñczeniu inwestycji,bo tylkobysiê oœmiesz³a.

Wszyscy wiedzieli, ¿e zaporã i tak powstanie.

Chodzi³owiêc o to, ¿eby podsun¹æ ekologom inny cel, mo¿liwy dospe³nienia, i przy tej okazji w³czyæsiê do rozgrywki.

Ci m³odzi byli jednak nieufni, prawie z nikim nie chcieli rozmawiaæ, nie mówi¹c owchodzeniu w uk³ady.

Koledzy z partii przekonywali Marka, ¿eby spróbowa³.

Potrafi³ jak ma³o kto udawaæ luzaka, ³atwo nawi¹zywa³ kontakt z m³odziem¹.

Z pocz¹tku wcale siê nie pali³.

Pomys³ wyda³ musiê g³upi, a szansê powodzenia marne.

Zmieni³ zdanie, kiedy wieczorem obejrza³ w Wiadomoœciach reporta¿ z protestu.

Wœród siedz¹cych na ziemi zobaczy³ dziewczynê, która na rozpuszczonych w³osach mia³a wianekz polnych kwiatów.

Zapewne uplot³a go z nudów podczas³ugichgodzin blokady, a za³o¿y³a dla ¿artu.

Wianek przyci¹ga³ jednak uwagê kamerzystów, którzy z upodobaniem robili jego w³oœcielce d³ugie zbli¿enia.

To by³a Karolina.

D³u¿ej siê nie waha³.

Wyruszy³ wgóry jeszcze przed pó³noc¹.

Na budowę zapory przyjechał rankiem w dniu, kiedy mogło dojść do otwarcia bitwy.

Zieloni przez ostatnią dobę całkowicie zablokowali roboty.

Szefowie firm budowlanych domagali się interwencji policji.

Popierał ich wójt gminy, groził, że w przeciwnym razie trudno będzie powstrzymać rozgniewanych mieszkańców.

Awantura wisiała w powietrzu, kiedy Marek dotarł na miejsce.

Ranek był mglisty, na wzgórzach leżały niskie chmury.

Dopiero.

niedawno przesta³o padaæ.

Ekolodzy biwakowali ca³¹ noc na b³otnistej drodze, blokuj¹c przejazd
spychaczom.

Ich kierowcy grzalisilniki, gro¹c, æe jeżeli protestuj¹cy nie usun¹ siê, oni
rusz¹, niezwa¹aj¹c na nic.

Policja formowa³a ju¹ szykina pagórku, kiedy Marek wysiad³ z
samochodu i zbieg³ do ekologów.

Mia³ nasobieadidasy inieprzemakaln¹ kurtkê, w której chodzi³ w
góry, zanimzaj¹³ siê polityk¹.

W tym przebraniu rozpozna³a go tylko Karolina.

D³ug¹ chwilê patrzyli sobie w oczy.

Wreszcie zawo³a³a szyderczo:

- Proszê,proszê!

Przys³ali pana ministra z misj¹ ostatniejszansy.

Jej towarzysze,zziêbniêci po nocy spêdzonej na drodze, spogl¹dali
na niego nieprzyja¹nie.

- S³uchajcie, nikt mnie nie przys³a³ - odpowiedzia³.

- Przyjecha³em, bo samchcia³em.

Jestem po waszej stronie, ale sprawyzasz³y za daleko.

Mam pomys³, jak to rozwi¹zaæ.

To mo¹æe naprawdê ostatnia okazja, æebyœcie wyszli z tego z twarz¹.

Protestuj¹cy przygl¹dali mu siê tylko wrogo;
zanimzd¹æyliodpowiedzieæ, policjanci ruszyli.

Ekolodzy chwycili siê za ramiona, tworz¹c Źywy ³añcuch zagradzaj¹cy drogê.

Marek w ostatniejchwili wcisn¹³ siê w ten szereg.

Niespodziewanie dla samego siebie naprawdê poczu³ siêpo ich stronie.

Obejmowa³ Karolinêwpasie, czuj¹c przy sobie ciep³o jej biodra, kiedy atakuj¹cy poczêli szarpaæ protestuj¹cych, próbuj¹c rozerwaæ ³añcuch.

Ktoœpad³w b³oto, ktoœ krzyczy³:

- Minister!

Tu jest minister!

Ruszajcie siê szybciej t¹ kamer¹.

Nieoczekiwana wiadomoœæ stropi³a kieruj¹cegoakcj¹ oficera.

Zatrzyma³ swoich ludzi.

- Minister?

- pyta³ podejrzliwie.

-Pan jest ministrem?

- A wiceminister nie wystarczy?

Wa¿ne, Źe jestem mediatorem, docholery - odpowiedzia³ Marek zez³oœci¹, otrzepuj¹cspodnie z b³ota.

- Œlepy pan jest?

- Mia³emrozkaz - t³umaczy³ siê policjant.

-Postaram siê, Źeby ten, kto gowyda³, nie mia³ wiêcej takichmo¿liwoœci -zaszar¿owa³.

- Niech pan wycofa ludzi, a obiecuję panu, że budowa ruszy jeszcze dziś.

Operatorzy skierowali wszystkie kamery na twarz oficera, który najwyraźniej nie był przygotowany na taką rozwinięciem sytuacji.

- Daję panu dwie godziny na pokojowe odstąpienie od blokady - powiedziać groźnie.

Policjant musiał mieć świadomość, że przekracza swe uprawnienia.

Marek też.

Był przecież samodzielnym mediatorem, tylko nadania partii, która chciała w ten sposób uzyskać parę głosów.

Ale obaj wiedzieli też, że to oni są na ekranach telewizorów w całości.

3ym kraju, co na chwilê dawa³o im nadzwyczajn¹ w³adzê.

Tylkoprotestuj¹cy nadal nie bylisk³onni do kompromisu, a na Markaspogl¹dali z coraz wiêksz¹ wrogoœci¹.

I wtedy przysz³a mu z pomoc¹ Karolina.

- Co namzale⁶y?

- zawo³a³a.

-Pos³uchajmy, cofacetma do powiedzenia.

To by³ prze³om.

Na oczach reporterów kilkutelewizji Marekpo³¹czy³ siê z biurem Rady Ministrów.

Przed wyjazdem zdo³a³ toi owo poza³atwiaæ, uzgodniæ ze swoimi szefami granice kompromisu.

Ekolodzy, namówieni przezMarka, przedstawili ugodowe rozwi¹zanie: zgodz¹ siê na zaporê, aleprojekt zostanie zmieniony.

Powstan¹ przep³awki dla ryb, co uratuje tarliska ³ososi w górnymbiegu rzeki.

Krótko przed terminem wyznaczonym przez policjanta przysz³a zgoda z Warszawy.

Protestuj¹cyzeszli z drogi, spychacze ruszy³y.

Marek przed kameramiwyœciska³ siê zwyciêskoz ekologami.

Kiedyprzysz³a kolej na Karolinê, objê³a go jakbykleszczami i wydysza³a do ucha:

- O co panu naprawdêchodzi, paniewiczeministrze?

-O to samo,o co tobie - odpowiedzia³ bez wahania.

Wtedyjeszczetakie riposty przychodzi³y mu automatycznie,pewnoœæ siebie nieopuszcza³a go ani na chwilê.

Nie przyjmowa³ dowiadowoœci, ¿e coœ mo¿emu siê nie udaæ.

Mo¿e dlatego przewa¿nieniê udawa³o.

W tamtej chwili te¿ czu³ niewzruszon¹ pewnoœæ,¿e tazawziêta ekolo¿ka w postrzêpionych d¿insach bêdzie jego,kiedy tylko on tego zechce.

Nie przypuszcza³ wtedy, jak bardzo siê myli³.

Naprawdê zdoby³ j¹ dopiero teraz, po latach, kiedy by³ nikim.

Kiedy mog³a mu to ofiarowaæ jako wielki dar.

- Chcesz siê omnie zatroszczyæ?

- spyta³.

-Jak o wilki?

Karolina nacisnê³agwa³townie hamulec.

Wcale nie chcia³ tegopowiedzieæ.

Wszystko,co mówi³, by³o nie takie.

G³upie, niepotrzebne.

Jeœli nie umia³ wyraziæ, coczu³, powinien siedzieæ cicho.

Odwróci³a siê doniego ca³ym cia³em.

- A ty nie chcesz?

B¹dŸ szczery.

Jedno s³owo i zawracamy.

Otworzy³ oczy, spojrze³ na ni¹ pod s³ońce, które œwieci³o przez
szybê.

Nie ¿artowa³a.

Przestraszy³ siê, ¿e za chwilê mo¿e byæ za
póŸno.

- Nie wyg³upiaj siê -poprosi³.

- Chcê.

A¿ sam siê zdziwi³, ¿e wreszcie to powiedzia³.

Od razu poczu³ siê lepiej, znówzacz¹³ dostrzegaæ œwiat za oknami.

W górach wiosna by³a spóŸniona.

Drzewa ledwo siê zieleni³y, tarniny, czeremchy i dzikie czereœnie
kwit³y równoczenie, znacz¹cna bia³o œlady dawnych ludzkich siedzib.

7

- Cholera, a ten debil co znowu wyprawia?

- mruknê³a Karolina, zerkaj¹c we wsteczne lustro.

Marek obejrza³ siê zasiebie.

Zobaczy³ zbli¿aj¹cego siê szybkoz ty³u i migaj¹cego œwiat³ami zakurzonego poloneza so³tysa Drewniaka.

Karolinazwolni³a i zjecha³a na praw¹ stronê, ile siê da³o.

- JedŸ, pajacu!

- machnê³a rêk¹.

Polonez wyprzedzi³ ich, zjecha³ drogê i zmusi³ do zatrzymaniasiê.

Karolina wychyli³a siêi ze z³oœci¹ krzyknê³a wstronê nadbiegaj¹cego:

- Co pan wyprawia, so³tysie?

Rozum panu odebra³o?

- Mnie?

- wykrzykn¹³ mê¿czyzna z triumfem.

-Chce pani zobaczyæ, co pani narobi³a?

Jak siê panine m¹droœcisprawdzi³y?

- O co panu chodzi?

Cosiêsta³o?

- Co siê sta³o?

To siê sta³o, ¿e wilki wydusi³y owce Kudasikomw bia³y dzieñ!

Będzie pani miała odwagę stanąć teraz przed nimi?

Wskoczy z powrotem do swojego auta i wystartowała ostro, a z podkóś poleciały kamyczki, uderzając w maskę lady.

- A żeby to.

- Karolina zdusiła w sobie przekleństwo, ruszając za polonezem.

- Wcale niemusisz.

- odezwał się Marek.

- Muszę.

Jak bym przednimi wyglądała?

- Tonie są twoje wilki, nie odpowiadasz za nie.

- Ale to ja przekonam Kudasików, że fladry chronią przed wilkami.

Zaufali mi.

Za to odpowiadam.

No to pięknie, pomyślała.

Brawo!

Nie chciała jej przypominać, że setki tysięcy i wszyscy okoliczni wieśniacy na pewno obejrzeliby już najnowsze wydanie "Super Expressu".

To by jej na pewno nie powstrzymało.

Ona też musiała udawać, że o to nie dba.

- Wyluzuj - powiedziała bez przekonania, spoglądając przez okno.

- Nie udzielaj mi dobrych rad, dobrze?

Nie chcia³ udziela^æ jej dobrych rad.

Próbow^{a3} siê tykow³¹czy^æ.

Ura^żony takim potraktowaniem, zamilk³.

Samochód podskakiwa³ i ko³ysa³ siê na polnej drodze, prowadz¹cej pod gór^ê do gospodarstwa.

- Nie z³o^ææ siê - odezwa³a siê pojednawczo.

- Wystarczy, ^çe jasiê z³oszcz^ê.

- e te^ç to musia³o si^êsta^æ w³acenie dzisiaj.

A tyleczasu by³ zKudasikami spokój.

- To nie pierwszy raz?

- zainteresowa³ siê, ^çeby nie udawa^æd³u^çej obra^żonego.

36.

- W jesieni wilki zabiły im kilka owiec.

Poradziłam im, żeby fladowali ogrodzenia dla owiec.

Do dzieła to wystarczy.

- Może zapomnieli rozwieszać?

- Nadal próbowałam udawać zainteresowanie.

- Mam nadzieję.

Ważenie dlatego muszę to sprawdzić.

Samotne gospodarstwo ukazało się tuż za kolejnym zakrętem.

Kiedy podjechali, nikt nie podszedł ich przywitać.

Przy ogrodzeniu stało już polonez, samochody i inne samochody.

Obok zebrała się spora tłumek.

Sołtys stał w środku, wymachując rękami.

- Popatrz, istny wiec - mruknęła Karolina.

- Pan Drewniak robi sobie kampanię.

Kilku mężczyzn z ponurymi twarzami paliło papierosy przy ogrodzeniu.

- Dzień dobry, panie Kudasik!

Co się stało?

- Zawołała, wysiadajcie.

Marek ruszył za nią.

Teraz już nie było innego wyjścia, jak stawiać czoła tym ludziom.

Czu³,¿e powinni to zrobiaæ we dwoje.

Potê¿nie zbudowanyczterdziestolatek spogl¹da³ na Karolinê wzrokiemskrzywdzonego i wœciek³ego z tego powodu dziecka.

Na jej powitanie ledwo odburkn¹³:

- Niechpani sama patrzy, co siê sta³o.

Podeszli bli¿ej.

Przenoœne ogrodzenie otoczone by³o dooko³a sznurem, na którym powiewa³y czerwone chor¹giewki.

Tym razemnie powstrzyma³y wilków.

Kilka zagryzionych i poszarpanych owiec le¿a³owewn¹trzkoszarzu.

Dopiero na ten widokMarek wyobrazi³ sobie, cohodowcy mog¹ czuaæ na sam¹ myœl o wilkach.

Co innego zdjêcia, a coinnego zobaczyæ na w³asne oczy.

Tylko jedna z nichby³a nadjedzona.

Mia³a wy¿arty brzuch, zczerwonej jamy stercza³y zakrwawione ¿ebra.

Innezosta³y zabite jakby bez powodu.

Ostatnia dawa³a jeszczeoznaki ¿ycia.

Próbowaa³a podnosiæ g³owê i kopa³a zadnimi nogami.

- Jezu, dlaczego nikt jejnie dobije?

- spyta³a Karolina.

- Niech najpierw stra¿nik ³owiecki zobaczy- odpowiedzia³ tenwielki.

- Jeszcze powiedz¹, że się odszkodowanie nie nale²y.

- To wtedy ja panu zap³acę, panie Kudasik, z w³asnej kieszeni.

Zar²nie j¹ pan wreszcie czy nie?

- Ja już pani raz pos³ucha³em- powiedzia³ tamten g³ucho.

W³acę ciel owieczna wet nie spojrz³ na Karolinę.

Inni zerkalina ni¹ albo wrogo, albo ze z³oćliwymi b³yskami w oczach.

- Niech j¹ panisamazar²nie, jak pani taka m¹dra - wyrwa³się so³tys
Drewniak.

Zanim Marek i wszyscy inni zd¹ęyli się zorientowaæ,
Karolinapodnios³a sznur,przeskoczy³a ogrodzenie i już by³a w œrodku.

Z kieszeni swych bojówek wydoby³a myćliwski n²ę.

Chwyci³a ran³7.

n¹ owcê za lew¹ przedni¹ nogê, odgiê³a i jednym pchniêciem wbi³a ostrze.

Owcê przebieg³dreszcz, jeszcze raz rzuci³a zadem i znieruchomia³a.

Karolina wytar³a nóg, otrawê i schowa³a z powrotem do kieszeni.

- Proszê, nasza pani ulitowa³a siê wreszcie nad owc¹, tylko trochê za póŹno - odezwa³a siê milcz¹ca dot¹d kobieta.

- I na co siê zda³y pani m¹droœci?

Mój jest naiwny, aja odrazu wiedzia³am, ¿eto tylko takie ba³amucenie ludzi.

- Pani Kudasikowa - Karolina próbowa³a mówiæ spokojnie - mieliœcie spokój przez parê miesiêcy?

Mieliœcie.

- Przez zimê, jakowiec nie wyganialiœmy na pastwisko - ¿achnê³a siê ze z³oœci¹kobieta.

- Nieprawda, wjesieni, kiedy m³ode wilkiuczy³y siê polowaæ, te¿ nie mieliœcie ani jednego ataku.

Pani m¹¿ sam mi dziêkowa³.

- Niech pani teraz podziêkuje, jak by³ taki g³upi.

Ja od razu wiedzia³am, co te szmatki warte.

- Pani Kudasikowa, do tej pory metodaby³a pewna.

Od kiedy zaprzestanopolowañ, nie s³ysza³am, ¿eby wilki na pastwisku przesz³y przez fladry.

- No to siê w³acenie nauczy³y.

Widac s¹ m¹drzejsze od pani.

Karolina kr¹ł³y³a wewn¹trz ogrodzenia ze wzrokiemwbitymw ziemiê.

- To niete same wilki, cozesz³ego lata - powiedzia³a,
dodaj¹cswemu g³osowi pewnoœci.

- Tu by³ tylkojeden.

- A co pani opowiada?

Wczoraj widzieliœmy trzy, jak ³azi³y podlasem.

- Ale owiec nie zaatakowa³y.

-Bocemy je razemz synem odgonili.

Myœlipani, łe siê takbardzo ba³y?

Pojechaliœmy do nich we dwasamochody, tr¹bienie, muzyka na ca³y
g³os, a one tylko siê gapi³y.

MêłczyŹni wyskoczyli z dr¹gami, polecieli za jednym, a wtedy te dwa
mniejszedo mnie.

Ledwo uciek³am do auta.

Ma³obrak³o, aby³oby po mnie.

- Niech paninie przesadza, paniKudasikowa.

Wilki ludzi nieatakuj¹.

- A jak zaatakuj¹, to co?

- w³¹czy³ siê so³tys.

-WeŹmie to pani na siebie?

- Nie zaatakuj¹,panie Drewniak.

-Bo co?

Może pani nauczy je czytać, żeby wiedziały, że tak w książkach pisz?

- Myślę, że łatwiej byłoby im nauczyć, żeby czytały książki, niż pana, so³tysie - odgryz³a siê.

Wcale nie zyska³a sobie w ten sposób uznania.

Wszyscy wokół byli przeciw niej, to siê widzia³o.

- Wystarczy, że umiemy przeczytać gazetę - odezwał się ktoś próg osem.

Marek pomyślał, że miało to być ostrzeżenie.

Nie śudzi się, by pewny, że wszyscy obecni przynajmniej zajrzeli już do ostatniego "Super Expressu".

Ten ktoś chciał dać Karolinie do zrozumienia, że jeżeli będzie się nadal upierała, oni też powiedzą głośno, co wiedzą.

I co o tym myślał.

Karolina najwyraźniej odczytała to podobnie, bo zamilkła.

Tylko ktoś tak się już podekscytował, że musiał dokończyć, co zaczął.

- Myślisz pani, że wilki będą robiły, co pan chce, bo pani uczona?

One tylko patrz, na ile im ludzi pozwolą.

Ktorkiedyś widział wilki?

Trzeba je było tropić miesiącami.

Siedzą głęboko w lesie, bo wiedzą, że jak się tylko pokażą, to kula w śeb.

A teraz?

Leź do ludzi w biały dzień.

Wiedzą, że nicim niegrozi, bo polski rzędo się wystraszy pani Bardot.

A kto to jest, ta pani, wiecie?

- Rozejrza się dookoła.

- Bo ja wiem.

Za m³odu go³y ty³ek pokazywa³a na filmach - oznajmi³ z triumfem.

- Kuzyn mi przywióz³di-wi-di, samwidzia³em.

Teraz nie ma już co pokazywaæ, do filmujej nie chc¹, to sobie jeszcze na Polaków mo³epokrzydzeæ.

Jakd³ugo jesczczemamy na to pozwalaa?

A³ kogoæzagryz¹?

- Nie zagryz¹ - powiedzia³aKarolina z wymuszonym spokojem.

- Pan dobrzewie, ³e to siê nie zdarza, so³tysie.

- Nie zdarza siê?

- zawo³a³a k³ótliwie Kudasikowa.

-A nauczycielka to co?

Po rozstaniu z Kudasikami Karolina wci¹³ nie mog³a siê uspokoiaæ, widzia³ to.

- Wpadniemy jeszcze do Tokarni, doJurka Hryæki, tego od koni - odezwa³a siê.

- Pisa³am ci o nim, pamiêtasz?

Chcia³abym, ³ebyæ go pozna³.

Mimo wszystko nie potrafi³ skutecznie ukryæ kolejnego odruchu niechêci,bo zarazdoda³a:

- Napewno ci siê spodoba, to facet z fantazj¹.

Prowadzicewietn¹knajpê.

A powinnicemy mieæ tu chyba jakieæprzyjazne dusze, co?

Kiedy użyła liczby mnogiej, musiała się udobruchać.

Najwyraźniej chciała mu dać sygnał, że przewiduje jakieś wspólne dalsze kroki.

Nie zaprotestowała więc.

Stacja U Jura rozłożyła się w dolinie, na miejscu zabudowań dawnego gospodarstwa wieziennego.

W przebudowanych barakach.

kach urz¹dzono stajnie i schronisko dla mniej wymagaj¹cej m³odzie¹y.

Pensjonat i karczma mieści³y się w nowym budynku, który tylko udawa³ stary.

By³y nieczynne, najwyra³niej trwa³ tu jakiś remont.

Wydawa³o się, że w całym obejściu nieby³o nikogo.

Nawet psy nieszczeka³y.

Konie pas³y się w zagrodzie, a przed mieszkalnym barakiem sta³y samochody: terenowy land rover i pó³ci¹ę arówka toyota.

Ale drzwi i tuby³y zamknięte.

- Jur!

- zawo³a Karolina, kiedy nikt nieodpowiedzia³na stukanie.

-Jur, jesteście tam?

Wokó³ panowa³a cisza, w której brzmia³o tylko granie polnych koników w trawie.

- Zobaczmy w stajni - zaproponowa³a.

Stanęli w progu, próbuj¹c co zobaczą, przewycię¹y kontrast między jaskrawym blaskiem s³ońca a mrokiem w ośrodku.

Karolina westchnę³a g³ęboko, wci¹gaj¹c zapach koni, ich moczu i wozu, jakby dla niej by³ on najpiękniejszy na świecie.

Marek nie by³ w stanie dzielić jej entuzjazmu, choć nieczu³ także obrzydzenia.

Godzi³ się z końskim odorem bez protestu, jak z ka¹d¹ nieuchronności¹.

- Jur, to ja, Karolina.

Wilcza narzeczona - zawo³a³a jeszcze raz.

Zaniepokojone konie parska³y i tupa³y w boksach.

Wreszcie w jednym z nich coœ siê poruszy³o i w smudze padaj¹cego przezokienko œwiat³a ukaza³ siê ktoœ obna¿ony do pasa, chudy, z w³osami opadaj¹cymi na czo³o.

Wzdrygnêli siê oboje, ale to nieznajomyby³ bardziej przestraszony.

- Pana Hryæki nie ma.

Pañstwo goœcie?

- Mo¿e i goœcie, ale nie tacy, o jakich pan myœli.

- Uœmiechnê³a siê.

- Jestem znajom¹ pana Hryæki.

Wpadlicemy niezapowiedziani.

Nieznajomy zbli¿y³ siê do drzwi.

By³ m³ody, d³ugow³osy, wygl¹da³ ch³opiêco i niezgrabnie.

- Pan Hryæko pojecha³ na koniu.

Wróci nied³ugo.

Mog¹ pañstwo zaczekaæ na podwórku, jak chc¹.

Ja mam tu pracê.

Stara³ siê mówiaæ poprawnie i starannie, mimo to nie potrafi³ ukryæ bardzo wyraŹnego wschodniego akcentu.

Wiedzia³ o tymi najwyraŹniej nie mia³ ochoty przed³u¿aæ pogawêdki.

- Przejdziemy siê po lesie.

S¹ grzyby?

- spyta³a Karolina, jakby chc¹c ch³opaka oswoia^æ i przekona^æ, że jego akcent nie ma żadnego znaczenia.

On jednakby³ nadal nieufny.

- Może s¹.

Ja nie wiem.

Państwo sami zobacz¹ - powiedzia³i wróci³ do koni.

Szli skrajem lasu, patrz¹c teraz z góry na gospodarstwo Jura, które wygl¹da³ost¹d, jakby po³ożone by³o na ca³kowitym odlu- 40.

dziu, z dala od wszelkiej cywilizacji.

A przecie¿ by³o to tylkoz³udzenie.

- Z³udzenie, niez³udzenie, ale przyjemne - powiedzia³a Karolina.

-Ważne, ¿e potrafi³ je sobie stworzyæ.

Próbowa³o tego wielu, skutki by³y zwykleop³akane.

Uciekali po pierwszej zimie, rozpijali siê, tracili ca³y dobytek.

Jemu siêuda³o.

To znaczy, ¿e jednakmo¿na.

- Zw³aszczajaksiê zatrudnia na czarno Ukraiñców - zakpi³ Marek.

Spojrza³a na niego nieprzyjaŹnie.

- A ty coæ siê nagle zrobi³ taki legalista, co?

Przeszkadza ci to?

- Tylko mówiê, jak jest.

-Oczywiêcie.

Ale nie zabrzmia³o to ³adnie.

Myœlisz, ¿e Jur niewola³by zatrudniæ tego ch³opaka oficjalnie?

- Sk¹d mogê wiedzieæ.

-Ja wiem.

Napewno bywola³.

Sam jest prawie Ukraiñcem.

To znaczy z pochodzenia.

- Szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi.

- Nie poznaję cię, wiesz?

Wciąż mi powtarzasz, że to cię nie obchodzi, tamto cię nie obchodzi.

Jest jeszcze coś, co cię obchodzi?

- Ty mnie obchodzisz - powiedziały szczerze.

Trochę jestem zjednała, bo już zaczynała znowu wpadać w coś.

- To mi się - przyznała.

- W takim razie może obchodziłoby cię tak i to, co mnie obchodzi?

- Staram się - spróbowałam zatrzymać złe wrażenie.

- Ale co ja teraz mogę?

- Nieistotne.

Ja też nic nie mogę.

Tonie znaczy, że ma nas nieobchodzić.

To skandal, że Ukrainki mogły pracować u nas legalnie.

Już nie pamiętamy, jak sami używalibyśmy opracować całą Europę?

- Póki możemy, próbowałam coś robić.

W tej sprawie i w innych.

- Wiem.

Nie możemy się.

Patrz lepiej, jak tu pięknie.

Usiedli w wysokiej trawie przy Œcie¿ce, spogl¹daj¹c na rozleg³¹ panoramê doliny w blasku póŸnego popo³udnia.

Karolinaprzymknê³a oczy i opad³a na wznak, poci¹gaj¹cgo za koszulê nasiebie.

Ca³owa³a go d³ugo i bardziej czuleni¿ namiêtnie, a potem zamrucza³a:

- Dziêkujê ci, ¿e przyjecha³eœ tu ze mn¹.

Patrzy³ w milczeniu na jej twarz, wci¹¿ m³od¹ i jasn¹, g³adzi³j¹ po w³osach i myœla³, ¿emimo wszystko jest wielkim szczêœciarzem.

Nie zas³ugiwa³ na Karolinê, a ka¿dy dzieñ zni¹ by³ darowany.

Cokolwiek mia³oby siê póŸniej zdarzyæ.

I obojêtnie, co ktoœ mia³by o tym myœleæ i mówiæ.

Najpierw poczu³ cia³em poprzez ziemiê, na której leż^{a3}, a dopiero potem us³ysza³ têtent galopuj¹cego konia.

W tej samejchwili us³ysza³a go Karolina i usiad³a.

- No, jest wreszcie nasz niesamowity jeŹdziec - powiedzia³a.

Mêżczyzna w podobnym do kowbojskiegoskórzanymkapeluszu kilka kroków od nich osadzi³ konia w miejscu i zeskoczy³ ruchem filmowego kaskadera.

Nie by³ już wcale takim³ody, najwyraŹniej lubi³ siê popisywaæ.

Biegn¹cy dotej pory obok niego pies,duż^y podhalañski owczarek, teżsiêzatrzyma³, uniós³ czarne dzi¹s³a, ods³aniaj¹c zêby, i g³ucho zawarcza³.

- Sobaka,waruj!

- krzykn¹³ na niegoprzybysz.

Pies pos³usznie wykona³ polecenie.

- Ej, ty na szybkim koniu, gdzie pêdzisz,Kozacze?

- zawo³a³aKarolina.

- W kowbojskim kapeluszu -mrukn¹³ Marek zgryŹliwie.

Wcale nie chcia³, żeby przybysz us³ysza³, ale on najwyraŹniejmia³ dobry s³uch.

- Bo ja jestem Kozak zKanady.

- Uœmiechn¹³ siê bez urazyi wyci¹gn¹³ rêkê.

-Jurek Hryæko.

Marek przedstawi³ siê najbardziej niewyraŹnie jakmóg³, tamten kiwn¹³ g³ow¹.

- Ja pana znam.

Pan jest ze stajni Miko³aja Kiedronia.

- Ze stajni?

- skrzywi³ siê Marek.

- Dla mnie stajnia brzmi lepiej niŹ partia, frakcja czy inny ruch.

Kiedroñ jest okej.

On pierwszy odwaŹy³ siê wyci¹gn¹æ rêkêdo polskich Ukraiñców.

Teraz wszyscy udaj¹przyjació³, ale wtedyto jeszcze by³a odwaga.

Tego siê nie zapomina.

Pan teŹ jest okej, cieszê siê, Źe pana pozna³em.

Marka ma³o co tak denerwowa³o, jak pochwa³y.

- Jest pan tego pewny?

- spyta³ zaczepnie.

- Jasne.

Kto ma siê znaæ na ludziach, jak nie knajpiarz?

ChodŹcie do œrodka, pogadamy.

Hryæko puœci³ konia wolno i wprowadzi³ ich do karczmy odzaplecza.

- Jur, ty nie jesteœ zwyk³y knajpiarz - powiedzia³a Karolina.

-Ty jesteś czarodziej.

Tomiejsce to magia.

Marek rozejrza³ się po ciemnym terazwnêtrzu lokalu.

Nie podziela³ zachwy³tów Karoliny.

Obite drewnemœciany zosta³y ozdobione korzeniami o dziwacznych kształ³tach i obrazkami z łyciawilków, niedŹwiedzi i innychgórskich zwierzt, a nad barem wisia³a deska z wypalonym napisem: Wszystkie ływe istoty s¹ dzieæmijednego Boga.

Mareknie wierzy³, łeby to by³o szczere.

Hryæko niewygl¹da³ mu na ekologa, a juł na pewnonie na kogoe pobołnego.

42.

Ludzie, którzy naprawdę szukaj¹ Boga, myśla³, nie prowadz¹knajp.

Facet po prostu dobrzekombinowa³, cośê mo¿esprzedaa.

Usiedli przy kawie, Karolina odmówi³a alkoholu, wiêc i Markowi nie wypada³o skorzystaæ, choæ czu³, ¿e to by mu dobrze zrobi³o.

- Przecie¿ nie musicie dzieæ nigdzie jechaæ.

U mnie jest pe³nomiejsca, mo¿ecie przenocowaæ - kusi³gospodarz.

- Dziêki, œpimy na WilczymPrzesmyku - uciê³a Karolina zdecydowanie.

Marek odetchn¹³w duchu.

Spêdzenie tej nocy z ni¹ pod dachem obcego mê¿czyznyby³oby dla niego nie do zniesienia.

Nie pos¹dza³ Karoliny, ¿eby coœ j¹ ³¹czy³oze Hryæk¹, ale knajpiarz spogl¹da³ na ni¹ stanowczo zbyt ³akomie.

Niepowinni uniego nocowaæ.

- No tak, to na pewno bardziej romantyczne miejsce - powiedzia³gospodarz z ¿alemw g³osie.

- Sam myśla³em, czy nie kupiaæGórskiego Pa³acu.

Dobrze, ¿e siê rozmyœli³em.

To by nie by³om¹dre.

- Dlaczego?

- spyta³ Marek z³oœliwie.

-Przestraszy³ siê panducha nauczycielki?

Hryæko popatrzysz na niego dziwnie.

- Jeżeli ktoś powinien się bać tego ducha, to raczej nie ja.

Nie, ja myślałem o żywych.

Tam było podłożone ognie.

- Nie przesadzasz, Jur?

- zdziwiła się Karolina.

- A kto chciałby ci to zrobić?

- Nie wiem.

Może wasi, może moi, wcale czegoś różnica.

Nie lubi mnie tutaj.

- Jak to, nie lubi cię?

Przecież robisz świetne rzeczy.

- Dzięki - powiedziała Hryæko.

- Tylkożenic z tego nie wynika.

Ma ktoś docenia, że się staram.

Dla Polaków mam czarne podniebienie, Ukraińcy mnie uważają za odszczepieńca.

Powinienem zostać w Kanadzie.

- Co ty gadasz?

Ważenie teraz, kiedy podajemy sobie ręce?

- Tak ci się wydaje?

-A nie jesttak?

Cocœ ty taki nieufny?

- Taki jestem od dziecka, nic nie poradzê.

Wiesz, kiedyby³emma³y, wka¿d¹ prawos³awn¹ Wigiliêpolska w³adza katowa³a nastakimfilmem wed³ugksi¹¿ki pewnego pu³kownika, "£unyw Bieszczadach" siê nazywa³a.

O potwornych Ukraiñcach, co polskim ¿o³nierzom obcinalig³owy na pieñku tasakiem.

Wyobra¿aszsobie, jak to dzia³a³o nadziecko?

Mog³em siê albo pochlastaæ, ¿esiê taki urodzi³em, albo nie ufaætemu, co mówi¹ Polacy.

- Jur, to siê zmieni³o - powiedzia³a Karolina ³agodnie.

-Ja mam trochê inne wra¿enie.

Moje miejsce by³o w Kanadzie.

Tu tylko wszystkich³oszczê.

- Jur, cosiê sta³o?

Nie by³ecœ taki.

Masz jakicœ problem?

43.

- Bo to jeden?

Proboszcz z Zimnego mnie niszczy.

- Ksi¹dz Oremus?

Co siê przejmujesz, to dziwak.

Zabrania biaw dzwony, kiedy chowa pijaków, a od panien przed celubem
i¹dazaœwiadczenia o dziewictwie.

Ca³a wieœ ma go doœæ.

Zreszt¹, ladadzieñ pójdziena emeryturê.

Może zast¹pi go ksi¹dz Dawidowicz, a wtedy wszystko siê zmieni.

- Masz racjê, ca³a wieœ obraca siê przeciw niemu, kiedy wyklina
polskich knajpiarzy.

Ale kiedy przyczepia siê do mnie, ludziemu przyklaskuj¹.

A ksi¹dz Dawidowicz nie bêdzie w Zimnemproboszczem.

Biskup siê na to nigdy nie zgodzi.

- Sk¹d wiesz?

- Wiem.

Ksi¹dz Dawidowicz za bardzo lubi Ukraiñców.

I inne.

mniejszoœci narodowe.

- Jesteœ dzie w bardzo pesymistycznym nastroju, Jur.

- Mam swoje powody.

Powiem wam coœ w zaufaniu.

Mieszkau mnie jeden ch³opak.

- Domyœlam siê, ¿e to ten nieœmia³y m³odzieniecukrywaj¹cysiê wstajni?

-Wyœcie gote¿ wytropili?

No to sami widzicie.

- Aco,ukrywasz ch³opaka?

-On sam siê trochê ukrywa.

Wiecie, nie jest tu ca³kiem legalnie.

Mo¿e byæ z tego k³opot, nasi poczciwi wieœniacy te¿ go ju¿zwêszyli.

Chyba jeszcze nie donieœli, ale kto to wie?

Mo¿e siê tylko czaj¹.

- Wiecie,to jest skandal!

- wybuch³aKarolina.

-Wstyd mi zaten kraj i za to spo³eczeñstwo.

- Dlatego mia³emnadziejê, ¿e mo¿e ty, Karolinko,coœ bêdziesz mog³a pomóc.

-Czy ja wiem?

A co on potrafi?

Oprócz oporz¹dzania koni?

- To lekarz weterynarii.

-Lekarz weterynarii?

No to dawaj go tu.

Przed nami chybanie musi chowaæ siê wstajni.

- Nauczy³ siê, ¿e wœród Polakówtak jest bezpieczniej.

-Chyba ¿esiê jestukraińskim bandyt¹ - wtr¹ci³ Marek.

- Onisiê nie kryj¹ nawet wcentrum Warszawy.

Hryæko popatrzy³ naniego uwa¿nie.

- Ma pan racjê.

Ukraińskich bandytów Polacy siê boj¹.

Tradycyjnie.

Wiêc jak siê nadarzyokazja,odgrywaj¹ siê na przyzwoitych Ukraińcach, którzy im nie zagra¿aj¹.

Takich jak Waœka, cona pewno nikomu krzywdynie zrobi.

Wychyli³ siê przezokno i zawo³a³ coœpo ukraińsku.

- A jak ty w³aœciwie chocia³abyœ mu pomóc?

- spyta³ Marek, zaniepokojony,¿e jego osoba jest spychana na margines wydarzeñ.

- Spróbujê go w³¹czyæ do wilczego programu.

Móg³by sobiesiedzieæw Polsce legalnie.

- Ukraiñca?

- nie móg³ powstrzymaæ siê Marek.

- W³acenie dlatego.

Wilki nie uznaj¹ granic.

Jeeli ochrona mabyæ skuteczna, trzeba przekonaæ Ukraiñców, Ÿeby teŸ przestali strzelaæ.

Ktoæ stamt¹dprzydasiê w programie.

Skrzywi³ siê sceptycznie.

- Wierzysz, Ÿe to siê uda?

-Od czegoæ trzebazacz¹æ.

U nas teŸjeszcze dziesiêæ lat temunik t nie chcia³ o tym s³yszeæ.

Nie podoba³o mu siê to.

Wœród wieluzajêæ Karoliny corazmniej miejsca zostawa³o dla niego.

Jeszcze rano wszystko wyobraŸa³ sobie trochê inaczej.

Ch³opak zatrzyma³ siê w progu, jakby stropiony ponownym widokiem obcych, których nie spodziewa³ siê tu zastaæ.

- No, wchodŸ, Wasia, æmia³o - powiedzia³ Hryæko.

-To jest w³acenie Wasia Michaluk - doda³.

- Myœmy siê juŸ poznali- powiedzia³a Karolina.

- Witamy sojusznika.

Ukrainiec zaczerwieni³ siê pod jej spojrzeniem.

- Pani bardzo mi³a.

Przedtem ja nie pozna³em, ¿eto pani

- usprawiedliwia³ siê.

- Pani wilki bada, tak?

- Przede wszystkim, dla przyjació³ jestem Karolina.

- Ja bardzo zaszczycony- wyj¹ka³ ch³opak.

- Bardzo przyjemnie.

Chwilê trzyma³ jej rêkê, jakby nie wiedzia³, co ma z ni¹ zrobiaë, potem nagle z³ama³ siê w pó³ i cmokn¹³ g³oœno w grzbiet d³oni, zanim zd¹¿y³a temu przeszkodziæ.

Karolina i Hryækoz trudem pohamowali ucemiechy, ale Markowi wcale nie by³o weso³o.

Wyci¹gn¹³ do m³odego swoj¹rêkê.

- My chyba te¿ powinniemy siê poznaë.

Ca³owaæ nie trzeba

- powiedzia³.

Wbrew jego intencjom, wcale nie zabrzmia³o to zabawnie.

Spowodowa³tylko, ¿e wszycy siê speszyli, on te¿.

Ukrainiec œcisn¹³ jego d³oñ, k³aniaj¹c siê sztywno i powtarzaj¹c swoje:

- Bardzo przyjemnie.

Marek przy³apa³ jego krótkie spojrzenie, rzucone spod spadaj¹cych na oczy w³osów, i straci³ ostatnie w¹tpliwoœci.

W krótkim b³ysku Ýrenic ujrza³ szczer¹, m³odzieñcz¹ nienawieœæ.

- Wiêc pan te¿ interesuje siê wilkami.

Co za zabieg okolicznoœci - powiedzia³ mimo to jakby nigdy nic.

- To moja profesja.

- Ukrainiec dumnym gestem odrzuci³ w³osy zczo³a.

- Ja koñczy³ instytut.

45.

- O! - powiedzia³ tylko Marek.

- A panmyœla³, ¿e ja parobek jestem?

- Nie, sk¹d.

- Marek wzruszy³ ramionami.

- To panu¿ywa takich s³ów, nie ja.

Wed³ug mnie ¿adna praca nie hañbi.

- A ja myœelê, ¿e itaka jest, co hañbi - powiedzia³ Ukrainiec zaczepnie.

Pó³ godziny póŸniej, w samochodzie, Karolina powiedzia³a:

- Znowu jesteœ z³y.

Dlaczego?

Bo chcê pomóc temu ma³emu?

- Po co siê tak odrazu anga¿ujesz?

- spyta³.

- W ogóle go nieznasz.

- Co w³aœciwie masz przeciw niemu?

- Nielubi nas.

- Nie sztuka pomagaæ tym, co nas lubi¹.

Kiedywci¿ milcza³ ponuro, zatrzyma³a samochód, objê³a gozaszyjê i powiedzia³a:

- Przez dwa najbli¿sze dni bêdziemy zupe³nie sami.

Obiecujê.

9

W schronisku nie by³o pr¹du ani wody.

Pr¹d od³¹czono, kiedy ostatni gospodarz zbankrutowa³ i znikn¹³ z Wilczego Przesmyku.

Nie dzia^{3a3a} wiêc tak¿e elektryczna pompa wodna.

Dziwnie wygl¹da³wyblak^{3y} napis Górski Pa³ac nad g³ównym wejœciem.

Drewniany budynek by³ zapuszczony i obroceniêty wysokim zielskiem.

Za to otwiera³ siêst¹dwidok na ca³¹ dolinê, pust¹ i dzik¹.

Tylkokwitn¹cetu i ówdzie wœród zarœeli drzewa owocowe przypomina^{3y}, ¿e kiedyœ by^{3a} tu ludna wieœ, zanim domy sp³onê^{3y}, pola i pastwiska poros^{3y} olch¹, a w lasy wróci^{3y} wilki i niedŸwiedzie.

Uda^{3o} im siê, choœz niewielkimik³opotami, przekrêciaê kluczew zardzewia^{3y}ch zamkach.

Weszli do œrodka, pootwierali okiennice.

Drewnianepod³ogi skrzypia^{3y}.

Wnêtrza œwieci³ypustkami, widocznie meble posz^{3y} nasp³atê d³ugów.

Jednak piec w kuchni by³sprawny, uchowa³osiê tak¿e trochêkuchennych sprzêtów.

Poddaszkiemodkryli zapas drewna na opa³, a wogrodzie znaleŸli star¹studniê, zabezpieczon¹ pokryw¹zamykan¹ nak³ódkê.

- Jest dobrze - powiedzia^{3a} Karolina.

- Niezginiemy.

Szybko rozpali³a ogieñ.

Marekby³ zdumiony, przygl¹daj¹c siê, jak zrêcznie sobie poradzi³a.

Siadaj¹cna ³awie przy ciê¿kimdrewnianymstole, którego najwyraŹniej nie uda³o siê sprzedaæ, zdziwi³ siê, ¿etrafi³ tu dopiero teraz, razemz ni¹.

46.

- Sk¹d wiedzia³ać?

- spyta³.

- O czym?

- Mój ojciec trzydzieści lat temu chciał wydzierżawić Górski Pa³ac?

- Mówi³cie mi.

- Nie mówi³em.

- Nie?

Więc pewnie coś tam us³ysza³am, reszty się domyśli³am.

Nie zapominaj, że jestem st¹d.

Ludzie gadaj¹to i tamto.

Więc pokojarzy³am, choć ty nie mówisz mi wszystkiego.

- A co powiesz o tobie?

Nie przyzna³acie się, że twój dziadek polowa³ nie tylko na wilki, ale na Ukraińców także.

Musia³em się dopierodowiedzieć od obcego wieśniaka.

- Przecież to się rozumie samoprzez się.

- Wzruszy³a ramionami.

- Na kogo mia³ polować i o³niierz w tych stronach?

Dziwne?

A na wilki wszyscy polowali.

Parê lat póŸniejnawet ja.

Ale naUkraiñców juŸ nie.

S¹dzi³, Ÿe coœ Ÿle zrozumia³.

- S³ucham?

Ty polowa³acê na wilki?

- No co, jesteœ zaszokowany?

- Uœmiechnê³a siê do niego przezramiê,obieraj¹c ziemniaki.

-Jeszcze w podstawówce dosta³amod dziadka pierwszy sztucer.

- Nie wiedzia³em, Ÿe dzieciom wolno by³o polowaæ.

-Jak siê mia³o dziadka pu³kownika.

- O tym teŸ nic mi niemówi³acê - powiedzia³ z wyrzutem.

-W³acenie cimówiê.

Co tak patrzysz?

Zastanawiasz siê,dlaczego teraz broniê wilków jak w³asnych dzieci,choœ kiedyœ sama donich strzela³am?

- Niech zgadnê.

Przekona³y ciê naukowe argumenty?

- Zawracanie g³owy.

Sama nie wiem.

Pewnego dnia poczu³am,Ÿe tak trzeba.

Wiatr poruszy³ okiennic¹,wieczorny powiew wpad³ dokuchni.

Marek wychylił się przez okno.

Poza w tym kręgiem światła, rzuconym przez naftową lampę z wnętrza, mrok nocy był nieprzenikniony.

Dobiegał go tylko zapach jakichś kwiatów, może dziczyk czereśni, nadlatujący z doliny.

Wszystko ją obchodziło, jakby Karolina znała jego myśli.

Może znała je naprawdę.

Nawet dobrze nie pamiętała, o czym jej mówił, a co zachował dla siebie.

Omiął to schronisko, kiedy ojca już nie było, a on wędrował po górach z Mikołajem, a potem sam.

Dopiero po latach zaczął myśleć, żeby kiedyś tu zajrzeć.

Do tej pory jeszcze się na to nie zdobył.

Nie tyle pociągał go Górski Pałac, ile jego historia.

Willa pod Wilczym Przesmykiem zbudowali przed wojną zamieszkańcy z miasteczka i otworzyli tu pierwszy w okolicy pensjonat.

Jakimś

cudem budynek przetrwa³ wojnê, a po wyzwoleniu zajê³o go wojsko.

Ukraiñscy partyzanci kilka razyatakowali posterunek,alenigdy nie uda³o siê im pokonaæ obroñców.

Nawet tejstrasznejmarcowejnocy, kiedy powstañcy wymordowali za³ogi wszystkichstra¿nicna po³udniowej granicy w pobli¿u Komañczy.

Po latach,kiedy willa nie by³a ju¿ potrzebna wojsku, zamieniono j¹naschronisko turystyczne.

Marek próbowa³ sobie przypomnieæ, coojciec opowiada³mu o Górskim Pa³acu.

Zachowa³y mu siê w pamiêci tylko jakieœ oderwane fragmenty.

I w³acenieteraz coœmuzacœwita³o.

- S³uchaj, czy to nie twój dziadek obroni³ siê tutaj z garstk¹o³nierzy przeciwko sotni Serhija?

- spyta³.

- Zamierzch³a historia.

- Wzruszy³a niechêtnie ramionami.

- Szczerze mówi¹c, nigdy mnie to nie obchodzi³o.

-Dlaczego?

- Bo coœ mi siê wydaje, ¿e pu³kownikChmura by³ niez³ymdraniem.

Aleja wnimwidzia³am przede wszystkim œwietnego dziadka.

Chybanie chcia³am tego psua.

No, doœægadania.

Postawi³a przed nim garnek pe³en ziemniaków zapieczonych z jajkami, kie³bas¹ i cebul¹.

Wcisnê³amu w d³oñ poczernia³i³ y¿kê.

Jedli prostoz garnka, popijaj¹c piwem z butelek.

Ogarn¹³ gopodziw, jaksmaczn¹ potrawê umia³a wykombinowaæz kilku prostych sk³adników.

- Nie podejrzewa³em, ¿e jesteœ tak¹ kuchark¹- przyzna³.

- Odtej strony nie da³aœ mi siê poznaæ.

Przytknê³a do ust szykê butelki.

Jej oczy, b³yszcz¹ce w œwietle naftowej lampy, patrzy³y naniego uwa¿nie.

- Jeszcze ciê nierazzaskoczê.

Tylko nie wiem, czy zawsze takpozytywnie.

- Zaryzykujê.

Wyci¹gn¹³ rêkê i w nastêpnejchwili Karolina siedzia³a munakolanach.

Jej oddech pachnia³ piwem i cebul¹.

Tymrazem robilito spokojniei d³ugo, bardziej czule ni¿ namiêtnie.

Ostatniadobaby³a wyczerpuj¹ca dla obojga.

W nocy coœ go obudzi³o.

Le¿eli namateracu w ciemnoœci, rozœwietlanejblaskiem wydostaj¹cym siê przez szpary w drzwiczkach pieca.

W s¹siednim pomieszczeniu zupe³nie wyraŸnie zaskrzypia³a pod³oga.

Uniós³ siê odruchowo.

Karolina te¿ nie spa³a.

- Co siêsta³o?

- odezwa³a siê.

- Ktoœ tam jest?

- szepn¹³.

- ¯ona kierownika szko³y -us³ysza³ tu¿ przy uchu.

48.

Zawstydzi³ siê.

Musia³ odnowa nauczyæ siê ¿yæ na wolnoœci.

Nie reagowaæ na najmniejszy sygna³ od razu pe³n¹ mobilizacj¹.

Nieby³ to strach, ale ci¹g³a czujnoœæ.

Bardzo mêcz¹ca.

- Ta zjedzona?

- spyta³ takim samym tonem.

- Nie kpij z tego.

Oni tu naprawdê mieszkali, kierownik szko³y i jego ¿ona.

Dla bezpieczeñstwa.

Jakie czas ¿o³ nierze codziennie odwozili ich do pracy pod eskort¹.

Potem wszyscy uznali, ¿e zagro¿enie minê³o.

Zapomnieli owilkach.

- Chyba niewierzysz, ¿e naprawdê zjad³y j¹ wilki?

-Kto wie?

Jeœli wci¹¿ nie mo¿e znaleŹæ spokoju.

Poczu³siê nieswojo.

By³ pewny, ¿e Karolina wci¹¿ sobie z niego ¿artuje.

Niepo raz pierwszy zadawa³ sobie tylko pytanie, codziadek Nowicki móg³ mieæ wspólnego z wojskiem, stacjonuj¹cym kiedyœ w Górskim Pa³acu, kierownikiem szko³y i jego ¿on¹.

Zosta³y muprzecie_ł w pamiêci jakieœ strzêpy k³ótni miêdzy ojcem idziadkiem.

I s³owa starego leœniczego:"Sama siê prosi³a.

Z wojskiem _łartów nie ma".

Nagle Karolina parsknê³a w ciemnoœci t³umionym œmiechem.

- Oblecia³ ciêstrach, przyznaj siê, co?

Bez paniki.

Niema tunikogo.

- Oczywiœcie.

A ju_ł z ca³1 pewnoœci¹ ducha nauczycielki.

- Przez chwilê wcale nie by³œœ pewny, co?

Przyznaj siê,racjonalisto.

Ale maszracjê.

- Westchnê³a.

-To tylko dom gada.

Nies³ysza³œœ,_łe drewniane domy gadaj¹ ze staroœci?

Uspokoi³ siê ju_łca³kiem, ale wiedzia³,_łe teraz d³ugo nie zaœnie.

- Rozumiesz,co gada?

- spyta³.

- To rozumia³atylko mojababcia.

-I co?

Opowiada³a ci?

- Niestety.

Bo to by³y straszne bajki.

Wszyscy nani¹ krzyczeli, ca³a rodzina, ¿e zatruewa dziecku mózg.

Mieli racjê.

Te histori mog³y siê przyœnieæ w z³ym œnie.

Naprawdê miewa³am potem koszmary.

Mimo to uwielbia³am te babcine bajdy.

Mo¿e od pocz¹tku by³am jakœ por¹bana?

- O wilkach?

- O, tak.

Zw³aszcza ukraiñskich.

Domyœlasz siê?

Jak rozczinali kosami usta, odr¹bywali g³ówki niemowlêtom, ciê¿arnym kobietom rozpruwali brzuchy.

I tak dalej.

- Daj spokój, znam to na pamiêæ.

Mój dziadek te¿ zna³ mnóstwo takich historyjek, a mo¿e jeszcze lepszych.

- A mówi³ ci, ¿e Ukraiñcy mieli dok³adnie czterysta czterdzieœci cztery sposoby torturowania Polaków?

Tak przynajmniej twierdzi³a babcia.

Ja nie pozna³am nawet czterdziestu czterech.

Babcia uważa³a, że pozosta³e by³y zbyt potworne, żeby o nich na49.

wet opowiadaæ.

Toby³o bardzo inspiruj¹ce.

Po nocach kombinowa³am, co by tu wymyœliæ jeszcze potworniejszego.

Zdziwi³byœciê, co potrafi siêurodziaæ w wyobraŹni ma³ej dziewczynki,

- O tej.

zaginionej te¿ opowiada³a?

- Nie, o niej nigdy.

Pyta³am, bo wiesz, to przecie¿ miejscowalegenda.

Po trzydziestu latach ludzie wci¹¿ opowiadali ró¿noœci, Nudzi³am babciê o to przez parê lat.

I nic.

Tylko wrzeszcza³a namnie, jak by³am za bardzo natrêtna.

Wola³a wci¹¿ powtarzaæ, jacy straszni byli Ukraiñcy.

- Wiem, moi przodkowie mieli to samo zboczenie.

-Zboczenie?

Nie masz racji.

Onito wszystko naprawdê prze¿yli.

Tak by³o, wierzê im.

Cz³owiek jest najbardziej nieudan¹mutacj¹ w ca³ej przyrodzie.

Nie wiedzia³eœ o tym.

Wilku?

Pan Bóg przy końcu dzie³a stworzenia musia³ byæ ju¿ bardzo zmêczony.

Drgn¹³.

- Jak do mnie powiedzia³aæ?

-Wilku.

A co?

Sam siê tak nazwa³eæ.

W moich ustach to komplement, chybawiesz?

Nie jestem moj¹ babci¹.

- Napewno?

A¿ muszê sprawdzaæ.

- Zaczemiasz siê, k³ad¹c d³oñna jej piersi.

-No, chyba nie jesteæ.

- Chyba?

Rzuci³a siêna niego z piêœciami.

Pó³ godziny póŹniej zasypiali, s³uchaj¹c trzaskania ognia pod blach¹.

10

O œwicie poczu³, ¿e Karolina wysunê³a siê spod koca.

Uchyli³ powieki.

Jak we wczesnej m³odoœci, widok nagiej kobiety znów go zdumiewa³.

Poż³owa³, że trwa³o to tak krótko, Karolina naci¹gnê³a dres i podesz³ado drzwi.

- Dok¹d siê wybieras³?

- spyta³.

- Zgadnij.

Pytanie rzeczywiście nieby³om¹dre.

Toalety w Górskim Pa³acu nie nadawa³y siê doużycia, więc odpowiedŸ sama siê narzuca³a.

Wymkn¹³siê na dwór tuż po niej.

Przed budynkiem jej nie by³o.

Wyrza³ ostrożnie zaróg.

Wyskoczy³a na niego znienacka.

- A, tu ciê mam, podgl¹daczu.

Zanim zd¹ł³y³ odpowiedzieæ coæ dowcipnego, jego rêce już zsuwa³y z niej spodnie od dresu, a chwilê póŸniej oboje klêczeli namokrej od rosy trawie, ca³uj¹c siê.

Nie uda³o mu siê jednak u³oż¹yæ jej na plecach.

Raptem poci¹gnê³a nosem, odwracaj¹c g³owê.

Marka też doleciał ostry, nieznajomy zapach.

Nie umiał się domyślić, co mogło być jego źródłem.

Karolina tymczasem, niczego mu nie wyjaśniając, puściła jego rękę, zrobiła kilka kroków w stronę narożnika budynku, przykućcia i rozgarnęła doni żółtko.

Szybko poderwała się powrotem.

- Nie ruszaj się - rzuciła mu, a sama pobiegła do samochodu.

Stała bez ruchu, szła, że znalazła coś niebezpiecznego, dopóki niewróciła.

Przyniosła z sobą plastikowe woreczki, na prawdość nacięła gumowate rękawice.

Pochyliła się nad kamieniami, którymi obłożony był schowek na drewno.

Marek zbliżył się, spojrzał jej przez ramię.

Skrzywił się z niesmakiem.

- Co ty robisz?

- spytała.

- Nie widzisz?

Znała jego dźwięk, by wiedzieć, że praca badaczy wilków polega głównie na poszukiwaniu w lesie ich odchodów.

Nieprzypuszczała jednak, że wilk mógłby mieć coś do roboty w schowku nad drewno.

- No, widzisz, że zbierasz kupy.

- A wiesz przynajmniej czyje?

- Nie jestem znawc¹ kup.

Na pewno nie moje.

Chyba psie?

Boprzecie² nie wilcze.

- Oczywiście, ²e wilcze, ignorancie!

- wykrzykn³a.

-I to ca³kiem ²ewie²e.

- Tutaj?

Przy samej cha³upie?

- zdziwi³ si².

- A widzisz.

Toniesamowite, nie s¹dzisz?

By³a naprawd² podniecona.

- Szczerze mówi¹c, nie widz² nic niesamowitego w jakiej² kupie -
odpowiedzia³.

- Ale skoro zachowujesz si² jak Archimedes, wyskakuj¹cy nago z wanny,
domy²lam si², ²eto jest odkrycie.

- Wreszcie kojarzysz.

Wilki taksi² nie zachowuj¹.

Usiad³a na schodach przed werand¹, k³ad¹c obok swe opakowane w
foli²znaleziska.

- U nich to nie jest po prostu tylko fizjologia.

W ten sposób przekazuj¹ wiadomości.

On zostawi³ znak.

- Dla kogo?

-To jest w³aczenie pytanie.

Może dla mnie?

- Znaćcie się?

- spyta³ kpi¹co.

- Kto wie.

- powiedzia³a zamysłona.

-No, nie patrz tak na mnie.

Nie zwariowa³am.

Myśle.

Ten, co go³o wyskoczy³ z k¹pieli, tę rozwia¹zanie znalaz³ nie w wannie, tylko w swojej g³owie.

- Wiêc co to by³a za wiadomości?

-Jeszcze niewiem.

Może powiem ci następnym razem.

51.

To mu przypomnia³o, że ich krótkie wakacje dobiegaj¹ końca.

Nie mó³g³ d³u³żej odwleka^æ wyjazdu do Warszawy.

Karolina też powinna już zg³osi^æ si^ê do pracy w stacji badawczej w Zimnym Dole.

Nie sprawia³o mu to przyjemno^æci.

Naddolin¹ wstawa³ dzień.

W pierwszych promieniach s³o^ñca parowa³ykamieniena drodze przed schroniskiem, w trawie b³yszcz³a rosa.

Wola³by zosta^æ tutaj.

W³a^æniedłatego podniós³ si^ê pierwszy.

Im d³u³żej by zwleka³, tym by³oby to trudniejsze.

Wrócili do o^ærodka.

Karolina rozpali³aw piecu, z resztek kie³basy i gotowanych natwardo jaj zrobi³a kanapki.

On tymczasem zaparzy³ kawê.

Jedli bez po^æpiechu, jakbychcieli mo³żliwie najbardziej przed³u³ż^æ posi³ek.

- Odwioz^ê ci^ê, a potem wróc^ê tu i jeszcze poszukam, mo³żeznajd^ê wi^êcej tropów - powiedzia³a.

-Innych wilków?

- Nie by³o innych wilków.

My^æl^ê, że to on.

Ten nasz.

Może udami się odkryć jego ciężki.

- Jaki nasz?

- zdziwi się.

- Ten, który podgląda nas w samochodzie.

A potem napad na owce.

- Skąd wiesz?

Przecież to mogły być dwa różne wilki.

Albo trzy.

Wierzysz w taki przypadek?

- To nie przypadek.

To konieczność.

Jak myślisz, ile może być w okolicy samotnych wilków, które nie boją się ludzi?

- Jeżeli wierzyć miejscowym, to całe stado.

- Miejscowi mają interes, żeby tak gadać.

Założę się, że to tensam.

Czuję to.

Myślę nawet, że większość dziennych ataków na owce od ostatniej zimy to jego sprawa.

I tu, i w sąsiednich pasmach, aż do granicy z Ukrainą.

Każde nadleśnictwo dolicza go do swojego rachunku.

A on jest jeden.

To samotnik.

Żeby przeżyć, musi schodzić z drogi swoim współbraciom żyjącym w stadach.

Lasy są opanowane przez watahy, każda strzeże swojego terytorium.

Więc szuka żarcia w polu.

- A może to diabeł?

- uciechnie się.

- Kpisz sobie, a ja mówię poważnie.

To moja praca.

Jeżeli chcesz znać moją hipotezę, to on przyszedł z Ukrainy.

Potem tej stronie granicy wciąż urządzają polowania z fladrami.

Za chwilę ten nasz ocala jako jedyny ze swojej watahy.

Jego rodzinę wymordowali ludzie, a on się odważył i wyrwał z okręgu.

Od tej pory już się nie boi fladr.

Wczoraj dał tego dowód.

To bywszystko tłumaczyło.

- Frapująca historia.

Jakie ma zakończenie?

- Nie wiem.

Czaspokaże.

Na razie wyzwala ca³¹ nienawieæu ludzi z okolicy.

Jak za naszych dziadków Prowidnyk.

- Co to za prowadnyk, samotny, bez stada?

Zwyk³ybandzior.

- Niech bédzie, podoba mi siê.

Nazwiemy go Bandzior.

- Chyba powinno siê go zastrzeliæ, prawda?

-Tak uważasz?

- spyta³a agresywnie.

Wcale tak nie uważa³.

Nie mia³na ten temat opinii.

I nie zale³ommu, żeby j¹ mieæ.

Chcia³ tylko jeszcze rozmawiaæ z Karolin¹.

- Nie tylko ja.

Takiego zdania s¹ nawet niektórzy z twoich przyjació³ ekologów.

- Nie s¹dzê, żeby zabijanie zwierz¹tby³o rozs¹dne.

Chyba źedlamiêsa.

Nie jestem fanatyczk¹, wbrew temu, co niektórzyo mnie mówi¹.

Bédziesz jad³ tego wilka?

To bardzo proszê, zabij go.

- Ajeæli on jest chory?

-Nie jest.

Znam siê na tym.

On siê tylko przystosowa³.

– yje, jak siê da.

Spojrza³ na zegarek.

Jeœli chcia³ zd¹u^æ na poci¹g, niemóg³d³u^æej zwlekaæ z wyjazdem.

Nie mia³ wiele do pakowania.

Szed³do samochoduniechêtnie, oci¹gaj¹c siê.

Mia³ œwiadomoœæ, æWarszawa nie jest juæ miejscem dla niego.

Karolina wyjecha³a nadrogê, wskoczy³ do œrodka.

Milcza³.

Mog³aby przynajmniej dla pozoru zaproponowaæ, æ moæeby jeszcze nie wyjeæd^æa³.

I tak by niezosta³.

Rozumia³, æ chcia³aby teraz pobyæ trochê sama i zastanowiæ siê nad tym, co siê wydarzy³o.

Czegoœ mutylko brakowa³o.

Nawet nie poæegna³ siê z ni¹ tak, jak by chcia³.

Waæniejszy okaza³siê jakœ g³upiwi¹k, który zostawi³ swoj¹cuchn¹c¹wiadomoœæ obok schowka na drewno.

Ujechali kilka kilometrów, minêli juæ wieœæ, dopiero wtedy odwaæy³ siê po³u^æ d³oñ na jejudzie.

Odruchowoda³agazu.

Silnik zawy³, a ona wci¹ naciska³ana peda³, nie zwa¹aj¹c, ¹e wypracowane amortyzatory nie wytrzyma³y takiej jazdy i zdawa³o siê, ¹e auto rozleci siê na którym³ kolejnych wybojów albo wypadnie z najbli¹szego zakrêtu.

Naszczêœcie zanim to nast¹pi³o, dotarli do kolejnego lasu.

Karolinaskrêci³a w nieu¹ywan¹, zaroceniê¹ traw¹ leœn¹ drogê.

Zanim zd¹y³ choæby pomyœleæ, obieg³a auto wokó³, wyci¹gnê³a go wprostna ziemiê.

Wszystko odby³o siêjeszcze bardziej gwa³townie ni¹pierwszegoranka w samochodzie, trochê boleœnie i k³uj¹ce, a wreszcie mêcz¹co a¹ dozupe³nego wyczerpania.

Przypomina³onag³¹ uciezkê, po której gwa³townie opada siê z si³.

Karolina zachowa³awiêcej energii i przytomnoœci.

Poderwa³asiê, wytar³a brzuch majtkami, szybko wci¹gnê³a spodnie na go³ecia³o.

- Nie popêdzamciê.

Gdybyteraz powiedzia³a, ¹eby zosta³, nie mia³by si³y odmówiaê.

Ale ona tylko przypomina³a mu, ¹e czas ucieka.

Ubiera³ siê ju¹

w samochodzie.

Zdł y³a wyjechaæ z lasu z powrotem na szosê, zanim spyta³:

- Kiedy siê znów zobaczymy?

-Kiedy zechcesz.

-W jej g³osie wyczu³ brak przekonania.

- Prostu zadzwoñ, jak bêdziesz mia³ czas.

Nie to chcia³by us³yszeæ.

Nagle przerwa³a, jakby chcia³a zmieniaæ temat.

- Cicho, nie ruszaj siê.

Siêgnê³arêk¹ na tylne siedzenie po lornetkê.

Przytknê³a szk³o do oczu.

On te¿ mia³ wra¿enie, ¿e dostrzega jakic ruch miêdzydrzewami, wród poszycia.

- Co?

- szepn¹³.

- Nic.

- Potrz¹snê³a g³ow¹.

-Zdawa³o mi siê.

Teraz ju¿ bezwahania uruchomi³a silnik.

Na stacjê kolejow¹ w Sanoku przyjechali dziesiêæ minut przed odejciem pociespnego do Warszawy.

Karolina czeka³a naperonie, a¹ poci¹g ruszy³.

Kiedy wydawa³o siê jej, ζ e Marek ju¹ jej nie widzi, odwróci³a siêszybko i pobie³a do wyjœcia.

11

Mia³ racjê, boj¹c siê spotkania z Warszaw¹.

Ju¹od Radomiaodczuwa³ coraz wiêkszy niepokój.

Sama podró¹ kosztowa³a go du¹o nerwów.

Ka¹de spojrzenie gniewa³o.

Na pró¹no sobie powtarza³, ζ e nikt nie rozpozna goze zdjêcia¹w "Super Expressie".

Napiêcie nie chcia³o min¹æ.

Kryj¹c siê przed ludzkimi oczami, zas³ania³ siê p³achtami "Gazety Wyborczej", "Rzeczpospolitej" i "Parkietu", i zanim podró¹ dobieg³a koñca, najnowsze notowania i komentarze gie³dowe zna³ na pamiêæ.

Zaplanowa³nawetw³owie kilka operacji.

Przynajmniej tak¹ mia³korzyœæ.

By³o muto teraz bardzo potrzebne.

Musia³ siê czymœ zaj¹æ.

Wysiad³na Dworcu Centralnym i nie móg³ siê zdobyæ, by po prostu pojechaæ do swojego mieszkania, choæ klucze mia³ w kieszeni.

Jeszcze nie by³ gotowy.

D³ugo w³óczy³ siê po przejóciachpodziemnych, jak licealista nawagarach.

Ogl¹da³ w kioskach nowe ksi¹żki, o których wcz³ęniej nic nies³ysza³.

Kilka go zainteresowa³o, ale żadnej nie kupi³.

Wiedzia³, że wci¹ż jest zbyt niespokojny, żeby czytaæ cokolwiek poza wieœciami z gie³dy.

Wreszcie zaœmieconymi schodami wydo³sta³ siê na Aleje Jerozolimskie.

Zapada³ zmierzch, w œwiat³ach latarni drzewa lœni³y œwie¹ż wiosenn¹ zieleni¹.

Nic jednak nie przytêpia³o smrodu spalin i zgie³ku wieczornego szczytu.

Obszed³ plac Defilad specjalnie powoli, przygl¹daj¹c siê zmianom, jakie nast¹pi³y w krajobrazie w czasie jego nieobecnoœci.

Jedna wydawa³a mu siê gorsza od drugiej, ka¿dy nastêpny wie¿owiec paskudniejszy od poprzedniego.

Ku w³asnemu zdumieniu musia³ przyznaæ, ¿e znienawidzony Pa³ac Kultury i Nauki w tymnowym otoczeniu zyskiwa³, stawa³ siê ³atwiejszy do przyjêcia.

Podarunek Stalina by³ nadal obrzydliwy, ale przynajmniej niemo¿na muby³o odmówiaæ jakiejœ indywidualnoœci.

Otoczaj¹ce go coraz ciaœniej niezgrabne bry³y ze szk³a nie mia³y w sobienicoprócz po³yskliwej i dziwacznejw kszt³tach pustki.

Nogi same ponios³y go w stronê Ogrodu Saskiego, apotem ku Krakowskiemu Przedmieœciu i na Stare Miasto, gdzie mieszka³ Miko³aj Kiedroñ.

Komu mia³ powiedzieæo swoim najnowszym pomys³e, jak nie jemu.

Przecie¿ nie matce.

Czy do niej zreszt¹ jesczeczokolwiek dociera³o?

Czy dociera³o do niej kiedykolwiek?

Nacisn¹³ guzik domofonu, a ten po chwili zabrêcza³ bez pytania.

W¹skiedrewniane schody skrzypia³y jak dawniej.

Goœcie z zagranicy byli przekonani, ¿e kamieniczka ma kilkaset lat, nie chcieli wierzyæ, ¿e po powstaniu warszawskim wtym miejscu by³a tylko dziura.

Z Miko³ajem wi¹za³ysiê najwcześniejsze wspomnienia
zdzieciństwa.

I weso³a rodzinna historyjka, opowiadana czêsto, dopóki³ ojciec.

O tym, jak to ma³y Marek nie chcia³ uwierzyæ w Miko³aja: "Nieprawda,
nie k³am, ty nie jesteœ Ewiêtym Miko³ajem!

".Nie mog³o mu siê pomieœciæ w g³owie, ¿e ktoœ realnie
istniej¹cy, ktoœ chudy i wysoki, z dzik¹ czarn¹ brod¹, mo¿emieæ
naprawdêna imiê Miko³aj.

Po œmierciojca anegdota posz³a w zapomnienie, a Miko³aj przesta³ u
nich bywaæ.

To on chodzi³ do Miko³aja zawsze, kiedy szuka³ rady albowsparcia.

Staryczeka³ na niego w otwartych drzwiach.

- le wygl¹da³.

Napoliczkach mia³ bia³y, od kilku dni niegolony zarost.

Brodê przesta³ nosiæ ju¿ dawno, kiedy zacz¹³ mocno siwieæ.

- No, jesteœ wreszcie- przywita³ go.

- Czeka³em na ciebie.

Gdzie przepad³œ?

- Przepraszam, ¿e dopiero teraz - powiedzia³ Marek.

- Najpierw pojecha³em w góry.

- Nie dziwiê ci siê.

- Gospodarz westchn¹³.

-Też bym tak zrobił na twoim miejscu.

W tym momencie coraz mniej da się użyć.

Wypijemy za góry?

- spyta ostrożnie.

- Jasne.

Kiedroń ożywił się, sięgnął do barku i wydobył napoczętą butelkę scottish leadera z okazałym jeleniem na tle szkockich wzgórz na etykiecie.

Rozlał niecierpliwie.

Podniósł swoją szklankę, zamiast toastu zaczął recytować Roberta Burnsa:

55.

- My heart's in the Highlands, my heart is not here, My heart's in the Highlands a-chasing the deer.

Urwa³, stropiony.

- Dalej zapomnia³em.

Ale taka jest prawda.

Moje serce jest tak³ w górach.

Wiêcdobrzeciê rozumiem.

Pomyœla³em nawet, czy³ zechcia³byœ wróciæ do przewodnictwa, jak za dawnych lat?

Na jak³ czas, oczywiœcie.

Rozmawialiœmy o tym kiedyœ, pamiêtasz?

- Kiedy to by³o.

- Marek wzruszy³ ramionami.

- Teraz czasy s¹ nawet bardziej sprzyjaj¹ce.

Jest coraz wiêcej bogatych frajerów, którzy marz¹, czy³ wejœ na Mont Blanc, Matterhorn, w ostatecznoœci na Gerlach.

S¹ gotowi du³o za tak¹ przyjemnoœæ zap³aciæ.

- Mam trochê od³o³onych pieniêdzy, jak wiesz.

- Wiem, ale tego nigdy za wiele.

A przy okazji.

No, rozumiesz, pomyœla³em, czy³ to mog³oby ci pomóc zapomnieæ.

- Tak uwa³asz?

Miko³aj nie zrozumia³ go.

- Jestem pewny.

Nawet niedawno pytali mnieznajomi, czy nieznam kogoœ, kto móg³by wejœæ na Mont Blanc z grup¹ m³odychrekinów biznesu.

Powiedzia³em, ¿e siê rozejrzê, aleod razu pomysla³em o tobie.

Ci goœcie maj¹ górê forsy do wydania.

A pozatymwartozawrzeæ z nimiznajomoœæ.

Marek potrz¹sn¹³ g³ow¹.

Nie poznawa³ gospodarza.

Czyto by³tensam Miko³aj, który nigdy wczesniej nie dba³ o pieni¹dze, ¿y³ideami, które jeszcze przed kilkunastu laty wydawa³y siê szalone?

Naprawdê s¹dzi³, ¿e Marek mia³by ochotê s³u¿yægoœciom,którzy maj¹ górê forsy dowydania?

Sam przecie¿ niestosowa³siê do w³asnychdobrych rad.

Wszystko, comia³, zostawi³ dzieciomi gnieŸdzi³siê jak samotny puchacz na tymnêdznym poddaszu,którego jedynym urokiem by³o ma³e mansardowe okienko, wychodz¹ce wprost na niebo.

Choæ zd¹¿y³ byæ isenatorem, i ministrem, nie dorobi³ siê nawet krawata.

- Oczywiściecietylko tymczasowo- zastrzeg³ stary, nie widz¹cw oczach Marka spodziewanego entuzjazmu.

- Móg³by³m ci pomóc.

- Dziêki, alewypad³em z obiegu.

Lata tego nie robi³em.

- Co z tego?

Ludzie jeszcze pamiętaj¹, że by³ć w tym naprawdę dobry, zanim zosta³ć ministrem.

- Jacy ludzie?

- Ci, co powinni.

Oni wiedz¹, że dalej jeste³cie lepsi od tych, co się reklamuj¹ jako wielkie górskie wygi.

- Może.

Ale sytuacja się zmienia³a.

Ewam już tylko mnie.

Miko³aj uciek³ spojrzeniem w bok.

- No, tak.

To jest jakiś argument.

Więc cokol kombinujesz?

- Jeszcze nie wiem.

Na razie dowiedzia³em siê, ¿e Górski Pa³acznów jest do wynajêcia.

Potrzebuje du¿ego remontu, ale zamieszkaæ da³oby siê od razu.

Miko³aj ³ykn¹³ whisky i pokrêci³ g³ow¹, jakby spe³ni³y siê jego najczarniejsze przewidywania.

- To w³acenie tam by³e?

Na Wilczym Przesmyku?

- Dziwisz siê?

-Nie ró³ tego, Marku.

Twojemu ojcu te¿ to odradza³em, ale mnie nie s³ucha³.

- Przestañ -zniecierpliwi³ siê Marek.

- Wystarczy, ¿e matkawci¹¿ mi wmawia³a, ¿e przez to umar³ izostawi³ nas bez œrodków do ¿ycia.

- Nie wiem, czy nie mia³a racji.

W ka¿dym razie to z powodu tego schroniska Andrzej pok³óci³ siê ze swoim ojcem, a twoim dziadkiem.

To mu napewno nie pomog³o.

- Nie tak by³o.

Dziadka szlag trafia³, bo uwa¿a³, ¿e ojciec by³ darmożjadem.

W³aczenie to wci¹ i siê k³ócili.

Schronisko mog³o tylko pos³u¿yæ za pretekst.

- By³e wtedy dzieckiem, nie wiedzia³e wszystkiego.

To mnie Andrzej siê zwierza³.

- Przy wódce, jak si¹dzi?

- No tak, przy wódce.

W³aczenie dlatego tyle pi³, i nie móg³ siê dogadaæ ze starym leœniczym Nowickim.

- Psychoanaliza dla ubogich!

- adna psychoanaliza.

Mówi tylko, jak by³o.

Posz³o o forszê.

Andrzej by³ sp³ukany, potrzebowa³ pieniêdzy, i eby ruszyæ z miejsca.

A twój dziadek odpowiedzia³, i na Górski Pa³ac nieda ani grosza.

- To mnie akurat nie dziwi - mrukn¹³ Marek.

- Zawsze mi siê zdawa³o, i emój dziadek by³ starym despot¹.

- Co nie znaczy, i e w tym wypadku nie mia³ racji.

To przeklête miejsce.

Pamiêtaj o i onie kierownika szko³y.

- A ty co, na staroœæ te i zrobi³e siê zabobny?

- Marek zaœmia³ siê sztucznie.

- To niezabobon.

To fakt.

- Czy wyœcie wszycypowariowali z t¹ Ÿon¹ kierownika szko³y?

- ZdumienieMarka nie by³o udawane.

- Nawet jeœli to prawda, min^êo p^ó wieku.

Przez ten czas wydarzy³o siê wielewaŸniejszych rzeczy, o których nikt nie pamiêta.

- To tylkoznaczy, Ÿe w rzeczywistoœci zaginiêcie tej nauczycielki by³o waŸniejsze od nich.

- Albo Ÿe ludzie lubi¹ wierzyæ w bajki.

Miko³aj podniós³ na niego smutne, za³awione oczy.

57.

- To nie bajka, Marku.

- Coœo tym wiesz?

- Ja nie.

Alemyœelê, ¿e twój dziadek wiedzia³.

I wydaje mi siê,¿e Andrzej móg³ siê domyœelaæ.

Marek machn¹³ niecierpliwierêk¹.

- Nieobchodzimnie to.

Jeszcze dziœe rano tam by³em i wcalenie wyda³o mi siê, ¿eby to by³o miejsce przeklête.

Podoba mi siê.

- Sam tam by³œe?

- Miko³aj spojrze³ naniego podejrziwie.

- Nie, niesam.

- Marek potrz¹sn¹³g³ow¹ i ucemiechn¹³ siê dow³asnych wspomnieñ.

Miko³aj pokiwa³ powoli g³ow¹.

- Domyœalam siê,¿e z t¹pani¹, któr¹ tamtejsze ch³opstwo nazywa wilcz¹ narzeczon¹.

Co?

Pytanie nie spodoba³o siê Markowi.

- Mia³byœe coœ przeciwko?

-No có¿.

Tapani potrafi siê mêt czy Ÿ nie spodobaæ, prawda?

- Nie s¹dzi³em, ¿e siê znacie.

Cocê mi umknê³o?

- Och, trudno powiedzieæ, ¿e j¹ znam.

Chcia³em j¹ poznaæ zewzglêdu na ciebie, dziwisz siê?

Rozmawia³emz ni¹ tylko kilkarazy.

Chyba nie jesteœo to z³y?

Wzruszy³ ramionami, zbywaj¹c pytanie milczeniem.

- To onaciê namawia?

- odezwa³ siê znów gospodarz.

- Ona jeszcze nic otym nie wie.

-Tak ci siê tylkoydaje.

- S³uchaj, Miko³aj, kiedyœw pewnym sensie zastêpowa³eœmiojca.

Doceniam to.

Ale móg³byœe zauwa¿yæ, ¿e mam ju¿ czterdzieœci lat, z czego kilka spêdzi³em w rz¹dzie, a dwa w pierdlu.

- I co z tego?

- Miko³aj uniós³ brwi.

-Mo¿e w³aœnie todowodzi, ¿e czasem jednak potrzebujesz rady?

- Wiêcty chcesz mi jej udzieliæ?

-Jeceli mogê.

- To zawsze możesz.

- A ty i taknie posłuchasz, prawda?

- Skąd wiesz?

- Bo chyba sam się domyślasz, co chcę powiedzieć?

Bądź ostrożny.

Nie buduj na niej reszty życia.

— ebyś się później nie rozczarowaś.

Marek opanował odruchniechęci.

Nie mógł po prostu wyśmiać starego dodiabła.

- Mikołaju, ja jestem ostrożny.

Poradź sobie, słowo ci daję.

Jeszcze niczego nie buduj.

Próbuj tylko zacząć na nowo żyć.

Czy to jest nienormalne?

- Zni?

58.

- Bo co?

Jestem za stary?

- Sam to powiedzia³eœ.

Przez jakieœ czas za³atwisz jej problemy.

Ale potem.

- Jakie jej problemy masz na myœli?

Zcoraz wiêkszym trudem udawa³o mu siê ukrywaæ gniew.

Wszyscy czegoœ siê domyœlali, tylko on nie.

- Ja nie wiem - wycofa³ siê stary.

- Ka¿dyjakieœ ma.

Samotnatrzydziestolatka tym bardziej.

- A mo¿e to ona rozwi¹zuje moje problemy, co?

Gospodarz westchn¹³ i rozla³ resztê whisky.

- Obyœ siê nie pomyli³, Marku.

Obyœ siê nie pomyli³.

Marekze zdumieniem i za¿enowaniem spostrzeg³, ¿e Miko³aj

ma³zy w oczach.

Pomyœla³, ¿e czasdodomu.

Nie lubi³p³aczliwych

pijaków, zawsze by³o mu za nich wstyd.

Tego dnia Marek zrozumia³, że w Miko³aju nie znajdzie już oparcia.

W gruncie rzeczy domyśla³ się tego od dawna, teraz się tylko potwierdzi³o.

Stary wci¹ż stara³ się jak mógł³, ale mógł³ już niewiele.

Co najwyżej przydawa³ się w sprawach praktycznych.

Podnieobecność Marka zaopiekowa³ się mieszkaniem.

Marek zostawi³ mu też pełnomocnictwo do dysponowania rachunkiem w biurze maklerskim.

Na gie³dzie Kiedroń nie zna³ się zupełnie, by³ w tych sprawach naiwny jak dziecko i Marek musia³ mu przekazywać z zak³adu karnego szczegółowe instrukcje, co nie było takie proste.

Mimo to z pomocą Miko³aja udało mu się kilka razy zainwestować bardzo korzystnie, w czym pomógł³ atwaj¹ca nieprzerwanie przez dwa ostatnie lata hossy na warszawskiej gie³dzie.

Tylko dzięki temu nie musia³ się teraz martwić, że nie będzie miał³ z czego żyć.

Docenia³ poświęcenie starego.

Gie³da był³a dla Miko³aja miejscem podejrzanym.

Coraz bardziej rozczarowywa³ się do przemian, które sam w jakimś stopniu spowodowa³.

W miarę jak oni jemu podobni idealności byli spychani na margines, ros³o jego rozgoryczenie.

Już od paru lat przy każdej nadarzającej się okazji powtarza³:

- Toniek miał³ być, Marku.

Nie tak.

Marka trochę to œmieszyc³o.

Nie rozumia³, jak ktoœ móg³ byæ tak naiwny, by wierzyæ, ¿e uda siê przeprowadziæ rewolucjê bez ofiar.

To co, ¿e bezkrwaw¹?

Ktoœ musia³ zap³aciæ.

A ¿e najsi³absi?

Tak by- 59.

o zawsze.

On na zmianach tylko skorzysta.

Jakimiaby szanse gdyby wcił panowa komuna?

Byby może marnie opacowanym urzędnikiem pionu ekonomicznego w FSO na eraniu albo w fa-

bryce traktorów w Ursusie.

Zrobi t ekonomie dla cewietego spokoju, eby uspokoiæ matkê, która wpada w depresjê na sam¹ myœl, e mógby pójæ w œlady ojca.

Byo mu wszystko jedno, co studiuje.

W latach studiówi tak interesowały go tylko góry.

Zalicza rok za rokiem bez wiêkszych trudnoœci, bo by zdolnia wiele tupetu idawa siê lubia.

A potem komuna nagle rozpa-

d³a siê jak stary garnek i przed m³odym ekonomist¹, nieskażonym praktycznym socjalizmem, znaj¹cym angielski i gotowym zaangażowaæ siê w reformy Balcerowicza otwar³y siê niespodziewane wczesniej mo¿liwoœci.

Miko³aj od pocz¹tku torowa³ mu drogê, wprowadzi³ w kr¹g dawnej opozycji, pozna³ z Wa³ês¹, Kuroniem, Mazowieckim i innymi chodz¹cymi legendami.

Kiedy zosta³ wybrany do Senatu, zrobi³ z Marka swego asystenta.

Parê lat póŹ-

niej znów skorzysta³ ze swoich wp³ywów i wypromowa³ go na podsekretarza stanu.

Wszystko by³o ³atwei nie wymaga³o wiêkszego wysi³ku.

Mog³obysiê zdawaæ, ¿e to prezentod Boga, który chci³ jakby w ten sposób Markowi wynagrodzi³æ, ¿e wczœniej by³ dla niego nie³a-

skawy: zabra³ mu ojca w najmniej odpowiedniej chwili, matkê wpêdzi³ w psychozê.

Dobroczyñc¹ Marka nie by³ jednak Bóg, tylko Miko³aj.

To on czu³ siê z jakiegoœ powodu winny.

Z biegiem lat Marek coraz bardziej umacnia³ siê w przekonaniu, ¿e wszystkoco w ¿yciu zawdziêcza³ Kiedroniowi, aby³otego niema³o, bra³o siê z poczucia winy.

Najpierw jednak, du¿o wczœniej, w³acenie od Miko³aja Marek dowiedzia³ siê czegoe o ojcu.

Czegoe, czegosie przyjemnie s³ucha, kiedy siê ma kilkanaœcielat.

- Andrzej by³ szlachetnym cz³owikiem, najszlachetniejszym!
jakiego zna³em.

W³acenie z tego powodu nie umia³ znaleŹæ dla siebie miejsca w tym kraju, w tych czasach.

Marek zapamiêta³ te s³owa dok³adnie; mo¿e w³acenie dlatego ¿eby³y tak nieznoenie napuszone; teraz wydawa³o musiê to okropne, beznadziejne, zak³amane, ale krótko po œmierci ojca by-

³o lekarstwem napustkê, któr¹ po sobie zostawi³.

Pewnie nigdy nie przywi¹za³by siêtak doKiedronia, gdyby nie to, ¿e przy nim móg³byæ jakby bli¿ej swojego starego.

Dopiero po latach zrozumia³, ¿e Miko³aj przede wszystkim robi³ to dla siebie.

Zawiód³ siê na w³asnych dzieciach, które posz³y swoimi drogami, szybko da³y mu odczuæ, ¿e wszystko, o co w ¿yciu walczy³, by³o im doœæ obojêtnie.

Szuka³ innych uczniów.

Marek nadawa³ siê do tej roli jak nikt.

Z początku matka nie pozwalała Markowi zadawać się z Mikołajem.

Dopiero po siódmej klasie podstawówki przelała go z kolegami na narciarski obóz wędrowny w Bieszczady.

Na miejscu okazało się, że jednym z instruktorów był Kiedroń.

Marek nigdy się nie dowiedział, czy to naprawdę przypadek tak zrzucił.

Prywatne obozy dla młodzieży organizowała pani, która poza tym działała w opozycji.

Rodzice niektórych jego kolegów także.

Tylko matka nic o tym nie wiedziała, bo w przeciwnym razie na pewno by go nie przelała.

Jeśli nawet wszystko po cichu zorganizował Mikołaj, nigdy się do tego nie przyznał.

Marek prawie już nie pamiętał dawnego przyjaciela swego ojca.

Poznawali się od nowa.

Teraz Kiedroń wydał mu się dużo fajniejszy niż kilka lat wcześniej.

Nie bez znaczenia na pewno był fakt, że ta znajomość imponowała kolegom.

Chociaż inteligentnych rodzin podziwiali brodatego instruktora, który nie tylko był świetny w górach, ale też siedział już w więzieniu za działalność wyrotową.

Marek, którego ten idol wyraźnie wyróżniał, od razuyskał w ich oczach.

Mikołaj tak kombinował, żeby prowadzić ich szlakami młodzieżowych wypraw Szajby.

Dopiero teraz Marek przekonywa³ siê, że bardzo ma³o wiedzia³ o swoim ojcu, jaki on naprawdę by³, co gogryz³o, dlaczego czasami zachowywa³ siê tak niezrozumiale.

Niektóre rzeczy, które mówi³ Miko³aj, by³y poprostu szokiem.

Z dzieciństwa pozosta³mu w pamięci obraz Ukraińców jako ludziz³ych,którzymaj¹ czarne podniebienia,jak wilki,i zawsze,kiedy tylkomog¹, morduj¹ Polaków.

Jak przez mg³ê pamięta³,comówi³ o nichdziadek Stanis³aw: że s¹ gorsi od Niemców i ˘ydów do kupy.

Teraz Miko³aj pokaza³ mu œcieżki, którymi pod¹ża³ jego ojciec,kiedy jakoszesnastolatek uciek³ z internatu w Rzeszowie.

Kolegompowiedzia³, że jedzie nadmorze, dostanie siê na statek i uciekniesz Polski.

Milicja szuka³a go w portach,a on tymczasem kr¹ży³ w pobliżu rodzinnego domu, gdzie nikt siê go nie spodziewa³.

- To by³a romantyczna historia, Marku, bardzo romantyczna,na pewno tełchcia³byœ przełyæcoœ takiego.

A moze przełyjesz?

Kiedroñzaskoczy³ go tymi s³owami w chwili, kiedy po trzechgodzinach morderczegopodejœcia zDo³życy na prze³êcz, a potemd³ugich zjazdów w kopnymœniegu przez las, dotarli wreszcie dozrujnowanej cerkwi na skraju rozleg³ej pustaci, gdzie kiedyœ by³a wieœ łopienka.

Wzi¹³ na tê wyprawê tylko najlepszych ch³opaków, ai oni byli wykoñczeni, przestraszeni perspektyw¹ równieciêłkiego powrotu, i nie mieli wielkiej ochoty na podziwianierozpadaj¹cych siê murów, w

których było tylko jedno łajno, bo latem pasterze z Małopolski trzymali w nich owce.

Nie odważyli się

61.

mówią tego g³oœno, ale Marek dobrze widzia³, jacy byli rozczarowani i Ÿli, ¿e dla tak b³ahego powodu instruktor zaci¹gn¹³ ich w zakazane miejsce.

Dopiero kilka dni póŸniej, kiedy byli sami, Miko³aj opowiedzia³ mu ca³¹ têhistoriê.

A by³a ona taka, ¿e w liceum Andrzej Nowicki zakocha³ siê w Ukraince, kole¿ance z klasy.

Od paru ju¿ lat Ukraiñcy mogli wracaæ z wygnania w rodzinne strony.

Wróci³ate¿ rodzina tej dziewczyny, której imiêzatar³o siê w pamiêci Miko³aja.

Andrzejowi nawet nie przysz³o do g³owy, ¿eby zwieryæ siê ojcu ze swego uczuciacy choæby znajomoœci z córk¹ bandytów i morderców. Dobrze wiedzia³, ¿e dla leœniczego z Wilczej Polany nie by³o innych Ukraiñców.

W swej naiwnoœci oboje zrobili jednak ten b³¹d, ¿e przyznali siê jej rodzicom.

- Szczerze mówi¹c, to Andrzej chyba wyobra¿a³ sobie, ¿e (Ukraiñcy odbior¹ to jako szlachetny gest z jego strony, bo choæ wszyscy wieszali na nich psy, to on nie wstydzi³ siê chodziæ z ukra.

iñsk¹ panienk¹.

Biedak, nawet nieprzypuszcza³, jak bardzo si³omyli³ - mówi³ Miko³aj, uœmiechaj¹c siê smutno.

Rodzice dziewczyny wpadli we wœciek³oœæ.

Pogonili Andrzeja

kiedy dumny ze swej odwagi pojawił się w ich domu
w Rajsku. Jeszcze nie zapomnieli krewnych pomordowanych
Czereszni w tym samym roku, w którym urodziła się córka.

Dla Andrzeja był to podwójny szok.

Mało, że został przepędzony, to jeszcze pierwszy raz w życiu
dowiedział się, że nie tylko Ukraińcy mordowali Polaków, ale zdarzało
się też na odwrót.

Dziewczyna jednak musiała być naprawdę zakochana, skoro
zgodziła się uciec z nim w góry.

Opuszczona cerkiew we wsi - widmie, do której nie prowadziła już
żadna droga, wydała im się idealnym schronieniem.

Siedzieli tam trzy dni, żywić się makaronem gotowanym w miazgach
ogniskiem, konserwami, czarnymi jagodami i twardymi jabłkami ze
zdziurawionych jabłoni. W przerwach między pieszczotami młoda Ukrainka
otwierała mu oczy na drugą stronę polsko-ukraińskiej wojny, powtarzała
zasłyszane od swoich dziadków opowieści o wydarzeniach, o których
wcześniej nie miał pojęcia.

Czwartego dnia rano zaskoczyli

ich w śnie milicjanci, szukający więźniów zbiegłych z zakładu
karnego w Łupkowie.

Taki romantyczna przygoda skończyła

Miłość Andrzeja i córki Ukraińców z Rajskiego nie wytrzymała
ciężaru rodzin.

Ale i tak zmieniła jego życie.

Z ojcem leśniczym nie pogodził się już nigdy.

Kiedy na studiach przysta³ do opozycji, zacz¹³ wyg³aszaæ opinie, że
Ukraińcy też mieli prawo do niepodleg³egopañstwa, a UPA nazywa³
armi¹ wyzwoleńcz¹, co nawet w uszach wiêkszoœci ówczesnych
dysydentów brzmia³o jak

herezja.

Wyj¹tkiem by³ Miko³aj Kiedroń, więc szybko znale³liwspólny jêzyk.

A ³le oprócz tego ³czy³y ich góry, wkrótce³tali siêpar¹ najbliższych przyjació³.

- Nigdy wiêcej nie spotka³em kogoœ takiego jak Andrzej- koñczy³ Miko³aj sw¹ opowieœæ po powrocie z wyprawy do ruin cerkwi w Łopience.

- Jakaskoda,jakaskoda.

Marek, który od czasu tego zimowiska na wiele lat uleg³wp³ywom Kiedronia, tylko jegoukraińskim fascynacjomnigdy w pe³ni nie dowierza³.

Po œmierci ojca pozosta³ mu niejasny uraz.

Dlaczego jego stary nigdy mu o tym nie wspomina³, nie protestowa³,kiedy dziadek Stanis³aw snu³ swoje gadki o wœciek³ych wilkachz ukraińskich band?

Mo³e brakowa³o mu argumentów?

Marekkilka razy pods³ucha³, jak ojciecz dziadkiemk³ócili siê na ten temat, ale nigdy nie robili tegoprzy nim.

I by³y to tylkojakieœ oderwane krzyki, kiedy siê zapomnieli.

Podejrzewa³, ³le obaj chcieligoprzed czymœ ochroniaê.

Pó³niej dosz³o przeczucie, ³le ojciecmóg³ zgin¹æ w³acenie z powodu tego czegoœ.

Po latach, kiedy padła komuna i Mikołaj wciągnięto do polityki, nie miał ochoty angażować się w ukraiński gry starego, aleni widział wyjęcia.

Kiedroń był jednym z tych, którzy przepchnęli w Senacie uchwałę przepraszać Ukraińców za wypędzenia.

Się rzeczy Marek też, jako jego człowiek, zaczął być kojarzony z polityką, która wciągnięto dla wielu byłaby sabotażem, jeżeli nie zdradą.

Nie mógł nic na to poradzić.

Kilka tygodni później z niechęcią dał się namówić do wyjazdu razem z Mikołajem na spotkanie z Ukraińcami w Lesku.

Kiedroń najwyraźniej się dążył, żeby zostanie przyjęty co najmniej z wdzięcznością.

Pomylił się.

Ukraińców przeprosiny nie urządził, domagali się zwrotu majątków zajętych przed laty przez Polaków.

Albo przynajmniej odszkodowań.

Nie był upoważniony do żadnych obietnic, zaczął kluczyć i po prostu go wygwizdali.

Wieczorem Mikołaj zapijał porąbkę w hotelowym barze na zamku.

Marek wspierał go w smutku i próbował chronić przed zbyt bezczelnymi natrętami.

To jednak w przypadku Kiedroni po pewnej ilości alkoholu było niemożliwe.

Lubił się wtedy bratać, często z byle kim.

Teraz też nie pozwolił Markowi odgonić agresywnego dziennikarza z jakiejś prawicowej gazety.

Próbował tego gościa przekonywać, co było zadaniem beznadziejnym.

Po jego drugim i pierwszym pijackiego żaru wykładzie poufalałony pismak spytał szyderczo:

- To kto ty właściwie jesteś, senator?

Ydźczy Ukrainiec?

Kiedroń, zamiast dać mu w mordę, spojrzął tylko smutno i odpowiedział:

63.

- Kiedy s³ucham takich jak ty, to czujê siê równoczenie ydem i Ukraińcem.

Mia³a to byæ zapewne demonstracjapogardy dla szowinizmuwogóle,a w szczególnoœci dla natrêta, w którym niezliczone drinki wyzwoli³y prawdziwego Polaka.

Jednak s³owa Miko³aja zabrzmia³y tylko ¿a³oœnie i bezradnie.

Zw³aszcza dla tych, którzypamiêtali, jakie przyjêcie kilka godzin wczesniej zgotowali mututejsi Ukraińcy.

Nied³ugo póŹniej Kiedroñ poniós³ kolejn¹ porażkê.

Ca³ym swoim autorytetem próbowa³przekonaæ lokalne w³adze, ¿e najwy¿szy czas usun¹æ z Jab³onek ko³o Baligrodu pomnik Œwierczewskiego.

Czerwony genera³ przedlaty poleg³ g³upciow tym w³œniemiejscu, kiedy zamroczony ju¿ od rana alkoholem prowadzi³ pootwartej ³¹ce natarcie na ukryte w lesie na zboczu ukraiñskie erkaemy.

Dla Miko³aja w niepodleg³ej Polsce nie by³o miejsca napomnikitakichludzi.

Niewzi¹³ poduwagê nastrojów.

Miejscowistanêli murem w obronie Œwierczewskiego, bo jaki by³, taki by³,ale walczy³ zUkraiñcami.

Pomnik zosta³.

Chyba w³œnie wtedyMarekpierszyraz uœwiadomi³ sobietak wyraŹnie, ¿e Miko³ajby³ zawsze skazany na porażkê.

Teraz,id¹c piechot¹ ze Starego Miasta do siebiena Pragê,rozmyœla³ o tym znowu.

Miko³aj by³ wci¹¿ jego przyjacielem, mo¿e najlepszym, jakiego kiedykolwiek mia³.

Mimo toczu³, ¿e powinien siê przed nim broniæ.

13

Przemóg³ lêk, szybko przekrêci³ klucze w obu zamkach wszed³ do mieszkania.

To by³ cud, ¿e zd¹¿y³ je kupiæ przed.

Kiedyœ mia³obyæ dla Ewy.

Joanna nalega³a, ¿eby jena razie komuœ wynaj¹æ i sp³acaæ kredyt z czynszu, on z tym zwleka³.

Jakby przeczu³.

Jej matka powiedzia³aby: jakby to wszystko zaplanowa³.

By³przekonany, ¿e przynajmniej tak myœla³a.

Uderzy³ go nieco stêch³y zapach d³ugo niewietrzonych pomieszczeñ.

Nie zapalaj¹c œwiat³a, przeszed³ przez salon i otworzy³ drzwi na balkon, wpuszczaj¹c wieczorne powietrze znad parku Skaryszewskiego i dalekiszum alei Waszyngtona.

D³ugo patrzy³ na nocn¹ Warszawê, majacz¹ce w ciemnoœci sylwety Pa³acu Kultury i otaczaj¹cych go nowych wie¿owców, sznury samochodowych œwiat³ sun¹cych po moœcie Poniatowskiego, migotliwe kon⁶⁴.

stelacje dalekich blokowisk.

Wilczy Przesmyk wydawa³ siê teraztaki odleg³y.

Poczu³ ch^êæ, ¿eby siê jeszcze napiæ.

Wróci³ do salonu, wyj¹³z plecaka butelkê wódki, któr¹ kupi³ po drodze w ca³odobowym sklepie, i poci¹gn¹³ prosto z szyjki.

Potem powtórzy³ to jeszcze kilka razy, a ¿ogarn^ê³a go sennoœæ.

Wtedy tylko zsun¹³ buty, opad³bokiem na kanapê i przykry³ siê narzut¹.

Nad ranem przyœni³mu siê wilk, stoj¹cy na skraju szosy i przygl¹daj¹cy musiê uwa¿nie ¿ó³tymi oczami.

Chcia³ pokazaæ zwierzê Karolinie, aleniaby³o jej przynim.

Próbow³a przez sen wykrzykn¹æ jejimiê i wtedy siê obudzi³.

Kiedy przez balkonowe drzwi zobaczy³w oddali glicê Pa³acu Kultury, ogarn^ê³o go trudne do opanowania zniechêcenie.

Ju¿ siêga³ po stoj¹c¹wci¹¿ obok kanapy butelkê, kiedy poczu³ na sobie czyjœ wzrok.

Ze zdjêcia w ramce stoj¹cej obok przykrytego foli¹ komputera patrzy³a na niegoczną nastoletnią Ewa.

Zrobi³ jej to zdjêcie podczas ostatnich wspólnych wakacji.

Nie móg³ wytrzymaæ tego spojrzenia.

Szybko podniós³ siê z zaimprovizowanego pos³ania, chwyci³ butelkê, zaniós³ j¹ do kuchni, wstawi³ do pustej lodówki, w³o¿y³ wtyczkê do gniazdka.

Trzeba by³o zacz¹æ wszystko porz¹dkowaæ.

Pootwiera³ okna, narzutê z tapczanu rozwiesi³ na balkonie, spojrze³ przezbalustradê.

Po alejkach parku Skaryszewskiego przechadzali siê ludzie z psami, które przed wyjœciem do pracy wyprowadzili na spacer.

Naalei Waszyngtona, w stronê mostu, tworzy³ siê ju¿ porannykorek.

Ci wszyscy tam w dolewiedzieli, co maj¹ robiæ.

Pozazdroœci³im.

Wróci³ do pokoju, wyrzuci³ z szaf stareubrania,przesi¹kniêtemd³ym zapachem lawendy, któr¹ zapobiegliwy Miko³aj poupycha³na pó³kach,¿eby odstraszyæ mole.

Czêœæ rzeczy od razu wyniós³dozsypu na œmieci.

Potemwyprasowa³sobiespodnie i dwie koszule.

Poszed³ do ³azienki.

Le¿a³ w wannie d³ugo, czekaj¹c, a¿miniedziewi¹ta.

Piêæ minut póŹniej ubra³ siê, wzi¹³ g³êboki oddechi siêgn¹³ po telefon.

- Panma czelnoœæ tutaj dzwoniæ?

- us³ysza³ g³osBoguckiej.

- Mnie te¿ nie sprawia to przyjemnoœci - odpowiedzia³.

- Ales¹ sprawy, o których powinniemy porozmawiaæ.

- Pomyœla³ pan, coby by³o, gdyby odebra³a Ewa?

Jej bezczelnoœæ, mimo wszystko, zaskakiwa³a go.

- No, co takiego?

To jest wci¹; moja córka.

- O, bardzo siê pan myli.

-Bo co?

Bouda³o siê wam zba³amucia^æ s¹d?

- Nie muszê tegos³ucha^æ.

Do widzenia panu.

- Proszê mnie nie doprowadza^æ do ostatecznoœci.

Jeceli naprawdê chodzi pani odobro Ewy, za³atwmy to bez awantur.

65.

- Dobrze.

Wyjaœnijmy to raz na zawsze - powiedzia³a zimno.

- Proszê namnie czekaæ o pi¹tej w Nowym Œwiecie.

Do widzenia.

Móg³ siê tego spodziewaæ.

Nawet ustêpuj-¹c, musia³a go upokorzyæ.

Wiedzia³a, ¿e i tak pos³ucha.

Jakie mia³ wyjœcie?

Musia³ walczyæ o Ewê.

Mia³ do niej wiêksze prawo ni¿ oni.

Jeœli prawd¹ jest, ¿e decyduj¹ pierwsze miesi¹ce ¿ycia, nale¿a³a najbardziej do niego.

Co z tego, ¿e nie by³o go przy jej narodzinach?

Joanna wcalego wtedy nie potrzebowa³a.

Dawa³am udczuæ na ka¿dym kroku, ¿e dzia³a³ jej na nerwy.

Pojecha³wiêc w góry.

To prawda, ¿e skorzysta³ z byle pretekstu, ¿eby wyrwaæ siê od Joanny i jej rodziców.

Ale dlaczego mia³ sobie tego odmówiaæ, jeœli tylko wszystkim przeszkadza³?

Kiedy ju¿ wróci³ do domu, okaza³o siê, ¿e tylko on jeden naprawdê ucieszy³ siê z tego dziecka.

Coœ siê w nim prze³ama³ow chwili, w której porazpierwszy zobaczy³ noworodka.

Jeszczebrudnyz drogi i niegolony oddwóch tygodni, chwyci³ w d³oniema³e cia³ko, zanim ktokolwiek zdo³a³ mu przeszkodziæ.

- Zostaw j¹, s³yszysz?

Jeszczezrobisz jej krzywdê.

Zaraz przyjdzie pielêgniarka, toj¹ wyk¹pie.

- Jakaœ obca baba bêdzie k¹paæmoj¹ córeczkê?

A w ¿yciu!

Nie wypuszczaj¹c dzieckaz r¹k, ¿eby mu go nie odebrali, przygotowa³ k¹piel z wpraw¹ doœwiadczonej matki, maj¹cej za sob¹wiele takich doœwiadczeñ.

Bawi³o go przera¿enie Joanny,jej rodziców i siostry.

Oni tego nie potrafili.

A on nawet nie wiedzia³,sk¹d mu siê to wziê³o.

Samoprzys³o.

Zareagowa³ dok³adnie odwrotnie ni¿ Joanna.

PóŸniej siê dowiedzia³, ¿e zaraz po porodzie wpad³a w depresjê.

Przy karmieniuma³ej odwraca³a g³owê, a¿ w koñcu straci³a mleko.

Mówili, ¿e toprzez niego, bo nie by³o go przy niej, kiedy rodzi³a.

Wiedzia³, ¿eto k³amstwo.

Joanna poprostu nie mog³amu wybaczyæ tegodziecka.

Sta³ siê przyczyn¹ jej porażki.

Wrobi³ j¹ w pieluchy, kiedy mia³a tyle innych planów.

Czy wczœniej rozwaŹa³a skrobankê?

By³ przekonany, Źe tak.

Onzreszt¹ teŹ o tym myœla³.

Nie mia³ nicprzeciwno dzieciom, ale jeszcze nie chcia³ siê uwi¹zaæ.

Przed nimteŹ by³o jeszcze tyle do zrobienia.

Dzieci mog³ypoczekaa.

Ewa czekaæ nie chcia³a.

A oni oboje, Joanna i on, nie potrafilipodj¹æ decyzji.

Jednoogl¹da³o siê na drugie.

Marek czu³, Źe Źonazwleka³a tylko po to, Źeby propozycja wysz³a od niego.

Mog³abywtedy zrzuciaæ z siebie odpowiedzialnoœæ.

Nie da³ jej tej moŹliwoœci.

Czeka³,aŹ ona z³amie siê pierwsza.

AŹ w koŹcu by³o za pÓŸnoi Ewa juŹ musia³a siê urodziaæ.

Oczywiœciewina i tak by³ajego.

ToprzecieŹ on nie uwaŹa³.

Przed jegowyjazdem Joanna mia³a prawo krzyczeæ:

- Przez ciebie straci³am najwiêks¹ szansê ¿ycia, a teraz znów myœlisz tylko o sobie.

Ty niemusisz rodziæ, mo¿esz sobie jechaæ, dok¹d chcesz.

Noto jedŸ i zejdz mi wreszcie z oczu!

Po takim po¿egnaniu nie widzia³ powodu, ¿eby siê zbyt nie spieszyæ.

Ale wróci³ przecie¿ pe³en dobrej woli.

Nierozumia³, dlaczego wszyscy w domu patrzyli na niego jak na wroga.

Najchêtniej wyrwalibym dziecko z r¹k, gdyby siê nie bali.

Mia³ nad nimi tê przewagê, ¿e niespodziewanie obudzi³ siê w nim instynkt rodzicielski.

Jakby nic innego wczecniej nie robi³, tylko k¹pa³, karmi³ i przewija³ niemowlêta.

Tak wszystkich tym zaskoczy³, ¿e niewiedzieli, jak siê zachowaæ.

Zanim zd¹¿yli to przemyœleæ, on by³ ju¿ niezast¹pionym opiekunem Ewy.

Przez nastêpny rok nadrabia³ wiêc ojcowskie zaniedbania z nadwy¿k¹.

Wci¿ nie mia³ sta³ej posady, a wczecniej od³o¿y³ trochê pieniêdzy zarobionych na pracach wysokoœciowych.

Przez ca³¹ jesieñ i zimê móg³ siedzieæ w domu z dzieckiem.

Joanna korzysta³a z okazji, by mu wytykaæ, ¿e nic nie robi, ale w gruncie rzeczy by³o jej to na rêkê.

Z radości wróci do pracy, kiedy tylko skończy się jej urlop macierzyński.

Wcale nie cieszy się z powrotem do domu.

Przychodzi późno, zwykle przynosi jeszcze jakiegoś robotę.

Na chwilę przypomina sobie, że jest młodą matką, wita się zniemowlęciem demonstracyjnie, a jej haśleliwie czucie z reguły wywołuje u niej ataki paniki.

Joanna reagowała tłumionym wściekaniem, kierowanym przeciw niemu:

- Co ty jej zrobisz, dlaczego ona tak panuje?

Na pewno jest posikana i głodna.

Zajmij się nią, przewiń nakarm, sypisz?

Nie reagowała.

Wiedziała, że jej nie chodzi o prawdę, to był tylko pretekst do kłótni.

Nie dawała się prowokować.

Przewijała córkę i robiła jej butelkę, nawet jeśli była sucha i najedzona.

W ten sposób zamykała swoje usta.

Wściekała się, ale nie miała na to sposobu.

Zamykała się w swoim pokoju i pracowała albo po prostu oglądała na kasetach stare filmy.

Tego wszystkiego nie mógł oczywiście tłumaczyć Boguckiej.

Na wszelki wypadek przyszedł dziesięć minut wcześniej.

Żeby nie mógł mu zarzucić, że była, tylko go nie zastała.

Chyba przewidzia³a to, bo wybra³a inny sposób.

Kaza³a mu czekaæ prawie godzinê.

Denerwowa³siê.

Zd¹y³ wypiaæ dwie kawy i z ca³ej si³y powstrzymywa³ siê przed zamówieniem jakiegoe alkoholu.

To by³aby klêska, gdybyzasta³a gonad kieliszkiem.

Mo¿e w³aœnie na to liczy³a.

Wreszcie wesz³a, jakzawsze wynios³a, sztywna, w ciemnym ðakiecie i stalowoszarym jedwabnym szalu zakrywaj¹cym szyjê.

Najego widok zacisnê³a usta.

- Jeszcze panczeka?

67.

- Tak się umawialiśmy.

Podniósł się z krzesła, uważając, żeby nie zrobić tego za szybko.

- Niech się pan nie wysila.

- Usiadła.

- Wciąż nie rozumiem, na co pan wściekiwie liczy.

I jakbynie chciała pozwolić, żeby okazała jej jakkolwiekuprzejmość, sama zaczęła przechodzić kelnera i zamówiła dla siebie tylko wodę mineralną bez gazu.

- Chciałbymwidywać się z córką.

Popatrzyła na niego zimno.

- Chyba pan żartuje.

Niech pan idzie do siebie.

- Wolałbymjej tego oszczędzić.

- Pan jest bezczelny.

Czego wolałby pan jej oszczędzić?

Potym, co panjej zrobi, nie może pan jej już niczego oszczędzić.

- To nie była moja wina, pani dobrze wie.

- Niech pan nie zaczyna od nowa.

Nawet jeżeli tylko znalazł się pan w niewściekiwejchwili w niewściekiwym miejscu, to wystarczy.

Oboje wiemy, dlaczego pan się tam znalazł.

Nie zmieniła więc swego zdaniaani trochę.

I zrozumia³, że wcale nie chcia³ zmienić.

Nie mógł³ się jej dziwić, ale musiał³ walczyć.

Tylko jeszcze nie teraz, by³o za wczesnie.

- Jeżeli rzeczywiście chce pan coś dla niej zrobić, niech pan przepisze na nią mieszkanie.

A więc oto ci chodzi, pomyśla³.

Dlatego w ogóle zgodzi³ się z nią spotkać.

- Nigdy nie przesta³o być jej.

W każdej chwili mógł³ do niej wrócić i być z nią razem.

Postara³ się, żeby zabrzmia³o to odpowiednio twardo.

- Pan chyba żeni.

Dobrze pan wie, że ona nigdy do pana nie wróci.

Nigdy, rozumie pan?

Nigdy.

- Dopóki jest pod takim wpływem, towarzysze.

- Skin¹³ go w¹ponuro.

- Ale to nie będzie trwa³o wiecznie.

- Pansiemyli.

Jak zawsze - powiedzia³a z pogard¹.

- Tu wcale nie chodzi o nasz wpływ.

W tym swoim nieszczęściu ma wielkie szczęście, że przynajmniej na nas może liczyć.

Ma gdzie mieszkać, nie musi przenosić się tam, gdzie wszystko przypomina obycej tragedię.

Pan sobie wyobraża, jaki to byłby dla niej stres?

I pan chciałby ją wycenić to skazać?

-W takim razie po co jej to mieszkanie?

-spyta.

Dobrze wie, co ma na myśli, ale chce, żeby sama to powiedziała.

Nie ma zamiaru niczego jej ułatwiać.

- żeby ją sprzedać.

W ten sposób będzie miała trochę własnych pieniędzy, a pan przynajmniej w małym ukuszący swojej zobowiązania.

- Pięknie.

A sam gdzie się podziejê?

- Pan wybaczy, to mnie zupełnie nie interesuje.

-Wiem, co pani¹ interesuje.

¿eby mnie ostatecznie zniszczyæ.

Najchêtniej zabralibyœcie mi wszystko.

Wcale wam nie zależy natym,¿eby Ewa by³a samodzielna.

Zrobicie wszystko, ¿eby tak¿e pójnziej zachowaæ nad ni¹ kontrolê.

Oczywiœcie moim kosztem.

Nie wiem, dlaczego pani sobie wyobra¿a³a, ¿e ja mogê siê na to zgodziæ.

- Gardzê panem.

Nie ma w panu anikrztyskruchy.

To mieszkaniê nam nale¿y.

Ono by³o tak¿e Joanny.

Widzia³, z jakim trudem przysz³o jej wymówienie jego obecnoœci imienia córki.

Teraz ju¿ jednaknie czu³ siê zobowi¹zany, byj¹ oszczêdzaæ.

Oczywiœcie, ¿e mieszkanie by³o Joanny.

I Ewy.

Alenie ich.

- Teraz pani siê myli - powiedzia³.

- Niech pani spytamê¿a, onlepiej zna prawo.

To wy³¹czniemoja w³asnoœæ.

Nikt mi jej nie odbierze.

- S¹dto rozstrzygnie - powiedzia³a lodowato.

Nagle wsta³a i wysz³a bez po¿egnania.

Nigdy nie umia³a nawet zachowaæ pozorów, kiedy coœ sz³o nie pojej myœli.

Przywo³a³kelnerai poprosi³ o rachunek zadwie kawy i wodê mineraln¹.

- Tylko dwie kawy - sprostowa³ kelner.

- Za wodê ta pani ju¿zap³aci³a.

I on mia³ w oczachcoœ pogardliwego.

14

Przez nastêpne dwa tygodnie nie uda³o mu siê zobaczyæ z Ew¹.

Na pró¿no siê stara³.

œledzenie w³asnej córki by³o upokarzaj¹ce,ale jeœli chcia³ z ni¹ porozmawiaæ, nie mia³ innego wyjœcia.

Dziadkowie pilnowali jej niczym wiêŹnia.

Nie potrafi³ ich zrozumieæ.

Oboje wci¹¿ pracowali.

Stary prowadzi³ rozleg³¹ praktykê, nawetw wiêzieniudociera³ydo Marka wieœci, ¿e broni³w g³oœnych procesach.

Jak bardzo musieli go nienawidziaæ,¿eby zadaæ sobie tyletrudu.

Kiedy tylko wydawało mu się, że widzi Ewę na ulicy bez opieki i już miał podejść, natychmiast pojawiała się ktoś z nich albo ich druga córka, siostra Joanny.

Jakby uważali, że szesnastoletnia dziewczyna wymaga całonocnej ochrony.

Czy według nich byłoby tak groźnym dla własnego dziecka?

Nie popadł w psychozę tylko dlatego, że od początku zajmował się ostrożnie na miejscu.

Pozbył się sporej części papierów dłużnych,

pewnych, ale marnie oprocentowanych, i wszed³ ryzykowniew
 akcje paru spó³ek, o których intuicja mówi³a mu, że nie pokaza³y jeszcze
 swoich możliwości.

By³ świadomy, że teraz nie może pozwolić sobie na bezczynność.

Niechodzi³o tylko o pieni¹dze.

Wiedzia³, co po wyjściu z więzienia dzia³o się z lud³mi, którzy
 natychmiast czymś się nie zajęli.

Sama gie³da to by³o za ma³o.

Zacz¹³ odnawiać dawne kontakty.

Większość znajomych na d³większego³ osu ws³uchawce wpada³a w
 pop³och.

Musia³ uciekać się do argumentu, którego nie lubi³.

Prawie wszyscy coś mu zawdzięczali.

I nie by³oby dla nich dobrze, gdyby teraz zaczą¹³ to nag³aceniać.

Po trzech dniach czu³ lekkie obrzydzenie do siebie do nich, ale
 zdoby³ dość zleceń na ca³y najbliższy miesi¹c.

W więzieniu przez ostatnie pół roku miał dostęp do ca³kiem niez³ego
 komputera i fachowej prasy.

Większość swoich opó³nień zd³a³ nadrobić choćdaleko mu by³o
 do formy sprzed lat, wci¹ż by³ bardzo dobrym doradc¹ podatkowym.

Umia³ to udowodnić.

A że niestawia³ wygórowanych wymagań, u jego
 rozmówców pierwszy odruch paniki zastępow³a ulgą, że mog¹ się go
 pozbyć bez straty dla siebie, a nawet z korzyści¹.

Wcisnęli mu do napisania dwie ekspertyzy, do których nikt się nie kwapił, i parę napisanych przez innych, a wymagających poprawienia.

Dotyczyły oczywistych aferzystów, ale ich problemy dały się załatwić w granicach prawa.

Trzeba było tylko wiedzieć jak.

Marka zawsze bawiło naginanie przepisów do trudnych sytuacji.

Wymagało gimnastyki mysłowej.

Lubił to.

Miał przynajmniej zajęte godziny.

Resztę czasu zajmowało mu polowanie na Ewę.

Wykorzystał chyba każdą sposobność.

Boguccy musieli to przewidzieć i wyprzedzali jego ruchy.

Aż w poniedziałek w południe sama do niego zadzwoniła.

Nawet się nie przywitała, tylko od razu zaczęła na niego krzyczeć:

- Ojciec, co ty wyprawiasz, jak Boga kocham?

Takie były pierwsze słowa jego córki po przeszło dwóch latach.

Ale ton nie wydawał mu się teraz ważny.

Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, że jednak się do niego odezwała.

- Ewka - powiedziała szybko.

- Córeczko.

- Słuchasz, co ja mówię?

Czy ci¹gles³uchasz tylko siebie?

- Co ty mówisz?

Nie rozumiem ciê.

Zrobi³em co^æz³ego?

- Pytasz siê?

Nie rozumiesz?

Robisz mi taki obciach ijeszczeudajeszniewini⁴tko?

- Zlituj siê, dziecko, jaki obciach?

-Wszycysię ze mnie œmiej¹,¿e jakie stary pedofil mnie œledzi.

Choæ nikt na niego nie patrzy³, poczu³, ¿e siê czerwieni.

- Widzia³acê mnie?

70.

- Trudno, żeby nie.

Nie robić tego zbyt zgrabnie.

- Przepraszam, nie chciałem.

-To dlaczego tak się wygłupiasz?

- Dziadkowie bez przerwy cię pilnują.

Odwoż do szkoły, na basen, na fortepian, wszędzie.

A jak nie oni, to ciotka.

Miałem nieprzyjemną rozmowę z twoją babką.

Teraz ze zdwojoną czujnością strzegę dostępu do ciebie.

Chciałem ich przechytrzyć.

Tylko z tego powodu ta cała konspiracja.

Nie chciałem ci zrobić przykrości, przepraszam.

- Nie słyszysz, jak to głupio brzmi?

-Chciałem cię tylko zobaczyć, to wszystko.

- Aha, tylko tyle.

To słuchaj, za godzinę w parku Ujazdowskim, przy kaczkach, dobra?

Tona razie.

Wszystko nagłe straciło znaczenie wobec tych paru słów, które dla Ewy mogły zupełnie nie mieć znaczenia.

Może prosto zgodziła się spotkać z ojcem, żeby uwolnić się od jego nadzoru.

Nie potrafi³ dopuœciæ tej myœli do siebie.

Powiedzia³aprzeciê¿"przykaczkach", czyli tam, gdzie by³o im kiedyœ dobrze we dwoje.

Od kiedy nauczy³a siê chodziæ, zabiera³ j¹ do parku Ujazdowskiego karmiæ kaczki.

Z³apa³ taksówkê i dwadzieœcia minut przed czasem sta³ ju¿ namostku, z którego najlepiej by³o widaæ obie strony stawu.

Nareszcie móg³czekaæ na swoj¹ córkê jawnie, niekryj¹c siê patrzeæ, jak nadchodzi³a alejk¹ wzd³u¿ brzegu.

Oswajaæ siê z jej nowym wygl¹dem.

Nie by³a ju¿ dziewczynk¹, któr¹ zostawi³.

Kiedy siê zbli¿a³a, nie móg³ powstrzymaæ siê przed zerkaniem na jej ods³oniête brzuch.

Ostatnie dni by³y pogodne i wa³êsaj¹c siê poulicach Warszawy, zdumiewa³ siê powszechnoœci¹ tej nowej mody, któr¹adwa lata wczesniej dopiero siê zaczyna³a.

Przezwyciê¿ywszy pierwsze skrêpowanie, ju¿ po paru godzinach gapi³ siê zupe³niejawnie na obna¿one brzuchy obcych kobiet.

Tylko kolczyki w niektórych pêpkach budzi³yw nim odruch niesmaku.

Z lekkim niepokojem wypatrywa³ wiêc, co zobaczy u swojej córki.

Poczu³ ulgê, kiedy upewni³ siê, ¿e niem³a w pêpku¿adnej ozdoby.

Ona tymczasem zniecierpliwi³a siê.

- Noco, tato?

Bêdziemy tak staæ i milczeæ?

Mo¿e siê chocia¿ przywitamy.

Chcia³ j¹ wzi¹æ w ramiona, odniós³ wra¿enie, ¿e i ona przez chwilê mia³a na to ochotê.

Zanim siê zdecydowa³, ta chwila minê³a.

Ewa powstrzyma³a go wyci¹gniêt¹ rêk¹.

D³oñ mia³a niedu¿¹ i miêkk¹, ale mocn¹, nie podawa³ jej bezwolnie.

Uœcisak, zdecydowany i krótki, te¿ mia³ chyba stworzyæ wyraŹny dystans.

- Usi¹dziemy?

- spyta³.

71.

- Lepiej nie.

Możemy pogadać na stojąco.

Nie jesteśmy na romantycznej randce.

- Szkoda, bo w końcu stoimy na romantycznym mostku - próbowałam zażartować.

-Nie mojawina.

- Nie uśmiechnęła się.

Stali więc nadal, opierając się o barierkę.

Dziki kaczkami, przyzwyczajone, ludzie rzucają im coś do jedzenia, zbliżają się parami, czekają chwilę na kawę buźki, a nie doczekawszy się, odpływają zawiedzione.

- To czemuście chciały mi powiedzieć?

- ponagliła.

- Mówię, że chcę cię prosto zobaczyć.

-Fakt, mówię.

I co?

Napatrzyły się już?

I jakie wrażenia?

Coty sobie myślisz?

"Aleona wyrosła, a pamiętam ją tak malusi, jakrobiła kupki do pieluszek"?

Nie, przecież nie jesteśmy jedną z przyjaciółek babki, prawda?

To co?

Myœlisz to, co wszyscy faceci?

"Nie przypuszczam, œebêdzie juœ mia³a takie cycki ity³ek.

I ciekawe, czy ona juœ.

"?

- Dlaczego tak ze mn¹ rozmawiasz?

- spyta³ cicho iz pretensj¹.

- To znaczy jak?

Po prostu rozmawiam.

Próbujê coœ gadaæ, byle co, œebyœ sobie nie pomyœla³, œe nie chcê.

Dlaczego, chcê.

Ale niby jak mia³byœ ochotê, œebym to robi³a?

Mamy rozmawiaæ jak córeczka z tatusiem?

Chyba na to nie liczy³eœ?

- Dlaczego?

-A liczy³eœ?

No to proszê, spytaj: "A cotam w szkole, córeczko?"

". Dobrze, tatusiu.

Nie rewelacyjnie, aleda siê wytrzymaæ.

Z matmy nie jestem najlepsza.

Przykro mi, nie mam po tobie zdolnoœci doœcis³ych przedmiotów.

Interesuj¹ mnieraczej róż²nebrednie, ksi¹żki, filmy.

Jestem niepraktyczna.

Dziadków te²ż to martwi.

Chcieliby, żebym posz³a na prawo, zosta³a pani¹ mecenas, przy dziadzia uk³adach mia³abymbył zapewniony.

A zreszt¹, może itak zrobiê.

Czasy s¹ ciê²kie, nie ma pracy dla m³odych, wiêc trzeba myœleæ rozs¹dnie, co, nie, tatusiu?

No i co jeszcze chcesz wiedzieæ?

Czy popalam trawkê?

Niepopalam.

Niektórzy koledzy popalaj¹, ja nie, przynajmniej na razie.

Ekstazki te²ż nie zażywam.

Dziadkowie mnie pilnuj¹, jak zauwa²życie, nie puszczaj¹ na dyskoteki, na których mog³abym się demoralizowaæ.

I jak?

Zaspokoi³am twoj¹ ciekawoœæ?

- Wiem, że to trudne - powiedzia³.

- Ale niemożemy być dla siebie bardziej normalni?

Stali tak blisko siebie, że znów poczu³ wielkie pragnienie, byj¹ obj¹æ i przytulieæ.

Nie odwa²ż się.

- Chcia³byœ,¿eby znów by³odobrze?

- spyta³a.

-Nie ³udŸ siê,nie bêdzie.

Jakim cudem mog³oby byæ dobrze?

72.

Przez chwilę poczu³ się, jakby rozmawia³ z w³asn¹ matk¹, a nie z córk¹.

Już przedziejmatka by³abysk³onna szuka^æ s³ów otuchy, mog³aby powiedzie^æ: "Marku, musisz odnale^ÿæ z powrotem drogę do Boga.

On cię wys³ucha".

A może nawet po prostu: "Nie martw się, wszystko się u³o³y", sk³ama³aby, żeby go pocieszy^æ.

Ewa nie chcia³ak³ama^æ, a może i chcia³a, przecież w jej wieku k³amie si^êdu³o icz^êsto, jednak tego rodzaju k³amstwo nie mog³o jej przeje^æprzez gard³o.

- Moglibyśmy spróbowa^æ- powiedzia³ bez przekonania.

-Ja nie mog^ê.

- Potrze¹sn^ê³a g³ow¹.

-Co ty sobie wyobra³æ?

-e b^êdzie tak, jak dawniej?

Nie móg³ znale^ÿæ w³ac^æciwych s³ów.

Nie mogli zmienia^æ przesz³o^æci.

Zapomnia^æte³.

Chcia³by, żeby u³o³yli sobie przysz³o^æ mimo to.

Ale jak to powiedzie^æ?

Może dobrych s³ów w ogóle nie by³o.

- Tylko nie mów, że co si^êsta³o, to si^ê nie odstanie.

I że czas leczyrany, dobrze?

-powiedzia³a g³ucho,patrz¹c prostoprzed siebie, na rosn¹c¹ tuż nad wod¹
p³acz¹c¹ wierzbê, przy której terazjacyœ inniludziej dzieckiem karmili
kaczki.

- Nic takiego nie mia³em na myœli.

Tylko to, że nie przesta³embyæ twoim ojcem.

A ty wci¹ż jesteœ moj¹ córka¹.

- Mi³o s³yszeæ, że tak uważasz -rzuci³a sarkastycznie.

- Szkoda tylko, że tak późno.

Przez dwa lata ani raz mi o tym nie przypomni³œ.

- Próbowa³em.

Na ile to by³o możliwe, próbowa³em.

Todziadkowie nie oddawali ci moich listów.

Dzień po dniu stawiali ciê przeciwko mnie.

Sama powiedz, czy tak nieby³o.

Nie powinien tego mówiaæ.

Wygl¹da³o tak, jakby z siebie chcia³zrobiæ ofiarê.

- Nie bédêo tym rozmawiaæ - zniecierpliwi³a siê.

- Nie wydaje mi siê, żebyœ mia³ prawo ichos¹dzaæ.

Gdyby nie oni, trafi³abyś do domu dziecka.

Muszę już iœ.

- Zaczekaj.

Jeszcze cię urażę.

- Nie urażę mnie.

Po prostu nie mam więcej czasu.

Chciałbym tylko zobaczyć, prawda?

No to zobacz.

Zadowolony?

Toczy.

I po prostu odeszła.

Nie powiedziała nic.

Nie próbował jej zatrzymać.

Patrzył za nią, jak oddalała się brzegiem stawu, a potem wysadzał kasztanami alejką, z plecakiem zarzuconym niedbale na jedno ramię, zrękami wkieszeniach dżinsów, bezopieczu, kołysząc biodrami.

Przez chwilę się zastanawiał, czy robił to specjalnie, na jego użytek, czy tak już po prostu chodziła, jak kobieta.

Potem już zagłuszył wszystkie myśli.

Nawet się nie obejrzał.

73.

Czu³, że Karolina odejdzie, że zrobi to znowu.

Nie by³zdziwiony, przecie; niezostawia³a go pierwszy raz.

Niechcia³ siê narzucaæ, nie by³ ju; smarkaczem.

Nawet niemia³do niej ;alu.

Mo;etylko o to, że nie powiedzia³a mu wszystkiego jasno przy po;egnaniu.

Sprawi³a, ;eteraz czu³siê jak idiota.

Najpierw przez kilka dni jej telefon by³ poza zasiêgiem.

O wszystkich porach dnia i nocy.

Próbow³a udawaæ, że to normalne, że Karolina pewnie tropi wilki w odleg³ych pasmach górskich przy samej granicy.

Któregoœdnia uda³o mu siê zadzwoniæ do stacji badawczej akurat w momencie, kiedy tam by³a.

Nie przedstawi³ siê iktoœzawo³a³ j¹do telefonu.

Wyczu³ w jej g³osie zaskoczenie, jakby spodziewa³a siê kogo innego.

Robi³awiele, ;eby uwierzy³, że sprawi³ jej radoœæ, ale on by³ podejrzliwy.

- Trudno ciê z³apaæ - powiedzia³.

- Wiesz, prawie ca³yczas siedzê w lesie.

Nawet nie zabieram z sob¹ telefonu, bo to bez sensu.

- A gdyby coœ siê sta³o?

-Mam krótkofalówkę, w razie czego.

- Jasne.

Ale mejla mog³abyœ wys³aæ.

Od czasu do czasu chybawracasz do ludzi?

- To takie bezosobowe.

- Zaskoczy³a go.

-Napiszê do ciebielist.

A teraz muszê lecieæ, przepraszamciê.

Czekaj¹na mnie.

Dotrzyma³as³owa.

Trzy dni póŹniej dosta³ kopertê z piecz¹tk¹poczty wmiasteczku.

Pisa³a:

Proszê ciê, nie ponaglajmnie.

Po naszym rozstaniu poczu³am, Ÿesiê pogubi³am.

Muszê najpierw dojœæ ze sob¹.

do ³adu.

Nie b¹dŹ z³y.

Daj mi trochê czasu, odezwê siê, obiecujê.

Marek nie by³z³y.

By³ wœciek³y.

Przez jakieœ dwie godziny.

Najbardziej go zabola³o, że przepowiednia Miko³aja sprawdzi³a się tak prędko.

Potem w³czy³ myślenie ogniew zaczą¹³ mijać.

Przecież z góry wiedzia³, że tak może się skończyć.

Sam przekonywa³o tym Karolinę.

Ani nie mia³ prawa oczekiwać od niej zbyt wiele, ani nie by³obyło m¹dre.

Nie by³ smarkaczem, żeby i¹dać: wszystko albo nic.

Nauczysz się, że w życiu nigdy nie ma wszystko, jeżeli już, to nic.

Nawet gdyby mia³ymu zostały tylko wspomnienia, to też by³o coś.

Tej nocy znów d³ugo nie spa³, rozmyślaj¹c o tym, co przydarzy³o się im w poprzednim życiu.

Wcale nie rzuci³a mu się w ramiona od razu.

Joanna podejrzewa³a go o zdradę o wiele wcześniej.

W pewnym sensie mia³a

zreszt¹ racjê: przez ca³y ten czas zdradza³ j¹ myœlami.

Z dzia³aniem siê nie œpieszy³, odk¹d na samypocz¹tku, kiedy tylko Karolina zaczê³a pracê w jego sztabie wyborczym, spróbowa³ siê spoufaliæ, a ona brutalnie przywo³a³a go do rzeczywistoœci:

- Tego nie mam w obowi¹zkach, panie wiceministrze.

Od tejporospêdzali ze sob¹ du¿o czasu, ale zawsze w towarzystwie.

Ibez przerwy pod obserwacj¹.

Karolina bardzo tego pilnowa³a.

Nie by³ookazji nawetdo bardziej poufa³egospojrzenia, niemówi¹c o gestach.

Zmieni³o siê todopiero pod koniec kilkudniowej trasy po Warmii i Mazurach, maj¹cej wspieraæ miejscowych kandydatów.

Podrój wszystkich bardzo zmêczy³a.

By³ tonajgorszy teren, na którym partia Markaju¿ dwa razy ponios³a kompromituj¹c¹porazkêz by³yimi komunistami.

Ludzie z dawnych pegeerów, pogr¹¿eni teraz w biedziei pijañstwie, winili demokratów za swoj¹ klêskê, zanajwiêksze wEuropie bezrobocie i brakprzysz³oœci.

Patrz¹czokien wyborczego autobusu napopadaj¹ce w ruinê chlewniei obory, resztki rozszabrowanych kombajnów, rdzewiej¹ce na podwórkach,naorne pola le¿¹ce od³ogiem a¿ po horyzont, Mareksam przestawa³ wierzyæ w swoj¹ mowê wyborcz¹, choæ wczeceniejuwa³a³, ¿e by³a bardzo dobra.

Lubi³ to wyst¹pienie tak¿e dlatego, ¿e przygotowa³ je wspólnie z Karolin¹, niezast¹pion¹, kiedy trzeba by³orysowaæ perspektywy nowego,

ekologicznego rolnictwa, rozwoju agroturystyki i przyszłego dobrobytu, który przyjdzie wraz z nimi.

Robiła toż wiara, która się udzielała.

Tylko że tutaj jej zakłócanie działały.

Na spotkaniach przedwyborczych pojawia się zwykle garstka wolenników, którzy chcieli choć dwie godziny spędzić z poczuciem, że nie są samotni.

Jeżeli pojawiali się nieprzekonani, na których Markowi najbardziej zależało, to tylko po to, żeby zmanifestować swój wrogość.

Tak się stało w aenie ostatniego dnia trasy we wsi pod Ostród, gdzie kiedyś mieściła się centrala gigantycznego kombinatu pegeerów.

Salę wypełniła szczególnie tłum mężczyzn, przeważnie niestarszych, zniszczonych pracą i alkoholem.

W powietrzu wisiał ciężki odór niemytych ciał i wrogości, a słowa Marka przerywały raz po raz nieprzyjazne pomruki.

Wreszcie wstał jeden z nich, chyba najstarszy i najbardziej zniszczony, ale trzymając się prosto i gładnie.

- Wracajcie do Warszawy, panie kandydat - przemówi z wyraźnym wschodnim zaakcentowaniem.

- I powiedzcie swoim, że tutaj niedostaniecie ani jednego głosu.

Marek się uśmiechnął.

- Niech pan mówi za siebie.

- Tu wszyscy myœel¹ tak samo.

Jakmaj¹ myœeleæ?

Kiedyœ Polacy wypêdzili nas z naszej ziemi, ukradli nasze domy, si³¹ przywieŸlinas tutaj.

Teraz zabrali nam pracê, na powrót zrobiliz nas Ÿebraków.

Nie uwierzemyjuŸ w Ÿadne bajki.

Powinien to przewidzieæ, przecieŸ wiedzia³, kogomia³ przedsob¹.

Na salizebrali siê Ukraiñcy, których przedlaty przesiedlono z gór do tej mazurskiej wioski.

Mówili po polsku, chodzili pewnie dopolskiego koœcio³a, bo w pobliŸunie by³o cerkwi, ale wci¹Ÿ mieli poczucie swojej ukraiñskiej krzywdy.

Ogarnê³o go zniechêcenie.

Nie mia³ochoty z nimi dyskutowaaæ.

Polacy z tych okolic teŸ stracili pracê i widoki na przysz³oœæ.

Dzieliliten sam los.

Ukraiñskie pretensje wyda³y mu siê niesmaczne iniewarte jego czasu.

Po nieudanym spotkaniu wymyœeli³ jakieœ nag³e wezwanie dostolicy, pretekst, Ÿeby on i jego asystentka nie jechali juŸ dalejwyborczym autobusem.

Karolina wyj¹tkowo nie próbowa³a przeszkadzaæ w jego kombinacjach.

Zostali w Ostródzie, sk¹d wieczorem odchodzi³ poci¹g do Warszawy.

Do odjazdu mieli jeszcze parê godzin, poszli nad jezioro.

Usiedli na³awce przy deptaku, z widokiem na drewniany pomost i pomarszczon¹ taflê wody, naktórej samotna, a glówkahalsowa³a na tle czerwieniej¹cego horyzontu.

Poczu³ nag³e zmêczenie.

Nie chcia³o mu siê nawet odzywaæ.

Specjalnie tak wykombinowa³, ¿eby zostali sami, a teraz nawiêcej nie starczy³o mu energii.

Zw³aszcza kiedy pomysla³, ¿emia³by podj¹æ jeszcze jedn¹ próbê skazan¹ na niepowodzenie, jak poprzednie.

Siedzieli, ¿ d³ugo i w milczeniu, kiedy poczu³ lekki dotyk jej paznokci.

Podrapa³a go lekko powierzchu d³oni.

Spojrza³ na ni¹.

- Nie b¹dŸ z³y - powiedzia³a.

- O co?

- Nie bardzo nam to wysz³o, co, panie wiceministrze?

- Nie twoja wina.

- Moja.

Powinna³am pamiêtaæ, ¿e tu mieszkaj¹ wypêdzeni z gór Ukraiñcy, sprawdziaæ to.

Przecie¿ pochodzê z ich stron, dobrze ich znam.

Zawali³am.

- Nie przejmuj siê.

Pieprzyć ich.

- Nie mówtak.

Powinam wszystko lepiej obmyśleć.

Tak, żeby ci uwierzyli.

Nie można nikogo pieprzyć, kiedy chce się wygrać wybory.

Odruchowo objął ramieniem.

Nie odsunęła się.

To zapewne nie znaczyło.

Serce zaczęło walić nieregularnie.

Próbowała zapanować nad sobą, nie chciała, żeby poczuła, jak bardzo się zdenerwowała.

Musiała to powiedzieć, nie mogła nie spróbować jeszcze raz, choć przecież wiedziała, jaka będzie odpowiedź.

- Nie jedźmy dzisiaj do Warszawy - odważ się.

- Zostańmy tu do jutra.

Odrzuć ją od razu.

Już raz go odrzuciła.

Narażając się ponownie na odmowę, stawia się śmiało nawet we własnych oczach.

Toteż w pierwszej chwili aż nie mógł uwierzyć, kiedy usłyszał:

- Dobrze.

Powiedziała to cicho i spokojnie, nie odwracając wzroku od jeziora, za którym słońce zachodziło w cieniu czerwono, niczym w filmowym melodramacie.

- Mówisz poważnie?

- wyrwał mu się jak smarkaczowi.

- Aty?

- Oczywiście.

- Ja też.

Musiała coś zrobić, od razu, natychmiast, żeby nie zmarnować tej chwili.

Nachyliła się nad nią, uważając, żeby nie zrobić tego zbyt gwałtownie, dać jej i sobie czas, by się cofnęła.

Jednak tym razem Karolina nie cofnęła się.

Spytała tylko:

- A twoja żona?

Nie będzie na ciebie czekać?

- Moja żona jest za granic¹ - rzuci³, nieprzyjemnie zdziwiony jej pytaniem, jakby nie mia³a prawa gozadać.

-Aha.

To się nawet dobrze sk³ada, prawda?

Patrzy³a mu w oczy poważnie, kiedy dotyka³ jej warg.

Odda³a poca³unek powoli, ale już przed nim nie ucieka³a.

Niecierpliwie sun¹³ jej d³oń pod spódnicę, przeklinaj^{1c} s³u; bow¹ elegancję, która kaza³a jej w³o; yæ rajstopy.

Czu³ się trochę cieżnio, jak na pierwszej randce w liceum, pokonuj^{1c} nieporadnie tę przeszkodę.

Karolina pomaga³a mu w tym ruchami bioder, więc w końcu dotar³ tam, gdzie chcia³.

Opad³a całym ciężarem do ty³u, na jego ramię, wysunę³a biodra naprzód, rozchyli³a uda i pozwoli³a jego palcom wci¹gnąć się do środka.

Chwyca³a zębami jego wargę, cicho pomrukuje^{1c}, wyprę³y³a się, westchnę³a i na chwilę zacisnę³a się mocno na jego palcach.

S³ońce tymczasem zaszo, od jeziora poci¹gnę³och³odem.

Karolina wywinę³a się z jego objęć, poprawi³a rajstopy, obci¹gnę³a spódnicę,

- Co my robimy?

Przecież tu są¹ ludzie.

Chodź, poszukamy jakiegoś pokoju.

Znaleźli miejsce w podupadłym hotelu Panorama, pamiętajcym czasy komuny.

Pokój był bez azienki, a zaczęci nasowali pijani goście, ale im było wszystko jedno - kochali się z krótkimi przerwami aż do świtu, potem zagotowali wodę grząską i pili poranną kawę w otwartym oknie, otuleni jednym kocem, patrzyli na zamglone jezioro, miasteczko za nim, wieże gotyckich kościołów

i zamek, w którym po drodze na Moskwę zatrzyma się Napoleon. Kiedy wzeszło słońce, wrócili do pokoju i spali, a obudziła ich pokojówka, bo skończyła się doba hotelowa.

Ta jednak musi mu wystarczyć na długo.

Nawet teraz:

kiedy miał już nowe wspomnienia, tamto wciąż wracało.

Nietraci nadziei, że Karolina też wróci.

Musiła się tylko tym uporać, jak napisać.

Tymczasem pogrzebał się w apatii.

Karoliny nie było, córkanie chciało go widywać.

Tracił motywację.

Zmuszał się jeszcze, by poświęcać gdzie przynajmniej godzinę dziennie, a robiło to coraz bardziej naciężnie.

Większość czasu spędzał, wódcą się bez celu po ulicach Warszawy i brzegami Wisły, jak w czasach swego pierwszego buntu, kiedy urywał się z liceum na węgry.

Czekał.

Któregoś dnia obudził się i miał już dość tego czekania.

Dojrzał do decyzji, żeby wynająć schronisko na Wilczym Przesmyku, nie oglądając się na to, jak dalej ułoży mu się Karolin.

Jedno nie powinno zależeć od drugiego.

Czuł potrzebę, żeby wszystkim to udowodnić.

Choæbardzo by³o mu to nie na rêkê, musia³ poprosiaæ Miko³aja, ¿eby pod¿yrowa³ mu po¿yczkê.

W banku dowiedzia³siê, ¿ejego mieszkanie nie mog³obyæ wniesione jako zabezpieczenie kredytu,bo zg³aszalido niegopretensje Boguccy.

Teææ uwin¹³ siê b³yskawicznie.

Teraz Marektym bardziej siê zawzi¹³, bydoprowadziaæ swój plan dokoñca.

- Proszê ciê, przemyœl to jeszcze - powiedzia³ Miko³aj.

Gadanie starego te¿ corazbardziejMarka z³oœci³o.

- Ju¿ przemyœla³em - rzuci³ ostro.

- Uwa¿asz, ¿e mia³em za ma³o czasu doprzemyœleñ?

Jeœli nie chcesz mi pomóc, powiedzotwarcie.

Poradzê sobie inaczej.

- Nie chodzi oto, ¿e nie chcê.

Wiesz, ¿e zawszeci pomogê, iletylko bêdê móg³.

- No too co?

-Niepowinieneæ siê kryæ jakwilk po krzakach.

Pope³ni³eæ.

b³¹d, ale odpokutowa³eæwinê.

Nie próbowa³eæ unikn¹æ kary.

Tobudzi szacunek, ludzie to doceniaj¹.

Mo¿esz wszystkim spojrzeæw oczy.

- Nie chcê spogl¹daæ w niczyje oczy.

-I tomi siê w³acenie nie podoba.

Dlaczego nie chcesz byæ so.

b¹? Jesteś potrzebny tutaj, a chcesz zaszyć się na odludziu.

Już zaroknowe wybory.

Mog¹ zdecydować na drugo, w którą stronę pójdzie ten kraj.

Już ci to nie obchodzi?

- Jeżeli macie wygrać, wygracie beze mnie.

A przed klęską jana pewno wasnie uratuję.

- Tchorzysz czy zrobię się taki wygodny?

- Nie truj, Mikołaj.

- Jak mam nie truć, kiedy zachowujesz się jak dziecko?

Dlaczego ty koniecznie chcesz naśladować swojego ojca?

Poczuś się głęboko dotknięty tą uwagą.

- Nikogo nie chcę naśladować.

A gdyby nawet, to co?

Uważasz, że ojciec nie był godny naśladowania?

- Oczywiście, że tak.

Wtedy.

Dziś to bez sensu, wybacz.

Andrzej miał powody, żeby się ukrywać.

Takie były czasy, że nie mógł zrobić nic innego.

Ty nie masz powodu.

- Tak ci się wydaje?

-Ten powód, który masz namyœli, mniemie przekonuje.

- Nie lubisz jej,co?

-Tegonie mówiê.

Prawie jej nie znam.

- Przyznaj,wola³eœ Joannê?

-Sam zacz¹³eœ, wiêc powiem ci, ¿e tak.

Twoja ¿ona nie by³abez wad, ale mia³a klasê.

To by³a prawdziwa dama.

- Co ty gadasz, Miko³aj?

-e Karolina nie ma klasy?

- Ja tego nie powiedzia³em.

-Pl¹czeszsiê.

- Chodzi mi o to, ¿e ty po prostu do niej nie pasujesz.

Nie widzisz tego?

- Jajuz do nikogo nie pasujê, Miko³aj.

Tylko ¿e na pustelnikate¿ nie jestem stworzony.

- W³acenieca³y czas ci to t³umaczê.

Powinieneœ wróciædo ludzi,do dzia³ania.

Widzisz, kto prze do w³adzy.

Demokracja potrzebuje dzisiaj ka¿dego, bardziej ni¿ kiedykolwiek.

- Zag³osujêna was, obiecujê ci.

Na wiêcej nie licz.

- Bêdziesz; a³owa³.

Nikt tego nie zrozumie.

Zniechêcisiz ludzido siebie, a wtedy powrót bêdzie du;o trudniejszy.

- Nie mam takich planów.

-Chyba nie wiesz, co mówisz.

Spotkaj siê chocia;z dawnymi kolegami, porozmawiaj.

- Nie masz sprawy.

Za jakiœ czas zapraszam wszystkich dochroniska.

Możesz im to w moim imieniu przekazaæ.

- A widzisz?

I ty mi wmawiasz, że nie chcesz naeladowaæ ojca?

Jemu te; siê ubzdura³o, że stworzyw górach azyl dla wszystkich niespokojnych duchów z opozycji.

Tylko że wtedy to mia³o jakiœ sens.

79.

- Daj spokój, Miko³aj.

Co ty gadasz?

- To ty daj spokój.

Proszêciê, nie pope³nij tych samych b³êdów.

- Masz wyrzut sumienia?

Niepotrzebnie.

To by³o tak dawno.

Już prawie zapomnia³em.

- Przynajmniej nie k³am, Marku.

Nigdy mi nie darowa³eœ, wiem o tym.

Miko³aj mia³ racjê, Marek k³ama³.

Choœ mija³o już trzydzieœcilat, jak zgin¹³ jego ojciec, nie zapomnia³ niczego.

Choœwola³by.

Wszystko by³obydużo ³atwiejsze.

Ale nieumia³.

- Nie k³amiê.

Kiedyœ może.

rzeczywiście.

Dziœ to już nie ma znaczenia.

- Sam w to nie wierzysz.

Niczego nie zapomniacie.

Ja też nie.

Próbowałem, ale to na nic.

Na odwrót, im jestem starszy, tym częściej to domnie wraca.

- Zwłaszcza po whisky - nie wytrzyma Marek.

- Tego nie musiałeś mówić.

- Wiem.

Przepraszam.

Nie byłbym szczery.

Nie wiedziałem dlaczego po raz pierwszy od drugiego czasu znów poczułem odruch zazdrości i żalu do Mikolaja.

Jak wtedy, gdy był jeszcze dzieckiem i czucia brzoży w nim górę nad rozsądkiem.

Mikolaj naprawdę nie byłby niczemu winien.

Przeciwnie, to Szajba, jak zwykle, zachowywał się nieodpowiedzialnie.

Niepierwszy raz prowadzi motocykl po pijanemu.

Nie zmieniało to jednak faktu, że Mikolaj nie pojechał z nim wtedy do schroniska.

Stchórzyłeś, posłuchałeś głosu rozsądku, pokłócili się?

Co za różnica?

-y, ojciec Marka nie.

Marek wiedział, że jego ojca nie można było powstrzymać.

A już kiedy wypię, to tym bardziej.

Nie darmo przeżywanego Szajba.

Czybyoby lepiej, gdyby Mikoaj wsiad naten motor razem z nim?

Może zginęliby razem.

A może obaj żyliby do dzie.

Nate pytania nie byoodpowiedzi, musia się z tym pogodzi.

- Andrzej się zamota - powiedzia Mikoaj.

-Ty też.

Proszę, zrób coś z tym, zanim będzie za późno.

Nie mógł nie przyznać staremu racji.

Tamtej zimy, kiedy ojciec powiedział mu o wilku, on też widział towarzysza, choć miał dopiero dziesięć lat.

Jeszcze tylko w trakcie wędrówek po lesie ojciec wydawał się w miarę spokojny, nawet wesoły.

W domu zaraz zaczynał kłócić się z matką albo z dziadkiem.

W końcu szedł do baru w wsi i upijał się z chłopami, a od czasu do czasu brał plecak, jechał do Warszawy i znikał na tydzień albo dwa.

Mieszkał wtedy w jakichś zakonspirowanych mieszkaniach, gdzie spotykali się działacze podziemia, opozycyjni poeci kręcili się wokół nich kobiety.

Całymi nocami naprawiali świat, czytali swe marne wiersze, a przede wszystkim pili na umór albo robili jeszcze coś gorszego.

Tak przynajmniej żaliła się matka, siostra, że ojciec ze swymi przyjaciółmi "robił jeszcze gorszego", należała do jej ulubionych.

Przez jakiś czas Marek sidił, że "coś jeszcze gorszego" oznaczało podkucie bomb albo rabowanie banków w celu zdobycia pieniędzy dla tajnej organizacji.

Z czasem zaczęła lepiej rozumieć, co matka miała na myśli, wykrzyknęła swoje pretensje do pustych ścian ich pokoju, ale tak, że słyszeli je dziadkowie Nowiccy w drugim końcu mieszkania, a nawet gajowi w biurze.

Z dziadkiem matka żyła w stanie cichej wojny.

Stary leśniczy Nowicki nie nienawidził tego, co robił jego syn, uważał jednak, że to wina synowej.

Jego życiowe zasady były proste: to kobiety powinny się starać, żeby mężczyzna chętnie wracał do domu.

Jeśli ktoś pije, bije po pysku i lata za dziwkami, że ona powinna mieć pretensje tylko do samej siebie.

Zdaniem dziadka to fanaberie i pretensje matki doprowadziły do tego, że ojciec zaczął pić i spiskować przeciw Polsce Ludowej.

Matka z kolei uważała, że jej mąż miał tak dość rodziny Nowickich, że w końcu musiał się zbuntować.

Marek nosił domowe niesnaski coraz gorzej, jakby przeczuwał, że to wszystko musi się skończyć jakimś nieszczęściem.

Następnej jesieni ojciec znowu zaczął snuć mrzonki o wynajęciu schroniska pod Wilczym Przesmykiem.

Próbował nakłonić Mikołaja, żeby i on zaangażował się w to przedsięwzięcie.

Choć niewiele starszy, Mikołaj był wtedy kimś w rodzaju guru dla grupki studentów i młodych wykształconych ludzi, którzy konspirowali przeciw komunie.

Jeden ojciec mógł się z nim prawie równać, może dlatego, że obaj chodzili po górach, a może też z innych powodów.

Wydawało się, że Mikołaj gotów był nawet zdobyć jakieś pieniądze.

Należał już wtedy do największych wóródludzi opozycji zwolenników historycznego pojednania z Ukraińcami.

Chyba spodobał mu się pomysł urządzania miejsca tajemnych spotkań w okolicy, gdzie kiedyś, przed wielu laty, Polacy i Ukraińcy żyli w posiedzkim zgodzie.

Marek dobrze zapamiętał przyjazd Mikołaja do Wilczej Polany, bo atmosferę domu od razu zrobiła się nieznośna.

Najpierw dziadek pokłócił się z Kiedroniem o politykę.

Później matka zrobiła mu awanturę, że odciąga ojca od rodziny.

Nawet Marek rozumiał, że to nie była prawda.

Ojciec się zdenerwował, zabrał przyjaciela i namotori pojechali.

Pogodzenie sprzyjało motocyklowym wyprawom, w końcu spadł pierwszy listopadowy śnieg.

Potężnym junakiem nawet w takich warunkach można jednakby³o dojechaæ wszêdzie.

Pod warunkiem, że kierowca nie ustêpowa³ spraw.

noœci¹ maszynie.

Oni tymczasem w drodze do schroniska zahaczyli o wiejski bar.

Parê godzin póŹniej ojciec pojecha³ dalej sam, a Miko³aj wsiad³ do autobusu i wróci³ do Warszawy.

Kiedroñ nigdy siê nie przyzna³, o co siê naprawdê pok³ócili.

Zw³oki Andrzeja Nowickiego znaleŹli drwale dopieropodwóch dniach ww¹wozie obok leœnego traktu na Wilczy Przesmyk.

NajwyraŹniej, kiedy zjecha³ z drogi, próbowa³ siê jesczeratowaæ.

MoŹe w³œnienie to go zgubi³o.

Wywróci³ siê dopiero kilkadziesi¹t metrów niŹej, w miejscu z góry niewidocznym.

œlady opon przysypa³œnieg.

~y³ jeszcze kilka godzin.

Zanim straci³ przytomnoœæ, prawdopodobnie stara³ siê wydostaæ spod motocykla z³aman¹ w udzie praw¹ nogê, ale przeros³o to jego si³y.

Markowi, od kiedy pozna³ szczegó³y, nie dawa³ spokoju jeszcze jedna rzecz.

Ktoœ by³ przy ojcu przed drwalami.

Wokó³ zw³ok zosta³ niedo koñca przysypane œlady dwóch ludzi i psa.

Jœli wzi¹æ poduwagê czas, kiedy œnieg przesta³ sypaæ, ranny móg³ jeszcze wtedy Źyæ.

Tajemniczych leœnych wêdrowców z psem nigdy nieznaleziono.

Miejscowa milicja szybko umorzy³a  ledztwo,  emier  AndrzejNowickiego uznaj¹c za typowy wypadek po pijanemu na motorze, jakich w okolicy zdaⁱⁱ/siy si .

co iokvi A esy¹tky.

- Ja si  nie szamocz  - powiedzia³Marek.

- Ja w³acenie pr buj wszystko uporz¹dkowa .

Dlaczego ci to denerwuje?

Mo emaszpow d?

Nigdy mi nie powiedzia³e , dlaczego zostawi³e  wtedy ojca samego.

- A pyta³e ?

-Pytam teraz.

O co si  pok³ cili ecie?

Miko³aj poci¹gn¹³ spory ³ykwisky, potem d³ugo grza³ szklank  w d³oniach.

- Bylic my pijani,to wszystko.

-Wygodne t³umaczenie.

To ty by³e  ten starszy, bardziejdo wiadczony.

Mentor, duchowyprzewodnik.

I akurat wtedy musia³e  wypa   z roli?

- Po prostu niechcia³em, eby w tym stanie jecha³ na motorzedoschroniska.

My ela³em,  e beze mnie si  nato nie zdecyduje.

Wykręty starego wydały się Markowi mało przekonujące.

A i tak były to jego pierwsze od trzydziestu lat słowa na ten temat.

Ważenie to sobie uświadomił.

- A może po prostu pękł, co?

- spytał zaczepnie.

- Przestraszył się o swoje cenne życie?

- Nie muszę dowodzić swojej odwagi.

Siedział w więzieniu, Marku - odpowiedział cicho stary.

- Wszyscy to wiedzą.

Nie twierdź, że jesteś cykor.

Ale może.

nie by³oæ a^ç tak szaleńczo odwa^çny, ^çeby wsi¹oæ na motor z pijanym Szajb¹?

Miko³aj westchn¹³ ciê^çko.

- Trudno, pomogê ci.

Spróbuj dzikiego ^çycia z twoj¹ wilcz¹ narzeczon¹.

Widocznie musiszprzez toprzej^{oæ}, ^çebyprzejrze^æ na oczy.

Po tych s³owach Marek najchêtniejzostawi³by starego z jegobutelk¹ i nie ogl¹da³ nigdy wiêcej.

Tylko ^çe wtedynie za³atwi³bysprawy, z któr¹ przyszed³.

- Dziêki - powiedzia³.

- Wiedzia³em, ^çe mogê na ciebie liczyæ.

17

Zauwa^çy³ j¹ dopiero w ostatniej chwili.

Siedzia³a na schodkuprzed wejściem do blokui patrzy³a na niego niepewnie.

Podnios³asiêz wahaniem.

Objêli siê w milczeniu.

Nie potrzebowali nicmówiaæ.

Marek jakby zapomnia³ o tygodniach, zbiegiemktórychpogr¹ç³ siê coraz g³êbiej w beznadziei, przyj¹³ jej powrót jakcoæ, co od pocz¹tku by³o oczywiste.

Dopiero po chwili spyta³:

- Dlaczego nie zadzwoni³ac?

- ebyœ niemia³okazji powiedzieæ, ¿ebym sobie posz³a do diab³a.

- G³upia.

Ju¿ w windzie zacz¹³j¹ rozbieraæ.

Pozwoli³a murozpi¹æ stanik,ale kiedy chcia³posun¹æsiêdalej, chwyci³a go za przeguby.

- Zaczekaj.

Mamy czas.

Nigdzie mi siê nie œpieszy.

U niego najpierw tañczyli trochê bosona dywanie, przysiadalina wci¹¿ jeszcze z³o¿onej kanapie, wypijali po parê³yków, ca³owali siê, znów tañczyli.

Rozbiera³ j¹ powoli, bezpoœpiechu.

Trochêsiêba³, ¿e spotka go zawód, ¿e Karolina nie bêdzie ju¿ taka, jak¹j¹ zapamiêta³sprzed dwóch lat.

Dopiero terazzaczê³o tobyæwa¿ne.

W górach, kiedy uprawiali mi³oœæ szybko i gor¹czkowo w samochodzie, w schronisku przy blasku ognia i wlesie na ziemi, niemyœla³ o tym.

Teraz chcia³by minione lata wykreœliæ, jakby ich nieby³o.

Zanimstanê³a przed nimca³kiem naga, wypi³a ju¿ sporo wina, jakby chcia³a dodaæ sobie tym odwagi.

Widaæ ona te¿ mia³aobawy.

Niepotrzebnie.

- I co?

Ci¹gle ci siê podobam?

- Ju² zawsze bêdziesz mi siê podobaa^æ.

-K³amca.

- Wiesz, ²e nie k³amiê.

-Nic nieszkodzi, k³am.

A kiedy bêdê stara, pomarszczonai obwis³a,k³amtym bardziej.

83.

- Wtedy ja już będę ca³kiem ołepy.

-Znam ciê.

I tak będziesz podgl¹da³.

Wka³dym razie niechciê Bógbroni mówiæ prawdê.

Przysiêgnij.

- Przysiêgam, że zawszebędziesz mi siêpodobaa.

-Widzisz?

Znów siê wykrêcasz.

- Od niczego siê nie wykrêcam.

Pchn¹³ j¹ delikatnie w stronê kanapy.

Cofa³a siê pos³uszniew rytm muzyki, a³ opar³a siê o kanapê.

Wtedy powstrzyma³a go.

- Zaczekaj - szepnê³a.

- Na mojej poœcieli, dobrze?

Przebieg³a przez pokój, przykucnê³ przy swojej torbie podró³nej.

Otwar³a zamek i wyda³a ze œrodka przeœcierad³o i poszewki.

Nawet nie mia³ czasu siê zdziwiæ, że pomyœla³a o takich drobiazgach.

Kiedy œcieli³a, obejmowa³ j¹ niezgrabnie.

- Nie przeszkadzaj!

Opêdza³a siê od niego tyłkoma niby; g³os mia³acoraz bardziej schrypniêty, kiedy jej dotyka³, czu³ stwardnia³e sutki i œliskie

uda, jeszcze siê oci¹ga³a, oblekaj¹c starannie koc i poduszki, dr^za³a naca³ym ciele, skończy³a, zaœmia³a siê nerwowo, osunê³a siê na pachn¹ce krochmalem przeœcierad³o, poci¹gaj¹c go na siebie.

Dopiero teraz robili to po raz pierwszy spokojnie, w œwietle nocnej lampki, ledwo przyœmionym przez abażur, przy winie i muzyce z p³yt.

Jak nigdy dot¹d.

Jakby w koñcu uwierzyli, że oni te^z maj¹ do tego prawo, do mi³oœcibez strachu, poœpiechu i poczucia winy.

Nie zapomnia³ jej cia³a.

Wreszcie móg³ siê przekonaæ, że tak.

by³o naprawdê, że wci¹ż je pamiêta³.

Patrzy³ na ni¹ przez ca³yczas w œwietle nocnej lampki, rozpoznaj¹c wci¹ż bardziej tê Karolinê z ich pierwszej nocy w Ostródzie, zobaczy³rumieniec ogarniaj¹cy jej szyjê i piersi, jej okr¹g³y brzuch, faluj¹cy pod nim; za³ka³a cicho, podrzuci³akilka razy kurczowo biodrami i opad³abezw³adnie, potem skuli³a siê, objê³a go mocno, zaciskaj¹c powieki i wargi.

Kilka chwil pó³niej spa³a z g³ow¹na jego ramieniu, a on wci¹ż patrzy³, bo w³acenie tak¹, nag¹ i bezbronn¹, we œnie widzia³ zawsze, ilekroæ przywo³ywa³jej wspomnienie po tym, jak go rzuci³a.

Zrobi³a to zaraz po powrocie z Ostródy do Warszawy.

Jej odejœcie kompletnie go zaskoczy³o.

S¹dzi³, że ich romans potrwa parê miesiêcy.

Zacz¹³ siê ju^z rozgl¹daæ za niekrêpuj¹c¹ kawalerk¹ niezbyt daleko od centrum, a najlepiej w zasiêgu metra.

Do sztabu wyborczego jechał radosny i pełen planów na najbliższe dni.

Kiedy mu powiedzieli, że Karolina w końcu zrezygnowała z pracy, nie mógł uwierzyć.

Nie rozumiał, co jej się stało.

Przyszło mu do głowy, że nie chciałaby czytać romansu z kampanii.

wyborcz¹.

Taka prostolinijnoœæ trochê go nawet rozczuli³a.

Wyszed³ z budynku, ¿eby zadzwoniaæ doniej bez œwiadców.

S³onecznapogoda nastraja³a go optymistycznie.

- Co ty siê wyg³upiasz?

- spyta³, jeszcze nie przeczuwaj¹c, co za chwilê us³yszy.

-Dlaczego mi nic nie powiedzia³ac?

Wracaj dopracy.

Jesteœnam potrzebna.

- Nie s¹dzê - odpowiedzia³a jakimœ dziwnym, oficjalnym tonem.

- Comog³amdla ciebie zrobiaæ, ju¿ zrobi³am.

- Dobrze, nie przyje¿d¿aj dzisiaj, jeœli nie jesteœ w formie.

Muszê wracaæ.

Pogadamy, kiedy spotkamysiê wieczorem.

- Nie spotkamy siê.

-O czym ty mówisz?

Byliœemy umówieni, prawda?

Czegoœ tunie rozumiem.

- Obawiam siê, ¿e niczego nie rozumiesz.

-Wiêc mi wyt³umacz - zacz¹³ siê niecierpliwiæ.

- Dobrze.

Ja też nie chcę, żeby zosta³y między nami jakieś niedomówienia.

Spotkajmy się za godzinę.

- Za godzinę nie mogę, przecież wiesz, muszę być w Radzie Ministrów.

- Wymyśl coś.

Przecież jesteś mistrzem w wymyślaniu wymówek, prawda?

Zrobi³, jak chce³a.

Narazi³ się na niezadowolenie przewodniczącego swojej partii, premiera i szefa resortu, ale nie dba³ o to.

Dopiero teraz dotar³o do niego, że Karolina chce³a się urwać.

Niemia³ zamiaru jej pozwolić.

Chwilowo by³a dla niego ważniejsza niż wybory.

Wierzy³, że kiedy znajdzie się z nim twarz¹ w twarz, nie będzie w stanie wytrwać w postanowieniu.

Pomyli³ się.

Wesz³a, usiad³a, a kiedy już otwiera³ usta, powstrzyma³a go ruchem ręki.

- Zanim coś powiesz, chcę, żeby jednoby³o jasne - powiedzia³a.

- Nie będziemy się więcej spotykać.

Więc nie mogę też z tob¹ pracować.

Życzę ci powodzenia.

Zas³uży³ę na nie.

Najbardziej zrozgniewa³y go te ostatnie słowa.

Już nie miała ochoty przekonywać Karoliny.

Nagle obezwładniła go pospolitą sytuacją, spotęgowana jeszcze przez banalne otoczenie.

Spotkali się w tawernie przy Marszałkowskiej, bo było tu blisko do jego biura prasowego i przystanku metra.

Teraz chciała tylko jak najszybciej wyjść.

- Zła odpowiedź - przerwała jej ze złości.

- Powinnaś powiedzieć: Tęsknię za tobą.

Tak się mówi.

- Nie, Marku.

- Popatrz na mu w oczy.

- To nie tęsknię za tobą.

Chcę tego.

Ale zrobiłabym tęsknię za tobą, gdybym cię gnęła to dalej.

- Ciekawe, dlaczego jeszcze dwa dni temu myślałaś inaczej?

Umawialiśmy się.

- Ty się umawiasz.

Ja tylko powiem, że zobaczymy.

- A ty już wtedy będziesz zdecydowana?

-Nie.

Przemyslam.

- Co przemyslasz?

-Samwiesz.

Co powieszbyć żonie?

- Jeszcze nie wróciła z zagranicy.

-Czwietnie!

A co powieszbyć za tydzień?

Milczą.

- Co by się wymyśliło, prawda?

-Maszrację!

- wybuchnę z oczu!

-Dokładnie tak sobie to wyobrażam.

Ciebie to oburza?

- Nieważne.

Po prostu się na to nie pisz.

Patrzy jej w oczy i widzi w nich, że dyskusja nie ma sensu.

Karolina już się zdecydowała.

Tylko by się ocemiesza³.

Zmusi³ się do ironicznego skrzywienia warg.

- Cóż, widzê, że nie jestem wart aż takiego poświęcenia.

- Popatrz na to inaczej - powiedzia³a spokojnie.

- Odpowiedz sobie, co ty by³być gotów dla mnie poświęcić.

No?

Nie myli³a się, nie umia³ na to odpowiedzieć.

W ogóle nie chcia³ stawiać takiego pytania.

Milczenie przed³użył³o się, aż w końcu przerwa³a je Karolina:

- No, to chyba już powiedzieliśmy sobie wszystko, prawda?

- Masz rację - odpowiedzia³.

- Muszê wracać do biura.

Terazi tak praca jest najważniejsza.

K³ama³.

Od tej chwili praca już go nie interesowa³a.

Kampania wyborcza jeszcze mniej.

Tymczasem jego szansê wci¹ę ros³y.

Sonda przeprowadzony wśród warszawskich studentów da³ mu pierwszeństwo, co narobi³o sporo z³ej krwi nawet w jego w³asnej partii.

Wszystko toczy³o się jakby poza nim, si³¹ rozpêdu.

Choæ nie tylko.

Joanna, kiedy wróci³a z zagranicy i dowiedzia³a siê, ¿e Karoliny niema ju¿ w biurze Marka, nagle zaczê³a go wspieraæz ca³ychsi³.

- Bêdziesz pos³em, ju¿ ja siê o to postaram - powiedzia³a muw
³ó¿ku nazajutrz po powrocie, a w jego uszach zabrzmia³o jak groÿba.

Naprawdê siê przejê³a.

W telewizji wziê³a urlop, ¿eby unikn¹æ konfliktu interesów.

Za³atwia³a sprawo cichu.

Dziêki jej kontaktom pojawia³ siê w programach, które oficjalnie z
wyborami niemia³y nic wspólnego.

Budowa³a jego wizerunek jako jedyne go kandydata, na którego powinni
g³osowaæ m³odzi.

Pos³uszenie powtarza³ wymyœlone przez ni¹ has³o: "B¹dÿ wolny
pozwólinnymbyæ wolnymi".

Bra³ udzia³ w tej farsie tylk dlatego, ¿e wycofanie siê wymaga³oby ju¿
zbyt wielkiego wysi³ku.

Nie chcia³ omusiê.

Joanna musia³aby doznaæ nag³ego zaæmienia, ¿eby nie widzieæ, co siê z nim dzieje.

Zawziê³a siê tylko i udawa³a.

Nie dokoñca j¹ rozumia³, ale pozwala³ sob¹ sterowaæ.

Nawet Miko³ajuzna³ za stosowne pochwaliaæ go za to:

- Widzê, ¿e odpowiedzialna czêœæ twojej natury wziê³a górê.

Tylko tak trzymaj.

Joanna chce dla ciebie jak najlepiej.

Takie tekstynie zas³ugiwa³ynawet na odpowiedŸ.

Musia³bypos³aæstarego do diab³a, ato by³by za du¿y wysi³ek.

Udawa³ ojcowsk¹ troskê, a zale¿a³o mu przede wszystkim na wyborczymsukcesie partii.

Dla jego grupy Marek by³ wa¿nym pionkiemw przysz³ej uk³adance.

- S³u¿ê Rzeczypospolitej Polskiej - odpowiedzia³.

Umia³ siê ju¿ zdobyæ tylko na szyderstwo, decyzje zostawia³innym.

Kiedy og³oszono wyniki g³osowania i okaza³o siê,¿e uzyska³ czwarty wynik w Warszawie, cieszyli siê wszyscy oprócz niego.

Partia urz¹dzi³a z tejokazji bankiet w Podkowie Leœnej.

Pi³niewiele, za toJoanna, upojona sukcesem, mia³a ochotê zaszaleæ.

Jej najwiêkszym b³êdem by³o, ¿e zabra³a Ewê.

Jakby chcia³a siêprzed wszystkimi pochwaliaæ, jak¹wspania³¹ tworzył rodzinê.

Może naprawdę chciała dobrze, ale on nie potrafi już tego doceniać.

- Marek, odblokuj się wreszcie.

Wygrać - powiedziała.

W jej głosie zabrzmiał ton niemal prosiłcy, co samo w sobie było dość niezwykłe.

Starała się, jak mogła.

- To ty wygrałaś - odpowiedziała ponuro.

Zdawała sobie sprawę, że otoczenie musiało coraz wyraźniej dostrzegać jego ośmieszność.

Mimo to miała dość udawania.

- Oboje wygraliśmy.

Nie mógłbyś spojrzeć na to w taki sposób?

- Nie poddawała się jeszcze.

- Zatańczysz ze mną?

Dała się wyciągnąć na parkiet i poprowadzić.

- Teraz wszystko jest w twoim zasięgu - powiedziała.

- Możemy zacząć od nowa.

- Nie chce mi się - odburknęła.

Patrzyła, jak na jej twarzy dobre chwile walczyły z rosnącym uczuciem zawodu, upokorzenia, wściekłości.

Jej oczy patrzyły jeszcze prosto, prawie z rozpaczliwym bólem.

- Proszę cię, postaraj się.

Ja siê staram.

- Nie proszê ciê o to.

Odepchnê³a go.

- A to ja ciê te¿ pieprzê!

- krzyknê³a.

-Co ty sobie wyobra¿asz?

-e kimty jesteœ?

Poczuj mœciw¹ satysfakcjê, ¿e w koñcu uda³o mu siê
wyprowadziæ ¿onê z równowagi.

I nawet z tego, ¿e kompromitowa³a ichwszystkich przed ludŸmi.

- Trzymaj poziom, nie rób cyrku - powiedzia³ pogardliwie.

-Kto robicyrk, ja?

Myœlisz, ¿e mnie to wszystko choœ przezchwilê bawi³o?

- Zatoczy³awokó³ramieniem.

-Te wszystkie fa³szywe gêby?

Opanuj siê.

Robi³am to tylko dla ciebie, ¿ebyci siêuda³o.

A ta twojahipiska, co ona dla ciebie zrobi³a, co?

Nie umia³ póŹniej przypomnieæ sobie, jak to siê sta³o, ¿e wszyscy troje znaleŹli siê w samochodzie.

Wydawa³omu siê, ¿e corazbardziej pijanaJoanna próbowa³a odjechaæsama zEw¹, a onsi³odebra³ jej kluczyki i zaj¹³ miejsce kierowcy.

Dlaczego nikt niepróbowa³ im przeszkodziæ?

Nie pamiêta³.

Mo¿e myœleli, ¿e on nicnie pi³.

Znali go z tego,¿e nigdy nie próbowa³ prowadziæ nawet popiwie.

Ma³o ktozdawa³ sobie sprawê,¿e i on czasem³ama³ zasady.

Wydawa³o mu siê, ¿e zna³ swój organizm i umia³ siê kontrolowaæ.

Tej nocywypi³ naprawdê niewiele.

Wci¹¿ by³ przekonany, ¿eta znikoma iloœæalkoholu, jak¹ w jego krwi wykry³obadanie, niemia³a ¿adnego wp³ywu na bieg wypadków.

Tylkoco ztego?

Nie jecha³ wcale szybciej ni³ zazwyczaj.

Ruch by³ normalny.

Wszystko by³o normalne, oprócz stanu jego ducha.

Mimo towci¹ panowa³ nad sytuacj¹, dopóki Joanna znów nie zaczê³a goz³oœciæ.

On tylko powiedzia³:

- Zapnijpas.

-Sam sobie zapnij.

- Jasne.

Ale ty pierwsza.

- Nie bêdziesz mi rozkazywa³, skończy³o siê - upiera³a siê popijacku, jakby robi³ to kiedykolwiek.

-Co wy, por¹ba³o was?

- odezwa³a siê Ewa z ty³u.

- Nic siê nie martw, córeczko, nic nam nie grozi - be³kota³a Joanna.

- Twój tatuœfizycznie jest ci¹glebardzo sprawny, jak naswoje lata.

Tylko prze³ywa kryzyspsychiczny, bo siênieszczêeliwie zakocha³.

Ewa ju³ siê nieodezwa³a.

Onte³ zmilcza³, choæ napiêcie w samochodzie sta³o siênie do zniesienia.

Mimo to stara³ siê prowadziæ spokojnie i równo.

Tylko strza³kaszybkoœciomierza wychyli³asiê trochê bardziejw prawo,
do studwudziestu.

Nic nadzwyczajnego.

Kiedy z przeciwka jakioœ kolejny wariat zacz¹³ wyprzedzaœna trzeciego,
bij¹c mu swymi œwiat³ami prosto w oczy,Marekprawie nie zwolni³,
uciek³ tylko na pobocze tak daleko, jak siê da³o.

To prawda, ¿e nie zacz¹³w porê hamowaæ,ale wcale nie dlatego,¿e
wypi³,tylko ze z³oœci.

Dopiero gdy w oœlepiaj¹cym blasku zbli¿aj¹cych siê
reflektorówzrozumia³, ¿e siê nie zmieszcz¹,nacisn¹³hamulec.

Za póŸno.

Zd¹¿y³ jeszczezapamiêtaæ, jak prawe ko³a z³apa³y miêkkie, auto
wylecia³o w górê,przekrêci³o siê w powietrzu i gruchnê³o da88.

chem o ziemiê.

Nieprzeżywa³ niczego nadzwyczajnego, żadnego panicznego strachu, żaden film z całego życia nie wyświetli³ musiê w ułamku sekundy.

Pomyœla³ tylko, że przecie¿ ca³y czas wiedzia³, że takto siê skończy.

Jakby wczêniej przeczyta³ scenariusz.

PóŹniej czasem wydawa³o musiê, że nie przeży³by dwóch nastêpnych lat, gdyby Karolina nie zosta³a z nim w Ostródziei nie zostawi³a w jego g³owie swego obrazu, który móg³ potem przywo³ywaæ w z³ych chwilach.

Gdyby nie tamta noc, to wszyscy tak by siê wydarzy³o, tylko nie mia³oby żadnego sensu.

Nie pisa³aby doniego do wiêzienia żadnych listów.

Nie czu³aby siê winna.

Po prostu pozwoli³aby, żeby znikn¹³ z jej życia.

Nie zrobi³a tego, bo drêczy³y j¹wyrzuty sumienia.

Nie chcia³ siê oszukiwaæ, to one go uratowa³y.

- Co tak patrzysz?

Karolinieagle otworzy³a oczy, jakby obudzi³ j¹ swoimi myœlami.

-Jak?

- Jakbyœ myœla³, że widzisz mnie ostatni raz, i chcia³ siê naogl¹daæ.

O czym myœlisz?

- A jakci siê wydaje?

Rozejrza³a się, jakby zdziwiona swoj¹ obecności¹ w warszawskim mieszkaniu Marka.

- Sk¹d mog^ê wiedzieæ?

-Pamiêtasz Ostródê?

- spyta³.

- Pytasz!

-Wtedy uciek³aæ.

Odwróci³a wzrok.

- To by³ow innym wcieleniu.

Teraz nieuciek^{nê}.

Usiad³a, pochyli³a się nad nim.

Poczu³ na sobie uleg³e wargi, jakby chcia³a w ten sposób potwierdzać swoje przyrzeczenie.

Zanurzy³palce w jej d³ugich, mocnych w³osach.

W tej chwili wierzy³ jej.

Zawsi¹asfalt nagle się skończy³.

Od tego miejsca drogą przypomina³a prymitywnie utwardzony konny trakt, jakich kiedyś w okolicy by³o wiele, a teraz zachowa³ się już tylko nieliczne ostatnie kawa³ki.

Ten by³najd³uższy.

S¹dz¹c z mapy, mia³ prawie dziesięć kilometrów.

Marek był trochę zdziwiony, że Karolina tym razem wybrała inną trasę.

Niedługo przekonała się, jaki był tego powód.

Przed pierwszym z zakrętów, gdzie zaczyna się stromy podjazd podprzebiecz, zatrzymała samochód.

- Zmieniamy się - powiedziała.

- Dalej ty prowadzisz.

Poczuł ogarniający go gniew.

Za dużo sobie pozwalała, nie miała prawa traktować go jak uczniaka.

Wiedziała doskonale, że toczucie brzo się z lekarza.

Próbowała przerzucić na niego winę za swój problem.

Wiedziała, że to było, ale nie umiała sobie z tym poradzić.

- Wiesz, że cię nie mam prawa jazdy.

- Wiem.

Dlatego dojechała aż do domu.

Tu nikt cię nie będzie sprawdzał.

Więc nie szukaj żadnych wymówek.

- O co chodzi?

- spytała ze złości.

- Po co ten cyrk?

- Tępy cyrk.

Kiedyś musisz się pierwszy raz odważyć - powiedziała spokojnie.

- Nic nie muszę.

Co ty, chcesz mi robić terapię?

Jak będzie jej potrzebował, pójdę do specjalisty.

- Nie uważam, że będzie potrzebował terapii.

- Wzruszy³ramionami.

-Ale nie bédê wiecznie twoim kierowc¹.

Wybij tosobiez g³owy.

Wysiad³a, nie wy³¹czaj¹c silnika.

Obesz³a samochód i otworzy³a drzwiczki od jego strony.

- No, ju¹.

Przesiadaj siê na swoje miejsce.

Rozumia³, że mia³adobre intencje.

Tylko co³ tego?

Chcia³a mupokazaæ, że jego miejsce jest znów przy sterze.

Poczu³ siê jak chory,którego wszyscy pocieszaj¹, że jeszcze siê do czegoœ nadaje.

- Nie wywieraj na mnie presji- powiedzia³ przez zêby.

-Wypchaj siê.

Nie mamzamiaru nic naciebie wywieraa.

Róbsobie, co chcesz.

Zatrzasnê³a drzwiczki ze z³oœci¹, odwróci³a siêi posz³a, zostawiaj¹c go samego w samochodzie na œrodku drogi.

Patrzy³ zani¹bezsilnie,jak pnie siê przez las pod górê,sobie tylko znanymskróttem.

Zanim znik³a miêdzy drzewami, znów nie mó³g nie zauwa¹zyæ, jaka wci¹ jest zgrabna i zwinna.

Przez te wszystkie lata, kiedy go nie było, nic nie straciła na urodzie.

Może nawet zyskała, nabierając kształtów bardziej kobiecych.

Tylko że w tej chwili by to dla niego jeden więcej powód do złości.

Co z tego, że takmu się wciąż podoba.

I teraz jest jedyną istotną dla niego, na którą jeszcze może liczyć.

Nie za wszelką cenę.

Nie mógł pozwolić, żeby robiła z nim, co chce.

Nie wierzy, że Karolina naprawdę pójdzie dalej sama piechotą, porzucając samochód z kluczykami.

Nie wzięła nawet swojego plecaka.

To byłaby tylko dziecinna gra, kto kogo.

A jednak, to im szybciej się z nią rozstanie, tym lepiej.

Może to właśnie byłaby najbardziej odpowiednia chwila.

Lewą ręką wyczyścił silnik, kluczyki zostawił w stacyjce.

Zabrał z tylnego siedzenia swoją torbę i wysiadł.

Do autobusu było stąd ponad dziesięć kilometrów, ale.

we wsi mógł zapaść jak o okazję.

Pewnym krokiem ruszy kolein w dół, nie oglądaj się za siebie, na wypadek gdyby Karolina obserwowała go, ukryta w lesie na zboczu.

Sto metrów dalej, kiedy uzna, że znikną już z zasięgu jej wzroku, przeskoczy przydrożny rów, rzuci torbę z trawami usiadła na skarpie.

Przez gałęzie obserwowała wciąż widoczny samochód.

Był więcej niż pewny, że Karolina wróci do auta.

Zwłaszcza kiedy już się przekonała, że nie podda się jej szantażowi.

Mijała minuta za minutą, kwadrans za kwadrans, a ona się nie pojawiała.

Coraz bardziej zawiedziony, równocześnie coraz mocniej pogryzał się w uporze.

Może po godzinie czekania nie wiadomo skąd wypłynęła dręcząca myśl, że wiele lat temu w czasie na tej drodze zaginęła bez wieści i ona kierownika szkoły z Wilczej Polany.

Co prawda zdarzyło się to tak dawno, że w czasie nikt już nie umiał powiedzieć coś pewnego, czy było prawdą, czy tylko bajką, którą wiejskie kobiety straszły dzieci, by nie wchodziły same po lesie.

nawet jeżeli przed półwiekiem jakaś nauczycielka rzeczywiście przepadła bez wieści, jakie to mogło mieć znaczenie.

Zacierała się sztucznie na głos, jakby chciała samego siebie wyszydzić zato, że szuka tak prymitywnych pretekstów, by ulec Karolinie.

Nie, nie załamie się z powodu jakichś wsiowych gadek.

Gdyby braæ jepowa¿nie, trzeba by siêbaæ tak¿ebajki o Czerwonym Kapturku.

Da³ sobie jeszcze pó³ godziny, postanawiaj¹c, ¿e jeæli Karolinanie pojawi siêw tym czasie, on nieodwo³alnie ruszy dalej do wsi.

Min¹³ ju¿ ponad kwadrans, kiedy us³ysza³ zbli¿aj¹cy siê warkotsilnika.

Chwilê póŸniej zza zakrêtu wy³oni³ siêstary, chyba conajmniej dwudziestoletni model mercedesa, ci¹gn¹c za sob¹chmurêkurzu.

Pozostawiona na drodze ³ada zagradza³a mu przejazd.

Marek jednak siênie ruszy³.

Ze swego miejsca widzia³, jak z mercedesawysiad³ ciemno ubrany mê¿czyzna.

Rozejrza³ siê, podszed³ do ³ady, zajrza³ do œrodka przez opuszczon¹ szybê.

Pokrêci³g³ow¹, chwilê sta³, jakby ocenia³, czy mieœci siê nawolnym pasiedrogi, wreszcie wróci³ do swego samochodu.

Mercedes ruszy³ powoli, niebezpiecznie przechylony.

Prawymiko³ami niemal zawisa³ nad rowem, lew¹ stron¹ prawie ocieraj¹csiê o bok ³ady.

Jednak przejecha³, akilka chwil póŸniej zatrzyma³siêobok Marka.

Kierowca wychyli³ siê.

- Niech bêdzie pochwalony Jezus Chrystus.

Marek dopiero wtedy dojrza³ koloratkê pod jego szyj¹.

- Szczerze Boże - odpowiedzia³, nie staraj¹c się wcale, by
zabrzmia³o to zachęcaj¹co.

-Mogę w czymś pomóc?

- nie rezygnowa³ tamten.

- W¹tpiê, proszê ksiêdza.

Jestem starym bezbożnikiem.

Niewidaæ?

- Mam tak¿e inne umiejêtnoœci.

- Duchownyucemiechn¹³ siê.

- My w tej g³uszy musimy ze wszystkim radziaæ sobie sami.

Zdajesiê,¿e popsu³ siê panu samochód?

Trochê siê na tym znam.

- To nie mój samochód.

-Doprawdy?

To ciekawe czyj?

Ktoœ zostawi³ kluczyki w stacyjce.

Okolica jest spokojna,ale nie a¿ tak.

Lepiej nie stwarzaæniepotrzebnych pokus.

- Jak mawia³ œwiêty Augustyn - zakpi³ Marek.

-Mi³ospotkaæbezbożnika, który powo³uje siê na ojców Koœcio³a.

Mo¿e nie jest pan ca³kiem zgubiony.

Jeœli nie mogê byæprzydatny w naprawie samochodu, to mo¿e w czymœ innym?

- naciska³, jakby wiedzia³ wiêcej, ni¿by siê zdawa³o.

- W¹tpiê.

-Nigdy nie mów nigdy.

- Kap³an znówsie ucemiechn¹³.

-Jestpantu nowy.

Na pana miejscu nie robi³bym sobiena dzieñ dobrywrogów z wszystkich tutejszych ksiê¿y.

- Czy¿byksi¹dz Oremus?

- spyta³ Marek z niedowierzaniem.

- O, bynajmniej!

- Tajemniczy ucemiech nie znika³ z warg nieznanomego.

-Ten drugi, na pana szczêœcie.

- A wiêc ksi¹dzDawidowicz?

Dopiero teraz Marek przyjrza³ musiê uważniej.

Kap³an, jesczeniestary, by³chudy i smag³y, z cieniem bardzo mocnego zarostu napoliczkach i pierwszymi œladami siwizny w gêstych czarnych w³osach.

Zupe³nie nie przypomina³wiejskiego proboszcza.

Markowi wyda³o siê, ¿e w jego ciemnych Ýrenicach dostrzeg³ zdolnoœæ przenikania w g³¹b duszy, sprytnie tylko maskowan¹ kpi¹cym zmru¿eniemoczu.

Poczu³ siê nieswojopodtym nieustêpliwym spojrzeniem.

- Nie spotka³ ksi¹dz kogoœpo drodze?

- spyta³ jakby wbrewswojej woli.

- Ma pan na myśli tę piękną panią, która idzie samotnie przez las na Wilczy Przesmyk?

- Skąd ksiądz wie, że na Wilczy Przesmyk?

- A dokąd?

Majesz kawę przed sobą.

Może nie zdąży przed zachodem słońca.

- Rozmawia z nią ksiądz, tak?

- po prostu się Marek ponieważ, wywołując dyskretnie w uśmiechu na ustach kapłana.

- Ta pani jest dziewczynką.

I bardzo samodzielna, może mi ksiądz wierzyć.

- Wierzę panu.

Ale nie wiem, czy pomyślała, że na tej trasie zaginęła ona kierowniczka szkoły?

- Co ksiądz opowiada!

To było pół wieku temu.

- Prawda.

Mimo wszystko, nie odnalazła się do dzisiaj.

Odwal się, klecho, pomyśla³ Marek już ca³kiem nieuprzejmie, ale nie zdoby³ się, by powiedzieæ to g³oeno.

Czu³zreszt¹, że zniwiadomych dla niego powodów kap³an i tak nie ust¹pi.

Wsta³ i zarzuci³ torbê na ramiê.

- Ksi¹dzchyba sięœpieszy -rzuci³.

- Szczêœæ Bo³e.

- Proszê pana!

- us³ysza³ jeszcze za sob¹.

- S³ucham?

- Odwróci³siê.

Mimo wszystko nie umia³ duchownego ca³kiem zignorowaæ.

- Niech pana Bóg prowadzi.

-Sam się poprowadzê - odpowiedzia³ ze z³oœci¹.

Poczekaj³, aż mercedes znikn¹³ za zakrêtem, a pozosta³y po nimob³okkurzu rozwia³siêzup³nie, zanim podniós³ się i wolno ruszy³ z powrotem w stronê ³ady.

Nie potrafi³siê rozluŸniæ.

Immocniej próbowa³, tym bardziej się sprê³a³.

Wreszcie wzi¹³ g³êboki oddech i spróbowa³ wcisn¹æjedynekê.

Peda³ sprzêg³aokaza³ się niespodziewanie twardy, dr¹ek zmiany biegówstawia³ opór.

Przypomnia³ sobie, z jak¹ swobod¹ i lekko^oci¹ prowadzi³a swoj¹ ³adê Karolina.

Ze z³o^oci¹ wcisn¹³peda³ do końca i pchn¹³ lewarek, ile mia³ si³y wrêce.

Skrzyniabiogów odpowiedzia³a przera^Ÿliwymzgrzytem, ale jedynka wesz³a.

Pu^oci³ peda³ za szybko, samochód skoczy³ do przodu i równiegwa³townie zatrzyma³ siê.

Silnikzgas³.

Poczu³ wstyd.

Zachowywa³ siê jak zestresowany debiutantpodczas egzaminu na prawo jazdy.

A przecie[¿]kiedyœ by³ takimdobrym kierowc¹.

Za dobrym.

W³acenie to go zgubi³o, pewnoœæ siebie.

Przekonanie, [¿]e wyjdzie z ka[¿]dej sytuacji.

Nie móg³ dopuszczaæ do siebie tych myœli.

Za wszelk¹ cenê musia³je powstrzymaæ.

Wiedzia³, [¿]e jeœli na topozwoli, wróc¹ trupy, krew, a przede wszystkim ta najgorsza chwila przebudzenia w szpitalu, kiedywszystko zrozumia³.

Poczu³, [¿]eca³y siê trzêsie.

Zamkn¹³ oczy i oddycha³ g³êboko, póki dygot nie usta³.

Potem spróbowa³ ruszyæ jeszcze raz.

Tym razem posz³o lepiej.

Pierwszy kilometr by³ jeszcze niepewny i szarpany.

Potem koncentrowa³ siê coraz bardziej nap³ywnym omijaniu dziur w drodze i utrzymywaniu silnika na optymalnychobrotach.

Zbli¼aj¹c siê do koñcapodjazdu, mia³ ju¼ uczucie, ¿e prawie w pe³ni panujenad samochodem.

Karolina czeka³a na niego na prze³êczy, oparta o œciêty pieñ, wystawiaj¹c twarz na ostatnie promienie s³oñca, chowaj¹cego siê za wzgórzami.

Koszulêwyci¹gnê³a ze spodni zwi¹za³a w wêze³pod piersiami.

Brzuch mia³a wci¹¿ prawie bez zarzutu.

A wiêcspodziewa³a siê, ¿e jednak przyjedzie.

Postanowi³ udawaæ, ¿e nieby³o ¿adnego problemu.

- Spodoba³aœ siê ksiêdzu - rzuci³, wysiadaj¹c.

-Zazdrosny?

- spyta³a, nie otwieraj¹coczu.

- A nie?

Nie jestemœlepy.

Klecha jest m³odszy ode mnie, du¿o przystojniejszy, jeŹdzi mercedesem.

W dodatku mo¿na za³o¿yæ,¿e nie oczekiwa³by ¿adnych zobowi¹zañ.

Same plusy, mo¿e nie?

- No,fakt - odpowiedzia³a leniwie.

-Tylko co ja poradzê, ¿eto

ty mi siê spodoba³eœ.

Mercedesy te¿ mnie nie krêc¹.

Takie mamzбочzenie.

Usiad³a i spojrze³a na niego.

Pomyœla³z niechêci¹, ¿e teraz pochwali go,¿e siê odwa¿y³.

Ale nie zrobi³a tego.

Pokaza³a g³ow¹ naotaczaj¹ce ich a¿ po horyzont zamglone wzgórza i spyta³a cicho:

- No i co?

Myœlisz, ¿e bêdziemy umielitu ¿yæ?

Z wilkami?

Potrafisz tak siê zmieniaæ?

Wola³ siê nad tym nie zastanawiaæ.

Musia³ wierzyæ, ¿e tak bêdzie, ¿e im siê uda.

Gdyby zw¹tpi³, co by mu zosta³o?

- A co, myœla³acæ, ¿e przestraszê siê ducha jakiejœ nauczycielki?

JedŸmy- powiedzia³.

- W domu jest du¿o pracy.

Bez pytania jej o zdanie zaj¹³ miejsce kierowcy.

Tym razem nie pope³ni³ b³êdu.

Œada ruszy³a g³adko.

We w³acéciwymmomencie w³¹czy³ napêd na cztery ko³a.

Karolina udawa³a, ¿e nie zwraca natouwagi.

Nie powiedzia³a ¿adnego "No widzisz!

" ani niczego w tym rodzaju.

By³ jej za towdziêczny.

W tym momencie poczu³, ¿e chyba powoli zaczyna odzyskiwaæ kontrolê nad swoim ¿yciem.

19

Przez kilka nastêpnych dni nie chcia³omu siê nigdzie ruszaæ ze schroniska.

Wiedzia³, że powinien¹ zacząć sk³adać wizyty s¹siadom, ale niemóg³ się przemóc.

Karolina namawia³ a go, żeby chociaż pojecha³ z ni¹ do stacji badawczej i pozna³ jej kolegów.

Dobrze rozumia³, że najlepiej by³oby zrobić to od razu.

Móg³ zyskać

opinię, że się wysoko nosi, albo, co by³oby jeszcze gorsze, że kryje się przed ludźmi.

Najpierw musia³ jednak oswoić się z now¹ sytuacją.

Przedewszystkim zda³ sobie sprawę, że zamieszka³ z kobiet¹, której wci¹ nie zna³ prawie wcale.

Przekona³ się o tym kolejnym razem, kiedy tylko przyjechali i zerwali deski, którymi zabite były okna, wpuszczając do środka dzieńne powietrze.

Okazało się wtedy, że w jednym w ogóle nie ma szyb, ale Karolinie chcia³ zas³onić go z powrotem.

- Nie boisz się, że noc¹ zakradnie się tu ktoś z Drewniak, ty stracisz cnotę, a ja honor?

- usi³owa³ i artowa³.

Mówi¹c to, nie patrzy³ na Karolinê, która rozpakowywa³a swoje baga¹e.

Zdziwiony przed³u¹aj¹c¹ siê cisz¹, odwróci³ siê.

Sta³anieruchomo w rozkroku, trzymaj¹c w rêkach myœliwski sztucerz lunet¹.

- Widzisz?

Nie musisz siê o nic martwiæ.

W razie czego potrafiê obroniæ i moj¹cnotê, i twój honor- powiedzia³a.

Z wra¹enia znieruchomia³.

Choæ ju¹ wiedzia³, ¹e dziadek pu³kownik nauczy³ j¹strzelaæ, nigdy nie wyobra¹a³ jej sobie z broni¹.

- No,co siê tak gapisz?

Strzelba jest legalna.

Mam uprawnienia selekcjonera, nie wspominam ci?

- Nie, o tym jakoœ nie.

- Pokrêci³ g³ow¹ i pomyœla³, o ilu rzeczach jeszcze mu nie wspomnia³a.

- No to mówiê ci teraz.

- Wzruszy³a ramionami.

-Nie patrz tak.

Selekcjê zostawiam leœnikom, ale lubiê sobie postrzelaæ sportowo.

Znów pomyœla³, ¹e pewnie jeszcze jednej niespodziance bêdzie musia³ stawiæ czo³o.

Nastêpnego ranka wzi¹³ siê ostro do pracy.

Sam wymieni³ ca³¹ instalacjê elektryczn¹, przypominaj^{1c} sobie czasy, kiedy konspiruj^{1c} przeciw komunie, nauczy³ siê róŹnych fachów budowlanych.

Poprawi³ komin odkuchennego pieca i prowizorycznie za³ata³ największe dziury w dachu.

Nie mó^g sobie tylko poradziæ z kanalizacj¹ i nadal musieli u^{ży}wać starej wygodki w ogrodzie.

Spali wci¹ Ź namateracu, a myli siê w misce przy piecu.

Tylko pierwszego wieczoru Karolin krêpow³a siê robiæ to przy nim.

JuŹ nastêpnego ranka wyzby³a siê oporów i nie mia³anic przeciw temu, Źe na ni¹ patrzy³, kiedy zestawia³ miskê z taboretu na pod³ogê i kucnê³a nad ni¹.

Pó³ godziny póŹniej musia³a myæ siê znowu.

Od tej pory powtarza³o siê to prawie co dzieñ.

Po œniadaniu wyje^Źd^Źa³a do pracy w stacji badawczej w Zimnym Dole, a Marek zostawa³ w schronisku.

Lubi³ te samotne godziny, wype³nione fizyczn¹ prac¹.

To by³o takie inne od Źycia, jakie prowadzi³ przed wiêzieniem.

Tunic nie zmusza³o go do gor¹czkowego myœlenia bezchwili przerwy, nieustannego analizowania zachowañ politycznych wrogów i przyjació³, wahañ kursów na gie³dach, planowania niezliczonych wariantów kolejnych ruchów, które mia³y przynieœæ sukces w walce politycznej, pieni¹dze, powodzenie.

No i zaleŹne od nich uznanie Joanny, najpe³niej objawiaj^{1c}ce siê wieczorem w ³ó^Źku.

Teraz nic nie musiał.

Kiedy się zmęczył, siadał na ławce przed werandą, popijał
powoli zimne piwo prosto z butelki, spoglądając na otoczone
wzgórzami doliny dachy nielicznych zabudowań.

Dziwna by³a to wiec^æ, Wilcza Polana.

Jak gdyby po wypędzeniidawnych mieszkańców nigdy już nie odnalaz³a nowej duszy.

A raczej mia³a jakby dwie, tyle że obie jakieś koelawe, kalekie, niezdolne do prawdziwego życia.

Tak myc^æla³, przypominaj¹c sobieco przedwyjazdem z Warszawy znalaz³ na ten temat w InternecieKilka dni po tym, jak tutejsi Ukraińcy za³adowali dobytek na wozy i powędrowali pod eskort¹ polskich żołnierzy na stację kolejow¹ w miasteczku, noc¹ zeszli z gór ukraińscy partyzanci i spaliliich domy, żeby nie dosta³y się w ręce Polaków.

Aleczy to zniebaldstwa, czy z obawy przed nadci¹gaj¹cym polskim wojskiem,dzie³azniszczenia nie dokończyli.

Ocala³ca³y przysió³ek zwanyZaPotokiem, kilkanaście gospodarstw rozrzuconych w górnejczêœcidoliny, no i GórskiPa³ac.

W przysió³ku do dzie^æ mieszkali polscy osadnicy z biednychwiosekMa³opolski, skuszeni kiedyś rozdawan¹ zadarmo ziemi¹.

By³o to jedno zniewielu miejscw ca³ejokolicy, gdzie nie osiedli³siê z powrotem ani jeden Ukrainiec.

Wiêkszość samotnych domów w ostatnich latachkupilinowiprzybysze, którzy z różnyhpowodów uciekli z miast.

By³o pośród nich kilku niez³ych orygina³ów.

Marek przekona³ się o tym jeszcze w Warszawie, kiedy przypadkiemtrafi³ nainternetow¹ stronę Towarzystwa Mi³oceníkówWilczejPolany.

Prowadzi³a j¹ grupka przyby³ych ostatnio mieszkañców, niezbyt lubianych przez tych powojennych.

Przedewszystkim z tymi nowymi powinien teraz pozawieraæ znajomoœci, ale przek³ada³ to z dnia na dzieñ.

Nic go teraz nie ci¹gnê³o do ludzi.

Musia³ od nich odpocz¹æ, przynajmniej przez jakieœ czas.

W Wilczej Polanie nie by³o koœcio³a ani knajpy, ani nawet sklepu.

Itoby³ dla Marka jeden z najwiêkszych uroków tego miejsca.

Kolejnego dnia z tych rozmyœlañ wyrwa³ go niespodziewany powrót Karoliny, choæ nie by³o jeszcze po³udnia.

Wysiad³ z samochodu z plecakiem pe³nym zakupów, na jej twarzy b³yska³ siêkpi¹cy uœmieszek.

- Co?

- spyta³.

- Ledwo przyjecha³eœ, a ju¿ jesteœ s³awny.

Zanio³a sprawunki do kuchni, a kiedy wróci³a, ju¿ ca³kiem jawnie przygl¹da³a mu siê, rozbawiona.

- Czeka³a szczegó³y - mrukn¹³.

- By³eœ œledzony.

- Nikogo nie widzia³em - zdziwi³ siê nieprzyjemnie.

- Nie musia³eœ, wystarczy, Ÿe ciê widzieli.

W sklepie opowiadaj¹, że ten nowy z Warszawy musi być stuknięty, bo
ca³e rano kosi³ k¹os¹, jakby nie mógł³ sobie kupić kosiarki na
benzynę.

Poczu³ siê dotkniêty, że Karolina siê z tego œmia³a.

Wszystkozepsu³a.

Taki by³ z siebie zadowolony.

Zmêczenie miêœeni przypomina³o muo dawnych latach.

Teraz z³udzenie prys³o.

- Nie mam zamiaru kosiæ ca³ej polany, wykosi³em tylko chwasty w ogrodzie wokó³ domu.

Ciebie to œmiesz?

- spyta³ z pretensj¹ wg³osie.

Wspiê³a siêna palce ipoca³owa³a go.

- Jestem z ciebie dumna, Wilku - powiedzia³a.

- Pojedziesz zemn¹ tropiæ?

- Teraz?

-Jeœli nie masz niclepszego doroboty?

Od przyjazdu czeka³ na takie zaproszenie.

Sam siê niepcha³z propozycj¹, ale kiedy mija³ dzieñ za dniem, a Karolina nic o tymnie wspomina³a, czu³ coraz wiêksze niezadowolenie.

Choæ siêz tym kry³, zacz¹³ ju¿ podejrzewaæ, że ona woli tropiæ wilki z kiminnym.

- Mam- odpowiedzia³.

-Ale mo¿emy to równie dobrze zrobiæw lesie.

- O, jaki sprytny!

Wcale niewygl¹da³o na to, żeby jego żart Karolin^ê urazi³.

Raczej na odwrót.

W samochodzie wzi¹³ j¹ za rêk^ê i ca³kiem wyzby³si^ê
poprzednichpodejrze^ñ.

Po drugiej stronie doliny zostawili auto przy sk³adzie drewna nad
potokiem i zag³êbilisi^ê w lasy nastokach Bukowego ˆebra.

Okolic^ê t^ê zamieszkiwa³a wataha, odkilkulat obserwowanaprzez
biologów z oœrodka w Zimnym Dole.

Samic¹alfa by³a w tymstadzie siedmioletniawilczyca zwana Siw¹
Ma^{ñk}¹,pami^êtaj¹caczasy polowa^ñ.

Jako jedyna ocala³a z zag³ady watahy, w kt³orejprzysz³a na œwiat, a
potem uda³o si^ê jej przeçy^æ aç do momentuwprowadzenia ochrony.

Nie mia³a jeszcze roku, kiedyschwytanoj¹ i za³oçono obroç^ê
telemetryczn¹.

Od tej pory by³a obserwowana.

KolejeçyciaSiwejMa^{ñki} by³y wi^êc doœæ dobrze znane.

Kilkamiesi^êcy b³¹ka³asi^ê samotnie, aç wreszcie przesz³a granic^ê i narok
znikn^ê³a zpolaobserwacji.

PóŸniej wróci³a w rodzinne strony,przyprawdzaj¹c samca, i jeszcze tej
samej zimy wyda³a pierwszymi^{ot}, daj¹c pocz¹tek nowej wataçe.

Nie niepokojo^{ne}przez myçeliwych stado liczy³o teraz prawdopodobnie
osiem wilków, cho^æ leœnicy upierali si^ê, çe jednaœcie albo nawet
dwanaœcie.

Trudno by³o ustaliæ coœ pewnego, bo nadajnik Siwej Mañki nie wysy³a³ ju¿ sygna³ów.

Nie by³o nawet wiadomo, czy to na pewno ta samawataha.

Po dwóch godzinach marszu, kiedy Marek straci³ ju¿ zupe³nie orientacjê, Karolina odezwa³a siê:.

- No, jesteśmy chyba na terytorium naszej rodziny.

Szli ledwie widocznie w poprzek stoku przez las starych buków.

Pod sobą mieli kotlinkę, porożniętą gęstym cewierkowym odnikiem.

Obchodzili górkę dookoła.

- Skąd wiesz?

- spytał Marek.

- Wiem.

Czuję, że Siwa Mańka ma norę gdzieś tam - wskazał w dół.

- Dwa lata z rzędu wyprowadza stąd młode.

Oczywiście, to jest argument dla myśliwych, że wilków jest za dużo.

A tylko znaczy, że mają doć i rok po roku mogli wykarmić szczeniaki.

- Baranin?

- Ty, chcesz w nie?

- spytał, nie zatrzymuj się inie odwracaj głowę.

- Po czyjej stronie?

Pomyślał, że przecie nie mógł być po stronie Drewniaka.

Czyżby tego, czy nie, był po stronie wilków.

- Oczywiście, że po twojej - odpowiedział.

- Nawet jeżeli nie masz racji.

- Nie rób mi kłopotu.

To im muszę udowodnić, że mam rację.

Ty masz mi wierzyć na słowo, rozumiemy się?

Zastanawia się chwilę, co odpowiedzieć, kiedy uniosła rękę, jakby chciała go zatrzymać, a sama rozejrzała się wokół, a potem zdecydowanie, rozgarniając gałęzie, zagłębiła się między ścielami.

- Wiedziam!

- zwyciężyła z triumfem.

Westchnęła samą siebie.

Przyzwyczaj się już, że nikt tak jak ona nie wyczuwa odległości wilczych odchodów.

Skoro tak się cieszyła, mogła chodzić tylko oto.

Ruszy jej śladem.

Młody w tym miejscu już rzadki, szło mu się łatwiej, aż w końcu znalazł się jakby na niewielkiej polance, otwartej odgóry na bukowy starodrzew.

- Miałam rację, wci tu mieszkaj - potwierdziła.

Rozejrzała się wokół po ziemi i pokiwała głową.

- A to jest pewnie ich wychodek?

- Ciemny jesteście, Wilku.

- Spojrzała na niego z politowaniem.

- Nie zasługujesz na swoje przezwisko.

W tym miejscu wychodziła uroczyście.

To s¹drogowskazy dla m³odych, Źeby nie zgubi³y drogi.

- Drogowskazy!

- powtórzy³.

- ebyœ wiedzia³.

I nie tylko.

To ca³a ksiêga.

Swoim zwycza³em zdjê³a plecak, przykucnê³a i zaczê³a zbieraæ odchody do torebek.

Ogl¹da³a je przy tym z wyraŹnym zadowoleniem.

Z³ajna stercza³y zmierzwione kud³y.

- Sam zobacz, czy tak wygl¹da owcza sierœæ?

- spyta³a.

- Sk¹d mogê wiedzieæ?

W tejmieszance.

- Ale ja wiem.

To nie Siwa Mañka poluje na owce.

Udowodniê.

tym durniom myœliwym, ¿e siê znaj¹ na wilkach jak ja na chiñskiej medycynie.

Uœmiechn¹³ siê.

Niemal rozczuli^{3a} gotym, ¿ejeszcze potrafi³atak siêprzejmowaæ.

;yi,W

- Spróbujmy odszukaæ ich szlak - powiedzia^{3a} i ruszy^{3a} podgó¹ tak szybko, ¿e ledwie mó³ za ni¹ nad¹¿yæ.

Dwadzieœcia minut póŹniej osi¹gnêli polanê pod Zimn¹ Prze³êcz¹, przez któr¹bieg^{3a} leœna droga do s¹siedniej doliny.

Pod samotnym drzewem, wyrastaj¹cym zgêstwy niskich krzaków, Karolina znów przykucnê^{3a}.

Ko^{3o} pnia trawa by^{3a} wydrapana dogo^{3ej} gliny.

- Widzisz?

Jest!

To œwie¿e œlady.

Tu odpoczywaj¹, a potem przeskakuj¹ w pasmo Ostrego.

- Wyci¹gnê^{3a} rêkê w stronê lasu pod drugiej stronie polany.

- Nie schodz¹ w dolinê.

To nie one chodz¹ Wilczym Przesmykiem.

A ci durnie chcieliby je powystrzelaæ.

Ju¿ ja im to wybijê z tych akuty³ bów.

Obj¹³ j¹ od ty^{3u}.

- Zrobisz to wszystko póŹniej - zamrucza³ jej do ucha.

Opar³a siê na nim ca³ym ciê¿arem, pozwalaj¹c, by wsun¹³ rêce pod sweter.

Sercebi³ojeszcze szybko po d³ugim marszu podgórê.

Osunêli siê na trawê, tu¿ obok miejsca wydrapanego przez wilki.

Unios³abiodra, pomagaj¹c mu zsun¹æ sobie spodnie.

W tejsamej chwili us³yszeli g³osy.

- Cholera - zamrucza³a Karolina.

Szybko doprowadzi³a siê do porz¹dku, kryj¹c siê za pnem, potem wysz³a z cienia na polanê.

Wtedy domyœli³ siê, ¿e wiedzia³a, kto nadchodzi³.

Chwilê póŹniej on te¿ siê przekona³.

Wzd³u¿ lini lasu zbli¿a³ siê m³ody Ukrainiec Michaluk, teraz ju¿ stypendysta stacji badawczej w Zimnym Dole, az nim drugi mê¿czyzna, którego Marek nie zna³.

Karolina zrobi³a kilka kroków naprzeciw nim.

- No, widzê, ¿e wy te¿ wytropiliœcie Siw¹ Mañkê.

NieŹli jesteœcie, moje gratulacje!

- zawo³a³a.

- Ale ja i tak by³am pierwsza.

Marek nieda³ siê oszukaæ, dobrze widzia³, ¿e sztucznym o¿ywieniem próbuje pokryæ zak³opotanie.

Co gorsza, nie miał też w tpliwości, skłócono bierze.

Wystarczyło, że spojrzał na mężczyznę, który towarzyszył młodym Ukraińcowi.

Był mniej więcej rówieśnikiem Karoliny, włosy miał ciemne i kędzierzawe, twarz smutną i niespodziewanie bladą, jak na przyrodnika, a namiętniej malował się wszystko, co w tej chwili czuł.

Marek doskonale umiał sobie wyobrazić, co to było.

- Zawsze w ciebie wierzyłem, Karolinko.

Nawet mówił ci te słowa, nieznajomy nie przestawał patrzeć niechętnie na Marka.

Widocznie z jakichś powodów zdecydowali go inni mężczyźni w otoczeniu Karoliny.

Sytuacja stawała się idio.

tyczna.

Marek nie miał pojęcia, jak dalece Karolina wprowadzi kolegów w swoje życie osobiste, poczuł się jak intruz.

- To co, poznajcie się może - powiedziała, najwyraźniej tylko po to, żeby przerwać ciszę.

Marka przedstawił tylko z imienia i nazwiska, niczego nie wyjaśniając.

Może uważała za oczywiste, kim jest dla niej, ale jej nie spodobało się to przemilczenie.

Nawet nie usłyszał, jak nazywa się nieznajomy, zauważył tylko, że Karolina zatytułowała go doktorem.

To, nie wiedząc czemu, jeszcze bardziej go wzburzyło.

Przybysz skinął sztywno głową, nie zdradzając chęci do podania ręki.

Marek tym bardziej nie miał na to ochoty.

Rósł w nim gniew.

Nie rozumiał Karoliny.

Uraziło go, że nie wyjaśniła od razu jasno jego rolę przy niej.

Powinien więc sam to zrobić.

Odpowiednia chwila minęła, tamten przejął inicjatywę.

- Pracujemy razem z Karoliną - odezwał się.

- Prowadzimy wspólne badania.

Taniepotrzebna do niczego informacjaby³a po prostu wyzwaniem,
Marek nie mógł³ tego inaczej odebraæ.

Ostatkiem si³opanowa³ siê na tyle, ¿e powiedzia³ tylko:

- To proszê, pracujcie, nie bédê wam przeszkadza³.

Ipo prostu oszed³.

Zaskoczona Karolina nie zd¹¿y³zareagowaæ.

Da³ jej szansê.

Kilkadziesi¹t kroków dalej usiad³ pod drzewem na skraju polany i
udawa³, ¿esiê opala.

Nie skorzysta³az okazji.

Niezostawi³a tamtych i niepobieg³a zanim.

Przysz³achwila, kiedy nie mógł³ ju¿d³u¿ej czekaæ.

Nawet we w³asnychoczach wygl¹da³ œmiesznie, podnosz¹c siê i ruszaj¹c
w dalsz¹ drogê, alejeszcze g³upiej czu³by siê, gdyby zosta³.

Zreszt¹,nie myœla³o niczym.

Po prostu to zrobi³.

Z rozmys³em pomyli³ drogê do samochodu Karoliny.

Zamiastskrêciæ w stronê sk³adu drewna, wybra³ kierunek prosto do
schroniska.

Musia³ przemierzyæ dolinê i dwa pasma wzgórz,ale wysi³ek pomaga³siê
uspokoiaæ.

Zapad³zmrok, a on wci¹¿ jeszcze³przed sob¹ kawa³ drogi.

Marsz w ciemności oddala³ z³e myśli.

Zna³ już wystarczająco leśny trakt na Wilczy Przesmyk, by się nie zgubił.

Szedł i szedł, i tylko księżyc przesuwający się po niebie nad drzewami przypomina³ mu, że czas się nie zatrzyma³.

Zdenerwowanie wróci³o, kiedy zobaczy³ świat³o w oknie schroniska.

Karolina już by³a, może od dawna.

Czeka³a na niego.

Wpatrzony w okno, o ma³o nie wpadł na adę, zaparkowan¹ na ciężce.

Nie wszedł do domu.

Usiadł na schodkach przed werandą i próbował na nowo odzyskać spokój.

Nie umiałby powiedzieć, ile czasu minę³o, kiedy przyszedł.

Zbliżył się w ciemności bezszelestnie.

Poczuł j¹ bardziej instynktem niż zmysłami, kiedy już stanę¹⁰⁰.

³a obok niego.

Wniekontrolowanym odruchu po omacku odszuka³ jej d³oñ.

- Nie b¹dŸ z³y - odezwa³a siê cicho.

-To nie moja wina, ¿e s¹naœwiecie faceci, którzy chcieliby mnie dla siebie, chyba rozumiesz?

- Wcale im siê nie dziwiê - przyzna³.

Poci¹gn¹³ j¹ za rêkê w d³³, a¿ usiad³a obok niego.

- Specjalnie posz³am dziœ dopracy, bo chcia³am byæ tylko, z tob¹.

No, ale wysz³o, jak wysz³o.

Na œciepko³o¿y³ jej palce na ustach, potem obj¹³.

Siedzieli ju¿ d³ugow milczeniu, kiedy ciszê nocy zak³óci³ nagle dŸwiêk, którego jeszcze nigdy nie s³ysza³, jednak rozpozna³ od razu.

Najpierw pojedynczy, niski i g³uchy, potem do³czy³ wy¿szy, za³amuj¹cy siê, a kilka chwil póŸniej nastêpne.

Wycie nios³o siê dooko³a doliny, nieumia³ zlokalizowaæ miejsca, sk¹d wrzeczywistoœci dochodzi³o.

Jakby wilki panowa³y w ca³ych górach.

Karolina odsunê³a siê od niego i us³ysza³, jak szybko œci¹ga³ ubranie.

Kiedy siê odwróci³, ¿eby na ni¹ spojrzeæ, by³a ju¿ nagaw ksiê¿ycowym blasku.

To te¿ by³ jeden z uroków ich nowego miejsca zamieszkania.

Mogli to robiæ wprost na ³1ce, pod jasnymksiężycem.

Wreszcieoderwali siê od siebiei upadli na mokr¹ odrosy trawê, nie czuj¹c zimna.

Wycie trwa³o jeszcze kilka chwil, a póŹniej urwa³o siê nagle,pozostawiaj¹c po sobietym bardziej przejmuj¹c¹ ciszê.

Do wsi pojechali dopiero dwa dni póŹniej, zrobiaæ wiêksze zakupy.

Wdrodze powrotnej Karolina skrêci³a za starym cmentarzem, a kawa³ek dalejzatrzyma³a samochód na brzegu strumienia.

Polna droga koñczy³a siê wwodzie.

- Cholera, jak siê jedziedo tych Wariatów?

- Rozejrza³a siêbezradnie.

-PrzecieŹ pamiêtam, w tym miejscu by³ przejazd.

Teraz tu jest g³êbia,zalejê silnik.

Dalej brzeg by³ zbyt wysoki i stromy dla samochodu.

Zabudowania podrugiej stronie wydawa³y siê niedostêpne dla pojazdów.

- Musimy poszukaæ innej drogi - powiedzia³a, wycofuj¹c ³adê.

Przy ogrodzeniu cmentarza wychyli³a siê i zagadnê³a wychodz¹c¹ w³aænie kobietê:

- Jak moŹna dojechaæ do Eli Skowronek?

Nieznajoma spojrze³az demonstrowan¹ obojêtnoœci¹.

- Do kogo?

- spyta³a.

-Nie znam takiej.

- No, ta piosenkarka, z tym muzykiem.

-A, Wariaty?

By³o tak od razu mówią.

- Zrobi³a krok naprzód, przyjrza³a się Karolinie uważnie, popatrzy³a na Marka za kierownic¹ i spyta³a: - To wyćiecie s¹ ci, co kupili pa³ac?

- To już dawno nie jest żaden pa³ac - powiedzia³a Karolina, ukrywaj¹c zniecierpliwienie.

-Wynajêliemy tylko schronisko.

- No, to dobrze mówi³am, że to wy.

- Pokiwa³a gł³ow¹.

-A do Wariatów dojechał autem się nieda.

Musicie piechot¹.

- Jak to?

Pamiętam, że by³ przejazd przez potok, ale chyba powód^Ź wydar³a dó³.

- Powód^Ź?

- Kobieta spojrze³a na ni¹ jakby z politowaniem.

- Nie powód^Ź, ino ten Wariat.

Dynamitem.

Specjalnie, że byniktnie dojecha³.

A wy co będziecie robić tego pa³acu?

Przerobiciena hotel?

- Co pani?

- zdziwi³a siê fa³szywie Karolina.

- W takim miejscu robiæ hotel?

Sk¹d byœmy wziêli goœci?

- Myœlicie, ¿e ja taka g³upia?

Miejsce bêdzie bardzo dobre, niech no tylko puszcz¹ asfalt przez prze³êcz.

- Jaki znowu asfalt?

- Karolina nie kry³a zaskoczenia.

- Ju¿ ja dobrze wiem jaki.

I wyte¿ wiecie.

Po co byœcie bralitek¹ ruinê?

- Bêdziemy tam po prostu mieszkaæ.

- Mieszkaæ.

- Kobieta rzuci³a znacz¹ce spojrzenie na Marka.

- Anie bojno wam?

Ju¿ tacy jedni tam mieszkali i Ÿle siê to skończy³o.

- O czym pani mówi?

- A o tej, co j¹ wilki zjad³y.

Chyba pani s³ysza³a?

- S³ysza³am, s³ysza³am.

Jestem wnuczk¹ pu³kownika Chmury, nie pozna³a mnie pani?

- Co bym mia³a nie pozna^æ, pozna³am.

I wie pani co?

Dziwiêsiê pani, ¿e tu wróci³a.

Zreszt¹, co mnie to obchodzi, wasza sprawa.

Do Wariatówtrzeba piechot¹.

Naoko³o.

Albo œci¹gn¹æ butyi przez wodê.

Machnê³a rêk¹ i odwróci³a siê, jakbychcia³a da^æ dozrozumienia, ¿e rozmowa skończona.

Karolina zaparkowa³a ³adê na trawiastym poboczu i tak jak radzi³a kobieta, przeszli strumieñ w bród.

- Buty?

Przyda³oby siê i majtki zdj¹æ - zajêcza³a Karolina, wstrz¹saj¹c siê z zimna, kiedy woda siêgnê³a im do po³owy ud.

Kilkadziesi¹t metrów dalej domwy³oni³ siê w ca³oœci spozaobrastaj¹cych go drzew, awtedy Marek zacz¹³rozumie^æ powody, dlaktórych miejscowi nazywali jego mieszkańców Wariatami.

By³a to stara chatawiejska, mo¿e nawet stuletnia, o œcianach zbudowanych z grubych bali, czêœciowo oblepionych glin¹.

Od strony.

drogi pokrywa³o j¹ malowid³o, ko³o którego nie sposób by³oprzejœæ obojêtnie.

Wielkie na ca³œcianê diab³y i anio³y wrywa³ysobie nawzajem parêca³kiem nagich ludzi, ci¹gn¹c ich za rêce w dwie ró¿ne strony.

Kobieta imê¿czyzna, w przeciwieñstwie do wiêkszoœci ludowych obrazków, zw³aszcza tycho religijnejtematyce, mieliwszystkie szczegóły anatomiczne namalowane a¿ nadto wyraŹnie.

Mimo to ów jedyny w swoim rodzaju fresk nie wygl¹da³obscenicznie ani wulgarnie.

Raczejzabawnie.

Jednak by³o w nim coœ chorego.

Nie anatomiczne detale, ale kolory.

Ichintensywnoœci zestawienia przypomina³y Markowi obrazy schizofreników, tworzone w ramach terapii.

- Poznajesz tê parkê?

- spyta³, wskazuj¹c g³ow¹ malowid³o.

- To chybamy.

-Nie³udŹ siê - odpowiedzia³a.

- Kto by siê o nas bi³?

Anio³y dawno postawi³y na nas krechê.

Nie wiem nawet, czy iw piekleby nas chcieli.

Zosta³y nam tylko Wariaty.

Takie same por¹banejak my.

Wcale nie by³ tego pewny.

Nie chcia³ tej wizyty.

adnych wizyt.

Przynajmniej na razie, jeszcze przez jakieœ czas.

Robi³ to dla niej.

No i tak¿e dlatego, ¿e potrzebowali pomocy przy remoncie Górskiego Pa³acu.

Panowa³ nad finansami, wiêc nie chodzi³o o to, ¿eby ktoœ pomaga³ im z ³aski, nazywaj¹c to przyjaŃni¹.

Wola³ by po prostu naj¹ robotników.

Ale Karolina uważa³a, ¿e powinni siê integrowaæ.

Na podwórzu mêtyczna w brudnym podkoszulku grzeba³ przy archaicznym motocyklu.

Popatrzy³ na nich przez ramiê bez zainteresowania, a potem wróci³ do swego zajêcia.

- No, co jest, Idol?

- wykrzyknê³a Karolina.

- Nie poznajesz mnie?

Tamten spojrze³ jeszcze raz i przez twarz przemkn¹³o mucieñledwo powstrzymywanej niechêci.

- A, to ty - powiedzia³ obojêtnie, nie sprawiaj¹c wra¿enia, ¿eby mia³ ochotê od³o¿yæ narzêdzia i przywitaæ siê.

Za to twarz kobiety, która stanęła w otwartych drzwiach, nawidok Karoliny rozjaśniła się radości.

Ale trwało tylko przelotną chwilę.

Kiedy zobaczyła z tyłu Marka, nie potrafiła ukryć, że ona też z jego obecności wcale nie jest zadowolona.

- Przyjechaliście jednak - powiedziała.

- Jasne.

- Karolina próbowała udawać, że niczego nie dostrzega.

- To dlaczego?

- Nie, dlaczego?

Fajnie - zaprzeczyła kobieta, choć jej miną mówiła coś wręcz odwrotnego.

Marek nie umia³ zapanowaæ nad ogarniaj¹cym go gniewem.

Kim byli ci ludzie, ¿eby tak ich przyjmowaæ?

Moglibyprzynajmniej wysiliæsiê na udawanie.

- Chyba przyszlœemy nie w porê - zdecydowa³ siê odezwaæ.

-Nie, dlaczego?

- Kobieta wzruszy³a ramionamiz rezygnacj¹.

- U nas zawsze jest w porê.

Tylko ¿e akurat nie mamy dzieœ nic dojedzenia.

Mogê wasnajwy¿ej poczêstowaæ herbat¹.

Tak konwencjonalny tekst w jej ustach po prostunie móg³ byæszczery.

- Oczym ty mówisz?

- Karolina próbowa³a sztucznym o¿ywieniem zatrzeæniezrêcznoœæ sytuacji.

-Najwa¿niejsze, ¿ebysiê spotkaæ, pogadaæ, nie?

- Tak, tak, oczywiœcie.

- Gospodyni spuœci³a oczy i doda³a z rezygnacj¹: -To wejdŸcie.

Izba wygl¹da³a dok³adnie tak, jak Marek sobie wczœniej wyobrazi³.

A nawet jeszcze bardziej nieprawdopodobnie.

Prawie po³owê zajmowa³ kuchenny piec po³¹czony z chlebowym.

Dot¹dprzypuszcza³, że co² takiego mo²na zobaczy^æju² tylko w skansenach.

Ten, s¹dz¹c po garnkach na blasze, by³ wci¹u² używany.

Meble wygl¹da³y na wiejskie, i to wiejsko^æci¹ nie wspó³czesn¹, aledawn¹, sprzed co najmniej pó³ wieku.

Zewsz¹d zwisa³y nieprawdopodobne ilo^æci zió³ wgrubych p^êkach i przechodz¹c przezizb^ê, musia³ co chwila odchyla^æ g³ow^ê.

Suche ro^æliny zabiera³y wi^êkszo^ææ ^æwiat³a wpadaj¹cego przezokno.

Marek spojrze³w stron^ê sto³u i nagle skoczy³ naprzód.

W pó³mroku dojrza³ siedz¹cenablaciedziecko, ch³opczyka, chyba niewi^êcej ni² rocznego.

Malec mia³na sobietylko krótk¹ koszulk^ê, poza tym by³ ca³kiemgo³y.

Bawi³si^ê uk³adaniem drewnianychklocków.

Zobaczywszy Marka, wzdrygn¹³ si^ê lekko, ale patrzy³ naobcych bez strachu.

Szybko zreszt¹ straci³ zainteresowanie przybyszami, wróci³ doswojego zaj^êcia.

Naraz jednym ruchem przekr^êci³ si^ê na brzuszek, próbuj¹c dosi^êgn^{1æ} bardziej oddalonychklocka.

Marekodruchowo chwyci³ dzieckopod pachami.

- Co robisz?

- spyta³a gospodyni, nie kryj¹c niezadowolenia.

- Przestraszy³em si^ê - odpowiedzia³ speszony.

-Niepotrzebnie.

Jarowit nie spadnie, nie bój się.

Dzieci mają wrodzony instynkt.

Cała sztuka polega na tym, żeby go nie zabięć w tym wychowaniu.

Mareknie uwierzy w tę teorię anitrochę.

Podniósł krzyk cęgoch opczyka i podał go matce.

- Może masz rację - powiedziała.

- Ale ja nie mogę na to patrzeć.

- Wcale nie musisz - odpowiedziała.

- Pozwól tylko, żeby był go.

chowa³a po swojemu, dobrze?

Umówmy siê, ¿e ja siê nie wtr¹camdo twoich dzieci, a ty mnie nie ucz,
jak mam postêpowaaæ z moimi,rozumiemy siê?

Mówi¹c to, posadzi³a ch³opczyka z powrotemna stolei zabra³a siê
do przyrz¹dzania napoju z jakichœ zió³.

Marekt³umi³ w sobiewzburzenie.

Kim by³a takobieta, ¿eby mówiæ mu o jego dzieciach?

Co ona onim wiedzia³a?

Nic.

Mimo to przejrza³a go odrazu.

Mog³a to zatrzymaædlasiebie.

Nie po to przecie¿ zdecydowa³ siêosi¹œæ na tym odludziu, ¿eby ktoœ
znowu w³azi³z butamiwjego prywatne sprawy.

- Dopóki siedzi na stole, mam pewnoœæ, ¿e nie zbli¿y siê dopieca
- wyjaceni³a, jakby chcia³a okazaæ dobr¹ wolê i zatrzeæ niemi³e
wra¿enie.

Na chwilê zapad³a niezrêczna cisza.

Gospodyni krz¹ta³a siêprzy piecu, w którym ogieñ p³on¹³najwyraŹniej
przez ca³y dzieñ.

Rytua³ przyrz¹dzania naporuz zió³,który nazywa³a herbat¹, by³doœæ
skomplikowany.

Wreszcie postawi³a przed nimi paruj¹cegliniane kubki.

- Jak będziecie chcieli się naenergetyzowaæ, towpadnijcieinnym razem.

Zrobi³am napójwyciszaj¹cy.

Zdaje się, że w tej chwili tego nam wszystkim najbardziej potrzeba - powiedzia³a.

W wejœciu stan¹³jej mę¿czyzna.

-Macie papierosy?

- spyta³.

Marek pomysœla³ z niechêtn¹ satysfakcj¹, że przysz³a koza dowoza.

Od pocz¹tku wiedzia³, że tacy w³aœnie ci ludzie musielibyæ.

Udawali wyzwolonych orygina³ów, a w gruncie rzeczy byli zwyk³ymi naci¹gaczami, patrz¹cymi tylko, jak kogoœ wykorzystaa.

- Jasne- odpowiedzia³, wyci¹gaj¹cpaczkê marlboro.

-O, prezesowskie!

- ucieszy³ się Wariat.

-A ty co, nie palisz?

- Wyros³emz tego - odpowiedzia³ Marek.

-Wiesz, że przypomniam³eœ mi dzieciñstwo?

- spyta³ Wariat, zaci¹gaj¹c się z nieudawan¹ rozkosz¹.

- Co maszna myœli?

-Widzisz, mo¿e na to nie wygl¹dam,ale pochodzê z dobrej rodziny.

W naszejkamienicy by³y piece.

Mój dziadek też nie pali³, ale zawsze miał³ paczkę lepszych fajek dla dziadów, co nosili węgiel.

- Kiepskie porównanie - warkn¹³Marek, sil¹csiê, by zachowaæ spokój.

-Tak?

A ja myślê, że całkiem nie³e.

" - Czyżbyś uważa³ się za dziada, co nosi węgiel?

Zreszt¹, ja niepotrzebuję.

Sam potrafiê sobie przynieść.

- Ale dachu sobie nie zreperujesz, co?

A musicie to zrobić przed zim¹, bo inaczej cha³upa wam całkiem zbutwieje.

Gdzie

105.

znajdziecie dekarza, który zgodzi się przyjechać na to zadupie, żeby rozlatujcie się budę?

Tutaj sam musimy sobie ze wszystkim radzić.

- Ja jestem otwarty - powiedział Marek, choć przyszło mu to z trudnością.

- Tę od początku macie coś przeciw mnie.

Możesz się mylić?

- Nie, nie mylisz się.

- Wariat pokręcił głowę.

- Wybacz szczerze, ale tacy jesteśmy.

Zresztą, sam pytasz, więc ci powiem: niepasujesz tutaj.

- Skąd wiesz?

- To widać.

Nie martw się.

Dla ciebie chciałoby się pracować za jakieś pieniądze, ale Karolinie naprawi dach przyjaźni.

- Gdyby nie Marek, nie byłoby mnie tutaj - powiedziała Karolina.

- Wiem.

- Gospodarz pokręcił głowę.

- I to mnie martwi.

Zmarnujesz się.

- Wyhamuj, Idol - powiedziała Karolina.

- Za dużo sobie pozwalasz.

- Nie chcę się kłócić, jestem tylko szczery.

Jesteście dorosłymi ludźmi, robicie, co chcecie.

Tylko że on do ciebie nie pasuje.

- Kim ty jesteś, koleś, żeby orzekać, kto do kogo pasuje albo nie?

- uniósł się Marek.

Czuł, że nie powinien wdawać się w tę dyskusję, tylko po prostu wyjść.

Nie robił tego ze względu na Karolinę.

Cokolwiek się działo w tych ludziach, byli jej przyjaciółmi.

Choć zdumiewało go to coraz bardziej.

- Widzisz?

Już przemawia przez ciebie pycha.

- Wariatów nie ma się.

- Po prostu nie należysz do naszego gatunku.

Jeszcze nietak dawno gardziło się takimi jak my, którzy odpadli w wyścigu szczurów.

Nawiasem mówiąc, to porównanie ubliża szczerom.

No, myślisz?

Teraz jesteś po tej stronie, bo ci się powinęła noga.

Ale dalej masz się za kogoś lepszego.

Marek odstawi³ kubek izrobi³taki ruch, jakby chcia³ wstaæ.

Wariat powstrzyma³ go gestem rêki.

- Nie ró**b** cyrku, sied^Ÿ.

Nie szukamy z tob¹ zwady.

Bêdziemy¹siadami, musimy siê z tym pogodziæ.

A zreszt¹, nied³ugo i tak nas wszystkich za³atwi¹ asfaltem.

- Co ty mówisz?

- przestraszy³a siê Karolina, a mo[¿]e tylko skwapliwie skorzysta³a z okazji, [¿]eby zmieniaæ temat.

-Spotkalicemy w³acenie babê, która coæ bredzi³a, [¿]e maj¹ poprowadziaæ szosê przez prze³êcz.

Myœla³am, [¿]e tylko siê z nami dra[¿]ni.

- Niestety, nie.

Ca³a Wilcza Polana walczy o ten asfalt.

I bojê siê, [¿]e w koñcu wywalczy.

Awtedy [¿]egnajszlachetna dzikoœci.

Je106.

celi to w³aczenie jej tutaj szukacie, spóŹniliœcie siê.

Toco, napijemysiê na zgodê nalewkiWariatów?

Nie zwa¿aj¹c na krzywe spojrzenie swej towarzyszki, wyj¹³z malowanej szafki butelkê z p³ynem intensywnie zielonego koloru i dwa niedu¿e kieliszki.

Kobiety odmówi³y.

Marek upi³ ostro¿nie niewielki ³yk.

Alkohol by³ mocny.

Poczu³ smakgorzkich zió³, przysz³o mu do g³owy, ¿e to pio³un.

- Absynt?

- spyta³ zdziwiony.

- A co, nie wiedzia³eœ, ¿e w³aczenie to pij¹ por¹baniartyœci?

-Czyta³em o tym.

I zdaje mi siê, ¿e oniprzewa¿nie Ÿle koñczyli.

- Boisz siê?

-Nie jestem takistrachliwy - powiedzia³ Marek i wychyli³ ca³¹ zawartoœæ swojego kieliszka.

- I co, z³e?

Tonie jest zwyczajny absynt, to mój tajny patent- powiedzia³Wariat tonem przechwa³ki.

- Samsiê przekonasz.

Ale zanimto nast¹pi, musimy pogadaæ.

Myteż bédziemy mieædowas pewn¹ sprawê.

- Daj spokój!

- przerwa³a mukobieta.

- Dlaczego?

Jak już s¹,niech siê do czegoœprzydadz¹.

- Nie potrzeba, s³yszysz?

Nie chcê.

To nie ich sprawa.

- Sami nie damy rady, wiesz o tym.

Kobieta siorbnê³a ³yknaparau, potem odstawi³a swój kubeki zaczê³a bezg³ocenie p³akaæ.

- S³uchajcie, co siê dzieje?

O co tu chodzi?

-spyta³a Karolina.

I jakby pod wp³ywem nag³ego przeczucia doda³a: - Gdzie dziewczynki?

Teraz dopiero kobieta zap³aka³a na g³os.

- Uspokój siê, p³acz nic nie da- powiedzia³ Wariat.

- Trzebadzia³aæ.

- Powiecie wreszcie?

- nalega³a Karolina.

- Zabrali je - odpowiedzia³.

-Jak to, zabrali?

Nierozumiem.

Kto, dokąd?

Do szpitala?

Kobieta pociła nosem, przetarła oczy dłońmi i powiedziała z przebijającą przez śnieg zimną nienawiścią:

- Przyjechała babka z gminy z policją i zabrali ją do pogotowia opiekuńczego.

-Jak to?

Na jakiej podstawie?

- Na takiej, że nie mamy telewizora.

-Co ty mówisz?

- Najpierw się czepiła, że w domu nie ma pralki.

Udowodnię jej, że bez pralki też można mieć wszystko wyprane i czyste.

Potem, że lodówki.

Pokazuję, jak przechowuję żywność, że nic nie jest zgniłe, spleśniałe, robaki się nie zalęgły.

Wtedy powie107.

dzia³a, ¿e nie ma telewizora, wiêc dzieci nie maj¹ mo¿liwoœci rozwoju.

- Suka, ju¿ przyjecha³a z t¹ myœl¹, ¿eby jezabraæ -
powiedzia³mê¿czyzna.

- Po co by zabiera³a gliniarzy?

Nie by³o mnie w domu, bo bym nie odda³.

- A co, bi³byœ siê z policj¹?

- spyta³a jego kobieta.

- Nie oœmieliliby siê.

- Akurat!

Coœ zaszura³o w sieni i w drzwiach izby pojawi³ siê
niechlujny starzec o ob³¹kanym spojrzeniu.

Przet³uszczony siwe kosmyki opada³ymu naramiona, otaczaj¹c³y
czubek czaszki.

Stopy mia³bose, a spod rozpiêtej lnianej marynarki wy³ania³ siê blady
tors, wychud³y i bezw³osy.

Jego ubranie, rêce i zapadniêty brzuch umazane by³y farbami.

Nie trzeba by³o wielkiej przenikliwoœci, by odgadn¹æ, ¿e to zapewne on
by³ autorem fresku na zewnêtrznej œcianie.

- Co, co?

Co mówicie?

- zapyta³ nieprzytomnie.

- Dziewczynki wróci³y?

- Tato, proszę cię - odezwała się gospodyni
niecierpliwym głosem.

- Wróć do siebie.

Jak wróc, zaraz ci powiemy.

- Zaraz, pamiętaj, zaraz.

Nawet gdybym spał, zaraz mnie obudzą.

Znikn¹³.

- Ja się naprawdę wykończę.

- Ela Skowronek podpierała głowami.

- Sami widzicie, jeszcze powiedz, że dziewczynki niemog mieszkać
tylko bez telewizora, a w dodatku razem ze starym psychikiem.

- Przecież nie mogli ich trzymać bez nakazu sądowego -
powiedziała Karolina.

- Na pewno wszystko się wyjaśni.

- Zdaje ci się, że sąd weźmie naszą stronę?

- spytał Wariat.

- Chyba sama w to nie wierzysz.

Jedynym ratunkiem jest zrobić aferę w mediach.

Marek zdawał sobie sprawę, że ten człowiek, którego uważał
za degenerata, ma tym razem rację.

- Więc telewizja może się jednak do czegoś przydać?

- Nie odmówi sobie sztyrdstwa.

Mężczyzna zignorował jego słowa.

- Zastawicie to?

- spytał.

- Jasne - pocieszyła z zapewnieniem Karolina.

Zaraz potem odwróciła się do swojej przyjaciółki i spytała z wyrzutem: -
Ela, dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziała?

- Macie do swoich problemów.

-No wiesz?

Tonie znaczy, że nie możemy wam pomóc.

108.

Marek domyœla³ siê, sk¹d bra³a siê rezerwa Wariatki.

To z nim nie chcia³amieæ nic wspólnego.

Ona te¿ by³a zdania, ¿e jej przyjaciółka, wi¹¿¹c siê z kimœ takim, rujnuje sobie ¿ycie.

Najwyra¿niejs¹dzi³a wed³ug siebie.

Wcale siê tym nie przeje³.

W³acenie zacz¹³ odczuwaæ, ¿e patent Wariata by³ naprawdê niesamowity.

Kilka kieliszków zielonej nalewki sprawi³o, ¿e Marek poczu³ siê nagle wyzwolony z wszystkich trosk.

Ca³ata sytuacja ju¿ go tylko œmieszy³a.

A zw³aszcza tych dwoje.

On te¿ nie pozwoli³by takim ludziom wychowywaæ dzieci.

Z powrotem prowadzi³a Karolina, która do koñcawizyty nieruszy³a nalewki.

- To jednak prawdziwe œwiry - odezwa³ siê Marek.

- Nazwa œdziecko Jarowit!

- Co, nie³adnie?

Mnie siê podoba.

- Przecie¿, jeœli mnie pamiêæ nie myli, to by³ jakieœ s³owiañski bóg, nie?

Sekta jakœ pogañska czy co?

- A ty?

- spyta³a, nie patrz¹c na niego.

- Co ja?

-Jakbyœ nazwa³ syna?

- S³ucham?

- Zaskoczony, oszo³omiony nalewk¹, nie rozumiej¹c dok³adnie, o co jej chodzi, próbowa³ zyskaæ na czasie.

- Nie, nic - odpowiedzia³a.

-No i co?

Zadomowili siê ju¿ państwo?

Oboje patrzyli z pewnym zdziwieniem nawójta Wierciocha, który przed chwil¹ z zadziwiaj¹c¹ lekkoœci¹, jak na tak oty³egomê¿czyznê, wyskoczy³ ze swej terenowej toyoty i teraz pewnym krokiem zmierza³ ku nim przez ogród.

Wyci¹gn¹³ rêkê gestem przejmym, ale doœæ w³adczy¹m, jakby by³ politykiem z pierwszych stron gazet, a nie gospodarzem biednej przygranicznej gminy.

- To jak?

- Nie rezygnowa³.

-Nie ¿a³uj¹ państwo decyzji?

- Cóż, jeszcze czujemy siê trochê jak na biwaku.

- Karolinasiêucemiechnê³a.

-Ale ¿a³owaæ nie ma czego.

- To fakt, narazie niezbyt tu wygodnie.
- Wójt otaksowa³ budynek wzrokiem.
- Wygody mieliemyw Warszawie - powiedzia³ Marek sucho.

Wierciuch nie da³ siê zniechêciaæ.

NajwyraŹniejnie mia³ ochoty prêdko zakończyæ wizyty,
Karolinazaproponowa³awiêc:.

- Wiemy, że pan wójt jest bardzo zajęty, ale w³acenie robi³amkawê.

Może siê pan skusi?

- Z przyjemnoœci¹.

Dopiero potem jakby siê zreflektowa³ i z udawanym zaafowaniem spojrze³ na zegarek.

-Mam wprowadzie kilka pilnych spraw.

No,pó³ godzinki.

Trudno odmówiaæ tak mi³ym zaprosinom.

Ludzkie panisko, pomysla³ Marek z niechêci¹.

Zdecydowan¹ antypatiê czu³ do wójta od samego pocz¹tku.

Nawet jeœli nie by³o¿adnych istotnychpowodów, facet denerwowa³ go samym swoimwygl¹dem.

Obnosi³ swoj¹ tuszê, jakby to by³ wielki atut.

Przy ka¿dej okazji pokazywa³ swoj¹ sprawnoœæ, jakbychcia³ wszystkimudowodniæ, że nie jest dychawicznym workiem t³uszczu, ale wielk¹ gór¹ stuprocentowej mêskoœci.

W konkursach na wójta roku odkilkulat wygrywa³ wszystkie si³owe konkurencje.

Uchodzi³ te¿zawielkiego podrywacza, któremu nie opar³a siê ¿adna urzêdniczkazgminy.

Marek wola³by mieæ z nim jak najmniej do czynienia.

Wójt wszed³ dokuchni,schylaj¹c siê niepotrzebnie w progu,jakby znów chcia³ daæ do zrozumienia, jaki czuje siê wielki.

Usiad³ przystole, zakoleba³ nim znacz¹co.

Z jego miny wynika³o, że starymebel nadaje się tylko na opa³.

Pokiwa³ gł³ow¹ z z troskaniem.

- Nie pamięta³em, że to schronisko by³o takie zapuszczone.

Okropnie du²o tu jeszcze roboty.

- Nie śpiesz się nam - powiedzia³ Marek.

-Zazdroszczę państwu - westchn¹³wójt.

Potem wci¹gn¹³ nosem opary z nad szklanki.

- Co za aromat!

Lavazza, myli się?

Karolina lekko się ucieszyła.

- Widzę, że jest pan znawc¹, panie wójt.

-Och, po prostu mi się docenia jakoś.

Nie tylko kawy - doda³ dwuznacznie.

- Pewnie dlatego wybrali pana na wójta - nie wytrzyma³ Marek.

-W pierwszej turze - potwierdzi³ niezręczony Wiercioch.

-Proszę tylko nie myśleć, że ja się pcham do w³adzy.

Lepiej bym wyszed³, wracaj¹c do biznesu.

I kiedyś to nast¹pi.

Chcia³bym tylko częściej robić coś jeszcze dla tej ziemi.

Wykona³ ręk¹ szeroki gest, jakby przez ościany chcia³
pokaza^æ zasięg swojego³ adztwa, którego granice gin^ê³yw mg³ach
zawzgórzami.

- Na przyk³ad?

- spyta³ Marek.

Wójt nie da³ siê sprowokowa^æ.

- Naprzyk³ad oeci¹gn¹æ tu wiêcej ludzi takich jak państwo, którzy
bêd¹ dŹwigaa^æ nasz¹ gminê na wyŹszy poziom.

-A sk¹d pan wie, Źe mamy na toochotê?

- Na pewno.

- Wiercioch uœmiechn¹³ siê wyrozumiale.

- Nawetjœelinie bêd¹ państwo chcieli, i tak bêd¹ dŸwigali.

To siê ma wekrwi.

Wiêc bardzo siê ciesze, ze siê pañstwowdecydowali.

Tym bardziej jezest wielu takich, którzy zanizej¹.

- Westchn¹³.

- Niektórych pañstwonawet znaj¹.

TeWariaty.

Konfliktuj¹œerodowisko.

- Obawiam siê, jezemy tezej bêdziemy konfliktowaæ - wpad³a muw s³owo Karolina.

- Mnie tezej nie wszyscy polubili.

Mam juzej nawetpierwsze dowody.

- Alezej, pani Karolinko- wójt po³ozey³ praw¹ d³oñ na swejduzejpiersi
- jak pani nawet mozej porównywaæ!

Wiem, chodzi panio wilki, co?

Zapewniam uroczyœcie, jezemy w tej sprawie mamnie pani ca³ego po swojejstronie.

- Doprawdy?

Powie pan to hodowcom?

- Co tam hodowcy!

- Machn¹³ r k¹.

-Ja mam inn¹ wizj  gminy.

Bardziej, powiedzia³bym, europejsk¹.

Nied³ugo b d¹ tu przyje d a  ludzie z ca³ego  wiata.

Niech pani sobiewyobraz*i* tereklamy:Odwiedzajcie krain  wilk w i nied wiedzi.

No? Nieprzyjad¹?

Prawda, niektórzy rzucaj¹ nam k³ody pod nogi, chcieliby z powrotem wyt pia  wielkiedrapie niki.

Ale to ludzie minionej epoki,dinozaury.

- Jak nadle niczy Prawica?

-On te .

I nie tylko.

So³tys Drewniak.

I jeden radny, jeszczegorszy.

NiejakiOgnik.

Ten to lubi bru dzia !

Alewierz ,  e pani sobie z nimi poradzi.

W jt najwyra niej nie mia³ ch ciepiesz  si  do swoich pilnych zada .

Karolina powt rzy³a wi c propozycj :

- Mo e jeszcze kawy?

W jej głosie zadźwięczała tym razem ledwo zauważalna nutka ironii.

Wiercioch wolał jej niezauważać,

- Nie jestem w stanie odmówić.

- Rozłóż szeroko ręce.

- Przy okazji załatwimy naszą sprawę.

- Mamy jakąś wspólną sprawę?

- spytał Marek już całkiem niezachęcająco.

Wiercioch i tym razem nie zwrócił na to uwagi.

- Idzie zima.

- Rozejrzy się znacząco po izbie.

- Nie zostało wiele czasu.

U nas już na Wszystkich Świętych bywa ciężko.

- Zrobimy, ile zdołamy.

- Chętnie państwu pomogę.

- Zna się pan na instalacjach sanitarnych?

- Marek nadal zachęcał go bez skutku.

- Wystarczy, że jestem wójtem.

Mamy w gminie dobrych fachowców.

Nie mówię, żeby od razu wszystko, ale wyszukaj choć trochę na tyle, żeby państwo przeżyli zimę wygodnie, sucho i ciepło.

Zrobi¹ to szybko i niedrogo.

Tańszych państwo nigdzie nie znaj¹.

- Chce pan nas kupiać?

-Kawalarz z pana, panie Marku.

- Wiercioch zaćemia³ siê.

-Rozumiem podejrzliwoćæ, teraz wszyscy wszystkich korumpuj¹.

Aleco w³aciewie państwo mieliby mi w zamian do zaoferowania?

Nic,prawda?

Nie te czasy.

Ja po prostu chcê, żeby moim mieszkańcom dobrze siê ży³o.

- Dziękujê, poradzimy sobie sami - powiedzia³ Marek.

- Jestem nie tylko by³ym wiceministrem.

-ycie nauczy³o mnie róźnych fachów.

- Mycêlê, że jednak chêtnie skorzystamy, paniewójcie - przerwa³a mu Karolina.

- Wasza ekipa mog³aby doprowadziæ do porz¹dku naszeszambo.

Mam juź doćælatania za potrzeb¹ na dwór.

Oczywiêcie zap³acimy wed³ug stawek.

- To jasne.

-Wiercioch ucemiechn¹³ siê kpi¹co.

-W ten sposób państwo bêd¹ mieli szambo jak nowe, moi ludzie pracê, a gminanie straci.

Trzebasobie pomagæ.

- Skoro pan tak mówi, to jest jeszcze jedno.

- zawaha³asiê.

- Proszê mówiæ œmia³o.

-Ja wiem, ¿e pan nie ceni zbyt wysokoEli Skowronek i jej faceta.

Ale to nasiprzyjaciele.

Niemieli w ¿yciu ³atwo.

Wójt skrzywi³ siêprzelotnie, jakby sama wzmianka
oWariatachsprawi³amufizyczny ból.

Za chwilê znów ucemiecha³ siê fa³szywie.

- Cóż, s¹,jacy s¹.

Ja te¿ jestemcz³owiek tolerancyjny.

Mamo nich swoje zdanie, ale nikt ich tu z tego powodu nie przeœladuje.

- Czy¿by?

-Co pani ma na myœli?

- Zabrano im dzieci.

Chyba nie mog³o to siê staæbez pana wiedzy?

Wójt po raz pierwszy straci³ sw¹ demonstracyjn¹pewnoœæsiebie.

Nawet siê zaczerwieni³.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

Nic mi o takim zdarzeniu niewiadomo.

- Tym gorzej, panie wójcie.

Nie panuje pan nad swoimi urzędnikami?

- No, nie wiem, nie wiem.

To jaką samowolą.

może nadgorliwość.

bez właszej woli.

- Także.

- Bez właszej woli?

Cóż, może.

- Karolina wydawała się być pełną odpowiedzialności.

- Tylko czy media w to uwierzą?

- Media?

- Wiercioch poruszy się niespokojnie.

- Media.

Słyszę, że się interesują.

- Patrzcie, takie Wariaty!

A kogo oni znajdą w mediach?

- spyta wójt podejrzliwie.

- Nie musi nikogo znać.

Dziennikarze samopolują na takie.

smaczki.

Zabraæ dzieci rodzicom, bo nie maj¹ telewizora.

No, hicior poprostu!

- Przesada, pani Karolinko.

-Przesada?

To ur¹ga wolnoœci!

A mo¿e pan jest innego zdania?

- No, ur¹ga, ur¹ga - mæczy³ siê wójt.

-Tylko po co zaraz mieszaædo tego media?

Chyba pañstwo nie s¹ zainteresowani takim rozg³osem miejscowoœci, w której postanowili rozpocz¹æ nowe ¿ycie?

- Oczywiście, ¿e nie - powiedzia³a Karolina.

-No widzi pani -odetchn¹³ z ulg¹ Wiercioch.

- Co by to komu da³o?

Lepiej za³atwiænieporozumienie we w³asnym gronie, prawda?

- Co pan proponuje?

-Zajmê siê tym jeszcze dzieæ.

Te Wariaty.

toznaczy paniSkowronek i jej.

przyjaciel.

dostan¹ z powrotem swojedzieci.

A co do tego dziennikarza.

Znago pani?

- Niestety, nie.

Jakie m³ody, zdaje siê.

- M³odzi s¹ najgorsi - zafrasowa³ siê wójt.

- Przecie¿jakieœdojœcia na pewnopanima, co?

- Coœ mo¿e by siê znalaz³o.

Znamludzi, którzy znaj¹ jego.

Podwarunkiem, ¿e siê pan poœpieszy.

- Ja ju¿ siê œpieszê - poderwa³ siê wójt.

- Dziêki zawspania³1kawê - rzuci³ na odchodnym.

Marek z zazdroœci¹ patrzy³ za oddalaj¹c¹ siê wójtow¹ toyot¹.

Kiedyznik³a w tumanie kurzu na zakrêcie,spojrza³ na Karolinêi pokrêci³ g³ow¹.

- Nie wierzê.

I pomyœleæ, ¿e parê lat temu rzuca³æ siê pod koparki.

- Co siê czepiasz?

Têsknisz do dziennikarzy?

Ma³o ci by³o tego, co napisali w "Super Expressie"?

Chcia³byœ, ¿eby siê tu znowu szwendali,co?

Nie móg³ nie przyznaæ jej racji.

Zainteresowanie mediów by³ostatni¹ rzecz¹, jakiej by teraz pragn¹³.

By³o jeszcze wczesnie ikiedy Marek wysiad³ zautobusu
przeddomem kultury w miasteczku, zasta³ drzwi zamknięte.

Usiad³ na³awce pod klonem, z którego powoli opada³y³ó³te liście, i
czeka³może kwadrans, zanim zobaczy³ Adama Chmurę, kućtykaj¹cego
swojej kuli przez plac.

- Dziękujê, że przyjecha³œ- powiedzia³ ojciec Karoliny, przy.

siadaj¹c obok.

- Mo¹że z tob¹ ³atwiej mi siê przyjdzie dogadaæ ni¹ z w³asn¹ cór¹k¹.

- Choæ w³aæciwie powinieneæ mnie zastrzeliæ, prawda?

- Marek siê ucæmiechn¹³.

- Mo¹że itak.

- Stary odpowiedzia³ nik³ym ucæmiechem.

-Tylko¹że dawno nie strzela³em.

Pewnie bym nietrafi³.

- Tak, to Karolina wci¹ż strzela.

Wprawdzie nie do żywychcelów, ale jest w tym dobra.

- Zawsze mia³em wrażenie, że to ona bardziej wrodzi³a siê w Chmurów ni¹ż ja.

Kiedy by³a ma³a, zacz¹³em nawet udawaæ, że jestem taki jak oni, żeby siê smarkuli przypodobaæ.

Wola³em, żeby strzela³a do tarczy.

Sam j¹ nauczy³em.

Chcia³em, żeby mniemie mia³a za miêczaka, tylko takiego samego twardziela jak pu³kownik.

- Nawet je³dzi³eæ z ni¹na akcje wilcze.

Tarczajednak niewystarcza³a.

- Sk¹d wiesz?

- Chmura spojrze³ na niego zaskoczony.

- Wci¹ trzyma to okropne zdjęcie z zabitym wilkiem.

-Z Wata¹k¹!

-o¹ywi³ si¹e nadzwyczajnie.

- Mówisz powa¹nie?

- Widzia³em na w³asne oczy.

Nasza znajomo¹æ zacz¹æ si¹e odogl¹dania rodzinnych zdję¹æ z trupami wilków.

Mojego ojca z Prowidnykiem i waszego z Wata¹k¹.

To naspo³czy³o.

Ojciec Karoliny pokr¹ci³ g³ow¹.

- Dziwna dziewczyna.

-Inaczejpewnie by mnie tu nie by³o - zgodzi³ si¹e Marek.

- Ma charakterChmurów.

Z tak¹ sam¹ zajad³o¹eci¹ broni wilków, z jak¹ pu³kownik je t¹pi³.

Boj¹e si¹e, ¹eby si¹e nie zap¹dzi³a zadaleko.

- Nieprzesadasz?

-Nawet nie masz poj¹cia, w jakiejnienawi¹oci ja ros³em.

Odma³ego s³ysza³em tylko o Ukrai¹ncach, ¹e s¹ jak w¹ciek³ewilki.

Mia³em wra¹zenie, ¹epu³kownik, gdyby m¹g³, wci¹ zabija³by ichgo³ymir¹ekami.

A ¹e Ukrai¹nców ju¹ w okolicynie by³o, wi¹ec ca³1swoj¹ nienawi¹o¹æ przeni¹o³ na wilki.

Tobie może to trudno zrozumieć, ale trzeba ich być o widzieć, jak zbierali się na te swoje akcje wilcze.

Jakbyś zli na prawdziwą wojnę.

Więc możesz sobie wyobrazić, zdawało mi się, że nienawidzi wilków to tak że mój brat.

Stary wilk, chwilę siedzieli, nie odzywaj się.

Marek obserwował kolejne spadające w ich locie ku ziemi.

Widział wspaniałe dzieciństwo.

Wreszcie powiedziało:

- Wiem, mój ojciec też przeszedł tę dziedziczną chorobę.

Ale chyba nie o wilkach chciał rozmawiać?

- Masz rację.

Chodź.

Podniósł się w nagłym przypływie energii.

I ruszył szybciej niż zwykle w stronę brzydkiego klocka miejskiego domu kultury, krocąc się z pozostałymi zabudowlami placu.

Otworzył drzwi, zgrabnie pchnął je okciem, wszedł pierwszy i zapalił światła.

Stanął pośrodku holu i zatoczył kulę dokoła.

- Oto cała moja zbrodnia.

Sam oceń.

Marek mniej więcej wiedział, czego może się spodziewać, jednak to, co zobaczył, poraziło go.

Wizje wokół obrazy były naprawdę okropne.

Nawet nie przez to, co przedstawiały, choć widok odrębnych głów irozprutych brzuchów, skłpanych we krwi, mógł kogoś mniej odpornego przyprawić o mdłości.

Najgorszą wydał się Markowi bijące w oczy nieudolności tych malowideł.

Krew miała kolor soku malinowego, a sposób malowania, gorzej niż amatorski, w porównaniu z przedstawionymi na płótnach okropnościami budził w nim przede wszystkim zażenowanie.

- No?

- po prostu Chmura.

Zwleka³ z odpowiedzi¹, udaj¹c, ¿e jeszcze siê rozgl¹da.

To sprawi³o, ¿e wbrew swej woli zauwa¿y³kolejne szczegó³y.

Twarz w¹satego mê¿czyzny, z kos¹ wer¿niê¹ g³êboko miêdzy szczêki, dosamychuszu.

Rz¹d sztachet z nabitymi nanie niemowlêdami.

Nag¹kobietê z otwartym brzuchem i wywleczonymi wnêtrznociami, po¿erany przez dwa czarne psy.

Choæ mo¿e mia³y to byæwilki, tylko malarz niezrêcznie dobra³ farby.

Marek niemia³ ochoty d³u¿ej patrzeæ.

- I co?

- spyta³ gospodarz.

- Ty te¿ uwa¿asz, ¿e nie powinienem siê zgodziæ na tê wystawê?

- Powieminaczej: ja bym siê na ni¹ niezgodzi³.

- Bo?

- Przede wszystkim to straszne kicze.

- Myœlê, Marku, ¿e ten malarz widzia³ to wszystko naprawdê.

Jak pu³kownik i inni z mojej rodziny.

- Ico z tego?

To jeszcze nieznaczy, ¿e umie malowaæ.

Twój ojciec, o ile wiem, niepróbow³.

Ten te¿ nie powinien.

Po prostu stąd co takiego pokazywać.

Kto to w ogóle jest?

- Malarz chciał pozostać anonimowy.

- Nie dziwi się.

- To stary człowiek.

Schorowany, trapiący przez lęki.

Wystawę firmuje Towarzystwo Ofiar Zbrodni Ukraińskich.

- Nie ma takiego towarzystwa.

- Mylisz się.

Sprawdzę.

Zostało legalnie zarejestrowane.

Ma w statucie upamiętnianie krzywdzonych przez naród polski od Ukraińców.

- Paru dziadków, dla których czas się zatrzyma³.

-To według ciebie nie ludzie?

Nie Polacy?

- Powiedz jeszcze, że jestem kosmopolit¹.

Nie jestem.

Tylko innego pamięta^æ, aco innego katowa^æ m³odzie^ç tak¹ pornografi¹.

- Niech wiedz¹, Marku.

-Co? -eszeædziesi¹t lat temu by³y rzezie?

- Nie.

-e nie ma nic pewnego.

Dzie^æ wszystkowi gl¹da piêknie, a lenie wiemy, co nas spotka jutro.

Markowi nie chcia³o siê d³u^çej spiera^æ ze starym.

W gruncierzeczy, co goto obchodzi³o?

Jakie znaczenie mia³y tesznurowate obrazki?

Chmura najwyra^ÿniej przypisywa³ im zbyt du^çe znaczenie.

Podobnie jak ci, którzy rzucili siê na niego z gniewem, że o^æmieli³ siê je wystawia^æ.

W^æród nich jego w³asna córka.

Przez pierwszy tydzień prawie nikt nie zwróci³ na t^ê wystaw^ê uwagi.

Ma³o kto j¹ ogl¹da³, a nawet jeżeli ktos^æ sobie co^æ w duchu my^æla³, to nie opowiada³ o tym, ale ze wstydem przemilcza³.

Tak zachowywali się i Polacy, i Ukraińcy z okolicy.

Dopiero kiedy w miasteczku pojawił się reporter z Warszawy, a dwa dni później ukazał się jego artykuł "Nóż w plecy pojednania", rozpętała się afera.

Nawet milcząca dotąd ambasada Ukrainy poczuła się obowiązkiem zgłosić protest.

- Powinieneś przewidzieć, że wypuścisz upiora z grobu - zmusi cię do powiedzenia Marek.

- To co, miałem się przestraszyć?

- Ktoś powie, że jestem niepoprawny politycznie?

Zawsze byłem.

- Przestraszyłeś się, że ktoś pomyśli, że się przestraszyłeś?

Oto chodzi?

Kto mógłby tak pomyśleć?

Twój ojciec pułkownik z grobu?

Chmura westchnie.

- Myślałem, że jak swoje przeszedłeś, to łatwiej mnie zrozumiesz.

- Rozumiem cię.

Tylko że Karolinie masę nic tłumaczyć.

Ona też rozumie.

Może nawet w głębi duszy przyznaje ci rację, to najbardziej wciąka.

Pogniewa siêtrochêi przejdzie jej.

Mówi³, comu przychodzi³o do g³owy, żeby tylkoprêdziej skończyæ z tym nieprzyjemnym tematem.

Chmura pokrêci³ g³ow¹.

- Wiem,moja córka uważa,że robiê jej wstyd.

Myœli, że stan¹³em po stronie Drewniaka i jemu podobnych.

- Co tyopowiadasz?

- Marek naprawdê siê zdumia³.

- Nie zaprzeczaj.

Ja wiem, że to może tak wygl¹daæ.

WójtWiercioch też by mnie chêttnie udusi³,gdybymóg³.

Psujê mu jegowizerunek Europejczyka.

Umy³ rêce.

Da³ wywiad do gazety, że.

on z t¹ wystaw¹ nie ma nic wspólnego, że to przejaw ciemnegonacjonalizmu niektórych.

Mnie też widać do tych niektórych zaliczy³.

A to przecie² nie jest tak.

Ty wiesz, Marku, że moje intencje s¹ inne.

Marek u^oemiechn¹³ si^e.

- W polityce nie licz¹ si^e intencje, tylko efekty.

- W polityce?

- Chmura wydawa³ si^e urażony.

- To ty by³ e^o politykiem.

Ja nigdy.

Jasne, pomy^ela³ z niech^eci¹ Marek, ty jeste^o tylko historykiem.

I czym si^e tu che³ pi^a?

Nigdy ²aden polityk nie namiesza³ tak Polakom w g³owach, jak historycy.

Nie powiedzia³ tego g³o^eno.

Niechcia³o mu si^e.

- Chcesz czy nie chcesz, to jest polityka - mrukn¹³ tylko.

- Nie dlamnie.

Powiem ci, kto namalowa³ te obrazy, wierz^e, ²ezachowasz to dla siebie.

To wasz s¹siadz Wilczej Polany.

Pan Skowronek, ojciec tej piosenkarki, któr¹ nazywaj¹ Wariatk¹.

Marek pokiwa³ g³ow¹.

Móg³siê tegodomycelæ.

Malowid³o nacha³upie by³o wprawdzie duŹo lepsze, ale te schizofrenicznokolory powinny daæ mu do mycelenia.

- Musia³ chyba mieæ czterdzieæci stopni gor¹czki.

- Wzruszy³ramionami.

-MoŹe jest chory psychicznie, ale malowaæ potrafi.

NajwyraŹniej mia³z³y okres, nie by³ sob¹.

- A ja mycelê, Źe wprost przeciwnie - powiedzia³ Chmura.

-W³acenie kiedy je malowa³, by³ naprawdê sob¹.

Machn¹³rêk¹ naestetykê.

Mordowanie ludzi, Marku, to nie jest dzie³o sztuki.

Pokaza³ to, czegoby³ œwiadkiem jako dziecko, tak jak tow jego g³owie zosta³o.

Jak móg³bymmu odmówiæ?

Musia³em zrobiaæ tê wystawê, bez wzglêdu na poprawnoœæ polityczn¹ i wstyd, jakiprzynios³emmojej córce.

Powiedz jej to,moŹe ciebie pos³ucha.

Nie liczy³bym na to,pomycela³ Marek.

23

Kilka dni póŹniej zabra³ autostopowicza z parkingu przy poczcie.

Wyjechali już z miasteczka, kiedy nieznajomy odezwał się, przerywając milczenie:

- Ja pana znam.

-Tak?

Nie przypominam sobie - odpowiedział Marek niezachęcająco.

Już iśowa, że wziętego ysego.

Ale nie wypadało odmówić przysięgi, tym bardziej że nieznajomy nie wyglądał na kogoś, kto.

móg³by stwarzaæ k³opoty.

Raczej na turystê w dawnym stylu.

,przemierzaj¹cego góry na w³asných nogach i przygodnymi œrodkami transportu.

Nie by³ jeszcze stary, móg³ mieæ czterdzieœci parê lat, ale jego plecak i buty musia³y pamiêtaæ lata licealne swego w³acœciciela.

Wysoki, chudy i kompletnie pozbawiony w³osównag³owie, z koœcist¹, poci¹g³¹ twarz¹ i wystaj¹c¹ grdyk¹, przypomina³ nieszkodliwego maniaka pieszych wêdrówek, który pozosta³ przy m³odzieñczej pasji z braku lepszych moŹliwoœci.

Teraz Marek zacz¹³ domyœlaæ siê z przykroœci¹, ¿e móg³ siê pomyliæ w ocenie.

Nie chcia³omu siê rozmawiaæi oczekiwa³ od nieznanego, któremu robi³ grzecznoœæ, by to uszanowa³.

Ostatnio coraz wiêcej go draŹni³o.

Niepokoi³ siê o Karolinê.

Nie lubi³, kiedy chodzi³a po lesie sama.

Teraz i onnie móg³ uwolniaæ siê odmyœlenia o ¿oniekierownika szko³y.

Nie wierzy³, by Karolinie grozi³o coœ od wilków, jednak co do ludzi nie by³ juŹ taki pewny.

Miejscowi nie darzyli jej przecieŹ sympati¹.

Robotnicy leœni, których prowodyrem by³ so³tys Drewniak, zachowywali siê coraz bezczelniej.

Trudno by³o unikn¹æ spotkañ z nimi w lesie.

Odprowadzali j¹ wtedy prowokuj¹cym wzrokiem, a nawet pozwalali sobie nadocinki za plecami.

On te², kiedyjejtowarzyszy³, czu³ siê w takichwypadkach nieswojo.

Zparoma drwalami uzbrojonymi w pi³y mechaniczne i siekiery nie mia³by wielkich szans, gdyby naprawdê chcieli zrobia^æim krzywdê, a tego przecie² nigdy nie wiadomo.

Karolina chodzi³a wprawdzie polesieze swoim sztucerem, aleczy w razieczego potrafi³abystrzelia^æ do cz³owieka?

- Oczywiście, nie znamy siê osobiœcie - nie ustêpowa³ 3ysy.

-Zapamiêta³empanaz telewizji, z czasów, kiedy by³ pan przyw³adzy.

- zawiesi³ na chwilê g³os.

-O, przepraszam.

Niechcia³empana urazia^æ.

- Sk¹d ten pomys³, i²e mog³em siê poczu^æ ura²ony?

-Znam siê na ludziach.

- Nieznajomy pokiwa³ g³ow¹, nie tyle che³pliwie, ile ze smutkiem.

-Pan wola³by pozostaa^æ anonimowy.

Przepraszam.

- Niech pan ci¹gle nie przeprasza.

Sam ju² widzê, i²eto niemo²liwe.

- Ano, nie.

Ale ja siê jeszcze nie przedstawi³em.

Jestem Heniek Ognik.

Marek odruchowo oderwa³ praw¹ d³oñ od kierownicy wyci¹gn¹³ w stronê swego pasażera.

Uścisk³y tego okaza³ siê niespodziewanie mocny, jakby zamiast chudych palców mia³ kleszcze.

Marek poczu³ siê oszukany, jakby to nie on sam pomyli³ siê w ocenie

118.

swego pasażera.

A powinien się przecież domyślać.

Tyle się już o nim nasłuchał.

Łysybył postacią dobrze znaną w całej gminie.

Niektórzy mieli go za jeszcze jednego z dziwaków, których w tej okolicy głośno przygnały życiowe niepowodzenia.

Inni jednak widzieli w nim autorytet.

Zwłaszcza wrogowie wójta Wierciocha, którego Ognik zwalczał na wszystkie możliwe sposoby.

- Ja też powinienem pana rozpoznać - powiedział.

- Pan też jest tu sławny.

- O, nie tak jak pan.

- To miałoby być komplement?

- Nie - przyznał się spokojnie.

- Pan przecież też nie chciał mi pochlebiać.

Zresztą, wiem przecież, że pan przyjaźni się z wójtem.

- Przyjaźni się?

- W górze Marka zabrzmiało równie wielozdźwięcznie, co prawdziwego zdziwienia.

- A nie?

W przeciwnym razie dlaczego remontowałby panucha?

Marek poczu³ wzbieraj¹cy gniew, jak zawsze, kiedy sprawy wymyka³y mu siê spod kontroli.

Przypomnia³sobie bezczelnego eleganta w krawacie, który nadzorowa³ ekipê naprawiaj¹c¹ kanalizacjê w Górskim Pa³acu i te¿ wci¹¿ udawa³, ¿e robi im ³askê.

- Nie cha³upê, tylko szambo, i nie wójt, tylko brygada z gminy.

Inie za darmo.

- Ale dziwnie tanio.

Mo¿e pan nie wie, ¿e jestem radnym.

Mam wgl¹d w dokumenty.

- Drogi panie'.

-Marek stara³ siê panowaæ nad nerwami.

- Zabezpieczy³emsiê.

Da³em kalkulacjê do sprawdzenia.

Gminanatym zarabia.

- Chyba Ÿle mnie pan zrozumia³.

Nie chcia³em sugerowaæ, ¿e pan chcia³ naci¹gn¹æ gminê.

Broñ Bo¿e!

Nic przeciw panu niemam.

Ani przeciw pani Karolinie.

Przeciwnie.

Co prawda wieluludziom nie podoba siê jej fanatyzm, jeceli chodzi o wilki, ale jamyœelê, ¿e to nie jest najwa¿niejsze.

Córki Adama Chmury zawszebêdê broni³.

Jej ojciec s³u¿y dobrej sprawie.

- Doprawdy?

-Przeciez by³ panna wystawie, to pan wie.

Chmura jedennieprzestraszy³ siê, ¿ebêdziepolitycznie niepoprawny.

Dzisiaj to aktodwagi.

Niech mniepan Ÿle nie zrozumie.

Ja te¿ jestem zdania, ¿e

pojednanie to rzecz szlachetna, ale niech nas Bóg broni, ¿ebyœmy zapomnieli.

- Panie, przeciez teobrazki to straszne kicze.

-Kicze, nie kicze, ale ich wymowa jest w³aœciwa.

Tak trzeba.

Powabny bywa czêsto szatan.

- Słucham?

Łysy zacemiał się sztucznie.

- Tylko taki mały łarcik.

Niech się pan odpręży.

Jestem zdania, że państwa przybycie może okazać się dla naszej gminy bardzo pożyteczne, naprawdę.

Chciałbym tylko przestrzec przed zawieraniem niewłaściwych przyjaźni.

Wójt jest za cwany, żeby spróbować po prostu przekupiać.

Tym bardziej strzeżcie się pułapki.

- Proszę pana!

Nie przyjaźnimy się z panem wójtem.

I raczej nie mamy zamiaru.

Ale też nikt nie będzie nam dyktował, z kim mamy się przyjaźniać.

- A ja wcale nie mam takiego zamiaru.

Państwo wybiorłami.

Chcę tylko, żeby mieli państwo prawdziwy obraz.

- Naprzykład czego?

- Prawdziwych zamiarów pana Wierciocha.

- Niewiele mnie one obchodzą.

- Nieśmiało.

Bo po co właściwie państwo tu przyjechali?

-eby uciec od œwiata, prawda?

- Przypuœamy.

-Powiem dosadniej.

Uciekacie od zgnilizny dzisiejszych czasów.

A do czego zmierza wójt?

On chce têzarazê sprowadziæ tak¿e tutaj.

- Nie przesadza pan?

-Bynajmniej.

Wie pan, ¿e onchce zbudowaæw gminie lotnisko?

- S³ucham?

- Marek a¿ siê rozcemia³.

- A widzi pan!

Nic panunie powiedzia³.

Bo tu nie ma siê z czego œmiaæ.

No, ale ja tu wysiadam.

Mo¿e siê pan zatrzymaæ?

- Tutaj?

Marek ze zdziwieniem rozejrza³ siê wokó³.

W zasiêgu wzroku nieby³o widaæ¿adnych zabudowañ.

W bok odbija³a tylko leœna droga, kilkanaœcie metrów dalej przekraczaj¹ca potok, na którym nie by³o mostku.

- Mieszkam tam, pod szczytem.

- Ognik pokaza³ r^êk¹.

-Gdyby państwo zechcieli mnie odwiedziæ, to zapraszam.

A tymczasem proszê przyjœæ nanajbli¿sze zebranie wiejskie.

Dowiedz¹ siê państwo czegoœ wiêcej o wójcie i jego sprawkach.

Marek obserwowa³ go przez chwilê zezdumieniem, skacz¹cego na swych d³ugich nogach zkamienia nakamieñ w ³o¿ysku potoku, dopóki nie znikn¹³ za zarocelami na drugim brzegu.

Niemalpo¿a³owa³, ¿e siê tu sprowadzili.

Teraz na odwrót by³o zapóŸno.

- Cholera, przecie¿ w³acenie przed tym chcieliœmy uciec, prawda?

- powiedzia³ do Karoliny, bezwiednie powtarzaj¹cniemal dok³adnie s³owa ³ysego.

Zapada³ zmierzch.

Karolina gotowa³a spóŸniony obiad, a on bezskutecznie próbowa³ skupiaæ siê na czytaniu w s³abn¹cym blasku koñcz¹cego siê dnia.

Ile kroæ przypomina³ sobie o spotkaniu z radnym Ognikiem, nie móg³ opanowaæ rozdra¿nienia.

- Nie b¹dŸŸ naiwny, Wilku.

- A odk¹d to ty jesteœ tak¹realistk¹?

Zmieni³acæ siê.

- Ostatniowci¹¿ mi topowtarzasz.

Zawodzê ciê?

- To raczej ty dajesz mi do zrozumienia, ¿e nie potrafiê sprostaæ sytuacji.

- Nie potrafisz sprostaæ sztucznym problemom, które sam stwarzasz.

- To nie ja je stwarzam.

Mia³ byæ spokój, mieliœemy ¿yæ dla siebie, robiæ, co bêdziemy chcieli.

Tymczasem wci¹¿ krêc¹ siê naoko³o nas jacyœ ludzie.

Wszyscy czegoœ od nas chc¹.

Wci¹gaj¹ nas w swoje brudne sprawy.

- Dlaczego zak³adasz, ¿e ich sprawy s¹ brudne?

- Bo s¹.

Wzruszy³a ramionami.

- W takim razie nie daj siê wci¹gn¹æ.

I już.

- Nie pójdziemy nato zebranie?

-Ja muszê.

A ty zrobisz, jak zechcesz.

- Co to znaczy, ¿emusisz?

Gniew œcisn¹³ mu gard³o.

Widelec, który już podnosi³ doust, od³o¿y³ z powrotem na talerz.

Nie potrafi³ nad tym zapanowaæ.

- Tylko siê znów nie obra¿aj.

- Pojednawczo po³o¿y³a d³oñ najegod³oni.

-Tam przyjdzie ca³a wioska.

To dla mnie okazja,¿ebyw koñcu spróbowaaæ ichprzekonaæ.

- Wierzysz, ¿e tym wieœniakom mo¿na trafiæ do rozumu?

Chyba jesteœ naiwna.

- Muszê wierzyæ.

Dawniej rzuca³am siê przed koparki.

To by³opiêkne, ale co da³o?

Zaporê i tak zbudowali.

Jeœli misiê uda choæjednego przeci¹gn¹æ na moj¹ stronê, to już bêdzie bardziej skuteczne.

- Wójta już przeci¹gnê³aæ.

Licysz nato, że przy jego pomocy będziesz bardziej skuteczna?

- Nie kryl ironii.

- Co w³acœciwie masz mido zarzucenia?

No, nie krêpujsiê.

Powiedz to wprost.

- Chceszbyægraczem, ale to oni ciebie wykorzystuj¹ do swoich w³asnych rozgrywek.

Odpowiada ci taka rola?

- A ty sk¹d to wiesz?

Przypomnia³y ci siê czasy, kiedy samtraktowa³eœ ludzi jak pionki?

Teraz widzisz, jak to jest.

Dlaczego oni mieliby byæ inni?

Od³o¿y³ widelec bardziej stanowczo.

Nie tak mia³o byæ.

Niepowinna przypominaæ mu o tym, co by³o dawniej.

Przesz³oæmia³apozostaæ zamkniêtym rozdzia³em.

Wydawa³o mu siê, ¿e to jasne,¿e taka by³a milcz¹ca umowa.

Jeszcze do niedawnajepostrzega³a.

Zadzwo³ telefon.

Karolinaodebra³a i po chwili odda³a muaparat.

- Do ciebie.

Wcale nie mia³ ochoty na rozmowê z kimkolwiek.

Tym bardziejkiedy siê ju¿ zorientowa³, ¿e to wójt.

- Podobno wozi³ pan dzisiaj naszego bo¿egoszaleñca?

-W g³osieWierciochadŸwiêcza³ niepokój.

- Po prostu wzi¹³em autostopowicza.

Niemia³ napisane naczole, ¿e to pan Ognik, przeciwnik wójta.

- Chyba mnie pan Ÿle zrozumia³.

Mo¿e pan zabieraæ, kogo panchce, panie Marku.

- Dziêki.

-Chcia³em pana tylko przestrzec przed zawieraniem niew³aceniwych przyjaŸni.

,

- W moim wieku już się nie zawiera nowych przyjacieli, paniewójcie.

Pan powinien o tym wiedzieć najlepiej.

Mogł wchodzić w rachubę tylko interesy albo seks.

Seksualnie pan Ognik mnie nie pociąga.

A interesy?

Jakie interesy mogłyby nas dotyczyć?

- I tu się pan wzięcie myli, panie Marku.

Tu się pan myli.

Niech pan przyjdzie na zebranie, to się pan sam przekona.

Chyba że chce pan mieć asfaltową szosę przez swoją oazę samotności?

Proszę przekazać ukłony pani Karolinie.

Dobranoc.

Marek ledwo się powstrzymał, żeby nie rzucić telefonem poskończoną rozmowę.

- No nie, to przechodzi wszelkie pojacie - wybuchniesz.

- Miała rację.

Trzeba tam iść i przekonać się, co oni naprawdę szykują.

Niedoczekaj, że skacziesz sobie do gardeł jak psy.

Podeszła, stanęła zakrzęsłem i objęła go od tyłu.

Groźba awantury oddaliła się, przynajmniej na jakiś czas.

- Sam widzisz.

A ty chcia³e, żeby ja między te psy wla³ bez opieki.

Wzi¹³ j¹ za rękê.

- Poradzi³aby³ sobie.

Radzisz sobie z wilkami.

- U³miechn¹³siê.

- ⁻adna sztuka.

- Westchnê³a.

- Powiedz lepiej, żeby radzê sobie z tob¹.

To by³by lepszy argument.

Poci¹gn¹³j¹, aż okrêci³a siê wokó³krzes³a i trac¹c
równowagê, usiad³a mu na kolanach.

- Zupa.

-zamrucza³a.

-Poczekaj.

- Zupa niech poczeka - odpowiedzia³.

Materac by³ tuż obok.

Izbê rozœwietla³ migotliwy blask ognia, padaj¹cy przez nieszczelne drzwiczki od kuchennego pieca.

Dopóki jeszcze w ten sposób mogli za³atwiaæ swoje spory, nie by³o Ÿle.

Wysiedli z samochodu przed Domem Ludowym w Zimmem, gdzie zebrali siê już niemal wszyscy mieszkańcy Wilczej Polany.

Wewsi nieby³o miejsca, które mog³oby pomieœciæ tylu ludzi.

A chêtnych nazbiera³o siê jak nigdy.

Wynajêli specjalnie dwa mikrobusy, które kursowa³y tam i z powrotem, aż przywioz³y ostatnich.

Marek przychwyci³ taksuj¹ce i niechêtne równoczenie spojrzenia swych nowych s¹siadów.

Poczu³ siê trochê dotkniête, ale pocieszy³ siê, że podobnie ch³opi patrzyli na Wariatów, którzy kilka minut póŸniej nadjechali archaicznym motocyklem z przyczep¹.

PrzywieŸlica³¹ trójkê swych dzieci, oprócz naj³odsze goch³opczyka tak i obiecórki, które niedawno policja odwioz³az powrotem do domu.

Jakby nie chcieli ich teraz zostawiaæ samych nawet na krótko.

- No, niech państwo popatrz¹, jaki t³ok - przywita³ ich wójt.

-A kiedy trzeba się spotkać w jakiejś naprawdę ważnej sprawie, batami ich nie zagoni.

Wiercioch odnalazł ich natychmiast i nie było sposobu, żeby go ominąć.

Jakby specjalnie wypatrywał przezokno swego biura, kiedy nadjedzie siostra Karoliny.

Marek zauważył z zdziwieniem, że Wiercioch jakby specjalnie chciał zademonstrować przedmieszkańcami swojej żacie z nimi.

Do tego stopnia, że nie zniechęcił się nawet, kiedy obok dostrzegł Wariatów.

A nawet udało się radość na ich widok.

- Co ja widzę, państwo już razem, cała rodzina?

Bardzo się cieszę.

- Naprawdę?

To miło - odpowiedział Wariat.

- Oczywiście, że naprawdę.

Zasłoby nieporozumienie.

Gdybym wcześniej wiedział.

Ale przyznaj państwo, że zadziałam błąd.

- Był pan ciekawy, panie wójcie.

Jesteśmy panu wdzięczni do grobowej deski - powiedział Wariat z ponurą miną, z której trudno było wywnioskować, co naprawdę myśli.

- Nie ma o czym mówić.

Od tegoprzecieł jestem.

-Wierciocz uporem gra³ sw¹ fa³szyw¹ rolê.

Marek z początku nie rozumiał, jaki wójt mógł mieć interes w tym nachalnym demonstrowaniu swej przyjaźni.

Dopiero kiedy przyjął spojrzenia chłopów, którzy obserwowali ich rozmowę, domyślił się, jaki cel miało w istocie owo wiejskie zebranie.

- O co tu naprawdę chodzi, panie wójt?

- spytał wprost.

- Chcę pana odwołać?

- Kto, oni?

Pan żartuje.

Panu chyba nie muszę tłumaczyć, co jest wartak zwany demos.

Przecież ci prostaczkowie nie mają własnego zdania na żaden temat, który wykracza poza ich.

Tonasz bożyszaleniec ich podjudza.

Nagle ktoś z miejscowych, tłoczonych się wciż na szkolnych schodach, zawył głośno, nieudolnie na celadujcwilka.

- Wydaj się dostatecznie podjudzeniu bez niego - powiedział Marek z powściągnięciem.

- Bo ten człowiek działa z ukrycia.

Ale napewno zaraz się pojawi.

Wtedy się państwo przekonaj.

Znienacka, jakby wywołany słowami wójta, radny Ognik wyonił się wiadomo skąd.

Od razu zauważył ich, rozmawiał z Wierciochem i w jego oczach pojawił się wyraz dezaprobaty.

Uknił się sztywno, omijał wzrokiem wójta, i zaraz wołał dogromadzić się wciół przed wejściem chłopów:

- Będziemy zaczynać, proszę państwa.

Wzatoczonej sali gimnastycznej panowała atmosfera trudnadowytrzymania.

Zaduch niemytychcia mieszał się ze sódkiem woni kwiatowego dezodorantu do pomieszczeń.

Co ja tu robię, myślał Marek.

- Po pierwsze - rozpoczął sołtys Drewniak - domagamy się zmiany nazwy naszej wioski.

Wójt nic w tej sprawie nie zrobił.

- Nerozumiem, o co wam chodzi.

- Wiercioch wzruszył ramionami.

- Wilcza Polana to piękna nazwa.

Ludzie z Warszawy są zachwyceni.

- To niech sobie Warszawę przemianują na Wilczą Wólkę.

Tutaj my mieszkamy i my chcemy decydować, jak się mamy nazywać - nie ustępować sołtysowi.

- Niepozwolimy sobie uciec, żebyśmy nie wyli za innymi.

Wiercioch zrobi³ minê, jakby rozmawia³ z upartymi dziećmi, które nie chc¹ czy niepotrafi¹ poj¹æ najprostszych rzeczy.

To niespodoba³osiê zebranych, pomruki niezadowolona rozleg³y się z róż¹nych stron sali.

- Po drugie - so³tys podniós³g³os - i¹damy, i¹eby wojewoda zezwoli³ na odstrza³ wilka w naszej gminie.

Poprzednie zebranie zobowi¹za³o wójta, i¹eby wyst¹pi³ w tej sprawie, gdzie trzeba.

Ale pan Wiercioch zlekcewa¹y³ nasz¹ uchwa³ê.

To ja pytam, po co nam taki wójt?

- Ludzie!

- zawo³a³ Wiercioch, wyrzucaj¹c r^êk^ê do g^óry w teatralnym ge^oecie.

-Nie rozumiecie, ζ e ja walcz^ê o wasz¹przysz³o^o \ae ?

Chc^ê, ζ eby waszawioskakojarzy³a si^ê z nieska ζ on¹, dzik¹przyrod¹.

Co wam z tych baran^ów?

Tylko smród.

Urobicie si^ê,a zysk ζ aden.

Dzi^oe najbardziej chodliwy towarto nieska ζ ona przyroda, m^ówi^ê wam.

Robili^omy badania w Internecie, ludzie z ca³ego \ae wiatahc¹ ogl¹da^o \ae wasze wilki.

Trzeba ich tylko przywie^Ÿ \ae i zakwaterowa^ow warunkach, do jakich przywykli.

Popierajcie tylko gminny program inwestycji turystycznych, a pieni¹dze same b^êd¹ si^ê wam sypa^o \ae do kieszeni.

- Pan w^ójt ci¹gle my^eli, ζ e ma przed sob¹ dzikus^ów, kt^órzy sprzedadz¹ swoje dusze za gar^o \ae szklanych \ae wiecid³ek - zagrzmia³ nagle pot^ê ζ ny, natchniony g³os radnego Ognika.

Wszystkie g³owy odwr^óci³y si^ê do ty³u.

Przyw^ódca opozycji wyprostowa³ si^ê na ca³¹ d³ugo^o \ae , pochylaj¹c sw¹ ³ys¹ czaszk^ê, jakby do ataku.

Sta³ pod sam¹ \ae cian¹, ale mia³ w³asny mikrofon i jego g³os wype³nia³ ca³¹ sal^ê.

- Pan wójt wyraża się z pogard¹ opasterzach owiec, zapominaj¹c, kto dwatysi¹ce lat temu nazywa³ się dobrym pasterzem.

Marek o ma³o nie zaciemia³ się na g³os.

W ostatniej chwili uświadomi³ sobie, jak odebraliby to zebrani.

- Ale nie ma się co dziwić, że pan wójt nie pamiętao Jezusie

-hucza³ dalej Ognik.

- Pan wójt czci przecie³ innych bogów, g³ównie Z³otego Cielca.

Sala zamrucza³a niepewnie, jakby zebrani nie dokońca zrozumieli, co mia³ znaczyæ ten religijny ton w g³osie radnego.

- Odbiera pan chleb proboszczowi, panieradny - odezwa³ się p³ó³g³osem Wierciach.

- Próbuje pan sobie zas³u³żyć na pogrzebz dzwonami?

Spojrza³ wstronê Marka i Karoliny, dyskretnie rozk³adaj¹c ręce, jakby chcia³ daæ do zrozumienia, zkim on się musi u³żeraæ.

- Niech pan nie obra³ża proboszcza i parafian, panie wójcie!

-napomnia³ go surowo Ognik.

- Jeżeli pan jest m¹dry, tylko spo³eczeństwo naszej gminy jest dla pana za g³upie, to niech panjesobie zmieni nainne.

Jeżeli tu panu zaciasno, wola³by pan rz¹dziæ w tej Warszawie, na któr¹ się pan ci¹gle powo³uje, to nied³ugo wybory, krzy³ nadrogê.

Przecie³ pan marnuje w gminieswoje talenty, pan mycei globalnie, jak tanowapartia, do której pan siê tak szybko zapisa³, jaktylko posz³a w górê w sonda³ach.

- Tylko bez osobistych wycieczek, panie radny!
- nie wytrzyma³ wreszcie Wiercioch.
- Ja wiem, że pan tylko czeka, żeby zaj¹æ moje miejsce.

- Pan wójt s¹dzi wszystkich wed³ug siebie - rzuci³ Ognikw stronê swoich zwolenników.

- Pan wójt myeli, ¿e szczyt marzeñdla ka¿dego z nas to obs³ugiwanie bogaczy.

Marzymu siê zbudowanie lotniska, ¿ebyu³atwiaæ¿ycie klasie pró¿niaczej, której ai tak ju¿ nawet ptasiego mleka nie brakuje.

W lokajskiej mentalnoœci panawójtta nie ma miejsca na myœl, ¿e ktoœ bardziej od pieniêdzy mo¿e ceniæ wolnoœæ i godnoœæ osobist¹.

Rzeczywistoœæ jawi mu siê jako jedna wielka walka o sto³ki.

Ognik zrobi³ przerwê, jakby oczekiwa³oklasków.

Ch³opi jednak milczeli, spogl¹daj¹c na radnego ospale, ze znuzeniem.

Marek ucemiechn¹³ siê dosiebie.

Mówcazagalopowa³siê najwyraŹniej, zas³uchany wmuzykê w³asnych s³ów zapomnia³, do kogomówi.

Popisywa³ siê przedwójttem i reporterem lokalnej gazety, a Marek odniós³ wra¿enie, ¿e trochê tak¿e przed nim i Karolin¹.

Cisza na sali otrzeŹwi³a radnego, szybko zrozumia³ swój b³¹d i wykrzykn¹³:

- Ch³opy, co ja bêdê du¿o gada³!

Pozwolicie oszukiwaæ siêz³odziejom?

Przecie¿ umiecie biæsiê o swoje, przez piêædziesi¹t latnie wpuœciliœcie do wioski Ukraiñca.

Wierciochpoderwa³siê z miejsca, ale teraz zag³uszy³ygo oklaski dla Ognika.

- Ludzie, to lotnisko to przecież dla was!
- krzycza³ wójt, wyci¹gaj¹c ręcew stronę sali, jakby chciał oddać³ego siebie.

- Niech panje sobie wsadzi!
- Z drugiej stronyadlecia³a równie g³oena odpowied³so³tysa.
-Mynie bédziemy lataæ tymi samolotami.

Chce pan wyrzucaæ pieni¹dze nalotnisko, a na asfaltprzez Wilczy Przesmyk pan mówi, że gminy niestæ.

- Macie asfalt do gminy - wymigiwa³ siê Wiercioch.
-Do œwiata chcemy, nie dogminy!

- wykrzykn¹³ Drewniak.

- Do jakiego œwiata, co wy gadacie,ludzie?

Zty³u podniós³ siê niewidoczny dotychczas Jerzy Hryæko.

Musia³ przyjææ pó³niej.

- Proszê, s³uchajcie!
-Wójt wycelowa³ palec w stronę niespodziewanego sojusznika.
- Niewszyscy s¹za tymasfaltem.

- Kto nie jest?
- rozleg³y siê gniewne g³osy.
- Ja - powiedzia³ g³oeno w³æcciel stancy.
- Pomyælcie tylko.

Jak przebijecie asfaltow¹ drogê do obwodnicy, zwali siê do nasca³a zmotoryzowana ho³ota.

- Dobrze mu gadaæ, bo jemu nie potrzeba - zawo³a³ ktoæ spodokna.

-Wam te¿ nie potrzeba, zastanówcie siê.

-e trzeba nad³o_zyæparêkilometrów, to co?

Zato jestspokój, cisza, æwie_ze powietrze.

Chcecie mieszkaæ przy przelotówce?

126.

- Co my chcemy, to chcemy!

- krzycza³ Drewniak.

-Niech siê obcy nie wtr¹caj¹.

- Kto tu jest obcy?

-Pan jest obcy, panie Hryæko.

My wiemy, po co pan uspokój.

-eby pan mógł³ Ukraiñców ukrywaæ.

Myœli pan, ¿e nie wiemy?

-epanzatrudnia parobków na czarno, to pana sprawa.

Ale niech panuwa¿a, bo siê nasza cierpliwoœæ mo¿e skoñczyæ.

Dlanaszch roboty nie ma, a panœci¹ga Ukraiñców?

Jeszcze was tu ma³o?

- Gdzie my wracamy!

Do œredniowiecza!

- westchn¹³ Hryæko.

- Panie Hryæko!

My panu w metrykê anido podniebienia niezagl¹damy, ale niech pan miary nie przebiera.

Ogl¹da³pan wystawê w miasteczku?

A mo¿e wola³ pan nieogl¹daæ?

Nasz wójt, naprzyk³ad, te¿ siê nie pofatygowa³.

- A co tu ma wystawa dorzeczy, so³tysie?
 - oburzy³ siê Wiercioch.
 - Pan obejrzy, to siê pan dowie.
 - Spokój, panowie, bez nerwów.
 - Ognik, który sam sprowokowa³ tê awanturê, teraz uzna³ za stosowne interweniowaæ.
 - Niemamynic przeciw Ukraiñcom, jeceli tylko przestrzegaj¹ naszego prawa.
 - A kto nie przestrzega?
 - przerwa³mu Jur.
 - Ten, co zatrudnia nielegalnie cudzoziemców za marne grosze, kiedy tylu naszych siedzi na bezrobociu.
 - Mo¿e ja coœ wyjaœniê.
 - Karolina podnios³a siê z krzes³a.
 - Wasia Michaluk nie pracujena czarno.
- Jest stypendyst¹ Fundacji Ekorozwój i uczestnikiem miêdzynarodowego programu Wilk.
- Zapanowa³a niewielka konsternacja.
- Wójt ucemiechn¹³ siê ironicznie.
- Odezwa³a siê, wilcza narzeczona - rozleg³ siê jakœ g³os zzaplecówsiedz¹cych.
 - Jeszczenam tu nie wiadomo kogosprowadza.

- A ojciec taki przyzwoity -doda³ ktoœ inny.
- A¿ ¿al ch³opa.
- Proszê pañstwa, skoñczmyju¿ tentemat.
- Ognikpróbow³kontrolowaæ sytuacjê.
- Na czarno, nie na czarno,pan Hryæko powinien zrozumieæ, kto tu jest gospodarzem, a kto goœciem.
- A pan to co?
- nie wytrzyma³Jur.
- S³uszenie, ja te¿.

I niektórzy inni.

Jestemy tugoœami, wiêcpowinniemy uszanowaæ wolê wiêkszoœci.

- Pan powie wszystko, ¿eby zostaæ wójtem!
- wybuchn¹³ Wiercioch.
- Szkoda naszego gadania -wyrwa³ siê milcz¹cy dot¹d, czerwony natwarzy ch³op.
- Wójt siê po dobroci nie zmieni.

Robimyreferendum.

- Referendum, referendum -zahucza³a sala.

- Ludzie, a na referendum to wam pieniędzy nie szkoda?

-krzycza³jeszcze wójt, ale nikt go już nies³ucha³.

Zebrani zaczęli wychodziæ, machaj¹crêkami z rezygnacj¹.

- No i co?

- spyta³ Marekjuż na zewn¹trz.

-Nie wyg³osi³acæswojej mowy w obronie wilków?

- Nieb¹dŸ z³oœliwy.

- Popatrzy³a na niegoz wyrzutem.

-I tylko mi niemów, żeod pocz¹tku tomówi³eœ.

- Anie mówi³em?

Wsiadali już do samochodu, kiedy zmroku wy³oni³ siê radnyOgnik.

- Można siê z państwem zabraæ?

- spyta³.

-Porozmawiamy.

I znów nie wypada³o odmówiaæ.

Choæ możepowinni siê na tozdobyæ.

D³ug¹ chwilê trwa³o milczenie.

Mareknie mia³ zamiarugo przerywaæ, choæ pasażer wyraŸnie na to czeka³.

WreszcieOgnikodezwa³ siê pierwszy:

- No i co?

Chybateraz już państwo widz¹, że dokonali z³egoworyboru?

- Nie rozumiem?

- odburkn¹³ Marek.

- Rozumie pan, rozumie.

Postawiliœciena wójta, a jegodnis¹policzone.

Jeszcze jest czas, żeby przejœæ na s³uszn¹ stronê.

Wójtjest daleko, as¹siedzi blisko.

Marek wyczu³ w g³osie radnego ukryt¹ groÿbê.

- Na nikogo nie stawiamy i nie mamy zamiaru stawaaæ po niczyjej stronie.

-Naprawdê?

To po co państwo robi¹ takie demonstracje?

- Jakie znów demonstracje?

-Afiszuj¹ siê państwo z tym Hryæk¹, który za nie wiadomocyje pieni¹dze sprowadzi³ nam tu dyskotekê, rozsadnik pijaństwa, narkomanii i rozwi¹z³oœci.

Wziêli państwo pod swoje skrzyd³a tego ma³ego Ukraiñca, kiedy wœród naszej m³odzieÿy jest takie bezrobocie.

Ludzieto widz¹.

- Ma pan coœ przeciw Ukraiñcom, panie radny?

-Takw ogóle to nie.

Pojednanie naszych narodów to piękna idea.

Pod warunkiem, że nie będą nam wchodzić na głowy, wypierając naszych przedsiębiorców, zabierając naszych miejsc pracy.

- Panie radny, mamy dwudziesty pierwszy wiek, jesteśmy w zjednoczonej Europie.

- Państwo myśleć o nowocześnie, ja to rozumiem.

- Ognikwestchn¹³.

- Ale nasi mieszkańcy to ludzie prości.

Nie zrozumiej¹.

Dla nich kto nie jest z nimi, ten jest przeciwnym.

- Pan jest ich liderem.

Niech pan im wytłumaczy.

Radny zaćmiał się szyderczo.

- Ja liderem?

Pan żartuje.

Tutaj nikt obcy nie będzie prawdziwym liderem.

Ja staram się tylko być przydatny.

Uważaj, żeby ci nie uwierzyło, pomysłał Marek.

- My też staramy się być przydatni - wtraciła milcząca Karolina.

-Pani?

Proszę wybaczyć, ale pani franciszkańskie teorie, że nawet wilki mają prawo do życia, na pewno im się do niczego nieprzydadzą.

- Czyby panu się nie podobał święty Franciszek?

- spytała cicho Marek.

-A mówi, że pan taki pobożny.

- Wskazanie dlatego.

Kanonizowanie tego heretyka było jednym z większych błędów Kościoła.

- Teraz w głosie Ognika zabrzmiał autentyczny gniew.

- Powiniensz ona stasie.

Marek patrzył na radnego z rosnącym zdumieniem.

Zupełnie jej niewiedziało, co o nim się dzieje.

- Ja nie jestem świętym Franciszkiem, proszę pana - powiedziała Karolina z urazem.

-Wszystko, co robiê, ma naukowe podstawy.

- Nauka!

- parskn¹³Ognik.

-Herezja naszych czasów.

Tak zwani naukowcy uzasadni¹ wszystko, czego za¹daj¹ politycy.

- Pan chcenas obraziæ, panie radny?

- spyta³ Marek.

- Broñ Boże!

Gdybym pañstwa nie szanowa³, w ogóle byœmy nie rozmawiali.

I mo¿e by³oby lepiej, nie rób³aski, facet, pomysla³ Marek,a Karolina wtr¹ci³a z rozdra¿nieniem:

-To copan sugeruje?

-ebêdê fa³szowa³a badania dla jakichœ diabelskich celów?

A mo¿edla piêknych oczu wójta?

Zwariowa³pan?

- Przeciwnie, wierzê, ¿e jest pani uczciwa i wykonaje pani solidnie.

I wtedy oka¿e siê, ¿e leœnicy maj¹ racjê, a wilków jest w górach za du¿o.

- I uda siê wymusiæ pozwolenie na odstrza³?

O nie, panie radny.

Zdaje siê, ¿e mówimy ró¿nym jêzykami.

Co to znaczy za du¿o?

Niech natura sama to sobie reguluje.

Albo, jeżeli pan woli, Pan Bóg.

Nie wierzy pan, że każda stworzona przez niego istota ma prawo do życia?

- A pani nie wierzy, że chłop to też istota, stworzenie Boże?

Więc może, zamiast do wilków, powinniśmy strzelać do rolników?

Skoro wolno mordować dzieci poczęte, niedługo będzie się usypiać nieuleczalnie chorych.

- Takie sztuczki polemiczne niech pan sobie zachowa na użytek pańskich wyborców - wtrąca się Marek.

- Przepraszam, ja tylko użyję tej samej broni, co pani.

Co to znaczy natura?

Chłopi też należą do natury.

Proszę wybaczyć, ale na pewno bardziej niż ekolodzy.

- Wcale nie chcemy im odbierać tego prawa.

Zdaje się, że pan już tutaj wysiada, prawda?

- spyta³ Marek.

Karolina nacisnęła³ hamulec, a że opony zaszurały po żwirze.

- Rzeczywiście, zagapiłem się - przyznał radny, ale mówił dalej: -
Niech państwo to sobie dobrze przemyśl¹.

W tych stronach wilki zawsze zabijają domowe zwierzęta, a ludzie
zabijali wilki.

Tak się tworzy równowaga.

A do czego doprowadzi zakaz polowań?

Teraz cała wataha przechodzi do nas z Ukrainy.

- Jakie watahy, proszę pana!

Co najwyżej pojedyncze sztuki.

- To pani tak uważa.

Znam innych ekspertów, z profesorskimi tytułami, którzy mają odmienne
zdanie.

Wilki są młde, wiedz, że po tej stronie granicy nic im nie grozi.

Tu mogą sobie bezkarnie zabijać bydło i owce, ile tylko zapragną.

Traci instynkt, wpada w morderczy szal, zabijaj, trzeba czy nie.

Bezkarności robisz nich bandytów.

Dopiero po tych słowach Ognik otworzył drzwi i wysiadł.

Marek zaciemniał się.

- Pan siê tu marnuje, panie radny - rzuci³ za nim.

- Pan bysiê przyda³ w parlamencie.

Radny odwróci³ g³owê i choæ Marek nie widzia³ w mroku jego oczu, czu³ na sobie œwidruj¹ce spojrzenie.

- To samo móg³bym powiedzieæ o panu, prawda?

Tylko poco?

Obaj wybraliœmy dobrowolnie.

Powinniœmy trzymaæ siê razem.

Tak bêdzie lepiej dla wszystkich.

Dobranoc.

Jego d³ugi cieñ mign¹³ im jeszcze w œwietle reflektorów, zanim wtopi³siê w ciemnoœæ.

Pod koniec paŹdziernikazgin¹³ Jednooki, samiec alfa z watahy zamieszkuj¹cej Bukowe Ńebro.

Marek w pierwszej chwili nie zrozumia³, o co chodzi Karolinie, kiedy wróci³a do domu i wybuch³a:

- WyobraŹ sobie, Źe zabili faceta Siwej Mañki!

-S³ucham?

Kogo?

- No, opowiada³am ci przecieŹ.

Przodownika stada.

Nazywaliœmygo Jednooki.

Strzelili go na miêkkie, ³ajdaki.

Tak wygl¹daæcis³a ochrona.

Dopiero teraz siê zorientowa³, ¿e Karolina mówi³a owilku.

By³a tak wzburzona, ¿e pozwoli³ siê jej wygadaæ, nie przerywa³.

Martwegobasiora znalaz³ poprzedniego dnia Wasia Michaluk.

Patroluj¹c szlaki, którymi zwykle chodzi³a wataha, natkn¹³ siê na œlady.

krwi, dalej na miejsca, w których postrzelony wilk wypróżnia³ się gwałtownie kilka razy, co świadczy³o, że by³ cięko ranny.

Zdo³a³jeszcze przebył kilkadziesiąt metrów do najbliższego m³odnika, zaszy³się wg¹szczu i dopiero skona³.

Michałuk zlokalizowa³ martwe zwierzę i przez radio o¹gn¹³ straż¹ lece¹.

- Wszyscy¹ wściekli jak nie wiem co - mówi³a Karolina.

-Ostatnio polowa³ tam nadleśniczy Prawica ze swoimi przyjaciół³mi.

Poszli na dziki, ale jak się nawin¹³ wilk, zlikwidowali go z radości¹.

To dobrzy strzelcy, raczej nie pud³uj¹.

Któryś go strzeli³ namiękko specjalnie, bo nie chcia³, żeby pad³ na miejscu.

Już im się zdawa³o, że zbrodnia będzie doskona³a, nikt trup nie znajdzie.

A tu Wasia zrobi³im niespodziankę.

Dobry ch³opak.

Wyobrażam sobie, jak ich krew zalewa.

Tego wieczoru poszli potańczyć.

Karczma U Jura by³aj u¹ otwarta po remoncie, w pi¹tki i soboty odbywa³y się w niej dyskoteki dla m³odzie¹y, a czwartkowe wieczory by³y zarezerwowane na potańcówki dla czterdziestolatków.

Dowiedzieli się o tym przypadkiem z internetowego portalu www.naszegory.pl.

pl. Marek z pocz¹tku nie mia³ wielkiej ochoty na skorzystanie z oferty, ale Karolina tak siê dotego zapali³a, ¿e musia³ust¹piæ.

- Proszê ciê, pojed^Ÿmy.

Tak mi tego dzisiaj potrzeba, muszêodreagowaæ -namawia³a.

- Czy ty sobie uœwiadamasz, ¿e jesczenigdy nie bylicemy razemna tañcach?

Uœwiadamia³ to sobie a¿ za dobrze.

Istnia³o tylerzeczy, których wczesniej razemnie robili.

Nie potrafi³ odmówiaæi kiedy ju¿znaleŸli siê U Jura, nie ¿a³owa³.

Przy stolikuda³o siê rozmawiaæ,¿ywa muzyka nie by³atak g³ocena, jak na dyskotekach.

Rytmy,przewa¿niestare przeboje, w sam raz jak na jego umiejêtnoœci.

Do tañca gra³ zespó³ z³o¿ony z trzech weteranów.

Solistka by³am³odsza i zrobiona na gwiazdê sprzed lat, w spódniczce minii b³yszcz¹cych kozaczkach.

Markowi przypomnia³osiê liceum.

Pierwszyraz od wyjœcia zwiêzienia zacz¹³ siê naprawdê odprê¿aæ.

By³y to tylkokrótkie chwile, kiedy przymyka³ oczy, maj¹cw uszach piosenkiswej m³odoœci, a przy sobie ciep³e cia³o Karoliny.

Nie by³a ¿adn¹ z jego ówczesnych dziewczyn.

Pozostawa³asob¹,tylko przeniesion¹ w inne czasy.

Z³udzenie mija³o, kiedy wracali dostolika.

Czu³ wprawdzie kolano Karoliny, naciskaj¹ce na jego udo,
co przywo³ywa³o muna myś¹ciel pierwsze randki z koleż¹ankami w
kawiarenkach przy Krakowskim Przedmie¹ściu, ale nie umia³ zbyt d³ugo
udawaæ, i¹ecz¹as siê cofn¹³.

Nie pozwalali mu na to choæby s¹iedzi, zajmuj¹cy dwa stoliki w g³êbi.

Podpici m¹ê¹czy¹ni, rzeczyw¹icie ko³oczterdziestki, biesiaduj¹cy z
ha³æeliwymi panienkami, na pewno.

nie byli mi³ocenicami gór, koni ani natury.

Wygl¹dali na takich,którzy szybko nie wiadomo jak zrobili du²e pieni¹dze.

Zaoknem zaparkowane by³y ich samochody, jeep cherokee i chrysler voyager.

Z niechêci¹ pomysla³, ¿epodobni ludzie nadaj¹ tonju¿ nawet tutaj.

Jeszcze bardziej popsu³o mu nastrój przybycie wójta Wierciocha, który pojawi³ siê póŸnym wieczorem w towarzystwie sekretarza gminy.

Wypiliparê wódek przy barze, potemsekretarz wymkn¹³ siê, a wójt przyj¹³ zaproszenie rozbawionego towarzystwa.

Wczecniej wymieni³ z Markiem i Karolin¹ uk³ony, a teraz od czasudo czasudawa³ porozumiewawcze znaki, dyskretnie wznosz¹cw ich stronê kieliszek.

By³o to docæ denerwuj¹ce.

Marekzac¹³ siê baæ, ¿e za chwilê Wiercioch zechce przysi¹ææsiê donich, poczu³ siê wiêc wybawiony, kiedy do ichstolika podszed³ w³ææciciel.

Prawie ju¿polubi³ Hryækê,pocz¹tkowa niechêæminê³abez œladu.

Mo¿e dlatego, ¿e restaurator najwyraŸniej te¿nie czu³ siê tu mocno.

Kiedy wróci³ z Kanady, odkupi³ rozpadaj¹ce siê stajnie poupad³ym pegeerze, odnowi³, a obok zbudowa³kultow¹knajpê, której s³awawkrótce dotar³a do Warszawy i Krakowa.

Zarobi³ tym nazawioæ miejscowych, którzy po upadku komuny ledwo wi¹zali koniec z koñcem.

Miejscowi Polacy zobaczyli w nim Ukraińca.

On sam nie za bardzo chciał się dotakiego pochodzenia przyznawać, a przynajmniej go nie podkreślać.

Ludzie szybko spostrzegli, że nie chodzi ani do kościoła, ani do cerkwi.

Zraził więc sobie także okolicznych Ukraińców.

Był niczym.

I pewnie w końcu dlatego Marek go w końcu zaakceptował.

- Mogę?

- spytał Hryśko.

- Dobrze przynajmniej czasem napię się z kimś sympatycznym.

- Jesteś pierwszym z miejscowych, który ma takie zdanie - odpowiedział Marek.

- Inni mnie traktuj jak jakiegoś przybłąda.

Już w następnej chwili był w cieku, że to powiedział.

Odniedawna mówili sobie po imieniu, a nie było między nimi żadnego ości, która pozwalałaby im tak się otwierać.

Wyglądało, jakby się im.

Pomyślał, że nie powinien więcej pić.

- A myślisz, że mnie nie?

- odpowiedział gospodarz ze smutkiem.

- Ostatnio nawet coraz bardziej.

Byliście świadkami.

- Nie przejmuj się g³upstwami - wtr¹ci³a się Karolina.

-A przy okazji, tohcia³am cię przeprosiæ zamojego ojca.

Przepad³y resztki nastroju.

Marek nie móg³ już nawet udawaæ,¿e czas się cofn¹³.

- Daj spokój, to nie twoja wina.

- Hryæko machn¹³ rêk¹.

-Anitwojego taty.

- Tak uważasz?

- Teraz się tacy, co chcą się jednać, i tacy, co zrobią wszystko, żeby do prawdziwego pojednania nie dopuścić.

A ci, którzy próbują być bezstronni i uczciwi, wpadają w pułapkę.

Marek poczuł, że te wyrzuty odnosi się także do niego.

Miało szansę, mógł próbować przekonać Chmurę, żeby usunął bohomyzmy starego Skowronka z domu kultury.

Może nawet ojciec Karoliny by go posłuchał.

Jednak sama myśl o angażowaniu się napędza Marka niechęć.

- Tu się zmieniło, Jur - powiedziała Karolina pogodnie.

- Ja tego nie widzę.

Powinno zostać za oceanem - powtórzył Hryško swój stały refren.

- Tu mnie nikt nie chce.

- Co znaczy nikt?

A my?

Czy my jesteśmy nikt?

Tu jesteś potrzebny, nie w Kanadzie - powiedziała z przekonaniem.

- Wracanie po to, żeby się dalej zmieniać.

- Próbuj - powiedziała Hryško.

- Dopóki jeszcze mieszkają tutaj ludzie jak wy, może ma to sens.

Marek wzruszył ramionami.

- Przecenisz nas, naprawdę.

- Ani trochę.

Macie odwagę robiąc naprawdę, nie tylko napokaz.

Nie sztuka jeździć do Kijowa, żeby pokazać, jak się kochanow¹ Ukrainę.

Pomóc Wasi Michalukowitak, jak wyście zrobili, to się liczy naprawdę.

I to w³acnie w Wilczej Polanie, gdzie wszyscy na niego Ÿle patrz¹, bo jest Ukraińcem.

- Chyba znów przesadzasz - powiedzia³ Marek z roztargnieniem.

- Trzyma³ce go pó³ roku naczarno i nikt mu g³owy nie urwa³.

- Tak się tylko wydaje.

- Hryakopokrêci³ g³ow¹.

- Spytajcie wójta, ile by³o donosów do gminy na policję.

- No i co?

Nicsię nie sta³o.

- Pytanie, dlaczego?

Bo się z tym pogodzili, po cichu przemykalioko?

Jeżeli tak myślisz, to jeszcze nie rozumiesz, co tu się naprawdę dzieje.

- Co?

- Ludzie w Wilczej Polanie Ÿyj¹ w strachu.

Ci Polacy mieszkaj¹ tu już sześćdziesiąt lat, aci¹gle nie czuj¹ się gospodarzami.

Starzy wci¹ Ź budz¹ siê w nocy z lani potem, Źe przyjd¹ Ÿli Ukraińcy i wyr¹ni¹ ich albo w najlepszym razie wygoni¹.

To siê udziela, przechodzi z pokolenia na pokolenie.

- Wieszco?

Nie lubiê wójta, ale sam mówisz, Źe nie wykorzysta³ tych donosów.

Wiêc nie jest tak Ÿle, jak to przedstawiasz.

- On prowadzi swoj¹ grê, chce nas mieæ po swojej stronie.

Wola³by, Źeby Waækê za³atwi³a policja.

A oni poprostu szukaj¹ naniego jakiegoœ mocniejszego haka niŹ nielegalny pobyt.

Sama de.

portacja to dla nich za mało.

Chcieliby mieć powód, żeby go wsadzić i pokazać mu siłę polskiej pięści.

Mimo całej sympatii, jak czuło do Hryśki, Marek poczuł złość.

Nagle wezbrała w nim solidarność z własnymi rodakami, obwiniętymi przez wszystkich o najgorsze rzeczy.

Nawet z wójtem Wierciochem.

- To jakieś nonsens - powiedział.

- Po co mieliby się wziąć akurat na jakiegoś nieszkodliwego smarkacza?

- Bo ma czarne podniebienie.

- Hryśko ucieszył się smutno.

- I żeby dać przykład innym.

Dla nich Wasia to wróg, który może na razie tylko szpieguje, ale pewnego dnia zechce odebrać swoje.

Jak wszyscy Ukraińcy.

Marek pokręcił głowę.

- Wiecie co?

Chyba powinienem dać się zaszczepić.

Wy wszyscy jesteście jacyś chorzy.

Co tu jest w klimacie czy co?

- Masz rację, to choroba - przyznał Hryśko.

- I ja siê bojê, ¿enieuleczalna.

Anajzabawniejsze, ¿e i tak pogodz¹ nas tamci - pokaza³ g³ow¹ stoliki, przy których rozbawione towarzystwo podejmowa³o wójta Wierciocha.

- Kto?

Ci obleœeni pijacyna lewiŹnie?

- spyta³ zdziwiony Marek.

Gospodarz popatrzy³ na niego z politowaniem.

- Inwestorzy.

Si³a nowych pieniêdzy.

Ci, dla których pan wójt chce budowaæ lotnisko.

A, tu ciê boli, pomyœla³ Marek.

Po prostu masz stracha, ¿e ciê wiêksze drapieżniki zjedz¹.

Naszczeœcie muzycy skończyli w³acenie przerwê.

- No, doœæ tego gadania!

Karolina poderwa³a siê, chwyci³a go za rêkê i bez ceregieli wyci¹gnê³a na parkiet.

- Móg³byœe byæ zrywniejszy - zamrucza³amu doucha.

- Jeszcze wila, a musia³abym tańczyæ z Jurkiem Hryæk¹.

- Masz coœ przeciw niemu?

- zdziwi³siê fa³szywie.

- Nie mam.

Ale każdy taniec z kim innym jest tańcem straconym.

Przycisnęła się do niego całym ciałem.

Znowy było dobrze.

Dokońca potańcówki i potem też, kiedy wrócili już do domu.

Następnego ranka obudziło ich rzęzenie silnika na podjeździe.

- Chyba mamy gości - odezwała się zdziwiona Karolina.

Wyskoczyła nago z pościeli i podbiegła do okna, kuląc się od chłodu.

Choć zupełnie nie miała ochoty, zrobiła to samo.

Policyjny polonez zatrzymał się w acenie przedschroniskiem.

Wy.

siad³ z niego aspirant Gibad³o, obci¹gn¹³ mundur i ruszy³ kudrziom.

- A tenczego tu szuka?

- spyta³a p³ó³g³osem Karolina.

- Mo³że zobaczy³ mniewczoraj za kierownic¹?

- powiedzia³Marek.

- W razie czego to ja prowadzi³am, s³yszysz?

Pan policjant si¹epomyli³.

- Pijana?

-Teraz mi ju³ż niczego nie udowodni.

Ledwo zd¹ęylinarzucia¹adresy na go³e cia³a, kiedy rozleg³o si¹estukanie.

- Czy³żbym pope³ni³a jakie¹o¹wykroczenie drogowe, panie policjancie?

- spyta³a Karolinag³o³o³o i niefrasobliwie, otwieraj¹cdrzwi.

Gibad³o machn¹³ r¹ek¹.

- Nie zawraca³bym pa¹ństwug³owy g³upstwami otej porze.

Niechcia³em was ¹eci¹ga¹e do komisariatu, bo zaraz by wszyscy wiedzieli.

By³oby gadanie.

A lepiej, ³eby to si¹e na razie nie roznios³o.

-Co?

- Mo³żemy usi¹o¹e?

-Jasne!

- zawo³a³ Karolina, zgarniaj¹c zesto³u na podstawion¹ d³o³okruchy z poprzedniego dnia.

Markowi wyda³o siê podejrzan^e, [¿]e policjant zachowywa³ siê tak grzecznie.

By³ tom³ody jeszcze m^ê¿czyznao doœæ d³ugich blond w³osach, które zaczesywa³ do góry i ukrywa³ pod czapk¹.

Kiedy j¹ zdj¹³, rozsypa³y siê na boki.

Niemodna fryzura upodabnia³ago zaskakuj¹co do milicjantów sprzed ponad pó³ wieku, którzy na s³abo uzbrojonych posterunkach w Zimnem, Cisneji Baligrodzie stawiali czo³a przewa[¿]aj¹cym si³om ukraińskich powstańców.

Tak przynajmniej wygl¹dali na porcelanowych fotografiach na obelisku w Zimnem.

Wyj¹³ z raportówki jakieœ zdjêcie i po³o[¿]y³ przed nimi.

- Poznaj¹ państwo?

Z fotografii patrzy³a po m³odzieńczemu chmurna twarz Wasi Michaluka.

Marek prawie siê nie zdziwi³, jakby od pocz¹tku przeczuwa³, [¿]e coœ takiego musi siê przydarzyæ.

- Przecie[¿] to Wacêka - powiedzia³a zniecierpliwiona Karolina.

- O co tu chodzi?

- Wasyl Michaluk, obywatel Ukrainy?

- nalega³ Gibad³o.

- Przecież pan sam doskonale wie.

Po co pan pyta?

Cosiêdzieje?

- Chcê siê tylko upewniæ, czy to na pewno ten sam Wasyl Michaluk, którego państwo znaj¹.

Czy ktoœ siê nie podszywa.

- Napewno ten sam - uciê³a Karolina.

- Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej.

-A może trochę jaćniej?

- Pani za³atwi³a mu legalny pobyt w Polsce, prawda?

-To Ÿle?

- Okazuje siê.

-Ju¿ siê okaza³o.

Wasia Michaluk to œwietny fachowiec, lekarzweterynarii, zoolog, jest bardzo po¿yteczny w miêdzynarodowym programie, w którym uczestniczy.

- Du¿o chodzi po lesie, prawda?

- Policjant nagle podniós³ g³owê i wbi³ spojrzenie w Karolinê.

- To jego praca.

Tropi wilki.

- Jest pani pewna, ¿e tylko wilki?

-S³ucham?

- Mamy, niestety, sygna³y, ¿e tak¿e kobiety.

-Co pan powiada?

Jakie kobiety?

- Ró¿ne.

Grzybiarki, uczennice ze szko³y, turystki.

Dwie panie zauwa¿y³y go, jak podgl¹da³ je z krzaków, kiedy opala³y siê bez ubrania.

- To jakieś bzdury!

Sugeruje pan, że Wasia napastuje kobiety w lesie?

- Nie powiedziałem, że napastuje.

Jeszcze nie.

Na razie.

Jakto pani powiedziałam?

Tropi, prawda?

- I czego pan od nas oczekuje?

- Współpracy.

Jeżeli pani zauważy coś podejrzanego, proszę zadzwonić.

Bo pani wie, że jeżeli to się potwierdzi, będzie na pani!

- A co to ma wspólnego ze mną?

Chyba pannie myśli.

- Ja nie.

Ale wie pani, jacy są ludzie.

Nikomnie przepuszcz!

- Myślałem, że to policja jest od ustalania winnych, a nie ludzie - nie wytrzyma Marek.

- Teoretycznie ma pan rację.

- Głęboko rozłożył ręce.

- Tylko że wie pan, nie działamy w próżni.

Aha, przy okazji: ktoœmi mówi³, ¿e widzia³ pana za kierownic¹.

Chyba siê pomyli³, prawda?

No, to ja nie bêdê pañstwu d³u¿ej przeszkadza³.

Rzuci³ jeszcze znacz¹ce spojrzenie na rozbebeszon¹
poœciel, zgarn¹³ swoje jasne w³osy pod czapkê i poszed³.

- Widzia³œce?

- oburzy³a siê Karolina.

- Bezczelny!

On nam normalnie grozi³.

Dziwne, ¿e pojawi³ siê u nas akurat zaraz po tym, jak Wasia znalaz³ tego wilka, nieuwa¿asz?

- Wygl¹da na to, ¿e Hryækomia³ racjê.

Nie lubi¹ tu tego ch³opaka - powiedzia³ Marek.

- Polowanie trwa.

- Nareszcie coœ zaczyna do ciebie docieraæ.

A wiesz, mówi³amci, ¿e jego ojciec jest poet¹, jak twój?

Przy porannej kawie Marek pozna³ historiê Wasi.

136.

Wasia Michaluk od ma³ego 3y³ w rozdarciu.

Ojciec ci¹gn¹³ goku Polsce, a matka nawet s³yszeæ o Polakach nie chcia³a, na sam³ wiêk tego s³owa budzi³a siê w towarzyszce doktor Ha³ynie Michaluk zabobonna ch³opka z Karpat i spluwa³a symbolicznie przez ramiê.

W czasach radzieckiej Ukrainy ojciec swój tranzystorowy odbiornik mia³ zawsze nastawiony na pierwszy program Polskiego Radia, które we Lwowie by³o s³ychaæ ca³kiem wyra³nie.

Kiedy Wasia by³ dzieckiem, nie by³o to ju³ zabronione iniegrozi³oniczym poza z³oeci¹ matki.

- Na kogo ty chcesz wychowaæ naszego syna, najakiegoæ³¹ckiego parobka?

- krzycza³a.

- Po co uczysz go jêzyka panów?

Chcesz unieszczêliwiæ ch³opaka?

- G³upia ty.

Kszta³cona, a g³upia.

To nie jêzyk panów, tylko Mickiewicza, S³owackiego- protestowa³ ojciec.

- A Polskiego Radia s³ucham, bo siê z niego mo³na dowiedzieæ wiêcej ni³ z naszego.

- Bóg mi chybarozum odebra³, 3e wyda³am siê za poetê!

- wykrzykiwa³a matka.

Ha³yna Michaluk, kobieta wykszta³cona i nale¿¹ca do partii komunistycznej, deklarowa³a siê oficjalnie jako ateistka, ale¹ tak potrafi³ j¹ zdenerwowaæ, ¿e a¿ odbywa³y siê w niej ciemne zabobony przodków.

Choæ na zdrowy rozum jej reakcje by³y przesadne, zigi³y robi³a wid³y.

Polskiego Radia s³ucha³owtedy pó³ukraiñskiego Lwowa g³ównie dlatego, ¿e Polacy nadawalizachodni¹ muzykê- Presleya, Beatlesów, Rolling Stonesów i CzerwoneGitary, póŹniej Leonarda Cohena i Marylê Rodowicz, a tak¿e Rosjanina Wysockiego.

Przy okazji ukraiñska m³odzie¿uczy³a siê od muzycznych prezenterów mówiæpo polsku.

By³o zrozumia³e, ¿e z³oœci³o to weteranów walk z Polakami i starszych ludzi, którzy w tych walkach potracili synów.

Ale matka Wasi Michaluka urodzi³a siê przecie¿ju¿po wojnie i przesz³aszko³e socjalistycznego internacjonalizmu, najpierw w organizacjipionierskiej, póŹniej w Komsomole iKomunistycznej Partii Ukrainy.

Wasia rozumia³by, gdyby matka sprzeciwia³a siê s³uchaniu Polskiego Radia jako komunistka, bo Polacy ju¿ wtedy uprawiali ideowe odszczepieñstwo.

By³o inaczej.

Ona nacjonalizm polskichpanów chcia³a zwalczaæ swoim w³asnym, ciemnym, ch³opskim i chach³ackim, jakwydziera³ siê ojciec, kiedy ju¿ uda³o siê jej wyprowadziæ goz równowagi.

- Aty kto?

Za kogo siê masz?

Zapolskiego pana?

- wœcieka³asiê.

To musiało być bolesne dla ojca, którego rodzinę Polacy wypędzili z Karpat, a kilku krewnych, którzy nie chcieli opuścić rodzinnej wioski, zamordowało polskie wojsko.

Mówiło się nawet, że dziadek Wasyl, po którym Wasia wzięło imię, sambył w leżącym oddziale, tylko miał już dojechać walki.

Zdezercerowała i żeby uniknąć kuli od swoich, ukryła się w transporcie wiozącym wypędzonych ziemców na radziecką Ukrainę.

Dziadek sam zaczął mówić o tym przez kilkanaście lat, kiedy chciał imponować wnukowi.

Do swych partyzanckich wyczynów zaczął się przyznawać, kiedy nie groziła już za niego sybir, a on sam był nieodwrotnie schorowany, więc ludzie byli raczej skłonni słuchać, że staremu Michalukowi zaczęło się mieszać w głowie albo zwyczajnie zmyśla.

Wasia jednak znał swojego dziadka lepiej i wierzył mu.

I aż dygotał ze strachu i gniewu, kiedy dziadek opowiadał o okrucieństwach Polaków.

- Przed wojną żyliśmy z Polakami w zgodzie - przyznawał.

- Nawet się zdawało, że to tacy sami ludzie jak my.

- Wenieli się z naszymi dziewczętami, a my braliśmy za ich kobiety.

Dopiero później pokazali swoje wilcze zęby.

Mały Wasia nie lubił tylko, kiedy dziadek Wasyl pisał.

A zdarzało się to czasem.

Ita wcale nie wówczas, kiedy opowiadał o zbrodniach Polaków na ukraińskim narodzie.

Najbardziej rozczyła³ się, wspominaj¹c, jak piękna by³a ich rodzinna wieś, roz³oła w dolinie wśród³agodnych wzgórz, wiosn¹ rozkwitaj¹ca sadami, latem odurzaj¹co pachn¹ca miodem, szczęśliwa i zamożna.

Wspomina³ pas¹ce się na górskich³skich stada krówo wymionach ciękich od mleka, potoki pełne pstr¹gów i przepastne lasy zamieszkałe przez stada jeleni.

To wszystko zabrali Polacy, kiedy ukraińskie ziemie przecię³ła granica.

Wypędzili Ukraińców z górskich siedzib, które zamieszkiwali ich przodkowie od niepamiętnych czasów.

- Daliście tak wypędzić z domów, didka?

Nie broniliście?

- pyta³ ma³y Wasia.

- Jakże nie!

M³odziszli do lasu, do naszej partyzanckiej armii, bracia Lachów, starzy trzymali się ojcowizny rękami inogami, nie chcieli wsiadać dobydłych wagonów, jechać na poniewiekże nieznanych stronach.

Ale jak cię wilki opadn¹ ze wszystkich stron, nie obronisz się.

W opowieściach dziadka Wasyla wilki miały polskie mundurzy blaszanymi orzechami na czapkach.

Przed tymi wilkami szed³ strach, zaniemi odór krwi i żuny żołdaków.

Pewnego dnia gruchnęła wieść, że polskie wojsko otoczyło i spaliło za rzek¹ ukraińską wieś, która też nie chciała jej wygnanie.

Za wilkami wpol138.

skich mundurach sz³a najgorsza wilcza swo³ocz, ho³ota z s¹siednich polskich wiosek, sami bandyci, alkoholicy i sadyœci.

Szliodchaty dochaty zabijali.

³o³nierze strzelali i dŸgali bagnetami.

Cywile r¿nêli, czym kto mia³ - no¿ami, siekierami, kosami.

Kowalskimi m³otami rozbijali³owcy.

- Powiedzieæ, ¿e to wilki, Wasia, to ma³o - dziadek Wasyl unosi³ sêkate, poczernia³e od pracy w ziemi piêœci, zaciska³ usta, wzrok wbija³ ponuro jakby w niewidzialnych wrogów.

- Wilk przegryzie ci gard³o, zabije byle szybciej.

Oni mordowali powoli, mœcilisiê.

- Sk¹d wiesz, didka?

- pyta³ Wasia, z trudem prze³ykaj¹c œlinê.

- By³em tam.

Przybieg³ do lasu ch³opak, ¿e Lachyr¿n¹ naszych, ¿eby ratowaæ.

Ruszyliœmy zaraz, ale by³o za póŸno.

I roztacza³ przed dzieckiem obraz wsi spalonej, zas³anej trupami mieszkañców, którzy nie chcieli jechaæ na wygnanie.

Nieszczêdzi³ szczegó³ów.

- Strach nawet mówiæ o tym przed noc¹, Wasia.

Jednak mówi³.

Potem dziecko mia³o koszmary.

Widzia³o zw³oki rozebrane do naga, niektóre pokawa³owane.

Zgwa³cone kobiety z oder³niętymi piersiami, z brzuchami rozprutymi bagnetem.

Wykastrowanych m³ężczyzn.

Trupy pozbawione r¹ek, n³ogi g³ów.

Ma³e dzieci ponabijane ³ywcem na sztachety.

To, co opowiada³ dziadek Wasyl, przypomina³owizje ³redniowiecznych malarzy.

Taka my³oel przys³a Wasi do g³owy dopiero w ³redniej szkole.

Wczec³niejdziadkoweopowie³eci traktowa³ ca³kiem dos³ownie.

I nie bardzo wiedzia³, co my³oela³ o ojcu, kt³orys³ucha³ PolskiegoRadia i zna³ na pami³ewiersze polskiego³oety Mickiewicza.

M³czy³ si³e z tym sam, nieszuka³ pomocy udoros³ych, z kt³orych ka³dy m³owi³ coinnego.

Matk³e w³ecieka³y i pogl¹dy ojca, i gadkidziadka Wasyla.

Nielubi³a Polak³ów, ich zarozumialstwa i niewdzi³eczno³eci d¹wielkiego Zwi¹zku Radzieckiego, kt³óry pod wodz¹Stalina wyzwoli³zachodni¹ Ukrain³e spod w³adzy polskich pan³ów i niemieckichfaszyst³ów.

Nie zgadza³a si³e te³ z dziadkiem Wasylem.

Kocha³a Ukrain³e radzieck¹, a nietak¹, o jakiej roi³ on ijemu podobni.

Mimo ³e w domu nie u³ywa³as³owa faszy³eci, nawet Wasia czu³, ³e tak o nich my³ela³a.

Trudnomu³by³o zrozumie³ matk³e.

Zacofane pogl¹dy dziadka krytykowa³a jak prawdziwa komunistka i lekarka, z przekonaniem wyznaj¹ca œwiatopogl¹d materialistyczny.

Innym razem robi³a awantury ojcu o jego niezrozumia³epolskie ci¹goty, a wtedy wy³azi³a z niej prymitywna chach³aczka i nacjonalistka, mo³e nawet skryewierz¹ca w cerkiewne zabobony.

Te rodzinne spory wci¹ż trwa³y, kiedy nagle obudzili się w wolnej Ukrainie.

To, o co bezskutecznie³y siępokolenia Ukraińców, na darmo przelewaj¹c krew w³asn¹ i cudz¹, zupe³nie niespodziewanie przysz³o samo, bez żadnego wysi³ku z ich strony.

Dziadek Wasyl przybieg³ do nich tego dnia podniecony, krzycz¹cod progu:

- Zwycię¹żylic¹emy!

Jest Bóg na niebie!

Ze zdumieniem patrzyli na starego Michaluka, który wdzia³na siebie dziwaczny mundur, wysokie buty i fura¹żerk¹e z przypiętym tryzubem, znakiem surowo do tej pory zakazanym, przeklętym przez komunistów i Lachów, który niebawem mia³ się sta¹e oficjalnym god³em niepodleg³ej Ukrainy.

- Czy ojciec zwariowa³?

- zdenerwowa³ się tata Wasi.

- Sk¹dojciec wzi¹³te szmaty?

- Szmaty?

- wrzasn¹³ dziadek Wasyl.

- Za te szmaty najlepsisynowie Ukrainy życieoddawali.

Wasia nie wiedzia³ teraz, z kim trzyma¹e.

Ojciec idziadek mielica³kiem inne zdania na temat, jaka maby¹e ta nowa Ukraina.

Dziadek upiera się, że wraz z niepodległością przyszedła pora upomnieć się o ziemię, które zostały po polskiej stronie.

Ojciec wtedy denerwował się jak nigdy i krzyczy, że dziadek chyba rozumie, bo teraz jest właśnie najlepsza okazja, żeby wreszcie pogodzić się z Polakami, tylko w ten sposób oba narody będą mogły skutecznie opierać się Niemcom i Rosji.

Dziadek zaciska zęby i mruczy, że lepiej godzić się z diabłem niż z Lachami.

Pewnego dnia krótko po zdyskwalifikowaniu niepodległości dziadek Wasył zabrał Wasię na wiec.

Zrobił to wbrew ojcu, dosłownie wykradając chłopaka ze szkoły.

Ale Wasi wcale nie spodobał się podniecony, rozwrzeszczany tłum, wypędzający plac.

Zeszło się tampeżno starych ludzi w wieku dziadka Wasyła, podobnych w podobne mundury, podobnych orderami.

Trochę przypominałidobrze Wasi znanych weteranów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, którzy w czasach Związku Radzieckiego przy okazji różnych obywatelskich chętnie przebierali się po wojskowemu.

Jednak ci różnili się od tamtych nie tylko tryzubami, które przypięli do czapek w miejsce czerwonych gwiazdek.

Nie odwołali dawnych zwycięstw, tylko domagali się nowych, razem z całym tłumem.

Bo oni byli jedynie garstką staruszków w masie agresywnie zachowujących się młodych mężczyzn, ogolonych na tyso, wymachujących niebiesko-żółtymi flagami, którzy w oczach mieli nienawiść, nie wiadomo przeciw komu skierowaną.

Wasiaczu³ siê w tymmiejsu bardzo Ÿle,œcioeniêty w spoconym
t³umie,obokdziadka Wasyla, poczerwienia³egona twarzy, krzycz¹cego

140.

coœ ochryp³ym g³osem.

A jeszcze gorzej poczu³ siê, kiedy w domu ojciec zrobi³ im awanturê i obu zwymyœla³ od faszystów.

Wasia nie wiedzia³, co powinien wybraæ.

Nie mia³ ochoty opowiadaæ siê po ¿adnej ze stron.

Po skoñczeniu podstawówki postanowi³ wiêcplun¹æ na jednych i drugich.

Poœwiêci³ siêzwierzêtom.

W technikum weterynaryjnym znalaz³ wreszcie spokój i sweprawdziwe powo³anie.

Wœród koniczu³ siê o wiele lepiej.

Nauczy³siê te¿z wiêkszym dystansem spogl¹daæ na swego ojca i dziadka.

Teraz, kiedy przyje¿d¿a³ na œwiêta do domu, potrafi³ ju¿ spory domowników traktowaæwyrozumiale.

Matka, chyba na z³oœæ ojcu, coraz bardziej bra³a stronê dziadka Wasyla.

Zapisa³a siê do legalnej teraz partii nacjonalistów i pogodzinach pracy w szpitalu zaczę³a dzia³aæ w komisji gromadz¹cej dowody krzywd, jakich Ukraiñcy doznali od Polaków.

Ojciec tymczasem, wybrany do lwowskiej Rady Miasta, nale¿a³ do najwiêkszych zwolenników pojednania z Polakami.

JeŹdzi³ do Polski z ró¿nymi delegacjami i namawia³ Wasiê do tego samego.

Wasia zwleka³.

Namowy ojca wcale go nie zachêca³y, raczej naodwrót.

Dopiero kiedy skończy³ studia i niemóg³ znaleŹæ pracy naUkrainie, pomyœla³, czy nie poszukaæ szczêœcia za Sanem, jak kilku kolegów.

On przynajmniej nie musia³ najmowaæ siêdo najczarniejszych robót,do jakich w Polscechêtnie zatrudnianoUkraiñców.

W ostatnich latach wœród Polaków zapanowa³a modana jazdê konn¹.

Nowe stadniny powstawa³yjedna podrugiej.

Ch³opiec stajenny z dyplomem lekarza weterynarii nie musia³d³ugo szukaæ zajêcia.

- Co tu robisz?

- spyta³ najg³upiej jak by³o mo³na.

- Nie wiesz?

Szczerze mówi¹c, jate³ nie mam pojêcia.

By³amw okolicy.

Wiesz,przyjecha³am na konie, do tej stancy.

To pomyœla³am, ¿e wpadnê przy okazji.

G³upio zrobi³am?

Przeszkadzam ci?

- No coœ ty -mrukn¹³ niezrêcznie, a potem gestem równie niezgrabnym wzi¹³ j¹ w ramiona i poca³owa³ w oba policzki, zimneod wiatru.

Bardzo chcia³ wreszcie pogodziæ siêz córk¹.

- ChodŸmy do œrodka - powiedzia³.

- Mam zupê grzybow¹.

Posz³az nimchêtnie i ciekawie rozejrza³a siê po domu.

Niechcia³ siê przedni¹ t³umaczyæ, ale nie móg³nad tym zapanowaæ.

- To na razie prowizorka.

Bêdzielepiej.

- Dlaczego, jest super!

- zapewni³a go tak szybko, ¿e a³ zacz¹³siê zastanawiaæ, jaki jest jej prawdziwy cel.

Rzuci³a siê na zupêz zach³annoœci¹ dziecka i z nag³¹
czu³oœci¹ przypomni³a sobie, ¿e zawsze by³a taka ¿ar³oczna.

Przez jakieœ czas bali siê nawet, ¿e bêdzie gruba.

Niepotrzebnie.

Spala³a wszystko z tak¹ sam¹ szybkoœci¹, z jak¹ opró¿ni³a talerze.

- Smakuje ci?

- spyta³.

- Da siê zjeœæ - orzek³a³askawie.

- Totwoja laska gotowa³a?

- Dlaczego tak o niej mówisz?

- A co, obraza?

Ma byæ moj¹ now¹ mamusi¹ czy co?

- Ajeœli tak?

Jej rêka, nios¹ca³y¿kê doust, zatrzyma³a siê w pó³ drogi.

Ale dziewczyna szybko opanowa³a siê.

Jad³a dalej.

- Chceciê?

- Rzuci³a mu szybkie spojrzenie.

- Nie powiedzia³em, ¿e bêdzie, tylko spyta³em, czy mia³abyœcoœæ
przeciw temu.

Chwilê siê zastanawia³a.

- No?

- ponagli³.

- Bo ja wiem?

Przemycela³œœ to?

Jestœœ pewny, Ÿe do siebie pasujecie?

- A dlaczego nie?

Powoli roz³ama³a na p³ kromkê chleba, jakby chcia³a zyskaœœna czasie.

- Stary jesteœœ -powiedzia³a wreszcie.

- Maszprawie doros³¹c³orkê.

Bardziej go zdziwi³a, niŸ urazi³a.

- Prawiedoros³¹?

- spyta³.

-Chyba trochê przesadzasz.

- Zdziwi³byœœ siê - mruknê³a.

-S³ucham?

Co chcesz przetpowiedzieœœ?

- CzyŸbyœœ mia³ coœ przeciw wczesnej samodzielnœœci?

Ty? - odpowiedzia³a pytaniem.

142 ,.

Wygl¹da³oby ζ a³ocenie, gdyby zacz¹³ prawie jej mora³y.

Dawa³amu to wyra³ni³do zrozumienia.

Jakby sam nie wiedzia³.

- Ja nie mam.

Zdawa³omi si³tylko, ζ e twoi dziadkowie maj¹na ten temat zupe³nie inne pogl¹dy.

- Dobrze ci si³e zdawa³o.

Ale przesta³amsi³e tym przejmowa³e.

Najwy³szy czas, nie uwa³asz?

Sta³ si³e czujny.

Ma³a próbowa³a chyba co³e rozgrywa³e.

Ale onnie mó³g³da³e si³e wci¹gn¹a³.

Wiedzia³, ζ e Boguccy zrobi¹ wszystko, ζ eby j¹ trzyma³e jaknajdalej od niego.

Mieli nad nim przewag³e.

Na razie jeszcze nie mó³g³ nic na to poradzi³a.

- Chceszmi po prostuda³e do zrozumienia, ζ e masz ch³opaka?

-spyta³.

- A co, toby ci si³e niespodoba³o?

- Jej g³os zabrzmia³ zaczepnie.

- Nie,sk¹d³e.

Tylko.

Mia³a racjê.

A comia³oby mu siê podobaæ?

To, ¿e jakieœ niedomyty szczeniak wpycha³by jego ma³ej dziewczynce jêzyk do usti ³apê do majtek?

Dalszego ci¹gu nawet nie chcia³ sobie wyobra¿aæ.

Co z tego, ¿e tak wyros³a, a kobiece piersi odznacza³y siê wyraŹnie nawet pod kurtk¹?

Wci¹¿ by³adzieckiem.

Nie mia³a pojêcia o œwiecie.

To by³a, oczywiœcie, wina Boguckich.

Trzymalij¹w szklanymkloszu, bo biedne dziecko mia³o tyle strasznychprze¿yæ.

Usi³owali stworzyæ jej warunkisterylne.

G³upcy.

Skutek musia³ okazaæ siê taki, ¿e teraz by³a bezbronna.

Gotowawpaeæw pierwsz¹ pu³apkê,jak¹ ¿ycie na ni¹ zastawi.

Czu³ siê bezradny.

- Tylko co?

- ponagli³a.

- Tylko jakoœ mi dziwnie, ¿e to ju¿.

Spojrza³a na niego z politowaniem.

- Myœla³eœ, Ÿe bœdê zawsze ma³¹ dziewczynk¹?

Jasne.

Przynajmniej do czasu, a Ÿnów bœdê móg³ tob¹ siê
opiekowaæ, pomyœla³.

Gdyby powiedzia³ to g³oœno, pogr¹Ÿy³by siê
w jej oczach.

Milcza³ wiêc.

- Nie.

Tylko czas p³ynie za szybko.

- ³a³osny bana³ by³ jedyn¹ odpowiedzi¹, jaka przysz³a mu do g³owy.

- Tak uwaŸasz?

Dla mnie za wolno.

Mogê dostaæ dok³adkê?

- Jasne.

Teraz nie jad³a juŸ tak ³apczywie, raczej jakby tylko po to, Ÿeby
przed³uŸyæ tê czynnoœæ.

Wyczyœci³a talerz chlebem i mia³ wraŸenie, Ÿe chce wróciæ do
rozmowy.

Ale spojrze³a na zegarek i poderwa³a siê.

- Muszê juŸ wracaæ.

Podwieszysz mnie do przystanku?

- Oczywiście.

Mogę cię zawieźć do samej stacji.

- Wiesz -zmieszają się - lepiej nie.

Jestem kolegami.

Moglibyśmy jeszcze donieść dziadkom albo.

Tylko trochę zrobi³o mu się przykro.

Duż³owa³niejsze by³osamo to, że w ogóle chcia³a razem z nim wsi¹oæ do samochodu.

Albouwa³a³a, że by³ niewinny, albo mu wybaczy³a.

Nie æmia³ nawetmarzyæ, żeby to by³a prawda.

Na wszelki wypadek uzna³, że ma³apoprostu o tym nie pomyçla³a.

Zreszt¹ wszystko jedno, nie móg³tego nie wykorzystaa.

Nawet ryzykuj¹c, że policjanci z komisariatu w Zimnem na niego te³ju³polowali.

Nauczy³ się zreszt¹ unikaæ patroli drogowych.

- Pojedziemy³u³sz¹ drog¹, dobrze?

Poka³ê ci okolicê.

- Jasne- zgodzi³a się.

By³ jej wdziêczny, że nie powiedzia³a ani s³owa wiêcej.

Darowa³a sobie komentarz, choæ nie by³ pewny, czy się nie domyçla³a,dlaczego w rzeczywistoœci wybra³ gorszy wariant trasy.

Ju³ Boguccy zadbali, żebyj¹ odpowiednio do niego nastawiaæ, co do tegomia³ pewnoææ.

Wiêc mo³e naprawdê by³a teraz po jego stronie?

Jecelitak, to musia³o coæsiê wydarzyæ pomiêdzy ni¹a dziadkami.

Coæ, co dawa³o mu szansê.

Ju³ dawno nie by³za kierownic¹ taki spiêty.

Chyba oddnia, w którym Karolina zmusi³a go do pierwszej jazdy.

Na szczęœcie Ewa nie zwraca³a na to uwagi, rozgl¹daj¹c siê po okolicy.

Bukina wzgórzach przybiera³y w³aczenie najbardziej czerwoni barwê.

Wkrótce mia³y nadejœæ pierwsze przymrozki.

- Zazdrozczê ci - odezwa³a siê.

- Czego?

- Te mo¿esz tu mieszkaæ.

Odebra³ to jako kolejny sygna³ ostrzegawczy.

Coœ mutu niepasowa³o.

W zachowaniu córki zasz³a zbyt du¿a zmiana.

- To miejsce dobre dla ¿yciowych rozbitków.

Niedla m³odych ludzi, jak ty, którzy mog¹ wszystko.

Masz ca³y œwiat przed sob¹ - powiedzia³.

- Takuwa¿asz?

A w³acicie po co komu ca³y œwiat?

Nie wiedzia³, co na to odpowiedzieæ.

- Artujesz, prawda?

- Jasne.

- Odwróci³a³owê i ju¿ do koñca milcza³a.

Dopiero kiedy zatrzymali siê na parkingu przy szosie, któr¹ jeŹdzi³y autobusy, odezwa³a siê:

- Nie odpowiedzia³eœ mi na pytanie.

Zgadzasz siê?

- Na co?

-Jako naco?

A o czym mówiliœmy ca³y czas?

-ebym mia³ach³opaka.

Poczu³siê postawiony podœcian¹.

Dobrze wiedzia³a, ¿e niemia³ prawa o niej decydowaæ.

Przynajmniej formalnie.

Chcia³ago wci¹gn¹æ do spisku.

Ale mo¿e to by³a jedyna szansa.

144.

- Dziewczêta w twoim wieku niewaj¹ juź ch³opaków.

Wiêdłaczego mia³bym siê nie zgodziæ?

- spyta³ nieszczerze.

-Oczywiœcie, pod warunkiem, Ÿe.

- e co?

-Sama wiesz.

-e bêdziesz rozs¹dna.

- To znaczy,Ÿe nie bêdê z nim uprawia³a seksu?

Niebój siê, nie jestem g³upia.

Najpierw muszêsiê przekonaæ, Ÿe mnie naprawdê kocha.

Dopiero teraz przerazi³a go naprawdê.

Wyci¹gn¹³ rêkê i dotkn¹³ ostroŸnie jej policzka.

- Uwaźaj na siebie - powiedzia³ bezradnie.

- I zadzwoñ kiedyœ,co?

- Jasne, czemu nie?

Wyda³o mu siê,Ÿe chcia³a jeszcze coœ dodaæ, ale zrezygnowa³a.

Kiedy to siê zaczê³o?

W jakiej chwili zacz¹³ traciæ kontaktz Ew¹?

Zpocz¹tku by³y to tylko nieudane intrygi teœciowej.

- Czy nie uwaźasz,Ÿe Ewunia jest juź za duźa, Ÿeby twój m¹Ÿ zamyka³ siê z ni¹ w ³azience?

- spyta³a Bogucka pewnego wieczoru.

Us³ysza³ to przez uchylone drzwi od kuchni, w³acenieki edyp³o³ly³ ma³¹spaæ.

Wstyd mu by³o pods³uchiwaæ, ale przystan¹³.

- Mamo, Marek j¹ k¹pie od urodzenia - odpowiedzia³a Joanna.

- Kto ma to robiæ?

Ja jestem przewa^znie zajêta wieczorami, a opiekunka wychodzi wczesniej.

- Ity nie widzisz w tym niczego niew³aceniwego?

Co z ciebie zamatka?

- Aty widzisz?

- Oczywiście.

Pracujesz w mediach, wiêc powinnaæ najlepiej wiedzieæ, co ojcowie potrafi¹ wyprawiaæ z dzieæmi.

Co rusz siêo tym s³yszy.

- Mamo, co ty wygadujesz?

Marek?

Ta rozmowa mia³a miejsce w czasie, kiedy miêdzy Markiem i Joann¹ uk³ada³o siê akurat lepiej i ona znów stawa³a po jego stronie, co Boguck¹ bardzo irytowa³o.

- Nie?

To przyjrzyj siê, jak oni na siebie patrz¹.

A ty nie widzisz niczego niewłaściwego w tym, że podczas kąpieli on jej.

dotyka?

- Ależ w tym nie ma niczego.

Po prostu ją myje.

- Jesteś tak naiwna, ślepa, czy po prostu chcesz widzieć?

-Ona ma trzy latka.

Uważasz, że wyszłam za zbrojnicę?

- Teraz ma trzy latka, ale będzie miała więcej.

On ją oswaja, nie rozumiesz tego?

Uczy ją, że to jest normalne.

- Skąd wiesz?

- spytała Joanna podejrzliwie.

- Mam swoje lata.

Nawet jeżeli się myli, ostrożności w tych sprawach nigdy za wiele.

- Myślisz?

Głos jego żony wciąż brzmi do niej obojętnie.

Marek nie da się zwieść, wiedział już, że matce udało się zaszczerpać Joannę w tępocie.

- Nie myśl.

Jestem pewna.

Wtedy jeszcze Joanna nie chciała z nim walczyć, przez jakiś czas nie wykorzystywała więc pomysłu podsuniętego przez matkę.

Marek ze swej strony nie zdradza się, nie podsłucha ich rozmów.

Mimo to oboje, każdy swój sposób, zareagowali na interwencję teściowej.

Marek szybko nauczył córkę, żeby myła się sama, bo jest już dojrzała, żeby dać sobie z tym radę.

Zrobił to wbrew sobie, ale zrobił.

W ten sposób jakby pośrednio przyznawał, że Bogucka mogła mieć rację.

Na samą myśl, że rzucił na niego takie podejrzenie, wszystko się w nim burzyło.

Nigdy ani przez chwilę nie pomyślał o Ewie w ten sposób.

Nawet kiedy był niemowlęciem, czuł się skrępowany na widok jej nagości.

W trakcie mycia robi³ wszystko, żeby ruchy jego namydlonych³oni by³y szybkie i rzeczowe i nawet trochę nieprzypomina³ypieszczoty.

Nie mia³sobie nic dozarzucenia.

Mimo to już następnego wieczoru odda³ myd³o córce.

- Pokaż, że potrafisz być samodzielna.

Wola³ uniknąć otwart¹ wojnę z Boguck¹.

Tym bardziej, że wcale nie by³ pewny, jak d³ugo mógł liczyć na wsparcie Joanny.

Między nimi niby nic się nie zmieni³o, ale zauważy³, że zaczę³a godyskretnie obserwować.

Któregoś dnia wróci³a wcześniej, niż zapowiada³a.

Marek w³acniek¹pa³ ma³.

Kiedy us³ysza³ odg³osklucza w zamku, wyszed³ z ³azienkii zaj¹³ się czymś w kuchni.

Jego żona przyję³a to z nieskrywanym zdziwieniem.

- A co to?

Zostawiasz Ewkę sam¹ w ³azience?

- Jest już duża - odpowiedzia³ ob³udnie.

- I świetnie sobie radzi.

- Umie się już sama umyć, mamusiu!

- zawo³a³az ³azienkima³a.

Weszli tam oboje, a ona im pokaza³a, że to prawda.

To rozbroi³o Joannê.

Spojrzenie, które rzuci³amêżowi, by³o wprawdzie niecopodejrzliwe, ale nie da³a mu jasno dozrozumienia, czy przejrza³ajego grê, czy uwierzy³a, że nag³a samodzielnoœæ Ewy by³a tylkoprzypadkiem.

Nie próbowa³a w ogóle z nim o tym rozmawiaæ.

Jeszcze nie wtedy.

Dopiero kiedy znów siêmiêdzynimi popsu³o.

Joanna by³a s³użbowo za granic¹, kiedy Ewa zachorowa³a nawietrzn¹ ospê.

Przechodzi³a j¹ ciêżko.

Panowa³y lipcowe upa³y, od146.

bieraj¹ce ch^êæ do jakiejkolwiek aktywno^œci.

Dziewczynka cierpia³a podwójnie, wi^êc pozwoli³ jej le^çæ w ³ó^çku ca³kiem nago.

Strupy, pokrywaj¹ce cia³o ma³ej, od gor¹ca dokuczają jeszcze bardziej.

Wzi¹³ kilka dni wolnego i niemal bez przerwy smarowa³ córk^êæ rodkiem ³agod¹cym sw^êdzenie i pilnowa³, ^çeby si^ê nie drapa³a.

Gdybyspodziewa³si^ê wczesniejszego powrotu Joanny, chyba by³by ostro^çniejszy.

Nag³ego naj^œcia te^œciowej si^ê nie obawia³.

Boguccysp^êdzaliurlop w swym letnim domu w Jastarni.

Marek mia³ odwie^ÿæ ma³¹ do nich, w³acenie kiedy zachorowa³a.

Gdybyto by³a naprzyk³adodra, stara pojawi³aby si^ê natychmiast.

Marek jednakwiedzia³, ^çe Bogucka na szcz^êœcienie przechodzi³a w dzieci^ñstwiewietrznej ospy i teraz panicznieba³asi^ê pó³pac^œa.

Nie doceni³ te^œciowej.

Sama si^ê nie pojawi³a, ale robi³awszystko, ^çeby^œci¹gn¹æ Joann^êwczesniej do kraju.

onazaskoczy³a go we ^œnie.

By³ ju^ç tak znu^çony czuwaniem przy chorej córce, ^çe zasn¹³ na siedz¹co zbutelec¹k¹ ^œrodka przeciw sw^êdzeniu w d³oni.

Joanna wesz³a, a onobudzi³ si^ê dopiero pochwili.

Sta³przed nimi wpatrywa³asi^ê w niego wcale nie ze z³o^œci¹, tylkozimnoi badawczo, jakby co^œ kalkulowa³a.

- A jednak moja matka chyba miała rację - powiedziała.

-Co? W jakiej sprawie?

- Jeszcze nie wszystko do niego dotarło.

- Ńe trzeba na Ciebie uważać - dokończyła z satysfakcją.

Rzucił okiem na łóżko córki, na którym pięcioletnia Ewa spała całkiem naga, zrzuciwszy z siebie nawet prześcieradło, poruszając się niespokojnie i posapując przez sen.

Dopiero wtedy zrozumiał, że dała się przyapać.

Tęmaczenia nic by nie dały, tylko pogorszyłyby sprawę.

-ona doskonale wiedziała, że nie byłoby do zrobienia swej córce krzywdy.

Wcale nie chodziło jej o dobro dziecka.

Tylko o haka na niego, niby w brudnej grze politycznej.

Może w momencie w tej chwili stracił resztki uczucia do Joanny.

I równocześnie poddał się, przestał walczyć o Ewę.

- Dobrze, że jesteście - powiedziała sucho.

- Zajmiesz się dzieckiem.

Ja poświęcę ciemuż wystarczająco czasu.

Teraz ty się postaraj.

To tak i twoja córka.

Nawet nie spojrzę na Joannę.

Omin¹³ j¹, zamar³¹ ze zdumienia pocerodku pokoju, wyszed³ z domu ipojecha³ do biura.

Do rana odpowiada³na listy i e-maile.

Nastêpne dni, tygodnie i miesi¹ce wype³nia³ prac¹.

W³aœnie wtedyzac¹³ robiæ karierê.

Po jakimœ roku zauwaŹy³, Źe skutecznie uda³omu siê odzwyczaiaæ Ewê od siebie.

Wtedy by³o juŹ za pÓŹno.

Rozmyœla³ o tym prawie ca³¹ noc.

Od jakiegoœ czasu wydawa³o mu siê, Źe wygra³ z bezsennoœci¹.

Teraz znów nie móg³ spaæ.

147.

Któregoś dnia Karolina wróciła z pracy zupełnie odmieniona.

Przywitała się z Markiem chłodno, nawet nie pozwoliła się objąć.

Nie rozumiała jej zachowania.

Gwałtownie szukała w pamięci, czy mogła się jej narazić, inie znajdowała.

A już zupełnie zgłupiała, kiedy zaczęła pakować do torby książki i notatki do pracy doktorskiej.

- Powiesz mi skąd, co się dzieje?

- spytała.

- Nic takiego.

Przeprowadzam się do ośrodka.

- Słucham?

- Muszę bardziej skupić się na pracy.

- Co ja zrobię?

Chyba należy mi się chociaż jakieś wyjaśnienie.

Zabrzmiało to zdanie i poczuła coś na sobie.

Nie powinien zadawać żadnych pytań.

Jeśli chciała odejść, najlepiej by było pozwolić jej na to bez słowa.

Wtedy to ona poczuła by niepokój.

Tylko że on już nie potrafił grać na zimno.

Zamknęła zamek swojej podróżnej torby, chwilę coś rozważała, przygryzając wargi, wreszcie zdecydowała się.

- Masz rację, wyjaśnijmy sobie wszystko.

Zrobisz kawę, pogadamy.

Lepiej, żeby nie zostało między nami żadne niedomówienie.

Dopiero teraz zrozumiesz, jak wielki błąd popełniłeś.

Kiedy wszystko zostanie wyjaśnione, nie będzie już żadnego powodu, żeby znów się spotkać.

Niedomówienia byłyby lepsze.

Mógłbyś to jeszcze naprawić, zawołać: "Wynoś się!

Nie potrzebuję twoich kamstw".

Karolina odeszła, aby dezorientowana, dręczona poczuciem winy, może nawet dotarłoby do niej, że się zrobiła.

Nie zdobył się na nic.

Kilka lat wcześniej był mistrzem socjotechniki, wiedziałby, jak się zachować, żeby zdobyć przewagę.

Teraz przygląda się bezradnie, jak parzy kawę.

Postawił na stole parujące kubki, długo mieszały je w swoim, choć przecież nie siodziła kawy.

- Przede wszystkim nie chciałem, żeby opomyślał, że to z powodu innego faceta - zaczął.

- Oczywiście!

- Spotykam się z różnymi, ale tylko súbowo.

- Idealna sytuacja, nie pamiętasz już?

- Nie b¹dŸ ohydny.

-To ja jestem ohydny?

Ja?

- Możesz mi wierzyæ albo nie, toniczego nie zmienia.

Nie ok³amujê ciê.

Zrozumi³am tylko,¿e muszê moje ¿ycie pouk³adaæ od nowa.

- Zdawa³o mi siê, że w³acenie robimy to oboje.

Co siê zmieni³oprzez trzy dni?

Niepotrafi³by uwierzyæ, że tak szybki zwrot mog³oby spowodowaæ cokolwiek innego niż pojawienie siê nowego mê³czyzny.

- Ok³ama³ee mnie.

-O czym ty mówisz?

By³ naprawdê zdziwiony.

W tej chwili pojawi³a siê nadzieja, że wszystko polega³o na nieporozumieniu.

- Mo³na k³amaæ tak³e milczeniem.

Dlaczego mi nie powiedzia³ee, że dwa tygodni temu odwiedzi³a ciê córka?

Z tej stronynajmniej spodziewa³ siê ataku.

Tym bardziej poczu³siê przy³apany.

Zacz¹³ siê pl¹taæ:

- Chcia³em ci powiedzieæ.

Czeka³em tylko na odpowiedni moment.

- Po co?

-By³o mi trudno.

S¹dzi³em, że to zrozumiesz.

- Rozumiema³ za dobrze.

Ty też uważasz, że nie nadaje się namamućkę dla siedemnastoletniej dziewczyny, prawda?

I chybamasz rację.

Wszystko, co takim wysi³kiem skleci³ w ci¹gu poprzednich miesi³cy, znów siê rozlatywa³o.

- To nie tak.

- Jeszcze próbowa³ coœ uratowaæ, ale ju¿ bez wiary.

- Chcia³emci daæ trochê czasu, ¿ebyœiê przyzwyczai³a.

Nie chcia³emciê wystraszyæ.

- Byæ mo¿e.

Ale w³aœnie touda³o ci siê osi¹gn¹æ.

Zamilk³a, nad czymœ siê zastanawia³a, popijaj¹c kawê ma³ymi³ykami.

Marek poczu³ siê zmêczony.

- Nie chcia³em.

- I co z tego?

Nie przys³o ci do g³owy, jak siê poczujê, kiedy dowiem siê od kogoœ innego?

- Nie przypuszcza³em, ¿e ktokolwiek siê dowie.

- No wiesz?

¿emieszny jesteœ.

Dziewczyna mieszka³a tydzieñu Hryæki, a ty myœla³eœ, ¿e to bêdzie tajemnica?

Zreszt¹, jej chyba wcale niezależa³o, żeby się ukrywaæ.

To ty się kry³eæ.

- Kto ci oniej powiedzia³?

- spyta³, choæ w gruncie rzeczy niemia³o to znaczenia.

- Wasia Michaluk.

-Michaluk?

- niemal wykrzykn¹³.

-A tego smarkacza co obchodzi moja córka?

Dopiero ta wiadomoææ naprawdê wytr¹ci³a go zrównowagi.

- Sk¹d mogê wiedzieæ?

- odpowiedzia³a.

,-Może to twoja córka mia³a potrzebê, żeby się komuæ zwierzyæ?

- I wybra³a sobie za powiernika akurat ukraiñskiego weterynarza?

Ztrudem pohamowa³siê, ¿eby nie dodaæ jeszcze czegoe.

- Masz coe przeciw ukraiñskim weterynarzom?

To jeszcze wypomnij mi, ¿e Waceka zosta³ w Polsce z mojej winy.

Sam widzisz, wszystko robiênie tak.

- Tego nie powiedzia³em.

-Ale pomyœla³eœ.

Wystarczy.

Nie chcê wiêcej robiæ zamieszania w twoim¿yciu.

- Nie bêdê ciê przecie¿ zatrzymywa³ si³¹ - powiedzia³.

To by³a napewno lepsza metoda.

Karolina oci¹ga³a siêterazz odejœciem.

- Niech ci siê niezdaje, ¿e robiê to z radoœci¹ - zastrzeg³a siê.

-Po prostumyœlê, ¿e tak trzeba.

Oboje powinniemy sobiedaæ trochêczasuna przemyœlenie wszystkiego.

- Znowu?

S¹dzi³em, ¿e mamy to ju¿ za sob¹.

Ale jeœlimusisz.

- Tobie te¿ siê przyda.

Zreszt¹, lada dzieñ spadnieœnieg, a remontu nie uda³o siê skoñczyæ.

Powinieneœ wróciæ na zimê do Warszawy, zaj¹æ siê córk¹.

I tak nie otworzysz schroniska wczesniej niż na przyszłe wakacje.

- Wiesz co?

- powiedzia.

-Możesz robić, co chcesz.

Tylko nieudzielajmi więcej dobrych rad.

Nie s'dzê, żeby jeszcze miało dotego prawo.

- Jak chcesz, może masz rację -powiedziało cicho.

Kiedy odjechało, stara się myśleć praktycznie.

Oszczędź trochę schronisko, notuj, co jeszcze musiało koniecznie zrobić, żeby przetrwać tu samotnie zimą.

Nie wyobrażaj sobie, że mógłby teraz zachować się inaczej.

Tu jest twój dom, do cholery, powtarza sobie.

W tej chwili najbardziej zaprzęta mu głowę sprawa samochodu.

Pomyślało, że cięko będzie się bez niego obyć.

Wmawia sobie, że to będzie najbardziej przykra konsekwencja odejścia Karoliny.

Nazajutrz przemógł się i odwiedził wójta Wierciocha.

- Wyglądaj na zmęczonego, panie Marku - z troską się gospodarz gminy.

- Czy to prawda, co mówi w wsi, że chce pan zrezygnować z dzierżawy?

Szkoda by było.

- Kto mówi?

-No, wie pan.

Ludzie.

- Ci ludzie byliby może sami zainteresowani?

Kiedy wiosną ułożą asfalt przez Wilczy Przesmyk, Górski Pałac
bardzo zyska na wartości, prawda?

Stara się mówić kpiąco, żeby nie zrazić Wierciocha.

Powtarza sobie, że przyszedł załatwić sprawę.

150.

- Panie Marku, gdybym chcia³ to zrobić, to po cholere oddawa³bym panu te budę w dzierżawę?

-Tego w³acenie nie rozumiem.

- Kombinuje pan, jaki to szatański plan obmyśli³ Wiercioch?

Niech pan będzie spokojny.

Dopóki ja rządzę gminę, nie będzie asfaltu koło Górskiego Pałacu.

Moje zdanie jest takie, że Wilczy Przesmyk trzeba zostawić wilkom.

Dlatego zależy aby mi, żeby pan się nie poddawa³, panie Marku.

- Nie mam zamiaru.

-Brawo!

Prawdę mówiąc, by³oby mi nie na rękę, gdyby pan teraz zrezygnowa³.

Protekcjonalny ton w głosie wójta by³ trudny do zniesienia.

Marek cały czas sobie powtarza³, że nie może wytraktować tego osobieście.

- W takim razie, panie wójcie, udostępni mi pan numer telefoniczny z rezerwy gminy?

By³oby mi trudno przeżyć całą zimę bez dostępu do Internetu.

- Tylko tyle, panie Marku?

- Wierciochu, emiechn¹³ się.

-Niema sprawy, ma państwo załatwione.

Czemu pan wcześniej nie mówi³?

Najdalej jutro będzie pan miał telefon czynny.

Nie spodziewa³ siê, ÷epójdzie tak ³atwo.

Przypuszcza³, ÷e wójt bêdzie siê droczy³, ka³e siê prosiæ.

By³ przygotowany na du³o wiêkszepoœwiêcenia.

Podziêkowa³ zdawkowo, Wiercioch machn¹³ tylkorêk¹.

- Nie ma o czym mówiaæ, trzeba siêwspieraæ.

Niech panniemyœli, ÷e robiêto ca³kiem bezinteresownie - przyzna³ bez skrêpowania.

- Bêdzie okazja, to siê pan zrewan³uje.

- A bêdzie?

Referendum ju³ pan wygra³.

- Dziwi to pana?

Myœlê, ÷e sobie zas³u³y³em.

Co jeszcze nieznaczy, ÷e mam spokój.

Moi wrogowie nie odpuszcz¹.

Ju³siê panchyba zorientowa³, ÷e ÷yjemy tu w niez³ym kocio³ku.

Polacy, Ukraiñcy, miejscowi, przyjezdni, stare uk³ady, nowe pieni¹dze.

Mo³emy sobie mówiaæ o pojednaniu, ale jest w czym mieszaæ, oj, jest.

I bêd¹ mieszaæ, panie Marku, bêd¹ mieszaæ, póki ÷yæ bêd¹.

Taka ju³ nasza natura.

Marek, który wczœniej ju³ tylko czeka³, ÷eby wyjœæ, teraz poczu³, ÷e powinien skorzystaæ z okazji.

- Wie pan.

- nie bardzo wiedzia³, jak zacz¹æ - policjanci chodz¹ za tym Ukraińcom, Michalukiem.

S³ysza³ pan co^æ o tym?

- Owszem.

- Wierciochpokiwa³ g³ow¹ zpowag¹.

-Niby nie maj¹ nickonkretnego, ale.

Podejrzewaj¹ ch³opaka o paskudnesprawki.

- Mo³e siê tylko czepiaj¹?

-Mo³e.

Ale zarêczy pan, ³e on nie jest niebezpieczny dla kobiet?

- Jak mogê zarêczyæ?

Prawie gonie znam.

- Widzipan.

Wiêc lepiej dmuchaæ na zimne.

Ja osobiœcie nicprzeciwi niemu nie mam.

Ukrainiec, nie Ukrainiec, ka¿dy ma prawo Ÿyæ.

Tylko niepotrzebnie pcha nos w nieswoje sprawy.

Niepotrzebnie.

- Mówi pan o tym wilku?

-O wilku te¿.

Po cholerê mu to by³o?

Badania to badania, niech sobie je prowadzi.

Tylko po co robi z byleczego aferê polityczn¹?

W cudzym kraju?

To siê nie podoba.

- Polityczn¹?

-A co pan myœla³?

Nadleœniczy Prawica to w tych stronach instytucja.

Komuna, niekomuna, Solidarnoœæ, nie Solidarnoœæ, on jest.

Nawet nazywa siê odpowiednio nadzisiejsze czasy, mam racjê?

A tak nawiasem mówi¹c, panie Marku, to ja te¿ by³em na tym polowaniu.

- Nie wiedzia³em, czy pan poluje.

-Zaraz poluje!

Wcale za tym nie przepadam, ale jestem tu nowy, muszę dobrze się z miejscowymi.

A nadleśniczy Prawica, jak mówi³em, potęga!

Jego przyjaciele też.

Więc od czasu do czasu trzeba po³aziąć z nimi po lesie, bigos zjeść, wódki się napić przy ognisku.

Tak się robi politykę.

Krwie¹ i żadnego zwierzaka jeszcze sobie r¹k nie splami³em.

- Ktoś jednak wilka zabi³- podkusi³o Marka.

-No zabi³, zabi³.

Mnie też szkoda, pan wie, czy ja jestem za wilkami.

Tylko afera niepotrzebna.

niepotrzebna.

- Pan wie, kto?

-Ja myślę, czy nawet on sam niewie.

Przecież to jakiego fujara tego wilka postrzeli³, dobry myśliwy zabi³by na miejscu.

Zdawa³o mu się, czy dzik, wypali³, zanim pomyśla³, zwierzę posz³o w las, pomyśla³, czy spud³owa³, reszta kolegów nawet się nie spostrzeg³a.

Marek nie wierzy³ wani jedno s³owo wójta.

Wiercioch zapewne o tym wiedzia³.

Obaj udawali.

- Co Michaluk temuwinien?

- spyta³ tylko.

- Czy ja mówiê, ¿e winien?

Tylko za bardzo wœcibski siê zrobi³, zapomnia³, ¿e nie jest u siebie.

Powiem panu, panie Marku, ¿e najlepiejby³oby dla wszystkich, gdyby on ju¿ sobie wróci³ na tê swoj¹ Ukrainê.

Marek zd¹¿y³ zakończyæ przygotowania jeszcze przed nadejœciem prawdziwej zimy.

Przede wszystkim zgromadzi³ zapas drewna na kilka miesiêcy.

Nie by³o tego a¿ tak wiele, bo postanowi³.

paliaæ tylko pod kuchni¹ i sypiaæ obok na materacu a¿ do wiosny.

Zarzuci³ zupe³nie planyotwarcia schroniska jeszcze przed Bo¿ym Narodzeniem, choæ Hryæko na pewno by mu pomóg³, tak jak obiecywa³.

Teraz po prostu ju¿ mu siê niechcia³o.

Straci³ motywacjê.

Nie potrzebow³ wiêc ogrzewaæ ca³ego budynku.

W nadleœnictwie, kiedy za³atwia³ transport drewna, zawar³ przypadkiem znajomocææ znadleœniczym Prawic¹.

Nie mia³ wczesniej tego w planie.

Prawica sam wyszed³ do niego, kiedy któryœz pracowników doniós³ mu, jaki interesant siê pojawi³.

- No, nareszcie nadarzy³a siê okazjapoznaæ naszego legendarnego nowego osadnika - zahucz³.

Prawica nie mia³ postury tak potê¿nej jak wójt Wiercioch, jednak czu³osiê drzem¹c¹ w jego ciele si³ê starego ¿ubra.

Nad czo³em sterczy³a mu szczotka siwych w³osów, nie ca³kim jeszcze zbiela³e w¹sy by³yrównoprzyciête.

Marek pomyœla³ ze zdziwieniem, ¿e nadleœniczy nieco przypomina jego dziadka, tylko w stylu jakby bardziej wojskowym.

Nie by³o to jednak mi³e zdziwienie.

- Legendarnego?

- spyta³, nie kryj¹c niezadowolenia.

- Włtpi pan?

Wymyślny na odludziu, pośród wilków.

Każdy przybysz staje się ciekawym tematem.

To nam zastępuje wielkomiejskie rozrywki.

- Myli pan chyba legendę z plotkami rodem z tabloidów?

-Dlaczego ma państwo nas takie złe zdanie?

- Lecznik spojrzenia z wyrzutem.

-Uważa pan, że w takiej guszy, gdzie wilki wyją na dobranoc, ludzie nie myślą?

Na odwrót, my namyśleniemy więcej czasu, nie odciągamy nas od niego bahaostki, problemy pozorne, tymczasowe.

Mam wrażenie, że to raczej pan przejmuje się tym, co wypisują tabloidy.

Dla nas liczy się przede wszystkim, że pana dziadkiem był leśniczy Nowicki.

A tu już wkraczamy w zakres na obszar legendy.

- Jakiej legendy?

- spytał Marek.

-Słynnego zabójcy wilków?

- Nie, proszę pana.

Pioniera.

Pana dziadek był jednym z tych, którzy przywrócili do życia tę spustoszoną ziemię.

Do spó³kizreszt¹ z pu³kownikiem Chmur¹, co dzisiaj nie wszyscy chc¹ doceniaæ.

A ¿e ich pasj¹ by³y polowania na wilki?

Jakoleœnik mogê pana zapewniæ, ¿e to oni mieli racjê, a nie dzisiejsi fanatyczni ekolodzy.

- Nie znam siê na tym.

Chcepan powiedzieæ, ¿e wilki powinny siê wytêpiaæ jako szkodniki?

- Wytêpiaæ?

- zdziwi³ siê Prawica,- Nikt nas tego nigdy nieproponowa³.

Skoro dobry Pan Bóg je stworzy³, widocznie s¹ doczegoœ potrzebne.

Jak ka¿da agresywnamniejszoœæ.

- Naprzyk³ad ekolodzy?

- Na przyk³ad.

- Lecenik ucemiechn¹³ siê lekko.

-Tragedia zaczyna siê, kiedy tolerancyjna wiêkszoœæ pozwoli agresywniejszoœci urosn^{1æ} w si³ê.

Wie pan, kto by³ najbardziej ekologicznym politykiem ostatnich dziesiêcioleci?

PolPot, proszê pana, wychowany na Sorbonie, w tej oazie tolerancji.

Obliczy³, iluobywateli ziemia Kambodzy mo¿ewy¿ywaæ w sposób naturalny, i resztê poprostu wyrz¹³n.

Niestety, trzeba sobie odpowiedzieæ na pytanie, czy siê jest po stronie wilków, czy baranów.

Nie da siêbyæ na d³u¿sz¹ metê po obu stronach.

ycie.

- Dziêkujê za ciekaw¹ lekcjê -mrukn¹³ Marek.

-Nie ma zaco.

Naucz³ mnie tego pañski dziadek.

Rêkê mia³tward¹, ale g³owê na karku.

No, mam nadziejê, ¿eto nieostatnia nasza rozmowa.

Polec³em ju¿, ¿eby jeszcze dziecko zawieŸli panudrewno.

Niech siêpanu dobrze pali, bo zimy tylko patrzeæ, bêdziemyj¹ mieli mo¿e jeszcze wtym tygodniu.

Nadleceniczy nie pomyli³ siê.

Kilka dni póŹniej nadesz³y œnie¿yce.

Prawie trzy doby bez przerwy trwa³a zamieæ.

Marek dobrzewykorzysta³ ten czas.

Liniatelefoniczna dzia³a³a ju¿ bez zarzutu,wiêc kontrolowa³ gie³dê, gdzie akurat trafi³o siê kilka interesuj¹cych zakupów.

Koledzy podes³alimu te¿ piln¹ robotê na rzecz du¿ej spó³ki,której zarz¹d przez ca³y rok pope³nia³ fatalne b³êdy,apod koniec roku przebudzi³ siê i chocia³by ratowaæ finanse firmyucieczk¹ przed podatkami.

Markowizaproponowali dziesiêæprocenttego, co uda musiê ocaliaæ.

Za¿¹da³ du¿o mniejszej sumy, alez góry.

Kiedy jego bank potwierdzi³ przelew, poczu³ siê,jakbywszystkich przechytry³.

Terazmóg³ ju¿ prze¿yæ do koñca zimy,nie naruszaj¹c oszczêdnoœci.

Jak umia³, tak próbowa³ nie pogr¹¿aæ siê w beznadziei.

Czwartego dnia rano œnieg ju¿ nie pada³ i Marek uzna³, ¿e czasadbaæ o formê.

Pierwszyraz po trzech latachprzerwy za³o¿y³ sweturowe narty, którejeszcze pod koniec jesieni przywióz³ z Warszawy.

Poszed³ grzbietem a¿ do starej ambony, zak³adaj¹c œladw dziewiczym œniegu, a potem zjecha³ polan¹, z ka¿dym skrêtemczuj¹c, jak od¿ywaj¹ dawne nawyki, a ruchy nabieraj¹ pewnoœci.

Brakowa³o tylko trochê kondycjiw nogach.

Wróci³ wiêc leœni¹ drog¹, przetart¹ ju¿ przez ci¹gniki.

Od tej pory wyrusza³ na trasê ka¿dego ranka, kiedy tylko skończy³ sprawdzaæ ostatnie notowania na gie³dzie i dopi³ porann¹ kawê.

Co dzieñ dok³ada³ sobie nieco dystansu, staraj¹c siê zapamiêtywaæ, jak wygl¹daj¹ zim¹ okoliczne krajobrazy, na wypadek gdyby któregoœ dnia zaskoczy³ pogodzenie³ yca na tyle mocna, ¿eby uniemo¿liwiæ powrót po celadach.

GPS traktowa³ jako ostatecznoœæ, wyjœcie niehonorowe.

Ojciec przecie¿ uczy³ go prze154.

trwania w górach o własnych siłach, kiedy o takich uatwieniach jeszcze się nawet nie ceniło.

Od czasu, kiedy Karolina wyprowadziła się z Górskiego Pałacu, kilka razy słyszała wycie w okolicy, jednak były to głosy sabei dalekie.

Aż pewnego wieczoru w połowie grudnia, kiedy nie zapalała światła, otworzyła drzwi werandy, żeby przewietrzyła kuchnię, zadymioną po rozpaleniu pieca, aż zadrżała cała z emocji, tak blisko rozległo się w ciemności, jakby tuż za rogiem budynku.

Był to samotny zew, długi i przeciągły, najpierw niski i głuchy, a po chwili zamajaczył się w wysokich rejestrach.

Zapadła chwila ciszy, a potem odpowiedziało mu kilka głosów z drugiej strony doliny, odległych jeszcze, choć znacznie bliższych niż w poprzednio.

Tamte wilki były jeszcze kilka minut, wreszcie wszystkie milły na dobre.

Marek długo jeszcze nie ruszał się, żeby nie spłoszyć wrażenia.

Nawet najbliższy szmer doleciał już zmroku, który otaczał go ze wszystkich stron.

Tej nocy pierwszy raz od długiego czasu przybliżyło się do niego wilk.

Najpierw, jak zwykle, tylko stał i patrzył, potem odwrócił się i powoli odszedł w las.

Tym razem w cieniu tej była zima.

Marek ruszył po śladach.

Wilk czekał na niego między drzewami, potem znów odchodził, wciągając coraz głębiej.

Marek zapada³ siê w œniegu, s³ab³.

Wreszcie nie móg³ siê ju¿ poruszyæ, zasypany prawie do ramion.

By³ w zupe³nie nieznaney sobie okolicy.

Wilk znikn¹³.

"Karolina!

" - chocia³ krzykn^{1æ}, ale nie móg³.

Próbowa³ takd³ugo, a¿ siê obudzi³.

Nie zasn¹³ ju¿ do œwitu.

Wsta³, kiedy zaczê³o szarzeæ.

Na zewn¹trzmusia³ chwyciæ silny mróz, bo w kuchni wyziêb³o jak nigdy dot¹d.

Tym razem jednak nie zacz¹³ dnia od rozpalenia w piecu.

Wypi³ tylko kubek kawy i zaparzy³ herbatê do termosu.

Oprócz tego wrzuci³ do plecaka tabliczkê czekolady i torebkê suszonych moreli, jak przed laty nauczy³ go ojciec.

Wszed³ przed schronisko jeszcze bez nart, ¿eby siê rozejrzeæ.

W s³aby mbrzasku zimowego ranka trop wilka by³ wyraŹnie widoczny na œniegu.

Marek nie mia³ w¹tpliwoœci, przypomni³o musiê wszystko, co ojciec mówi³ mu o œladach.

Zza rogu budynku wy³ania³ siê równy sznurek odcisków ³ap i biegn³ dalej prosto przezogród, a¿ do lasu po drugiej stronie drogi.

Marek wyrza³ zanar³nik, uwa³aj¹c, ³eby niezadepta^æ celad³ów, które w drug¹ stron³eprowadzi³y tak¹ sam¹ równ¹ lini¹ do ^æwierkowego m³odnika.

Tylkow jednymmiejs³cu ta prosta linia nieco si³e zagina³a, zbli³aj¹csi³e do samego sk³adziku drewna.

Ju³ wiedzia³, co tamznajdzie- i nie pomyli³ si³e.

Na ^æniegu wyra³nie odznacza³ysi³e czarne wa³ki

wilczych odchodów.

Przykucn¹³.

By³y zamarzniête, wiêc podniós³je go³yymi rêkami, zaniós³ do domu, w³o³y³ do plastikowego workai schowa³ w ch³odnym miejscu w sieni.

Terazza³o³y³ plecak na ramiona, przed werand¹ zapi¹³ narty i ruszy³tropem wilka, który odwiedzi³ go w nocy.

By³ przekonany, że to Bandzior znów pojawi³ siê na Wilczym Przesmyku.

Niemia³ i adnych doœwiadczeñ w tropieniu wilków na nartach i nawet nieprzypuszcza³, jakie to wyczerpuj¹ce.

Na szczêœcie dla niego samotnik, za którym pod¹ i a³, wiêksz¹ czêœæ trasy pokonywa³leœnymi drogami.

Te i oszczêdza³ si³y.

Jednak co jakieœ czas niespodziewanie skrêca³ w chaszczce.

Przedzianie siê przez nie zabiera³o Markowimnóstwo cennego czasu.

Kilka razy musia³te i pokonywaæ œladem wilka g³êbokie parowy i ju i sam nie wiedzia³, co by³o gorsze; ostre podejœcia w kopnymœniegu czy slalomy miêdzygêsto rosn¹cymi bukami na stromiznach, gro i ce w ka i de j chwili po³amaniem nóg.

Stara³ siê nie myœleœo tym, jak zgin¹³ ojciec.

Po kilku godzinach marszu zrozumia³, że Bandzior zmierza³ w lasy Bukowego Ńebra, szerokim³ukiem obchodz¹c wieœ.

Wiedzia³, że powinien ju i zawróciæ, jednak coœ pcha³o go dalej.

Niemia³ pojêcia, co moŹe znaleŹæ, samo tropienie wci¹gnê³o go tak, Źe zapomnia³o rozs¹dku.

Minê³y jeszcze kolejne trzy godziny, zanim jego cierpliwocæzosta³a nagrodzona.

Przedmierzchem trop wilka, ktôregouzna³ zaBandziora, doprowadzi³go pod Zimn¹ Prze³êcz.

Tu œnieg w promieniukilkunastu metrów zdeptany by³ przez inne wilki.

Ich œlady zbliŹa³y siê do polany z przeciwnej strony.

W pobliŹuMarekznalaz³ kilka zak¹tków oznakowanych zamarzniêtym moczem.

Zrobi³ zdjêcia, obchodz¹c w kó³ko miejsce wilczegospotkania, i wtedy trafi³ na jeszcze jeden trop, g³êbszyniŹ pozosta³e, zmierzaj¹cyw górê, na prze³êcz.

Stawiaj¹c ³apyw œlady poprzedników, odesz³y têdy wszystkie.

Marek by³przekonany, Źe w³œciwie odczyta³szyfry na œniegu.

Samotnik pod¹Źy³ dalej razem z watah¹.

- No, to Siwa Mañka ma w koñcu nowego faceta - powiedzia³g³œno samdo siebie.

Niewielebrakowa³o, a móg³by drogo zap³aciæ za udane tropienie.

Ledwo rozpocz¹³ odwrót spod Zimnej Prze³êczyi pokona³moŹe trzykilometry, zrobi³o siêciemno.

Mia³ ze sob¹ latarkê czo.

Iow¹ i zapasowe baterie, więc nie ciemności by³y jego
g³ównym wrogiem, ale mróz, wzmagaj¹cy się wiatr i rosn¹ce zmęczenie.

Choć tym razem skróci³ sobie drogę przez wiec, zjeżdżaj¹c do Wilczej
Polany przetartym przez drwali lecnym traktem, do domu wci¹ż by³o
daleko.

Rozs¹dek nakazywa³by poprosić o nocleg choćby u Wariatów albo w
zajeżdżie Hryki, dok¹d by³o bliżej niż do Górskiego Pa³acu, a co
najważniejsze, nie pod górę.

Tym bardziej że od godziny znowu pada³ śnieg.

Jednak sama myśl o tym budzi³a w nim niepokojące niechęć.

Jeszcze niedojrza³ do ludzi.

Wci¹ż, jeżeli nie mógł³ być z Karolin¹, najlepiej by³o mu samemu.

W zupełnej ciszy min¹³ucę pion¹ wiec.

Pogoda nawet psy zniechęci³ do szczekania.

Nie zatrzyma³ się na odpoczynek pod wiat¹ przed skrajem w las, choć
by³o to ostatnie miejsce, gdzie mógł³by to zrobić bezpiecznie.

Chyba że mia³by ochotę zostać w lesie zawsze.

Nie czu³ samobójczych pragnień, chciał³ tylko sprostać wyzwaniu.

Zdawa³ więc sobie sprawę, że teraz nie wolno mu by³o zatrzymać się
nawet na chwilę.

By³ już tak zmęczony, że mógł³by zasnąć na stoj¹co.

Jedno co mu pozosta³o, to wy³¹czyać świadomości i powtarzać w
nieskończoność te same ruchy, które powoli przybliży³ go do domu.

Wiedzia³, że wtedy organizm sięga doukrytych rezerw.

Dawno temu nauczył³go tego ojciec.

Do Górskiego Pa³acu dotar³krótco przed świtem.

Nie miał³ już³ si³, żeby napalić w piecu.

Ledwo wsun¹³ się do śpiwora, zasn¹³.

- Marek!

Jesteś tam?

-yjesz?

Odpowiedz, na mi³ość bosk¹, bowybijemy okno!

Ockn¹³ się, niewiedząc^{1c}, czy to dzieje się naprawdę, czy tylko mu się
śni.

Otacza³ go ciemność, by³ zawinięty w śpiworze razem z g³ow¹.

Wcześniej s³yszał³ we śnie jakby uporczywe walenie do drzwi.

Teraz tuż nad jego g³ow¹ coś za³omota³o w okno.

W tej samej chwili zadzwoni³ telefon.

Te dźwięki już na pewno były realne.

Wysun¹³ g³ow¹ ze śpiwora i natychmiast zamkn¹³ oczy, oślepione
bij^{1c}ym przez szyby s³onecznym blaskiem.

Kul^{1c} się zimna, wsta³i dopiero wtedy ostrożnie uchyli³ powieki.

Za oknem zobaczy³ przyklejone do szyby twarze Karoliny i Miko³aja.

Zagl¹dali do środka, os³aniając^{1c} oczy przytkniętymi z boku d³ońmi.

Z ty³u wciska³y siê³jakie³ nieznane g³owy, mo³le robotnik³ówle³onych.

Zacisn¹³ powieki i uniós³je z powrotem, ale tonie by³oprzywidzenie.

Jego zdumienie niemia³o granic.

Otworzy³ drzwi.

Wokó³ rozpoczęcia³a siê³adka powierzchni³o spad³ego ³niegu,
któr¹ przecina³y tylko ³lady niespodzie.

wanych gości.

Po tropach wilka nie pozostało nawet wspomnienie.

Zadygota.

- Wście - powiedzia.

- Przepraszam, że potrzymam was na dworze, ale jestem trochę nieprzytomny.

Dopiero co się położyłem.

- Co ty wygadujesz?

Od dwóch dni nie można się do ciebie dozwonić.

Dlaczego nie odbierasz telefonów?

- Słucham?

- spyta zaskoczony w tej samej chwili zrozumia.

- Którego dnia mamy?

Kiedy usłysza odpowiedź, na chwilę zamilkł, oszołomiony.

Wynikało z tego, że przespał dwie doby bez przerwy.

Dopiero teraz poczuł, jaki jest osłabiony i zniechęcony.

- Przepraszam was, ale najpierw muszę się trochę zagrzać

- tłumaczył się zdrętwiałymi wargami.

Owinął się kocem i opadł na łóżko.

Karolina spojrzała na niego tylko pokręciła głową.

Bez słowa uklękła na podłodze i zaczęła rozpalać w piecu.

By³już natyle przytomny, by zauważyć, że ona i Miko³aj wci¹ż z trudem znosz¹ nawzajem swój¹ obecność.

Na krótko po³¹czy³a ich wspólna chęć odnalezienia Marka.

Kiedy ten powód przesta³istnieć, wyra³nie czu³o się między nimi.

- Sk¹d się tu wzi¹³ę?

- spyta³.

Zagadn¹³ Miko³aja, żeby poprawić atmosferę, bo gruncierzeczy niewiele go to obchodzi³.

O wiele bardziej interesowa³ago teraz Karolina, ale do tego nie chcia³ się przyznać.

- No, jak to?

- spyta³stary jakby z uraz¹.

- Myśla³em, że s³ysza³ę.

Przyjecha³em na tę konferencję.

- Na jak¹ znowu konferencję?

- Gdzie ty¹jesz?

Nie czytasz gazet, nie s³uchasz radia?

- Nie.

Po co?

- Po to, żeby znowu by³ sob¹!

- Teraz już Miko³aj się zniescierpliw³.

- W Zimmemodbywa siê miêdzynarodowa impreza na temat pojednania polsko-ukraiñskiego, a ty o niczym nie wiesz?

Rzeczywiœcie, niewiedzia³.

I wcale nie mia³ uczucia, ¿eumknê³omu z tego powodu coœ wa¿nego.

Udzia³ w jakimœ maratoniewyk³adów, pogadanek, dyskusji, a zapewne i k³ótni by³ostatni¹rzecz¹, jakiej teraz móg³by pragn¹æ.

Niechêtnie nawetwspomina³, ile czasu zmarnowa³ w ten sposób w przesz³oœci.

Niemia³ zamiaru pope³niaæ od nowa tych samych b³êdów.

- Jakoœ ¿yjê beztego - powiedzia³.

-W³acenie widzê - odparowa³ stary.

- Mia³em nadziejê, ¿e siêzainteresujesz, pojawisz siê.

Aty siê chowasz przedludŸmi jakdziki zwierz.

- Liczy³em na ciebie - próbowa³ za³artowaæ.

- Mimo wszystk³o jakoæ mnie odszuka³eæ.

- Na ca³e szczêæcie.

S¹dz¹c po tym, w jakim jesteæ stanie, jutro znale³libyæmy co najwy³ej twoje zw³oki.

Marek uæwiadomi³ sobie nagle, jak to mo³je wygl¹daæ z ich strony.

Mogli pomyæleæ, ³e popad³ w abnegacjê, w jak¹æ depresjê, przesta³ jeææ, piæ i palæ w piecu, ³eby umrzeæ.

Zw³aszcza Karolina mog³asobie wyobra³æ, ³e znalaz³ siê w takim stanie ducha spowodujej odejæcia.

Miko³aj zreszt¹ tak samo.

Zrobi³ du³y wysi³ek, ³eby jego æmiech zabrzmia³ szczerze.

- Widzê, ³ena staroææ zrobi³ siê z ciebie panikarz.

Przepraszam, ³e nic nie wiedzia³emo twoim przyje³dzie.

Zajmowa³em siê czym innym.

- Tak?

Ciekawe czym?

- Miko³aj rozejrza³ siê znacz¹co wokó³.

- By³em nazarêczynach pewnej Siwej Mañki.

Stary wbi³ w niego niespokojne spojrzenie.

- Co ty znowu bredzisz?

- Karolina wie, o czym mówiê.

- W³acenie, ¿e nie bardzo.

Ona te¿ patrzy³a na niego, jakby majaczy³, choœ powinna domyceliaê siê wszystkiego w jednej chwili.

- Bandzior wróci³ izszed³ siê z Siw¹ Mañk¹- t³umaczy³ cierpliwie.

- Nic o tym nie wiedzia³æ, co?

Czasem i mnie uda siê cocøwytropiaê.

Widzia³w jej oczach, ¿e nie uwierzy³a w anijedno jegos³owo.

- Ciekawe, czemu aninasi badacze, anileœnicy niczego takiego nie zaobserwowali?

- spyta³a.

- Bo trzeba byæ we w³acœciwym miejscu o w³acœciwym czasie.

-Chyba ci siê przyœni³o.

Nie przekona³jej.

S¹dzi³a, ¿e niczym naiwne dziecko zmyœli³tê historyjkê, ¿eby j¹zainteresowaæ.

To by³o takie zniechêcaj¹ce.

Bezs³owauruchomi³ laptop, pod³¹czy³ do niego cyfrówkê i œci¹gn¹³ wszystkie fotografie na twardy dysk.

Na ekranie pojawi³ siê widok naro¿nikaschroniska z biegn¹cym obok wilczytropem, wyraŹnie widocznym na bia³ej p³aszczyŹnie.

Odetchn¹³.

Przynajmniej to siê uda³o.

- Jasne - powiedzia³.

-Te zdjêcia te¿ zrobi³em weœnie.

Teraz ju¿ nawet nie mia³ wielkiej satysfakcji nawidok jejos³upienia, z jakim wpatrywa³a siê w ekran.

Zbli¿y³asiê, przysiad³abokiem na³awie, siêgnê³a po myszkê.

Przepl¹da³a jedno zdjêcie po drugim.

- To ja zrobiê herbatê - powiedzia³.

Czu³ siê już dużo lepiej, tym bardziej że piec zacz¹³ promieniowaæ ciep³em.

Dygot cia³aust¹pi³.

Zdrêtwienie palców także.

Nawet przyniós³ kubki z herbat¹ na stó³,nie rozlewaj¹c zawartoœci.

Resztydokona³ gor¹cy p³yn.

Z każ dym ³ykiem dreszcze ustêpowa³y.

- Rewelacja - mruknê³a Karolina od komputera.

- Mia³eœ racjê.

Zwracam honor.

Tylko że nie mamy żadnej pewnoœci, czy toby³ rzeczywiœcie Bandzior.

- To też moŹna sprawdziaæ.

Marek wyszed³ do sieni, przyniós³ torebkê z wilczymi odchodami i po³oŹy³ na stole.

- Jego podpis- powiedzia³.

- Znów zostawi³ go ko³o sk³adziku.

Miko³ajwpatrywa³siêw zawartoœæ plastikowegoworeczka,nie kryj¹cobrzydzenia.

Kiedy podniós³ oczy, w jego wzroku Marek wyczyta³ lêk pomieszany z litoœci¹,

Da³ siê jednak namówiaæ do wziêcia udzia³u w ostatnim dniukonferencji.

Zrobi³to, żeby Kiedroń przesta³ być takim przerażonym stanem jego umys³u.

I żeby nie wygl¹da³o, że stchórzy³.

Zreszt¹, chodzi³o już tylko o pożegnalny bankiet, więc niewiele ryzykowa³.

Wizyta Miko³aja i Karoliny tak zrujnowa³a nowy porz¹dek jego życia, który budowa³ od kilku tygodni.

Wiedzia³, że teraz niepotrafi³by tak po prostu wrócić do zwyczajów dni poprzednich.

Z pocz¹tkumia³ nadzieję, że Karolina już zostanie, ale najwyraźniej nie by³a jeszcze na to gotowa.

Przy Miko³ajunie mogli swobodnie porozmawiać, a zreszt¹ to by chyba itak nic nie da³o.

Odjecha³a, a on zosta³sam ze swoim nieoczekiwanym gościem.

- To takim rzeczami się teraz zajmujesz.

- Kiedroń pokiwa³g³ow¹, wpatruj¹c się w zdjęcie wilczych odchodów przy sk³adziku na drewno na ekranie jego laptopa.

- Szlachetniejsze zajęcie niż wiele innych - odpowiedzia³.

Wola³ nie mówić dok³adnie, jakie zajęcia mia³ na myśli, żeby nie urazić starego.

- A myśmy tam między innymi rozmawiali o twoim ojcu - odezwa³ się Miko³ajz wyrzutem.

- Czyta³ę mój artyku³ o nim w "Rzeczpospolitej"?

Nie, oczywiście, że nie czyta³ę.

Marekukry³ zniecierpliwienie.

Nie chcia³ już, żeby ktokolwiek

zak³óca³ spokój jego ojcu, a zw³aszcza Miko³aj.

Wszystko w nimbuntowa³o się przeciw temu.

160.

- Wiesz, że nie czytam gazet.

Ale twój artykuł na pewno przeczytam - obiecuję.

- Jestem bardzo ciekawy, co napiszesz.

- Ale gdyby nie zginął tragicznie w młodym wieku, może byłby jednym z
błahych zbawców narodu?

Jak ty?

- Nie rozumiem, dlaczego z tego szydzisz.

Samotność wcale ci nie służy.

Gorzkniejesz coraz bardziej.

Przewidywałem to.

Powinieneś zacząć, że nie byłbyś wczoraj na dyskusji.

Przekonałbyś się, jak wielu ludzi pamięta jeszcze Andrzeja i jego
wiersze.

Dziękuję do niegonał nawet bardzo młodzi.

Dla nich już trzydzieści lat temu byłby zwiastunem polsko-ukraińskiej
zgody.

- Tomiś - przyznał Marek.

- Tylko gdzie tu rola dla mnie?

Miałbym wystąpić w zastępstwie zmarłego proroka?

- Czyżbyś się już odłączył od tej tradycji?

Domyślam się tu wpisu pana Chmury.

Mylę się?

- Niechrañ, Miko³aj -powiedzia³, t³umi¹c wœciek³oœæ.

- Pojadê z tob¹.

Po prostu o niczymnie mia³em pojêcia.

- No, nareszcie!

- Stary odetchn¹³.

-Lepiejzm¹drzeæ póŸnoni¿ wcale.

Przynajmniej poka¿esz wszystkim, ¿e siênie kryjesz.

Wszyscy go nie obchodzili.

Jeœli chocia³ coœ pokazaæ, to najwy¿ej samemu sobie i Miko³ajowi.

Nie by³ niewdziêcznikiem.

Docenia³, co Miko³aj dla niego zrobi³.

I co jeszczechcia³ robiæ, alemunie wysz³o.

Miko³aj naprawdê traktowa³go prawiejak syna, czasema¿ za bardzo.

Dalsze rozwa¿aniaprzerwa³ wójt Wiercioch, który przyjecha³po nich osobiœcie swoj¹ toyot¹ z napêdem na cztery ko³a.

Kurtuazyjne podziêkowania przerwa³ protekcyjnie, tonem k³óci¹cym siê z treœci¹s³ów;

- Ale¿ panowie!

Wasz udzia³ to prawdziwa ozdoba naszego sympozjum.

Profesorowie sobie pogadali, podyskutowali, pok³ócilisiê i zostaliprzyswoich pogl¹dach.

To wy zapewniacie kontaktz legend¹, bo przecie¿ nie tych paru sklerotycznych weteranów,którzy nawet nie bardzo rozumiej¹, o co chodzi.

Wyto co innego,wyto magia.

Marekniezdo³a³ powstrzymaæ siê od œmiechu.

- To chyba panjest czarownikiem, wójcie, jeœli nawetwe mniepotrafi³ pan odkryæ magiê!

-Trochê jestem - zgodzi³ siê Wiercioch skromnie.

- Przyznaj¹panowie, ¿e ta konferencjato istne czary-mary.

Wtakiej gminie!

Przecie¿chyba nie wierzycie w pojednaniemiêdzynaszymich³opkami, prawda?

Inteligencja, m³odzie¿, Warszawa, Kijów toco innego.

Inny œwiat.

Ale oni?

Niechby siê tylko trafi³a okazja!

A tu proszê.

Jedno inteligentne posuniêcie i ca³a Europa us³ysza³a o gminieZimne w pozytywnym znaczeniu.

No i co?

Nie jeste.

œemy lepsi od miasteczka, które umia³o tylko urz¹dzia^æ j¹trz¹c¹
wystawê martyrologicznych kiczów?

Jestœemy.

Sukces?

Sukces!

Humor mu siêwyr^Ïnie popsu³, kiedy zaparkowali przedDomem
Ludowym w Zimnem.

- Niestety, s¹ i tacy, którzy zawsze musz¹ bru^Ïdzia^æ - odezwa³siê
niemal z nienawiœci¹.

Marek pod¹çy³ zawzrokiem Wierciocha i ju^ç rozumia³ jego
zdenerwowanie.

Przed wejœciem radny Ognik zorganizowa³ pikietê.

Sam sta³ nieruchomo, z ods³oniê^t mimo mrozu ³ys¹ g³ow¹, trzymaj¹c w
d³oniach tablicê z napisem: Najpierw win przyznanie, pó^Ïniej
pojednanie.

Przy nim zgromadzi³a siê niewielka grupka zwolenników,
przytupuj¹cych z zimna na œniegu.

Dwajstarszuskowiew mundurach z przypiętymiorderami rozwinêli
transparent: Niezapomnimy!

Nieco z boku przystan¹³ starypan Skowronek, trzymaj¹c przy piersi jeden
ze swoich malowanych koszmarów.

- Sami widzicie.

-Wiercioch westchn¹³.

-Istny szpital psychiatryczny.

A media oczywiście nie przepuszcz¹ takiej okazji.

Kompromitacja.

I to w ostatni dzień.

W ośrodku jednak nikt nieprzejmowa³ się manifestuj¹c¹ namrozie garstk¹.

Wójt zadba³, aby uczestnicy mieli się czym zaj¹æ.

Tak wyszukanych zak¹sek nie podawano nawet na przyjęciach dyplomatycznych, w których zdarza³o się Markowi kiedyś uczestniczyæ.

Mimo to zauważy³, że jego osoba wzbudzi³ adyskretne zainteresowanie.

Zauważy³ kilku dawnych działaczy swojej partii, ludzi z kręgu Miko³aja, których zapewne on tu sprowadzi³.

Udawali, że wszystko jest normalnie, rozmawiali o rzeczach nieważnych, bo w gruncie rzeczy nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Każdy uważa³ za swój obowiązek powiedzieć coś ciepłego o Andrzeju Nowickim na tym wyczerpywa³ się pomysły.

Rozstawali się z ulg¹.

Wypili po parę wódek i wszystko przebiega³o całkiem bezboleśnie, dopóki w drzwiach nie pojawi³ się Adam Chmura.

- A ten co tu robi?

- Miko³aj skrzywi³ się.

- Przyszed³ się napiæ na krzywy ryj?

Marka s³owastarego Niemile zaskoczy³y i dotknę³y.

Dopiero teraz przyszedł mu do głowy, że ci dwaj mieli do siebie jakieś zadawnione urazy.

I że może wściecenie stłd brała się niechęć Mikołaja do Karoliny.

Pomyślał, że nie ma rady, nie mógł zignorować jej ojca, udało, że go nie widzi.

Tym bardziej że Chmura sam ruszył w ich stronę, kuętykajłc przez salę.

- Dawno tu pana senatora nie widzieliśmy.

- zacz¹³.

Marek aż się ucieszył¹³, bo Mikołaj zrobił minę, jakby rozgryzł robaka.

162.

- Przyjecha³em, panie magistrze, kiedy nadarzy³a siê okazj³azrobiæ coæ dobrego - odpowiedzia³.

-Dobrego?

- ðeby pan wiedzia³.

Przynajmniej trochê przewietrzyæ sw¹d,który pozosta³ po pewnej wystawie.

- No tak, niektórym Polska Ÿle pachnie.

-Mnie tylko Ÿle pachn¹ polskie.

-Miko³aj zawaha³ siê.

- Niech pan dokoñczy.

Ciemnota?

Nietolerancja?

Niechêæ doobcych?

- Pan topowiedzia³.

-I co, warto by³o?

Uda³osiê?

Uspokoi³ pan sumienie?

Dlatego,¿e w paru gazetach ukaza³y siê wzmianki o Andrzeju, o których pojutrze nikt nie bêdzie pamiêta³?

- Niech panlepiejnie zabiera g³osuw sprawach, októrychpan niema pojêcia - rozgniewa³ siê Kiedroñ.

-Nie mam pojêcia?

Taksiê tylko panu zdaje.

- Chmura pokiwa³ g³ow¹.

-Wie panco?

Kiedyœ by³ pan dla nas jak Bóg Ojciec.

Czemu teraz, w swoim pochwalnymartykule, nie mia³ pan odwagi napisae, dlaczego naprawdê Szajba zgin¹³?

- Mia³ wypadekna motocyklu - warkn¹³ Kiedroñ, a potemodwróci³ siê do Marka.

- Nies³uchaj go.

Upi³ siê.

Powinien przewidzieae, ¿e takto siê skoñczy.

Prêdzejczy póŸniej musia³o dojœae do jakiegoœpiêcia.

K³ótnia miêdzy tymi dwoma by³a ostatni¹ rzecz¹, której chci³by byææwiadkiem.

- A czy to dzisiaj takie wa¿ne?

- próbowa³ przywo³ae ich doporz¹dku.

'?Si'.

- .-,

-Dla mnie bardzo - powiedzia³ Chmura.

- Niewygodne, politycznie niepoprawne, to fakt.

Bo jak tu przyznae, ¿e jedenz pierwszych orêdowników pojednaniastraci³ ¿ycie przez Ukraiñców?

- Brednie!

- Łachn¹³ siê Miko³aj.

- Zaraz, oco tu chodzi?

O czym wy mówicie?

- spyta³ Marek.

- Nie s³ysza³eœ?

Niktci nigdy nie powiedzia³?

Pan senator te¿nie?

Prawdê mówi¹c, nie dziwiê siê.

- Nikt nie wie, jak by³o - szybko wtr¹ci³ Kiedroñ.

- Ktoœ jednak wiedzia³.

Te œlady przy zw³okach.

Oficjalnie ich nie zidentyfikowano.

Có¿, zgin¹³ dysydem, najlepiej by³oog³osiæ, ¿e zabi³ siê po pijanemu.

Ale wtedy wszyscy mówili, ¿e ciz psem to byli Ukraiñcy, którzy niewiele wczœniej wrócili z wypêdzenia.

Znaleÿli go jeszcze ¿ywego, ale nie pomogli.

Jak to wyt³umaczyæ?

Mo¿e nawet pomogli, ale w spowodowaniu wypadku?

Andrzej by³nie tylko za pojednaniem, by³te¿ synem leœniczego Nowickiego.

To siêdla nich bardziej liczy³o.

- Nie moŹna tego s³uchaæ po prostu.

- wybuchn¹³ Kiedroñ.

- Wierzê.

Burzy to panu ca³¹ koncepcjê, prawda?

Chmuranieda³ juŹ Miko³ajowi szansy na odpowiedŹ.

Nagleodwróci³ siê i oddali³ bez poŹegnania, zostawiaj^{1c} ich samych.

Miko³aj odetchn¹³.

- Wreszcie da³ nam spokój.

W gruncierzeczy Źal mi go.

Kiedyœby³ inny.

Chyba kalectwo tak go zmieni^{3o}.

Nie moŹe sobiedaæ rady sam z sob¹.

Marek wola³ nic nie mówiæ.

Potwierdzi^{3o} siê, Źe staryzawszecoe przed nim ukrywa³.

- KaŹdy ma swoje kalectwo - rzuci³ tylko.

Nie móg³ jednak opuœciaæ teraz Miko³aja.

Tym bardziej Źe stary sam wygl^{1da}³ na zgnêbionego.

- Duszno tu.

Odetchnijmy trochê œwieŹym powietrzem.

Wyci^{1gn}¹³ Marka w pola.

Brnęli w wysoki męgnie w stronę cerkwi, której kopu³y przeœwieca³y miêdzy starymi jesionami.

Kiedroñby³ w miejskich pó³butach, ale to on nadawa³ kierunek, nie trzymaj¹c siê wydeptanej œcie¿ki.

- Dawno myœla³em, ¿eby przyjechaæ do ciebie na narty - odezwa³ siê wreszcie.

- Trzebaby³o - odpowiedzia³ Marek.

- Chcesz powiedzieæ, ¿e lepiej bym zrobi³?

- Ty to powiedzia³eœ.

Podeszli pod sam¹ cerkiew; Kiedroñ zatrzyma³ siê, ciê¿ko dysza³.

Zadar³ g³owê ku szczytowemu kopu³y.

- Wiesz, nigdy nie rozumia³em ludzi, którzy wierz¹ w Boga - powiedzia³.

- Po co ta wiara, jeœli tylko budzi nienawiœæ jednych do drugich?

Co ich w³aœciwie ró¿ni, ta dodatkowa poprzeczka na greckim krzy¿u?

Marek pomyœla³, ¿e stary musi czuæ siê winny, jeœli takimi bana³ami chce zagadaæ zak³opotanie.

Nie mia³ zamiaru mu pomagaæ, nie odpowiedzia³ wiêc.

Kiedroñ mówi³ dalej:

- Wiem, ¿e myœlisz o tym, co bredzi³ Chmura.

Nie przejmuj siê tym, upi³ siê.

- Nie przejmujê siê.

-Owszem, przecie¿ widzê.

Ale to tylko plotki bez pokrycia.

Rzeczywiœcie, ludzie gadali.

Ludzie zawsze gadaj¹, bo chc¹ byæwa¿ni.

A ci z Wilczej Polany na kogo mieli zwaiaæ winê, jaknie na Ukraiñców?

Nie wiadomo, czyje by³y te œelady.

- Czyjeœ by³y.

-No, by³y.

Mo¿e milicjanci coœ wiedzieli.

Chyba nieprzypadkowo tak szybko zamknêli œledztwo, co?

Mo¿e sami rozpuszczali plotki.

To prawda, ¿e Andrzeja wtedy jakby odmieni³o, coœemu siê.

nagle sta³o.

Wykrzykiwa³ w knajpie, że to Ukraińcy zabili żonêkierownika szko³y.

- Dziêki, żeo tym też mi nie powiedzia³eœ - odezwa³ siê Marekdopiero po d³ugiej chwili.

-A co tu by³odo mówienia?

Gdybym ci chcia³ opowiadaæwszystko, co twój ojciecwygadywa³ po pijanemu, żeyiciaby niestarczy³o.

Narwany by³.

Z t¹ nauczycielk¹.

To nie mia³o żeadnego sensu.

Musia³siê nas³uchaæ jakichœ bzdur, że to mia³a byæ zemsta za Czereszniê,spaleniecerkwi i.

Nonsens!

Zemsta podziésiêciulatach na dziewczynie, która w chwili zbrodni w Czereszni nie mia³ajeszcze osiemnastu lat?

Takie rzeczy siê nie zdarza³y.

Komuœmusia³ochodziæ o to, żeby siaæ nienawioæ do Ukraińców, którzywracali z wygnania.

Ale twój ojciec taki w³aœnieby³, narwany i ³atwowierny.

Czasem siê odbija³ od œciany do œciany.

Gdyby nie zgin¹³, na pewno zrozumia³by, żeto nie mia³o żeadnego sensu.

W oddali przeci¹gle zatr¹bi³ autobus.

-To chyba na mnie -ockn¹³ siê Kiedroñ.

Ruszy³ z powrotem tak szybko, że Marek ledwo za nim nad¹ęa³.

Niczego wiêcej nie mógł³ siê już od starego dowiedzieæ.

W ci¹gu nastêpnych tygodni Markowi wyros³a dzika broda.

Z zdumieniem obserwowa³ w lustrze, jak z kaŹdym dniem coraz bardziej upodabnia³ siê do swego ojca.

Zapamiêta³ go w³acenie takiego, zaroceniêtego, z d³ugimi w³osami, opadaj¹cymi nako³nierz, wychud³ego.

Wzorem Szajbyz tego okresu spêdza³ teŹ na nartach niemal ca³e coraz d³uŹsze dni, wêdruj¹c po lasach.

Nauczy³ siê tylko lepiej planowaæ wyprawy, tak Źeby krótko po zmierzchu byæ w domu.

Wstawa³ zwykle jeszcze przed œwitem, kiedy w kuchni robi³osiêch³odno, roznieca³ ogieñ w piecu, kwadrans gimnastykowa³ siê, potem ³¹czy³ siê z Internetem i przez kilkadziesi¹t minut zajmowa³ siê gie³d¹.

Wypija³ kawê i rusza³ na trasê.

Wieczorami przewaŹnie pracowa³ jeszcze trochê nad ekspertyzami podatkowymi.

Nie przemêcza³ siê.

Móg³by dostaæ inne zlecenia, zarabiaæ kilka razy wiêcej.

Nawet o tym nie myœla³, bo musia³by wtedy zrezygnowaæ z wêdrówek, a one by³y teraz waŹniejsze.

Coraz czêœciej próbowa³ tropiaæ wilki.

Któregoś ranka wilcze tropy znów pojawiły się obok Górskiego Pałacu.

Tym razem nadeszły z przeciwnej strony, kierując się.

w pasmo Kamiennej Góry, wznoszące się za schroniskiem.

Marek obejrzał ciałady i nabrał pewności, że zostawił je kilka wilków, choć szły trop w trop.

Szybko przypilił narty i zrezygnował nawet porannej kawy, ruszył za nimi.

Nie pomylił się.

Między drzewami ciałady rozdzielił się na chwilę, żeby kilkadziesiąt metrów dalej położyć się znów w jeden równy sznurek.

Wilków było co najmniej pięć, nie umiał policzyć ich dokładnie, ale i tak był z siebie dumny.

Może kilometr dalej, w niemal paskiej kotlinie porośniętej starymi bukami, rozbiegły się znów, tym razem w różnych kierunkach, i nie zeszły się z powrotem.

Nie bardzo wiedział, jak się teraz zachować; ostatecznie poszedł za odciskami śladów, które wydały mu się największe.

Przebył niewiele ponad sto metrów i zrozumiał ich zachowanie.

Na cieniu pojawiły się ciałady krwi, a jeszcze kawałek dalej leżały szczątki zabitej sarny.

Wilki biesiadowały jeszcze niedawno i Marek pomyślał, że to być może on je spłoszył, bo niedojadły ofiary.

Obgryzły tylko z mięsa tylną część tuszy, głowę, pierś i przednie nogi były nienaruszone, z reszty został okrwawiony szkielet.

Marek przestał się dziwić, że niektórzy myśliwi tak nie widzą wilków i mają o nich jak najgorsze zdanie.

Wygl¹da³o na to, że sarnajeszcz^e ³ły³a, kiedy zacz^ê³y wy³era^æ jej brzuch.

Zrobi³ zdjęcia i zawróci³, porzucaj¹c ich oelady.

Na ten dzień mia³do^ææ tropienia.

Najwa³żniejsze odkrycie ju³ zrobi³.

Wilki, po kilkulatach przerwy, znów chodzi³y przez Wilczy Przesmyk.

By³ przekonany, że to Bandzior otworzy³ z powrotem ten szlak dla swej nowej watahy.

Ewa pojawi³a si^êżnowu, kiedy nadesz³y zimowe ferieszkolne.

Którego^æ wieczoru zadzwoni³ telefon.

- Ojciec, co ty wyprawiasz?

- us³ysza³.

-Ju³ drugi dzień niemog^ê ci^ê zasta^æ.

Gdyby nie o^æwie³oelady ko³o schroniska, pomy^æla³abym, że zszed³o^æ.

- Zatrzyma³o^æ si^ê w stancy?

-Brawo, co zaprzenikliwo^æ.

A gdzie mia³abym si^ê zatrzyma^æ?

Zrób mi t^ê grzeczno^ææi b¹d^Ź jutro w domu ko³o po³udnia, dobra?

- Cosi^êsta³o?

-A co?

Dziwi ci^ê, że raz na par^ê miesi^êcymia³abym ochot^êzobaczy^æ ojca?

Rozmowa z córk¹ znów ca³kiem wytr¹ci³a go zrównowagi.

Rytua³nastêpuj¹cychpo sobiedni zosta³nagle zburzony.

Próbow³popracowaæ nad kolejnym zleceniem,ale nie móg³ siê skupiaæ.

Otworzy³ scottish leadera, którego zostawi³ muw prezencie Miko³aj podczas swej ostatniej wizyty.

Usiad³ naprzeciwko pieca

166.

i wpatruj¹c siê w buzuje¹ce pod blach¹ p³omienie, pi³ prosto z butelki.

Powinien przewidzieæ, że Ewa moze znów przyjechaæ na konie.

A przynajmniej zainteresowaæsiê, czy nie mia³a takiego zamiaru.

On tymczasem zaj¹³ siê sob¹.

Jedynym celem jegożyciaw ostatnich tygodniach sta³o siê zachowanie równowagi.

A to i taksienie uda³o.

Nazajutrz mia³ kaca; zaniedba³ gimnastykê, potem tylko udawa³, że analizuje najnowsze doniesienia z gie³dy.

Aż do po³udnianie umia³ znaleŹæ sobie miejsca.

Wreszcie nadjechali konno ca³¹grup¹, zatrzymalisiê nadrodze poniżej ogrodu.

Zobaczy³ichprzez okno i wyszed³ przed werandê.

Kilkoro m³odych jeŹdŹców, prowadzi³ Michaluk.

Kiedy zobaczy³ Marka, od razu popêdzi³ konia i ruszy³ dalej, a reszta za nim.

Ewa od³¹czy³a siê od kolegów, podjecha³a pod dom.

- Czeææ, tato - odezwa³a siê z siod³a.

Wygl¹da³a piêknie na koniu.

Poczu³ siê z niej dumny, ale niechcia³, żebyzauważy³a jego wzruszenie.

- Czeææ- odpowiedzia³.

- Co ten Ukrainiec tak przede mn¹ucieka?

Zsiad³a iuwi¹za³a swoj¹klacz do jab³oni.

- Ten Ukrainiec siê jakoœ nazywa, tato - powiedzia³a.

-Proszê bardzo.

Co tenpan Michaluk, boi siê mnie?

Teraz mo¿e byæ?

- Uwa¿a, ¿ego nie lubisz.

Coœ mi siê zdaje, ¿e wiele siê nie pomyli³?

Marek zdziwi³ siê.

- A dlaczego mia³bym go lubiaæ albo nie lubiaæ?

Jest mi obojêtny.

Nie protestowa³em, kiedy Karolinaza³atwia³a mu kartê sta³ego pobytu.

- A mog³œ?

-Mo¿e mog³em.

Mo¿enawet powinienem.

Kr¹¿¹ o nim ró¿newieœci.

Policja.

- Tato, przestañ!

Chyba nie jesteœ dzieckiem i zdajesz sobiesprawê, ¿enie wszyscy nagle zaczêli lubiaæ Ukraiñców?

- To mnie akurat najmniej obchodzi.

- Wzruszy³ ramionami.

- To co ciê obchodzi?

Te brednie, które o nim wygaduj¹, żebygo nastraszyæ i nak³oniæ do wyjazdu?

Z kim jesteæ, z nimi?

Wszystko siê w nim burzy³o, ale zdawa³ sobie sprawê, żebyjejnię przekona.

- Jestemz tob¹ - powiedzia³.

-Mi³o mi to s³yszeæ.

To znaczy, żeby puæci³byæ mnie na Ukrainê?

Zamurowa³o go.

Na szczêœcie wchodzili w³aczenie do schroniska, wiêc nie musia³od razu odpowiedzieæ.

Próbowa³ zyskaæ na czasie,

167.

zbył pytanie córki milczeniem, ale ona nie rezygnowała.

Kiedy zaparzył herbatę i postawił kubki na stole, ponaglił go:

- Nie odpowiedział mi jeszcze.

Puściłby?

- Ale po co?

- Jak to po co?

Jeszcze pytasz?

Do Kijowa, na Majdan Niepodległości.

W głębi poczuł ulgę, ale wykrzywił usta.

- Naprawdę uważasz, że to twoja sprawa?

Sam obojętnie oglądał w gazetach zdjęcia koczujących na Majdanie tłumów.

Nie potrafił znaleźć w sobie entuzjazmu dla przemian na Ukrainie, jaki nagle ogarnął Polaków.

Wydawał się sztuczny i sterowany.

Oczywiście, rozumiał młodych ludzi, którzy spłynęli się na rewolucję w Polsce, więc jechali tam, gdzie coś się działo.

Rozumiał także swoją córkę.

Ale i bał się o nią.

W tej chwili mógł podziękować Bogu, że Boguccy pozbawili go praw rodzicielskich.

- Jak możesz w ogóle tak mówić!

- wykrzyknę³a.

-Jak to, niemoja?

Odpowiedz jasno, puœci³byœ?

- Przecie¿ wiesz, ¿e nie mogê.

-Nie o to pyta³am.

Takczy nie?

- Oczywiście, ¿e tak - sk³ama³.

-Dziêki.

Tylko to chcia³am wiedzieæ.

Dziadkowie nawet niepróbowali ze mn¹ na ten temat dyskutowaæ.

Tym razem nie mó³ nie przyznaæ teœciomracji.

- Czy to.

- Ju¿ chcia³powiedzieæ "pan Michaluk", ale powstrzyma³ siê w porê.

-Czy to Waœka ciê namawia³?

- On mnie do niczego nie namawia³ - odpowiedzia³a ostro.

-On mi tylkootworzy³oczy.

- Na co?

- zdziwi³ siê Marek.

- Na to ca³e wasze zak³amanie.

Nicniemówicie, ¿eUkraiñcyte¿ ju¿dawno walczyli oniepodleg³oœæ, nie tylko te wasze ca³elwowskie orlêta.

Na chwilę przymkn¹³ oczy.

Nie chcia³o mu się znowu wracać do sporów sprzed prawie stu lat.

Wystarczy³o, że pamięta³ piekielne awantury swego ojca z dziadkiem Nowickim, komu bardziej należa³ się Lwów w tysiąc dziewięćset osiemnastym.

- Nie masz racji.

- Uciechn¹³ się do córki.

- Mog³abyć sobie tym porozmawiać z Szajb¹.

- Z kim?

- Ze swoim dziadkiem, którego nie zna³ac.

- Ale tymi nic nie powiedzia³ac.

Pomyśleć, że gdyby nie konie, dalej by³abym ciemna.

Pomyśleć, że nadejdzie³ się okazja, żeby zmienić temat.

168.

- Nie myœla³em, ¿e tak polubisz konie.

Kiedyœ siê ichba³aœ.

- Nic nie pamiêtasz.

To wy z mam¹ baliœciesiê, ¿ebym niespad³a.

Kiedy wspomnia³a o Joannie, poczu³ w ciele falê gor¹ca.

Ewajednak powiedzia³a to bez ¿adnego podtekstu.

- A dziadkowie siê nieboj¹?

- spyta³.

- Szczerze?

Chyba siê ciesz¹,¿e polubi³am coœ, czego nie nauczy³am siê od ciebie.

Nie wiedzia³, co ma s¹dziaê o tej otwartoœci.

Nagle zdecydowa³

Siê:

- S³uchaj, córcia.

- zacz¹³ i przerwa³, bo z³apa³ siê na tym, ¿ebezwiednie nazwa³ j¹ tak, jak Adam Chmura nazywa³ Karolinê.

- D³ugo myœla³em, czyniewyst¹piæ przeciw twoim dziadkomoprzywrócenie praw opiekuñczych.

Pochyli³a siê nisko nad swoim kubkiem, siorbnê³a, poci¹gnê³anosem, obtar³a go wierzchem d³oni.

- Szkoda,¿e tylko myœla³eœ - burknê³a.

Na chwilê ogarnê³a go prawierozpacz.

- Nie miałem sumienia narazić cię, żebyś przechodziła przez to jeszcze raz.

Gdybym wiedział, że tego chciałaś.

Wypuściła powietrze dłużej przeciwnie.

- Nieważne.

Teraz już i tak być nie zdążył.

- Przed czym?

Odwróciła głowę w stronę okna.

- Przed moją osiemnastką.

Zapomniałaś?

- Nie zapomniałem.

Tylko trudno mi w to uwierzyć.

Za oknem jej klacz zaciągnęła przeciwnie.

- Będzie musiała lecieć.

Czuł, że nie powiedział wszystkiego, czym przyszedł.

Przy drzwiach zawahała się.

- Chciałaś mijesz coś powiedzieć?

- spytała.

- Nie, tylko.

Gdzie twoja.

kobieta?

Gdzieœ wyjecha³a?

Niewidzia³am œladów samochodu.

- Moja kobieta ma jakieœ imiê - odegra³ siê za Michaluka.

-W porz¹dku, Karolina.

- Przenios³asiê na d³.

Na zimê - doda³ szybko.

- Krótkomówi¹c, ola³a ciê?

-Nikt nikogo nie ola³- obruszy³siê.

- Powiem inaczej: Zrozumia³a, ¿e to by³b³d?

Teraz lepiej?

Od pocz¹tku wiedzia³am, ¿e tak bêdzie.

- Ciekawe sk¹d?

-Znik¹d.

Po prostu wiedzia³am.

Nie nadawa³eœ siê dla niej.

- Boco?

Za stary?

Ju¿ mi to kiedyœ mówi³aœ.

169.

- Nawet nie to.

Tylko jesteœcie jakœcie taki.

- No, jaki?

-Nie wiem.

Wkurzaj¹cy.

Teraz poczu³ siê naprawdê ura²ony.

Tym bardziej ²epowiedzia³a prawdê, mia³ tego bolesn¹ œwiadomoœæ.

Wola³by, ²eby ju² sobieposz³a.

Podnios³a siê, jakby to zrozumia³a, a wtedy ogarn¹³ go ²al.

Wyszed³ z ni¹ na zewn¹trz.

Kiedy siedzia³aju² w siodle, spyta³:

- Wpadniesz jeszczeprzed wyjazdem?

-Raczej nie.

Mo²e nastêpnym razem.

Patrzy³ za ni¹,jak odje²d²a³a stêpa przez ogród.

Na drodzeagle spiê³a klacz i przesz³a wgalop.

Omial nie krzykn¹³ g³oœno.

Onajednak panowa³a nad koniem.

Widz¹c j¹galopuj¹c¹ przez polanê

i œniegpryskaj¹cy spod koñskich kopyt, oprócz strachu poczu³tak²e dumê.

Nastêpnego dnia wróci³ do zwyk³ego rytua³u codziennych wêdrówek.

Wyruszy³ jeszcze przed œwitem.

Postanowi³ znowu poszukaæ œladów wilków w lasach Bukowego ³ebra, gdzie Siwa Mañkaza³o³y³a gniazdo, kiedy jeszcze by³a z Jednookim.

Po ostatnim opadzie œniegu wataha nie przesz³a ani razu przez Wilczy Przesmyk, a jemu zaczê³o brakowaæ tropienia.

A³ sam siê dziwi³.

T³umaczy³ sobie, ¿e widocznie potrzebowal³ tego wielkiego zmêczenia, ¿eby wieczorem, po powrocie, od razu zasnal³.

Spotka³ go zawód.

Pod Zimn¹ Prze³êcz¹ znalaz³ wiele œladów nart i rakiet œnie¿nych, pozostawionych zapewne przez biologów z Zimnego Do³u, ale ¿adnego wilczego tropu.

Zniechêcony, zawróci³.

Z powrotem poszed³ jednak inn¹ œcie¿k¹, któr¹ wypatrzy³ na mapie.

Choæ nie by³a przedeptana i chwilami musia³ siê zdawaæ nawyczucie, wierzy³, ¿e nie zab³dzi.

Zjecha³ pogodnym grzbietem miêdzy dwoma w¹wozami, a³ znalaz³ siê niespodziewanie na skraju niewielkiej, nawet niezaznaczonej na mapie polanki.

Tu czeka³a na niego nagroda.

Wilcze tropy kilkakrotnie przecina³y polankê w poprzek, zbiegaj¹c siê w jej rogu, przy gêstych zarocelach.

Jeden z wilków między odciskami ³apozostawi³blade œlady krwi.

Wiêcej krwawych plam znalaz³ tu¿ przy krzakach, gdzie œnieg by³ tak zdeptyany, ¿emiejskami wychodzi³aspod niego trawa.

Domyœla³ siê, ¿e zwierzê nieby³oranne.

Tym

razem krew na œniegu wygl¹da³a inaczej i oznacza³a te¿coœ zupe³nie innego.

Wiedzia³, ¿e dokona³w¿nego odkrycia.

Zrobi³ wiêcdu¿ozdjêæ, ¿ebymieæ dowody.

Przed pó³noc¹ zdo³a³ jeszcze wys³aaæ jena internetowy adres Karoliny i zaraz potem zasn¹³, nie zgasiwszy nawet laptopa.

Rano znalaz³ e-mail: Brawo!

Zadzwoñ, jaksieobudzisz.

Nie czeka³ ani chwili.

170.

- Już się obudzi³em - powiedzia³, kiedy odebra³a.

-Mnie też - us³ysza³.

-To gdzie znalaz³eć te ołady?

- Nie tam, gdzie szukaliście - odpowiedzia³ z satysfakcj¹.

- Na D³ugim Garbie.

Możecie trafić po moich oładach, zanim je zasypie.

- Coś podobnego!

Wygl¹da na to, że tym razem naprawdę by³eć lepszy od nas.

- Nic dziwnego, skoro wasz Ukrainiec, którego specjalnie pociągł³ do siebie, woli dorabiać na lewo, niż tropić wilki - nie odmówi³ sobie z³oeliwości.

-Nie musisz być takimi³y.

Trafi³o ci się jak g³upiemu szóstkaw totolotku.

Wiesz chociaż, co naprawdę znalaz³eć?

- Jasne.

Ich mi³osne gniazdko.

Siwa Mańka będzie miał³a dzieci ze swoim nowym facetem.

- Potem zaczerpn¹³ powietrza i wyrzuci³ jednym tchem: - Karolina.

może być przyjecha³a?

Zamilk³a na chwilę, zanim odpowiedzia³a;

- Daj mi jeszcze trochę czasu, dobrze?

Czeka³ d³ugo.

Karolina odwiedzi³a go dopiero po WielkiejNocy.

Trudno mu by³o uwierzyæ w³asnym uszom, kiedy wieczorem us³ysza³ na podjeŹdziejej ³adê.

Odg³ostego auta nauczy³siê rozpoznawaæbezb³êdnie, wiêcnie móg³ pomyliæ go z innym.

Jednak mog³a to byæ halucynacja albo sen.

Nie wytrzyma³,wybieg³ przed schronisko i przekona³ siê, Źe mia³ racjê.

Karolinaw³acenie zgasi³a silnik.

Pomyœla³, Źe teraz wszystko bêdzie zaleŹeæ od tego, jaksieŹ nimprzywita, obejmie go czy tylko wyci¹gnie rêkê.

Wyci¹gnê³arêkê, trochê niepewnie, akiedy juŹ zawiedzionypodawa³ jej swoj¹, zrobi³a krok naprzód i na chwilê przycisnê³asiê do niego ca³ym cia³em.

- No dobra, pomoŹesz mi zanieœæ bagaŹe?

- poprosi³a.

Siêgnê³a do auta, wyci¹gnê³a swój ogromny, szczelnie wypakowanyplecak i poda³a mu.

Sama wziê³a mniejszy.

Nie mia³ odwagi zapytaæ, czy mia³o to znaczyæ, Źe wróci³a.

- Wci¹Ź œpisz w kuchni namateracu?

- spyta³a, rozgl¹daj¹c siêwokó³.

- Jak widzisz.

Odpięła od plecaka cepiwór i rzuciła posanie.

Sama opadła w dół.

- No, co tak patrzysz?

Przydaci się teraz w domu kobieta.

171.

- Teraz?

- spyta³, trochę zdezorientowany.

- No tak, ty o niczym nie wiesz.

Widzisz, sprawa wygl¹da tak.

- Przerwa^{3a}.

- Najpierw daj siê napiæ.

Nie martw siê, mogê, dzieju^ç nie wsi¹dê do samochodu.

Kilka miesiêcy wczesniej odczyta³by to jako aluzjê, podejrzewa³by Karolinê o nie wiadomo jakie z^{3e} intencje.

Teraz siê nieprzej¹³.

Oceni³ tylko, ^çe s³owa nie by^{3y} zrêczne, na tyle jeszcze siê nieznieczuli³, ^çeby tego niezauwa^çyæ.

Jednaknie poczu³siê wzburzony.

Ucieszy³ siê, pomyœla³, ^çe widocznie wraca ju^ç do równowagi.

Bardziejona wyda^{3a} siê speszona, kiedy zorientowa^{3a} siê, co palnê^{3a}, widzia³ to po niej.

Postanowi³ udawaæ, ^çe nic nie s³ysza³.

Spokojnie nala³ do szklanek whisky od Miko³aja, którejwci¹ ^ç jeszcze nie wykończy³.

- Jaka sprawa?

- spyta³.

Wypi^{3a} swój¹ porcjê do dna i dopiero wtedy odwa^çy^{3a} siê:

- Nie wiem, czy bédziesz zadowolony.

By³au mnietwoja córka.

Nie mog³aby go bardziej zaskoczyæ.

- Ewa?

U ciebie?

Po co?

- Jest w ci¹¿y.

Inaczej ni¿ Karolina, ¿eby zapanowaæ nademocjami, odstawi³szklankê na stó³, nie wypiw³szy nawet ³yka.

Sama wiadomoœæ wcalego nie wyprowadzi³a z równowagi.

Pomyœla³, ¿e móg³by siê nawet ucieszyæ, gdyby dowiedzia³ siê o tym inaczej.

Nieraz wczesniej przychodzi³omu do g³owy, ¿egdyby Ewa zasz³a w ci¹¿ê, mo¿euwolni³aby siê od dziadków.

Tylko sposób, w jaki go o tym zawiadomi³a, zupe³nie mu siê niespodoba³.

Chcia³a go zraniaæ czy tylkomunie ufa³a?

- Z kim?

- spyta³, sil¹c siê na spokój.

- Nie wydaje mi siê,¿eby chcia³a to zdradziaæ komukolwiek.

Przynajmniej razie.

To mu siê jeszcze bardziej nie spodoba³o.

Karolinanie patrzy³a mu woczy, czu³, ¿e niemówi³a ca³ej prawdy.

Nagle przysz³o mudo g³owy, czyjego córka przypadkiem nie wpad³a z tym koniarzem, Michalukiem.

Zaraz odpêdzi³ od siebie têmeœl.

To by³byzbyt ponury ¿art.

- Tylko mnie nie zdradŸ.

- Karolina zaskoczy³a go ponownie.

- Obieca³am, ¿e ci na razie nic nie powiem.

Gniew walczy³ w nimz chêci¹, ¿eby siê rozeœmiaæ.

Czy ktoœ robi³ sobie z niego ¿arty?

Chcia³ go wyko³owaæ?

Co próbowa³ uzyskaæ?

- To po co mówisz?

- Jesteœ jej ojcem.

Chyba powinieneœ wiedzieæ.

- No dobrze, tylko po co posz³a z tym w³aœnie do ciebie?

Chcia³a ciê odstraszyæ?

Na to liczy³a?

- Twoja córka miała rację, ty naprawdę niczego nie rozumiesz.

- Karolina patrzyła na niego zdumiona.

- A ja próbowałam jej wmawiać, że się myliła.

- Czego takiego nie rozumiem?

- Nie wiem, niewdawała się w szczegóły.

Powiedziała, że niczego.

- A może to nieprawda?

- spytała, choć takie przypuszczenie raczej nie miało sensu.

- Prawda.

- Uśmiechnęła się.

- To już czwarty miesiąc.

- Co ty mówisz?

Który?

- Czwarty - powtórzyła spokojnie.

- To znaczy, że kiedy byś u mnie w zimie, już wiedziała?

- Oczywiście.

- I nie powiedziała mi?

- Chciała.

Ważenie po to cię odwiedziła.

Ale nie odważyła się.

- Dlaczego, do cholery?

-W³acenie dlatego, że ty nic nie rozumiesz.

Nie z³oœæ siê namnie.

Ja tylko wyobra¿am sobie, jak rozumuje twoja córka.

Ba³asiê, że ty te¿ ka¿esz jej usun¹æ.

- Zwariowa³a?

-Nie by³eœ w ci¹¿y, maj¹ siedemnaœcie lat, tonie wiesz, jakto jest.

- A co to znaczy, że ja te¿?

Kto jeszcze?

- Dziadkowie.

-Kazali jej robiæ skrobankê?

- Nie kazali, bo nic nie wiedzieli.

Przed nimi te¿ siê ukrywa³a.

Czeka³a, a¿ bêdzie za póŹno.

- Ale ju¿ wiedz¹?

Przecie¿ nie s¹ idiotami.

Musieli siê w koñcu zorientowaæ.

- Pewniecoœ podejrzewali, ale siê wypiera³a.

Dziewczywy jej wieku potrafi¹ nieprawdopodobnie k³amaæ, jeœli naprawdêim zale¿y.

Przemknê³o mu przez myœl, że Karolina przy okazji próbowa³a coœ mu daæ do zrozumienia.

Teraz niemia³ g³owy, Źeby siê nadtymzastanawiaæ.

- To gdzie onajest?

- spyta³.

-U Hryæki?

- No, a gdzie mog³abybyæ?

-Chyba nie jeŸdzi konno?

- przestraszy³ siê nagle.

- No, nareszciemówisz do rzeczy.

Nie,juŹ nie jeŸdzi.

Przed kolegami udaje, Źe ma naci¹gniête wi¹zad³a w kolanie.

- PrzecieŹ to ca³a konspiracja.

Jak ona to wytrzymuje?

- Nawet niemasz pojêcia, ile jest zdolnawytrzymaædziewczyna, która chce ukryæ ci¹Źê.

173.

Znów jakiegoś aluzje.

To wszystko działo się zbyt szybko, wciąż wydawało mu się jakby pomyślnie.

Dopiero teraz poczuł nagłą chęć alkoholu.

Wypił zawartość swojej szklanki na jeden raz.

Wtedy wydało mu się, że powinien coś zrobić, od razu, natychmiast.

Podrwał się.

- Muszę do niej jechać.

- Uspokój się, siadaj - powiedziała Karolina.

- Przecież ty nic nie wiesz.

- Przynajmniej sobie nie żartuj.

- Mówię poważnie.

Byłaby przerażona, gdyby się teraz pojawił.

Nie odpiesz się, oboje musicie do tego dojrzeć.

Przywiozł ją jutro, sama mnie prosiła, żeby poczekać z tym do poniedziałku.

Łatwo dać się przekonać.

Też bał się tego spotkania, bardziej niż miałaby ochotę przyznać.

Był wdzięczny Karolinie, że to ona go od niego odwodziła.

Wyciągnął niepewnie rękę po blacie.

Karolina zacisnęła palcem jego dłoń.

Noc przywróciła mu nadzieję, że wszystko się jeszcze ułoży.

Rano nawet stan Ewy jej dziwne zachowanie nie wydawałyby musieli takie straszne.

Co strasznego może być w cieli?

Całkiem nie dzielili się tylko we dwoje.

Było jak dawniej, jakby ich rozstanie zostało spowodowane daleką podróżą.

Pomyślała nawet, że może Karolina wiedziałaby, co robiła, że te samotne miesiące były im może do czegoś potrzebne.

Z godziny na godzinę nie tylko coraz bardziej się uspokajała, ale i przyzwyczajała domyślić, że w jego życiu znów pojawi się małe dziecko.

Jednak tego dnia spokojnie nie był impisany.

Telefon Karoliny zadzwonił późnym popołudniem.

- Nie odbieram - powiedziała.

- Dzień nie mamnie dla nikogo oprócz ciebie.

Kiedy jednak komórka odzywała się uporczywie w cieli od nowa, spojrzała wreszcie na wyświetlacz i podniosła aparat doucha.

Z rosnącym niepokojem patrzyła, jak w miarę słuchania zmieniał jej twarz.

Nagle szybko rzuciła w mikrofon, przerywając swemu rozmówcy:

- Zaczekaj, ale co z Ewą?

Markowi zrobił się słabo.

Wydawa³o mu siê, ¿e minê³y godziny, zanim wreszcie skoñczy³a rozmawiaæ.

- O co chodzi?

- spyta³ s³abn¹cym g³osem.

- To Jur - odpowiedzia³a.

- Nie martw siê, z twoj¹ córk¹wszystko w porz¹dku.

Ale tam siêwydarzy³o coœniedobrego.

Niechcia³ mówiæ przez telefon.

Pojadê zobaczyæco.

174.

- Jadę z tob¹.

-Nie, proszę.

- Zast¹pi³a mu drogę.

-Tam jest policja, jak³o³fera.

- Policja?

-W³acenie.

Pozwól, że najpierw sama się zorientuję.

Znow da³sięprzekonać.

Kiedy warkot silnika ³ady ucich³ załazem, już tego ³a³owa³.

Nie potrafi³czekać spokojnie, siedzi¹ w domu.

Wszed³ na drogę i bez sensu chodzi³ tam i z powrotem, kilkaset metrów w jedn¹ stronę, potem półtora kilometra w drug¹ i znow od nowa, po resztkach rozmięk³ego asfaltu i niewy³ymb³ocie, które pod wieczór zaczę³o przymarzać.

Niewiele ponad dwie godziny później znow us³ysza³ odleg³y jeszcze pomruk, dobiegaj¹cy od strony doliny.

By³o już prawie ciemno.

Po dalszych kilkunastu minutach zobaczy³ b³yski reflektorów między drzewami.

Łada zatrzyma³a się obok niego, a kiedy zgas³y reflektory przyzwyczaj³ oczy do ciemności, na siedzeniu obok kierowcy zobaczy³ cień swojej córki.

Dopiero wtedy spadło z niego całe napięcie i poczuł w nogach nagłą słabość.

Ewa wysiadła.

- Tato.

- powiedziała.

- Wszystko dobrze, córcia.

- Na pewno?

- Myślałam, że mogłoby być inaczej?

W nagłym odruchu przycisnęła się do niego jak wtedy, kiedy chodzili razem karmić kaczki w parku Ujazdowskim.

- Chcę spać - powiedziała.

- Porozmawiamy jutro.

Ledwo upadła na materac w kuchni, zasnąwszy w kurtce i butach.

Jemu Karolinie pozostały opiewory i gołapodoga.

Nawet nie myślała o niewygodzie.

Dopiero teraz spytała z nadzieją:

- Więc nic się takiego nie stało?

- Niestety, stało się.

Dwoje dzieciaków nie żyje.

Pomilczała jeszcze chwilę, potem zaczęła opowiadać.

W sobotę w karczmie U Jura odbywała się pierwsza po Wielkanocy dyskoteka.

Zpocz¹tku zabawy mia³o niebyæ, bo ci¹gle trwa³ prawos³awny Wielki Post i Hryæko zamierza³ uszanowaæ obyczaje swychukraiñskich ziomków.

Pozwoli³ tylko, ¿eby m³odzie¿ z obozu konnego urz¹dzi³a sobie zamkniêt¹ potañcówkê w œwietlicy.

DŸwiêkimuzyki przyci¹gnê³y m³odych poszukiwaczy sobotnich przygód, b³dz¹cych po okolicy na motocyklach i samochodami swych rodziców.

Zrobi³o siê trochê groŸnie, bo ci miejscowi, trochê ju¿ podpici, próbowali si³ dostaæ siê na imprezê licealistów.

W koñcu Hryæko, boj¹c siê wiêkszej rozróby, ust¹pi³i uruchomi³ aparaturê.

Za kon175.

solet¹ stan¹³ z braku innej możliwości Wasia Michaluk.

Niewszystkim przybyszom to się spodoba³o, us³ysza³ parê wyzwisk.

Inni przeciwnie, koniecznie chcieli z nimi i bratać się.

W ci¹gunocy wybuch³o kilkadrobnych awantur, ale Jur i jego ochroniarze zd³ali je opanować.

Dyskoteka szczęśliwie zakończy³a się ko³o drugiej nad ranem, kiedy większość imprezowiczów nie mia³ajuł si³y protestować.

Ani Jur, ani jego ochrona nie byli jednak w stanie zapobiec temu, że część z nich wsia³a na swe motory i do aut.

Największego pecha mia³aszóstka, która postanowi³a zabrać się jeszcze w Sanoku.

Wszyscy zapakowali się do jednego malucha.

Na zjeździe z Ostrej Góry dwudziestoletni kierowca wyprostowa³ jeden z zakrętów i wypraw zakończy³a się na drzewie.

Jego dziewczyna, siedząca obok, zginę³a na miejscu, a on umar³ w karetce, nie dojechawszy do szpitala.

Prawie do samej ciemności był przytomny i mający³, że wszystko przez Ukraińców.

- No i wyobraź sobie, przyjechali policjanci i zabrali Jurai Waciekę
- zakończy³a Karolina.

- Zamknęli ich?

- spyta³.

- Już ich puścili, ale nie jest dobrze.

Prokurator twierdzi, że to ich wina.

Te dwie panienki, które jechały maluchem, były pijane.

Obwinia ich, że sprzedawali nieletnim alkohol.

Marek odetchnął.

- Całe szczęście, że Ewy przy tym nie było.

-Niestety, mylisz się - powiedziała Karolina, jakby przepraszała, że musi odkryć przed nim prawdę.

- Poszła tam z kolegami zabawiać się.

- Po cholere, mieli swoją imprezę!

-Widocznie prawdziwa dyskoteka wydawała im się bardziej atrakcyjna.

Nie pamiętasz już, jak to jest?

No i miała pecha.

Biedna, przejechała się jak nie wiem.

Aż z tego wszystkiego dostała jakiegoś ataku.

Dlatego Jur zadzwonił do mnie.

Nie martw się, to nicgroźnego, zwykłe odreagowanie.

Dali jej jakieś bezpieczne prochy, lekarz mówi, że nie ma się czego obawiać.

Dotarło do niego, że w takim razie Hryško musiał już wiedzieć, że Ewa i Karolina poznały się.

Może zresztą wiedział o więcej.

Przemilcza³ to.

Leż^{a3} w ciemności i myśla³, jak wiele mu Karolina oszczędzi³a.

W potrzebie to ona zaopiekowa³asiê jego córk¹.

Odszuka³ po omacku jej rękê.

Wiêcej nic nie mówili.

Cieszy³ siê, że ma córkê w domu.

Postanowi³ niepytaæ, kto jest ojcem jej dziecka, chyba że sama zechce powiedzieć.

Zasypiaj¹c, pomyśla³jeszcze tylko, że czasem lepiej nie wiedzieæ.

Tych dwoje z dyskoteki U Jura chowano póŹnym wieczorem.

Poraby³a niezwyk³a jaknapogrzeb, ludzie z Zimnego i WilczejPolany g³oœno sarkali, ¿e tym razem ksi¹dz Oremus naprawdêprzesadzi³.

Marek przeczuwa³,¿e atmosfera na cmentarzu bêdzietrudna do zniesienia, i nie chcia³tam jechaæ.

Karolina i tym razem w koñcu go przekona³a.

Nie pok³ócili siê chyba tylko dlatego, ¿e oboje robili,co mogli, by nie doprowadziæ donowego wybuchu.

Zw³aszczu ¿e tym razem s³ucha³a ich Ewa.

- Jeżeli nie widzisz innych powodów, zrób to dla mnie -
prosi³aKarolina.

-Nie rozumiem, dlaczego musisz tam koniecznie byæ.

Nawetich nie zna³aæ.

- No i coo tego?

Chodzi o zwyk³¹ solidarnoœæ.

Zapewnienie powiedzia³a tego œwiadomie.

Nie przysz³o jej naczas dog³owy, jak on to mo¿e odebraæ.

- Mam siê czuæ solidarnyz gówniarzem,który po pijanemuwsiaada do auta i zabija dwie osoby?

- Ote¿ dopiero teraz po³apa³ siê, co powiedzia³.

Ito przy córce.

Zacisn¹³usta.

-To chcia³acemi daæ dozrozumienia?

- We^ÿ przestañ.

Wiesz, ¿e wcale nie o to mi chodzi³o - zaprotestowa³a Karolina.

- Czy¿by?

Marek zobaczy³ w jej oczach swój w³asny strach.

Zrobi³a dwakroki w jego stronê i chwyci³a go mocno za rêce.

- Marek!

Nie psujmy znowu wszystkiego - powiedzia³a prosz¹co.

- Mia³æ racjê, wcale nie musimy jechaæ na ten pogrzeb.

W tej chwili och³on¹³.

Niebezpieczeństwo minê³o.

- Nie, dlaczego?

To tymia³æ racjê.

Nie musimy, ale chyba powinniemy.

Gdybyemy nie pojechali, wygl¹da³oby to na jak¹æ demonstracjê.

Popatrzy³a na niego wci¹¿ niepewnie.

- Naprawdê tak myœlisz?

- Oczywiście.

- Pojadê z wami - odezwa³a siê Ewa.

Odwróci³siê do córki z niepokojem.

- Myślisz, że to dobry pomysł?

Może będzie lepiej, jak jeszcze odpoczniesz.

- Już do Ciebie odpoczywam.

Chcę tambyć.

Nie traktujcie mnie jak chore dziecko.

177.

Nawet nie zauważył, kiedy zaczął zwracać się do nich obojętnie licząc ich wiele.

Przeżył z nimi trzy ostatnie dni, powoli dochodząc do siebie.

Każdego ranka mdliło go i przez kilka następnych godzin nic nie jadł, nawet nie mógł patrzeć na jedzenie.

Dopiero po odciążeniu bez obrzydzenia przełknął trochę ugotowanej na wodzie kaszy, a większą porcję zjadł późno wieczorem.

Jednak psychicznie czuł się lepiej.

Zgodził się więc, choć nie bez obaw.

Do chwili dokonania niedalekiego spaceru.

Od razu zauważyli ich wszyscy sąsiedzi.

Nawet ci z najbliższych rodzin dwójgazybitych, którzy szli na samym przedzie skuleni, smagani zimnym wiatrem i wydawali się całkowicie pogrzebani w śnie.

Wiewiórki wykopany grób oświetlały przenośne latarnie.

Ceremonia w tym momencie bardziej przypominała nocne spotkanie spiskowców niż katolicki pogrzeb.

Kończąc milcząco, ksiądz Oremusnie ugiął się także w tej sprawie.

Karolina musiała mieć podobne myśli, bo poczuła, jak jej palce mocniej zacisnęły się na jego rękach.

- Na pewno wszyscy zastanawiacie się, dlaczego dzwon nie bije, kiedy chowamy dwoje niewinnych dzieci.

- S³owa, które proboszcz z Zimnego rzuci³ w tê ciszê, zawiera³y oskar¿enie.

Obecni odpowiedzieli nieprzyjaznym pomrukiem, który ksi¹dz tak¿ew³açciwie zrozumia³.

- Jeceli dobrze s³yszê, wiecie ju¿, co mam namyœli.

Choœ mo¿e jeszcze niektórzy zwas dziwi¹ siê, dlaczego nazywam Magdê i Janka niewinnymi?

Przecie¿ grzeszyli, wiemy towszyscy.

Grzeszyli tak bardzo, ¿e a¿ œci¹gnêli na siebie œmieræ.

Szmer niezadowolenia wœród zebranych by³ coraz wyraŹnie jszy.

- Sami s³yszycie, coten klecha wygaduje - rozleg³ siê zty³ug³os radnego Ognika.

- Najwy¿szy czasna emeryturê.

Biskup chyba zapomnia³ o naszej parafii.

Marek a¿ siê wzdrygn¹³.

Ciekawe, czy ten cz³owiek bêdzie nasprzeœladowa³tak¿e w grobie, pomyœla³.

- Dlaczego wiêc powiedzia³em, ¿e byli niewinni?

- Starczyg³os proboszcza brzmia³ coraz pewniej.

-Bo wierzê, ¿e tak samowswej nieskoñczonej dobroci oceni³ ich nasz Pan.

- Proszê, nasz ksiê¿ulo nawetwie, co myœli Bóg - odezwa³ siêz ty³u zjadliwie radny Ognik.

-Gdybym wto nie wierzy³, musia³bym uznaæ, że tych
dwojedziecizosta³o skazanych nieuchronniena wiecznepotêpienie.

A przecie¿ tak nie mog³obyæ!

- Oremus wysili³ swe gard³o domaksimum.

-Bo choæbardzo grzeszy³y, nie one by³y temuwinne.

178.

Stali doœæ daleko, z ty³u za wszystkimi, pod samym cmentarnym murem.

By³otu jednak trochê wy¹zej i Marek widzia³ st¹dwyra³nie pochylon¹, ale wci¹¿ mocn¹ sylwetkê proboszczaw œwietle przenoœnej latarni.

Oremuswycelowa³ oskar¹¿ycielskoprzêd siebie wyci¹gniêty palec.

- Ich grzechy niech spadn¹ na was!

To wy uczyniliœciealkoholtreœci¹ waszego ¿ycia.

Towy niemal od dnia narodzin zatruwacie dusze waszych dzieci z³ym przyk³adem.

Od maleñkoœci uczyciedzieci waszej faryzejskiej ob³udy.

Przychodzicie do koœcio³a, klêkacie, udaj¹c, ¿e siê modlicie, ale to tylko pozór, którym próbujecie omamiae w³asnesumienia.

Bo naprawdê waszym prorokiem jest butelka.

Ona odda³a was we w³adzê fa³szywych bo¹¿ków, którym s³u¿ycie.

Kogo chcecie oszukaæ?

Boganie oszukacie.

Oszukujecie swoje dzieci.

Wpuœciliœcie do waszych domów szatana, który coraz chytrzej mami, wystêpuj¹c pod postaci¹ telewizji, kolorowych pisemek, jawnie lub skrycie pornograficznych, noi tej najnowszej zarazy, zwanej Internetem.

- Nie mówi³em?

Ten klecha po prostu zwariowa³ ze staroœci.

Radny Ognikniby tyłkomamrota³ pod nosem, ale a₂ bi³y odniegofale z³oeliwej satysfakcji.

Mia³ku temu powód.

Proboszczsam pogr¹ia³ siê w oczach parafian.

W swym zapamiêtaniu wogóle nie liczy³ siê z uczuciami ia³obników, nara₂aj¹c siê na gniewiwrogocæ wszystkich obecnych nacmentarzu, nawet tych, którzydot¹d szanowali w nim jeszcze s³ugêKoœcio³a.

Tylko Marek powtarza³ sobie nieustannie, ia₂eto przecie₂z nie jest jego sprawa.

Próbowa³ odbieraæ ten dziwnyobrzêd po prostu jako widowisko.

- Omamieni piêknymi s³ówkami szatana i oszo³omieni alkoholem, Magda iJanek z³o₂yli swe m³ode ia₂ycia na o³tarzu fa³szywychbo₂ków - nie ustawa³ Oremus.

Gdzieœ z przodu rozleg³ siê nagle g³oceny p³acz kobiecy.

Mareknie zdo³a³ d³u₂ejukrywaæ w³asnych emocji.

Zadygota³, choæwcale nie z zimna.

Karolina œcisnê³a gomocniej za rêkê.

- Jednak chod³my st¹d - powiedzia³a.

Ale on tylko potrz¹sn¹³g³ow¹.

Wbrewniemu samemu coœ gotu trzyma³o.

Teraz ju₂z chocia³ wszystko us³yszeæ do koñca.

- P³aczcie!

- zawo³a³ ksi¹dz.

-P³aczciena¹ sob¹ i waszymi duszami.

Bo to wy jeste³cie wspólnikami zbrodni, dokonanej na Magdzie i Janku.

A morderca.

Podniós³ rękę do góry i zawiesi³ g³os, jak gdyby chcia³ ca³kowicie podporz¹dkowa^æ sobie widowniê.

Uda³o mu siê.

Przycich³y nieprzyjazne pomruki, nawet szlochaj¹ca kobieta nagle zamilk³a, jakby wszyscy mieli w tym przedstawieniu wyznaczone role.

179.

- A morderca stoi tam!

Marek zamkn¹³ oczy.

Przez momentby³ pewny, że wycelowanyw mrok palec Oremusa wskaza³ na niego.

Nie wiedzia³, co zrobia^æ, jak siê zachowa^æ.

Niewariuj, próbowa³ w myœlach opanowa^æ panikê, przecie¿ to wszyskonomie ma nic wspólnego z tob¹.

Nie dzia³a³o.

Dopiero kiedy us³ysza³ dooko³a wzrastaj¹cy na nowo szmer g³osów, zrozumia³, że uwaga obecnych skierowa³a siê w inn¹ stronê.

- O Jezu!

- westchnê³a Karolina.

Odwa¿y³ siê spojrze^æ.

Ramiê Oremusa wyci¹gniête by³ow stronê cmentarnej bramy.

WzrokMarka pod¹¿y³ w kierunku,który wskazywa³o.

Na tyle szybko, żejeszcze mignê³a mu tamprzygarbiona postac Hryæki, zanim cofnê³a siê z krêguœwiat³ai znik³aw mroku.

- No, czasem i g³upiemu uda siê powiedzie^æ prawdê -
zmieni³nagle zdanie radny Ognik.

-ChodŸcie.

Karolina poci¹gnê³a go w stronêbocznej furtki.

Cie k wokó muru okrzyli cmentarz, wsam porê, byzagrodziæ drogê terenowej toyocie Jura, która w acenie wyje d a z parkingu przed koocio em.

Karolina prawie rzuci a siê przed maskê, aby temu zapobiec.

Zrobi a to tak niespodziewanie, e zaskoczony Marek niezd a jej powstrzymaæ.

Samochód rusza ostro i teraz, kiedy jegokierowca równie gwa townie nacisn hamulec, ko a wpad y w poelizg, szuraj c po wirze.

Potê ny chromowany zderzak zatrzyma siê dos ownieo centymetry przedbrzuchem Karoliny.

Hryæko wyskoczy z auta.

- Jezus, Maria, co ty wyprawiasz?

- zawo a z rozpacz.

-Tylko brakowa o, abyem jeszcze ciebie zabi.

- Nikogo nie zabiæ.

Jur!

- zapewni ago Karolina.

-Syszysz?

Nie wierz w to!

arliwoæ w jej gosie zaskoczy a Marka.

On te uwa a, e proboszcz przesadzi.

Ale nie s dzi, e Karolina a tak siê tym przejmie.

- Dziêki, ¿e to mówisz - odpowiedzia³ Hryæko znu¿onym g³osem.

- Ale chybajestecæ jedyna.

Wiêc mnie nie zatrzymuj.

Muszêst¹djechaæ.

Nikt mnie tu nie chce.

- Niepowinieneæ teraz prowadziaæ.

Jur - powiedzia³a z trosk¹.

- Odwieziemy ciê.

-To naprawdênie jestkonieczne - zaprotestowa³ Hryæko, alebez przekonania.

- Mo¿e i nie jest - zgodzi³a siê.

- Takczy siak, bêdê spokojniejsza, kiedy ciêodwieziemy.

Inaczej chyba nie mog³abym zasn¹æ do rana.

180.

Nie czekaj¹c d³u²ej, rzuci³a Markowi kluczyki od ³ady, ledwieschwyta³ je w ciemnoœci.

- Jed³cie zanami, pó³niej zabierzecie mnie dodomu.

A ty.

Jur, pozwolisz, ¿e ja poprowadzê twoj¹ piêkn¹ toyotê.

Hryæko ju¿ siê nieopiera³.

Marek poczu³ lekk¹ z³oœæ, ¿e znów zadysponowa³a jego osob¹, nie pytaj¹c go o zdanie, ale na d¹sytym razem nie by³o miejsca.

Córka na niego patrzy³a.

Pomóg³Ewie wsi¹œæ do ³ady, choæ nie by³o to potrzebne.

- S³uchaj, mo¿e lepiej zawiozê ciê do schroniska i sam wrócê pó³niej po Karolinê?

- spyta³ z niepokojem.

- Nie, nie!

Coo ty!

- zaprotestowa³a tak stanowczo, anawet z gniewem, ¿e nic ju¿ nie doda³, zaskoczony t¹ gwa³townoœci¹.

Szybko dogoni³ pozycyjne œwiat³atoyoty i ju¿ nie pozwoli³imodjechaæ.

- ¯al mi go - odezwa³a siê Ewa, jakby teraz poczu³a chêæ wyt³umaczenia siê przed Markiem.

- Taki superfacet.

- Mimo wszystko nie powinien sprzedawaæ alkoholu ma³olatom.

Tak siê to koñczy - zauwa¿y³ nieostro¿nie.

- Ojciec, co ty gadasz!

Wyobra¿asz sobie, co by by³o, gdyby imnie sprzedali?

Byliby zdolni wszystko puœciæz dymem.

- Przesadzasz - mrukn¹³ ju¿ znacznie mniej pewnie.

-To ty nic nie wiesz.

Toho³ota, wieœniak!

Wiesz, o co naprawdê posz³o?

-e katolicki post siê skoñczy³, wiêc dyskoteka ma byæ.

Polacy i katolicy siê znaleŸli!

- Ksi¹dz Oremus tak nie uczy³.

-Wiesz, gdzie oni maj¹ ksiêdza Oremusa?

Przestañ, wkurzaj¹cy jesteœ.

Nic siê nie reformujesz.

Ju¿ siê nie odezwa³.

Nie chcia³byæ wkurzaj¹cy dla swojej córki.

Dyskoteka U Jura w œwiat³ach reflektorów wygl¹da³ajak wymar³a.

Nie chodzi³o tylko o to, ¿elokal by³ zamkniêty, a œwiat³awygaszone.

Z jakiegoœ powodu wra¿enie katastrofy by³o o wielesilniejsze.

Marek dopiero po wyjœciu z samochodu zrozumia³, sk¹d siê to bra³o.

Z bliska dostrzeg³, że okna lokalu by³y od ośrodka zas³oniête wielkimi p³ytami dykty, w jednym w ogóle nie by³oszyb, a s¹siednie nosi³o celady po próbie wy³amania.

Obok ktoœ namalowa³sprayem szubienicê zpowieszonym na niej tryzubem.

- Otoi ca³e pojednanie - odezwa³ siê zgorycz¹ Hryæko, kiedywysiedli.

- Ksi¹dz Oremus os¹dzi³mnie ju¿ w niedzielê na kazaniu.

Wystarczy³o.

- Zaprosisz nas mimo wszystko do ośrodka?

- spyta³a Karolina.

- Jeœli naprawdê chcecie.

Bo jeœli chodzitylko o to, że ktoœpowiniensiêmn¹ zaopiekowaæ, to b¹dŸcie spokojni.

Nie ma takiej potrzeby.

181.

- Oczywiście, że chcemy - zapewniła tym razem żarliwie Ewa, co zdziwiło zarówno Marka, jak gospodarza.

Wnętrze nie zostało nawet posprzątanę poostatniej dyskoteci.

Marek miał czas, by je obejrzeć, kiedy Hryśko uruchamia ekspres do kawy.

Kamienie, wrzucone przez okno, musiały spaść na bufet, bo wokół niego było szkło z porzbijanych butelek.

Napis Wszystkie żywe istoty są dziećmi jednego Boga wygląda teraz na kpinę.

Ewa była wyraźnie niespokojna, rozglądała się ukradkiem, wstawała, błądziła między stolikami i przewróconymi krzesłami, znów siadała, gryzła paznokcie.

- Jur, gdzie jest Wasia?

- spytała Karolina.

- Jeszcze przedwczoraj przyszedł do siebie, na Ukrainę.

Dziwisz się?

Skorzystał z tego, że nie zabrali mu paszportu, a nie wiadomo, jak będzie następnym razem.

- Co ty opowiadasz?

Przecież nic mu nie może grozić.

- Mam nadzieję.

To nie on sprzedawał smarkaczom piwo, tylko ja.

Ale musieliście dziwić, że przestraszyli się dzielnych polskich policjantów.

Marek z corazwiêkszym niepokojem patrzy³na swoj¹
córki, poblada³¹ w s³abym œwietle barowej lampy.

- Ale chyba wróci?

- spyta³aszybko Karolina.

- Och³onie, to moŹe wróci - zgodzi³ siê Hryæko.

- Mam nadziejê.

Powinien dokoñczyæ, co zacz¹³.

Da³æe muszansê, niech j¹ wykorzysta.

- A ty.

Jur?

Chyba siê nie poddasz?

Kiedy znów utworzysz stanicê?

Pokrêci³ g³ow¹, nie patrz^{1c} im w oczy, zajêty parzeniem kawy.

- Nie otworzê.

- Wyg³upiasz siê?

Rozumiem, Źe moŹesz mieæ doææ dyskoteki.

Ale reszta?

Pensjonat, karczma, konie?

Choæby od jutra?

Nie maŹadnych przeszkód.

- Mylisz siê, s¹.

Ja jestem najwiêkszą przeszkodą - powiedzia³ Hryæko ponuro.

- Jur, co ty wygadujesz?

- szczerze przerazi³a siê Karolina.

- Wiem co.

Nie pomożę, że jestem rzymskim katolikiem.

Dajêna koæció³.

Dużo dajê.

To siê nie liczy.

A co siê liczy?

Mojeczarnepodniebienie.

- Nieprawda!

-Dlaczego?

Bo kilkoro waszych dzieci pojecha³o do Kijowa poprzezæ nasz¹ rewolucjê?

To jeszcze nic nie znaczy.

- Jak to, nic nie znaczy?

- oburzy³a siê Karolina.

-Wiem, że masz prawo byæ rozczulony.

182.

- Nie jestem rozczulony.

Po prostu przestałem mieć zżudzenia.

- Przez to, co wygaduje jeden stary ksiądz, któremu już się wszystko miesza?

Ludziomaj go już doć.

- Nie zawsze.

Kiedy wyklina na Polaków, że pij, to oni się burzą, chcą pisać do biskupa.

Ale kiedy mnie nazwa mordercą, to oni się ucieszyli, bo w głębi serca myśl tak samo.

, - Mylisz się.

Jestem pewna, że nie masz racji.

- Miśa jesteście, Karolina, że tak mówisz.

Ale sama wiesz, jak jest.

Teraz nastąpi polsko-ukraińska przyjaźń.

Na jak długo?

Już na wieki?

Dałby Bóg, ale ja w to nie wierzę.

Cóż w ludziach siedzi gdzieś tam głęboko, co z tego.

A kiedy wyjdzie na wierzch, tego nigdy nie wiesz.

- Ale ty przecież nawet nie jesteś prawdziwym Ukraińcem, Jur.

Udajesz tylko.

Chrzcieli cię przecież, w rzymskim kościele.

- I przeto sam już nic nie wiem.

Emieszne, wiecie?

Ukraińczyk Berezowej ma¹ do mnie z³o^æ, że dawa³em więcej na kośció³ni^ż na ichnow¹cerkiew.

Kabaret, co?

Ale teraz mam to już gdzieś.

Wyleczy³em się.

Wszystko mi jedno, kim jestem, nikt mnie nie będzie z tego przepytawa³.

Niepotrzebnie tylko wróci³em, zmarnowa³em trochę czasu, trochę pieniędzy.

A to by³ g³upi pomysł, powinienem wiedzieć od początku.

- Przestań!

My jesteśmy z tob¹.

Karolina upiera³a się jeszcze przyswoim, ale gasn¹ce przekonanie musiał³a nadrabiać coraz większ¹ ekspresj¹, teraz już całkiem nienaturaln¹.

Marek dostrzeg³ to od razu, a Hryško też nieby³ cęlepy ani g³upi.

- Dziękuj^ê wam za wszystko.

- Kiwn¹³ g³ow¹.

- Ale teraz wybaczcie, nie wyganiam was, po prostu jestem skonany.

Cholernie to wszystko zmęczy³o.

- Jesteœ pewny, Ÿe nic ci nie potrzeba?

- spyta³a Karolinaz niepokojem.

Marek pomysœla³, Ÿe zabrzmia³o to tak, jakbymia³a w¹tpliwoœci, czy moŸna Hryækê bezpiecznie zostawiæ samego.

Gospodarzuœmiechn¹³ siê smutno.

- Nie martwcie siê omnie.

Nie powieszê siê na strychu.

Poradzê sobie.

W Kanadzie teŸ jestpiêknie.

Atak przy okazji, gdybyœcie chcieli kupiæ tê budê, to macie pierwszeñstwo.

Popatrzylina niegozaskoczeni.

- Chyba nie s¹dzisz, Ÿe chcielibyœmyskorzystaæ na twoich k³opotach?

- odezwa³ siê tym razem Marek.

- Dlaczego?

Lepiej wy niŸ byle kto.

Mówiê powaŸnie.

Niemyœlcie, Ÿe nie mam kupców.

NajeŸdŸaj¹ mnie od miesiêcy.

PowaŸni inwestorzy, wypasieni.

Przerobi¹ wszystko po swojemu,

183.

spaskudz¹.

Więc gdybyście byli zainteresowani, to wam oddam zapo³owê ceny.

Zastanówcie siê.

Jest okazja.

- Wycepij siê, do rana przejd¹ ci te g³upie myœli -
powiedzia³a Karolina.

- Zreszt¹, co my byœmy z tym zrobili bez ciebie?

Nie mieli tu ju¿ nic doroboty.

Hryæko odprowadzi³ ich do samochodu, jakby chcia³osobiœcie
dopilnowaæ, ¿e naprawdê sobiepojad¹.

Przez chwilê macha³ imrêk¹.

Marek mimo wszystko nies¹dzi³, ¿e niezobaczy go ju¿ nigdy.

Nie przewidzia³a tego tak¿e Karolina, kiedy odezwa³a siê z za
kierownicy:

- Coza cholera!

Naprawdê mam nadzieję, ¿e siê nie wyniesie.

Kto zostanie po naszej stronie?

Jednak Hryæko znikn¹³ ju¿ nastêpnego dnia.

Resztê za³atwilijego adwokaci.

Konie posz³y do innych gospodarzy.

Psa Sobakê przygarnêli Kudasikowie.

Stanicê szybko kupilijacyœ obcy.

Wszystko to działo się pod nieobecnością Marka.

Zaraz po pogrzebie -wyjechał z "Wilczej Polany, zabierając Ewę z powrotem do Warszawy.

Musiał przekonać córkę, żeby mimo wszystko nie rzucała szkoły.

I dopilnował tego.

35

W góry udało mu się wrócić, zanim jeszcze przekwitły bardzo późnione tej wiosny czeremchy i dzikie czereśnie.

Cały poprzedni miesiąc przesiedział w Warszawie, dopóki się nie upewnił, że Ewa wróciła dorównowagi.

Nie pytał, jak poradziła sobie z dziadkami, ale nie pilnowali jej tak bardzo, jak dawniej.

Nie widywał jej codziennie, jednak dwa, trzy razy w tygodniu spotykali się, choćby na krótko.

W szkole jeszcze nikt się nie zorientował, że Ewa skończyła klasę, zanim wszystko się wyda.

Wreszcie któregoś dnia został u niego na noc.

Kiedy się trochę zdziwił, powiedziała mu tylko, że trzeba dziadków powoli przyzwyczajać.

Niepokój kazał mu wreszcie spytać, jak ich przekonała.

Był się, że jeżeli od nich po prostu uciekła, skończyła awanturę w sędzie, a tego najmniej oboje potrzebowali.

- Prostu ich nastraszyłam, że jak się będą stawiać, to po siemnastce już mnie w ogóle nie zobacz.

Zadowolili³ się tym wyjaśnieniem.

Więcej na ten temat nie rozmawiali.

W duchu tyłkopodejrzewa³, że Boguccy siedzieli cicho, bo najbardziej troszczyli się o to, żeby ci¹ Ewy jak najd³uzejukryæ przed nauczycielami z liceum.

184.

Patrz¹c przez okna autobusu na przydrożne ³1ki, ió³te od mleczy, na poprzerastane kwitn¹c¹ tarnin¹ ugory dawnych pastwiski na stoki wzgórz przes³oniête œwiei¹ zieleni¹ buków, i³a³owa³, i³enie mó³g³ zabraæ tu z sob¹ córki w³acenie teraz.

Zastanawia³ siê, jaksprostae przysz³oœci.

Na razie Ewa upiera³a siê, i³e zamieszka³z nim iKarolin¹ na Wilczym Przesmyku.

Nie chcia³a s³yszeæ opozostaniu w Warszawie, nawet do czasu rozwi¹zania.

Wola³ siê zni¹nie sprzeczaæ.

Pomyœla³, i³e jeœlidziecko bêdziezdrowe, nic niestaniena przeszkodzie, i³eby jesieñspêdzili w schronisku, a na zimê Ewa zm¹drzeje.

Tak czy inaczej, trzeba by³o przygotowaæ Górski Pa³ac na przyjêcie nowych mieszkañców.

Nie chcia³ obarczyæ tym zadaniemwy³1cznie Karoliny.

Zawdziêcza³ jej w tej sprawie ju³ wystarczaj¹co du³o.

Nawet sobienie wyobra³a³, jakprzeszed³by przez tobez niej.

Wci¹i³by³ zdumiony, jak potrafi³a dogadaæsiê z Ew¹.

Zdawa³ sobie sprawê, przed iloma b³êdami go uchroni³a.

Specjalnie przyjei³d³a³ do Warszawy, i³eby chodziæ z jego córki¹ dolekarza.

Umocni³a go te³ w postanowieniu, i³e nie powinien pytaæ, ktojest ojcem dziecka, i³e Ewa samapowinna dojrzeæ do tego wyznania.

Choæ mo³e zdarzyæsiê i tak, i³e nie dojrzeje nigdy.

Wysiad³ z autobusu w Zimnem i postanowi³ pójceæ do Górskiego Pa³acu piechot¹.

Od razu rzuci³o mu siê w oczy, że drogaprzezwiecema nowy, g³adki asfalt, który przykry³ pozosta³e po zimiedziury istare, byle jakie³aty.

Jednak szed³ pogr¹żonyw mycelachi w pierwszej chwili nie zauważy³, że asfaltowy dywaniknie kończy³ siê już, jak poprzednio, zaraz za zdewastowanymi budynkami dawnej spółdzielni rolniczej.

Wreszcie spojrze³ przed siebie i zobaczy³, że kamienista droga znik³a, czarny pasci¹gn¹³ siê teraz aż do szczytu pierwszego wzniesienia za nim.

Zakl¹³ na g³os, przyspieszy³ kroku.

Z garbu zobaczy³ w oddali maszynę k³ad¹c¹asfalt i kręc¹cych siê wokół ludzi.

Pracy dogl¹da³ pracownik z gminy, ten sam elegant, który jesieni¹kierowa³ remontem szamba w Górskim Pa³acu.

On pierwszy na widok Marka odezwa³siê:

- No i co pan powie, panie ministrze?

Doczeka³a siê Wilcza Polana okna na Europę.

Marek zacisn¹³zęby, jak zawsze ostatnio, kiedy ktos nazywa³go ministrem.

- Będziecie ci¹gn¹æ asfalt przez Wilczy Przesmyk?

- spyta³z ponurym przekonaniem, że oto spełnia siê czarny scenariusz.

- Niestety.

- Tamten westchn¹³ ob³udnie.

-Przez Zimn¹ Prze³êcz, chocia¿ to wyjdzie dro¿ej.

Widac w³aceticiele Montany lepiejza³atwiali.

185.

- W³acéciciele czego?

-No, tej knajpy, co j¹ sprzeda³ ten Ukrainiec.

Teraz siê nazywa Montana, nie wiedzia³ pan?

Amerykański szyk.

Nie wyprowadza³ swego rozmówcyz b³êdu; elegant i tak nieuwierzy³by, że moŹna nie chcieæ asfaltu aŹ pod same drzwi.

NajwaŹniejsze by³o, że droga przez Wilczy Przesmyk ocala³a.

Wieczorem rozmawialio tym z Karolin¹.

- Uratowa³o nas to, że ciaferzyœci dali komuœ w ³apê - podsumowa³.

-Wyroki losu s¹niezbadane.

Potem trochêposprzeczali siê o to, czy Michaluk powinien zamieszkaæ u nich i zaj¹æ siê remontem szopy przed zim¹.

Ukraiñiec zaryzykowa³ iwróci³niedawno do pracy w stacji badawczej.

Policja wci¹Ź nic konkretnego na niego nie mia³a, a powyŹdzie Hryæki sprawa pechowej dyskoteki przysch³a.

Mareknie by³ zachwycony pomys³em, żebyWacœka krêci³ siê po GórskimPa³acu.

Nie mia³nic przeciw temu, żeby ch³opak trochê dorobi³sobie na lewo, jeœli Karolinie wci¹Ź tak natym zaleŹa³o.

Ba³siêtylko, że na tym siê nieskoñczy.

Na razie Michaluk mieszka³k¹tem w Zimnym Dole, ale na d³uŹsz¹metê nie by³o to wygodne.

Karolina już kilkakrotnie wspomina³a, niby mimochodem, że jej celimaj¹ utworzy^æ schronisko dla gości, trzeba pomyśle^æ o znalezieniu jakich^æ zaufanych pracowników.

I że dobrze by³oby mia^æ konie, bo to teraz modne.

Powinni więc poszuka^æ kogo^æ, kto by si^æna nich zna³.

Do tej pory Marek nie reagowa³ na aluzje Karoliny albo obiecywa³, że pomyśle^{li} o tym, kiedy już b^êdzie mia³ g³ow^êwoln¹ od innych k³opotów.

Teraz chyba postanowi³a dzia³a^æ bardziej aktywnie, trochę poza jej polecami.

Pretekstem sta³a si^æ stara szopa, któr¹ da³oby si^æ przerobi^æna prowizoryczn¹stajni^ê.

Okaza³o si^æ, że Michałuk pod nieobecno^æ Marka zaczą¹³ już co^æ przy niej robi^æna proce^bê Karoliny.

Pomóg³ też dokończy^æ remont kilku pokoi napi^êtrze, które dzi^êki temu nadawa³y si^æ teraz do zamieszkania.

- Mog³æ chociaż zadzwoni^æ - obruszy³ si^æ Marek.

- Rozumiem ci^ê.

- W jej g³osie pojawi³a si^æ nutka gniewu.

- Wiem, że wola³by^æ nie mieszka^æ z Ukraińcom pod jednym dachem.

- Zwariowa³æ?

Co ty wygadujesz!

Oczywi^æcie, że niechodzio jego narodowo^æ.

- Oczywiście, że tak.

Nie przejmuj się, wszyscy to mamy, jedni mniej, drudzy więcej.

I to jest właściwie powód, żeby Waciek przyjął.

Bo jak inaczej się tego pozbyć?

Pięknego jest trwać krótko i wszystko wraca do normy.

186.

- Jeżeli tak do tego podchodzisz.

- Nachmurzy się.

- Tylko niezapominaj, że ma tu zamieszkać młoda kobieta.

- A ty, oczywiście, wierzysz, że Waciek jest wampirem, jak sobie wymyślili nasi genialni policjanci?

Ta wymiana zdań trwa już za długo, znów poczuł się zmęczony.

- No dobrze, może masz rację.

Na próbę.

Przecież nie pokłócimy się dzisiaj z jego powodu.

Powiedział toz nadzieją, że może za jakiś czas sprawa sama się jakoś rozwiśnie.

Teraz nie miał do niej cierpliwości, chciałby zająć się już czym innym.

Z Karoliną nie widział się przecież od dwóch tygodni.

Ona musiała pomyśleć to samo.

- Widzisz, teraz mówisz do rzeczy - powiedział i przysunął się bliżej.

Przez następne dni Marek z rosnącym niesmakiem obserwował zmiany, jakie zachodziły w okolicy.

Karczma w Tokarni pod rzekami nowych właścicieli zamieniła się w miejsce dla ludzi pieniędzy.

Wszystko wskazywało na to, że nie chcieli oni między sobą obcych.

Ceny wprowadzili zaporowe, a mimo to ich strona internetowa nieodmiennie informowała, że wolnych miejsc nie ma już do końca roku.

Na granicach posiad³oœci pojawi³y siê tablice: "Teren prywatny!

Nieproszeni goœcie nie bêd¹ mile widziani".

Za to sami okazali siê uci¹liwymi s¹siadami.

Pozbyli siê koni, ich ulubionymi pojazdami by³y quady.

Ryk czteroko³owc³o ka³dej porze dnia i nocy rozlega³ siê teraz w cichej dawniej dolinie.

Pod koniec maja, kiedy po³o³ono ostatniemetryasfaltu, ³¹cz¹c obie doliny przez Wilcz¹ Polanê, zrobi³o siê jeszcze a³aeliwej.

Kierowcy szybko odkryli nowy skrót.

Na szczêœcie Górski Pa³ac wci¹li pozostawa³ trochê na uboczu.

Marek nie poczu³ siê wiêc nawet zbyt wytr¹cony z równowagi, kiedy w koñcu zamieszka³z nimi Michaluk.

Nie by³ uci¹liwymwspó³mieszkañcem.

W stosunku do Marka zachowywa³ siê grzecznie, ale wyra³nie schodzi³ mu z drogi.

Przyje³d³a³ z Zimnego Do³u razem z Karolin¹, a potem znika³w szopie.

Chcia³ tam nawet spaæ.

To Karolina zmusi³a go, ³eby wprowadzi³ siê do jednego ze œwie³o wykoñczonych pokoi.

Upar³a siê tak³e, ³eby wieczorami jedli razem posi³ki.

Marek pogodzi³ siê z jej decyzj¹, trudno by³oby zachowaæ siê inaczej, choæ by³y to trudne chwile dla nich obu.

Marek stara³ siê okazywaædobr¹ wolê, próbowa³ nawet zagadywaæo konie, na którychsiênie zna³.

A¿ któregoæwieczoru Michaluk spyta³go niespodziewanie:

- Apanna Ewa to nie przyjedzie na wakacje do pana?

187.

Zanim ogarn¹³ go gniew, poczu³ lekkie rozbawienie, bo od latnie s³ysza³,
¿eby ktoœ tak mówi³.

Jednak to, ¿e Ukrainiec interesowa³ siê jego córka¹, wcale go nie bawi³o.

- Czemuto panainteresuje?

- spyta³sucho.

Michałuk zmiesza³ siê, spuœci³ oczy, ale z jego zaciêtych warg Marek
znów odczytywa³ wrogoœæ.

- Ja pomyœla³em, ¿e kiedy w stancy ju¿ nie ma koni, to ja
bymmóg³ koniepo¿yczyæ ze stadniny w Wo³osatem, panna Ewa by
mog³a siê dalej uczyæ.

Ja nie biorê drogo, pan wie.

Zapewne uwa¿a³ siê za niezmiernie chytrego, udaj¹c, ¿e chodzimu
po prostu o dorobienie paru groszy.

Tymczasem zdradzi³ siê to podwójnie.

Marek ucieszy³ siê przynajmniej z jednego.

Ukrainiec najwyraŹniej nie domyœla³ siê nawet, ¿e Ewa spodziewa³ siê
dziecka.

Marek mia³ nadzieję, ¿e tego odstraszy.

Wyobrazi³ sobie niedalekie spotkanie tych dwojga.

By³ przekonany, ¿e ch³opak ucieknie, kiedy tylko zobaczy brzuch Ewy.

Albo przynajmniej bêdzie siê potem trzyma³ od niej z daleka.

Marek wiedzia³ przecie¿ a¿ zadobrze, jak tacy smarkacze boja¹ siê
dziewczyńskich ci¹.

- Jeżeli Ewa zechce.
- zawiesi³ ob³udnie g³os.
- To ona przyjedzie?
- Wac³kanie umia³ ukryæ radoœci.
- No, przyjedzie, przyjedzie.

Nawet nie ca³kiem sama.

- Ostatnie zdanie wymrucza³ pod nosem.

Uda³, ¿e nie dostrzega wyrzutów oczach Karoliny.

36

Nic nie zapowiada³o katastrofy, kiedy oboje wyje¿d¿ali do Warszawy po Ewê.

Marek pogodzi³ siê nawet z tym, ¿e Wac³ka zostanie sam w Górskim Pa³acu.

Nie móg³ zaprzeczyæ, ¿e opaki siê przydawa³.

Bez sensu by³oby go nie wykorzystae, skoro samo to prosi³.

Wkrótce i tak mia³ znikn¹æ z ich ¿ycia.

K³opoty zaczê³y siê od tego, ¿e popsu³a siê³ada.

Odmówi³a pos³uszeñstwa po œrodku wsi i nie by³o sposobu, ¿eby j¹ uruchomiæ.

Wreszcie Karolina wezwa³a na pomoc Wariata, który kwadrans póŹniej przyjecha³ na motocykl i orzek³, ¿e popsu³a siê pompapaliwa.

Zapewnia³, że sam j¹ może naprawiać, ale trzeba by³o przywieść z Sanoka potrzebne części, a sklep zamykano za godzinę.

Chwilę zastanawiali się, co dalej robić.

Następnego dnia Karolina by³a umówiona w Warszawie z promotorem swego doktoratu, miała też pójść z Ew¹ do lekarza.

Postanowili w końcu, że ona za 188.

bierze siê z Wariatem do Sanoka i pojedzie nocnym poci¹giem, a Marek zaopiekuje siê samochodem i do³czy do niej nazajutrz.

Uznali, że tak bêdzie na jroz¹dniej.

Czeka³ d³ugo, a ci¹gaj¹c nieco z³oœliwe spojrzenia przechodz¹cych drog¹ miejscowych.

Wreszcie usiad³ ty³em, że byna nich niepatrzeæ.

Nie odwróci³ siê, kiedy us³ysza³ za sob¹ zatrzymuj¹cy siê samochód.

Dopiero kiedy us³ysza³ ciche:

- Szczêœæ Boże.

Ksi¹dz Dawidowicz sprawia³ wrazenie zmêczonego.

- Obawiam siê, że tym razem nie moze ksi¹dz pomóc- ucemiechn¹³ siê Marek.

- W ogóle już niewiele mogê.

- Kap³anodpowiedzia³ nieweso³ym skrzywieniem warg.

- Zobaczy³em pana ichcia³em siê pożegnaæ.

Przenosz¹ mnie.

Marek nie zdziwi³ siê.

- A wiêc Jurek Hryæko mia³ racjê- pokiwa³ g³ow¹.

- Ksi¹dzteż okaza³ siê zadobry na tê okolicê.

- Ksi¹dz jest jak że³nierz.

- Dawidowicz roz³oż³y³ rêce.

- Niewybiera sobie ani prze³oż³onych, ani podw³adnych, ani wrogów.

Ale niech pan tak nie mówi.

Todobra okolica.

Mam nadzieję, że państwo stąd nie uciekną.

- Mimo że żyjemy w grzechu?

- Ciekawi Pana s'niezbadane.

Może jest w tym jakiś plan, skąd pan wie?

W każdym razie będę się.

-Przerwa³, ucemiechn¹³się tym razem jakby przekornie.

- Będę trzyma³ kciuki, żeby państwo wytrwali.

W³aciewie nie zd¹żyli się nawet poznać, Marek do kościo³aniechodzi³, a mimo to, kiedy stary mercedes księdza znikn¹³ za zakrętem, poczu³, że też poniós³ jak¹oś stratę.

Dopóki Dawidowiczpracowa³ w parafii, zawsze by³a nadzieja, że coś sięmoże zmieniać.

Wariat przywióz³ z Sanoka nie tylko części do pompy, ale także dwie grzewki piwa, więc z napraw¹ zesz³o im teraz do późnego wieczora.

Marek stara³ siępię jak najmniej i próbowa³ pomagać Wariatowi, na ile potrafi³.

Przekona³ się, że dawna niechęć muzyka do niego zupełnie znik³a.

- Wiesz, chyba jestem ci winien przeprosiny - odezwa³ się Wariat, wycieraj¹c ręce w szmatę, kiedy już skończyli pracę, a silnik³ady wreszcie zapali³.

-A to zaco?

-zdumia³ siê Marek.

- Zwracam honor, myli³em siê.

• le ciê ocenia³em.

S¹dzi³em, że to ty chcia³ece nas uszczêeliwiæ asfaltem i zrobiaæ biznes na Górskim Pa³acu.

- Naprawdêna to wygl¹da³em?

189.

- A kto to mógł³ wiedzieæ?

By³æe kiedyæ politykiem, mo¿na siêby³o po tobie wszystkiego spodziewaæ.

- Gdybym mia³ takie wp³ywy, jak ci siê zdawa³o, na budowê drogi przez Zimn¹ Prze³êcz te¿ bym nie pozwoli³.

Jak widzisz, niemam.

- Szkoda.

Szlag mnie trafia na to, co siê tu teraz dzieje.

Wszêdzie pe³no ho³oty.

A co bêdzie w lecie?

Markowi nie œpieszy³o siêz powrotem, tym bardziej ¿e w Górskim Pa³acu czeka³ na niego tylko Michaluk.

Siedzia³ wiêc jeszcze d³ugo i gada³z Wariatem, traktuj¹c to jako oznakê ostatecznegopojednania.

Stara³ siê tylko kontrolowaæ picie.

Opró¿ni³jeszcze jedn¹ puskêpiwa, natym poprzesta³.

Muzyk w tym czasie poradzi³ sobie reszt¹, jêzyk mu siê coraz bardziej rozwi¹zywa³.

- Wiesz, jest jeszcze jedna rzecz, za któr¹ muszê ciê przeprosiæ - powiedzia³ wreszcie, lekko ju¿ be³kocz¹c.

-No?

- Co do ciebie i Karoliny te¿ siê myli³em.

-Nieprzejmuj siê, nie tylko ty.

Rozstali się dopiero po jedenastej.

Szosa nawet o tej porze niebyła jeszcze pusta, więc za kierownicą Marek miał uwagę napiętą jak nigdy.

Wreszcie zjechał z asfaltu i dopiero wtedy znalazł się sam na drodze.

Przy kapliczce na skraju lasu zatrzymał się.

Musiał trochę odprężyć.

Otworzył okno.

Noc była awidna i doścaciepła, chciał pobyt jeszcze trochę sam.

Przez chwilę miał ochotę zadzwonić do Karoliny, doszedł jednak do wniosku, że w poćui taknie będzie mógł swobodnie rozmawiać, i zrezygnował.

Siedział tak może kwadrans, kiedy wydało mu się, że usłyszał dolatujący z góry warkot silnika.

Zdziwił się, kto mógł jeździć tejporze po Wilczym Przesmyku.

W Górskim Paćacu nie spodziewał się przecięć żadnych gości.

Mógł to być tylko jakiś zabłąkany turysta, jeden z tych, którzy uwierzyli mapie i lekkomyślnie zapuścili się w tę drogę od strony Berezowej.

Choć niewidział światła za drzewami, postanowił poczekać, aż ten ktoś wyjedzie z lasu, żeby nie ryzykować mijania na najwęższym odcinku.

Przez następne dziesięć minut nikt się nie pojawił.

To, co widać za odgłosu motoru, dawno ucichło.

Pomyślał, że się przeszywa.

Przekręcił kluczyk, powoli ruszył pod górę.

Ujechał może kilometr.

Na dłuższym prostym odcinku jego reflektory wydobyły wreszcie z mroku kształt dużego, ciemnego samochodu, który zagradza drogę kilkadziesiąt metrów dalej.

W tej samej chwili niemal odepł.

Ktoś z tamtego auta wyczył długie światła i dodatkowo 190.

wo jeszcze chyba przeciwmgielne.

Ich blaskby³ porażaj¹cy, niewidzia³ przed sob¹ nic oprócz tej jasności.

W pierwszej chwili s¹dzi³, że ktoś wtamtysamochodzie tylko zasygnalizowa³ swój¹ obecność.

Zatrzyma³ się dostatecznie daleko, żeby zostawić nieznajomemu miejsce na manewr, i b³ysn¹³swoimi świat³ami.

Przez d³ug¹ chwilę nic się nie dzie³o.

Reflektory z przeciwkawci¹ że go oślepią³y.

Co jest, do cholery, pomyśla³, usuń się, gnoju, na bok.

Jeszcze niemia³ zamiaru ust¹piąć tylkodłatego, że tamten by³ większy imia³ mocniejsze halogeny.

Zjeżdża³ z góry, więc powinien zrobić miejsce, takie w końcu by³y zasady.

Tym bardziej że Mareknie mia³ gdzie uciec, nawet gdybychcia³.

Już mia³ zamiar wysi¹ść i powiedzieć Źle wychowanemu kierowcy, co onim myśli, kiedy duży samochód ruszy³ środkiem drogi.

Zbliża³ się powoli, lecz nieub³aganie.

Marek uświadomi³ sobie nagle, że jeżeli zechce go staranować i zepchn¹ąć z drogi, on nie będzie mógł³ na to nic poradzić.

W następnej chwili przysz³o mu dog³owy, że w obcym samochodzie mog¹ siedzieć k³usownicy.

Nie jacyś wieśniacy z obrzynami, ale ci, którychostatnio kr¹ży³y pog³oski, że przyjeżdża¹ drogimiautami, uzbrojeni w sztuczeryz noktowizorami i nie boją¹ się nikogo.

Mówiono, że na południu Bieszczadów strzelali już nawet dostrajników parku narodowego.

Marek niewiedzia³, czy te plotki by³y prawdziwe, ale nagle przesz³a mu ochota, żeby je sprawdza^æ.

Nie mia³by szans.

Zreszt¹, nawet k³ótnia ze zwyk³ym chamem też mog³aby się dla niego Źle zakończy^æ.

Nie tylko wci¹ż nie mia³ jeszcze prawa jazdy, ale terazby³ w dodatku po dwóch piwach.

Wola³ nawet niemy^æle^æ, co mog³oby z tego wynikn¹æ.

Wrzuci³ wsteczny bieg, odwróci³ się przez oparcie fotela i zacz¹³ zjeżdż^æ ty³em.

Tamtenjecha³ zanim, utrzymuj¹ cwci¹ż równy dystans, oświetlaj¹c las dooko³a tak wyraŹnie, że Marek niemia³ najmniejszych trudności z utrzymaniem się nadrodze.

Przyspieszy³ nawet, żeby prędzej mie^æ to za sob¹.

Wreszcie zjecha³ znowu na placyk przed kapliczk¹.

By³ ca³y rozdygotany, nie tyle ze strachu, ile ze wstydu i z³o^æci.

Ros³a w nim ch^æ, żeby mimowszystko niepu^æcia^æ tego draniowi p³azem.

Zgasi³ reflektory, a kiedy duży samochód min¹³go, wyskoczy³ i próbowa³ odczyta^æ jego numery.

Jednak tablica rejestracyjna by³a dok³adnie pokryta b³otem.

Ten w ^ærodku na pewno zrobi³ to celowo.

Od ty³u Marek nie rozpozna³ nawet marki.

Bezradnie patrzy³, jak pozycyjne œwiat³a nieznajomego oddala³y siê coraz szybciej.

Kilkanacie minut póŹniej podje¿d¿a³ podGórski Pa³ac wœciek³y na ca³y œwiat.

By³ ju¿ w ogrodzie, kiedy smugê œwiat³a prze191.

bieg³ jak^o cień, kryj¹c siê w ciemnoœci za schroniskiem.

Wysiad³szybko, ale teraz nikogo juŹ niewidzia³.

- Kto tam jest?

- krzykn¹³, nie zwaŹaj¹cjuŹ na nic.

-Nie kryjsiê, do cholery!

Wy³aŸ, gnoju!

Odpowiedzia³o mu tylko echo, jakby by³ bawi¹cym siê dzieckiem.

W tej samej chwili zauwaŹy³, Źe drzwi schroniska by³y uchylone.

Wszed³ do œrodka i zapali³ œwiat³o, nie zachowuj¹c ostroŹnoœci.

Sprawdzi³wszystkie pokoje, nie trafi³ na nic niepokoj¹cego.

Us³ysza³ jak^o ha³as na zewn¹trz.

Wybieg³z powrotem na schody.

- Wasyl!

- Zawo³a³.

-Michaluk!

Cisza.

W szopie, gdzie Ukrainiec wci¹Ź czasem sypia³, by³ociemno.

Marek zbliŹy³ siê, zastuka³ piêœci¹ w œcianê.

- Michaluk!

Odezwi¹j siê!

Jesteœ tam?

-Tutaj.

Ch³opak wy³oni³ siêz drugiejstrony schroniska.

Sta³ terazw smudze œwiat³a z werandy i s³ania³siê na nogach.

Pierwsze, coMarkowi przysz³odo g³owy, to ¿e Ukrainiec zachorowa³ albo zosta³ zraniony.

Z bliska zorientowa³ siê, ¿e by³ po prostu pijany.

- Co ty wyprawiasz, Michaluk!

Uciekasz przede mn¹?

- Ja nie wiedzia³, ¿e to pan w³œciciel - zabe³kota³ Wasyl.

- Jamyœla³, ¿e pan ju¿ w Warszawie.

Marek przygl¹da³ siê Wasylowi zdumiony,bonigdy wczœniejnie widzia³ gow takimstanie.

Nie zdarza³o siê, ¿eby Ukrainieckiedykolwiek wyp³ wiêcej ni¿ symboliczny kieliszek wina.

Wszystko to wygl¹da³o bardzo dziwnie.

Ch³opakmusia³ byæ bardzo zdenerwowany, Marekju¿ dawno zaobserwowa³, ¿e w³œniewtedyzapomina³ o odmianie polskich czasowników.

- Co z tego, ¿e nie wiedzia³œœ?

Przedkim ucieka³œœ, co?

Myœla³œœ, ¿e to kto?

- Ja nie myœla³,ja przestraszy³ siê.

-Czego?

- Po prostu.

Przestraszy³ siê i ju³.

- To tak pilnowa³æ schroniska?

Zostawi³æ drzwi otwarte i uciek³æ?

- Ja przepraszam.

To by³o ze strachu - powtórzy³ swoje t³umaczenie.

- Ja nie wiedzia³, ¿ewróci pan.

- Trzeba by³o odbieraæ telefony, toby³æ wiedzia³.

Po to zosta³æ.

- Ja nie s³ysza³, spa³- pl¹ta³ siê coraz bardziej beznadziejnie.

Przez chwilê Marek chcia³ powiedzieæ mu coæ naprawdê
nieprzyjemnego, ale przesz³o mu nagle.

Machn¹³ rêk¹.

- To id³ i œpij dalej.

Lepiej, ¿eby³ cię nie patrzy³.

Noc¹ mêczy³y go sny, z których zapamiêta³ tylko jeden.

By³a zima, tropi³ na nartach wilka, który co chwila przystawa³ i
odwraca³

³eb, a kiedy juŹ mia³ go dopaœæ, znów odskakiwa³.

Jakbyzwozi³ go z rozmys³em, wci¹ga³ w jak¹œ pu³apkê.

Z pocz¹tku zdawa³o musiê, Źe by³ dzieñ, szary i bez s³oñca, póŹniej okaza³o siê, Źe to noc.

Nagle wilk znikn¹³, a z przodu zapali³o siê oœlepiaj¹ce œwiat³o, jakby samochodowychreflektorów.

Zaraz potem od tamtejstronypad³y strza³y.

Na tle bia³egoblasku widzia³ czerwone rozb³yski.

Próbowa³ uskoczyæ w bok, za drzewa, ale nogi grzêz³y w g³êbokimœniegu.

Zanim go trafili, obudzi³ siê.

Nie zasn¹³ aŹ do œwitu.

Wsta³, ledwosiêrozwidni³o.

Nie mia³ najmniejszej ochoty znów ogl¹daæ Ukraiñca.

Umy³ siêtylko szybko wwiadrzeprzy studni, wsiad³ do ³ady i pojecha³.

Samochód zostawi³ na parkingu przed dworcem w Sanoku.

Wypi³ w bufecie byle jak¹porann¹ kawê i wsiad³ w pierwszyautobus odjeŹdŹaj¹cy w stronêRzeszowa.

W ten sposób zd¹Źy³ na poranny ekspresdo Warszawy.

37

Spotkanie z córk¹ trochê go uspokoi³o.

Wiadomoæ,æ,æ Michaluk zamieszka³ w Górskim Pa³acu, Ewa przyjê³a obojêtnie.

Nibysiê ucieszy³a, mruknê³a nawet jakieæ "Super!

", ale bez prawdziwego zaangażowania.

Pomycela³,æ nie potrafi³aby aæ tak udawaæ.

Ukrainiec najwyraŹniej by³ dla niej jednak tylko ulubionym instruktorem jazdy konnej, który jakoæ tam jej imponowa³, ktôregolubi³a, ale to wszystko.

Marek uzna³, æ siê pomyli³, wczesniej by³niepotrzebnie przewraæliwiony.

Nie by³ to jednak koniec k³opotów z Wasylem.

Nastêpnednia, krótko po tym, jakKarolina wróci³a z Ew¹ od lekarza z kolejnego badania kontrolnego, odezwa³ siê jej telefon.

Marek przygl¹da³ siê zniepokojem, jak twarz Karolinyzmienia³a siê wtrakcie rozmowy.

Roz³czy³a siê ispojrza³a na niego dziwnie.

- O której wyjecha³eæ wczorajz domu?

- spyta³a.

- Blydym æwitem.

Dlaczego?

- Nic nie zauwaæy³eæ?

-Nie - sk³ama³.

-A cosieæ sta³o?

- Chyba nic dobrego.

To by³mój ojciec.

Aresztowali Waœkê.

Opieczêtowali Górski Pa³ac.

W tej samej chwili Ewa wysz³a z ³azienki w szlafroku, z g³ow¹owiniê¹ rêcznikiem.

Tylko na ni¹ spojrz³ï ju¿ wiedzia³, ¿ewszystko s³ysza³a, choæ nie odezwa³a siê ani s³owem.

Nie by³osensu udawaæ.

- Coznowu narozrabia³?

- spyta³.

193.

- Nie mam pojęcia - ucieła Karolina, a on poczuł, że nie powiedział prawdę.

- Ojciec nie chciał się wdawać w szczegóły, ale coś mi się zdaje, że tonie taka bohaterka, jak poprzednim razem.

Przypomniał sobie, w jakim stanie znalazł Ukrainca poprzedniej nocy.

Pomyślał, że widocznie policja od początku miała rację, podejrzewając go o złe zamiary.

- Wszystkimi samo wyjaśnieni, jak wtedy - powiedział tylko poto, żeby uspokoić córkę.

- Miejmy nadzieję - powiedział Karolina.

- Mimo wszystko myślę, że powinniśmy tam być jak najszybciej.

- Masz rację - zgodził się.

- Ewa poczeka na nas w Warszawie jeszcze parę dni, prawda, córka?

- Nie ma mowy - przerwała mu córka roztrzęsionym głosem.

- Pojedziemy wszyscy.

- Ewka, powinna dokończyć badania - powiedział Karolina, ale bez przekonania.

- W Sanoku też są lekarze.

Nie zostanie tu.

Marek chętnie by jeszcze protestował, ale czuł, że to nie miałooby sensu.

Ewa jakby dopiero teraz rzuciła maskę.

Jego niepokój powróci³.

Teraz jednak przede wszystkim musieli się dowiedzieć, co tam się naprawdę sta³o.

Najlepszym informatorem, jeżeli chodzi³ o policyjne śledztwa w całym kraju, był oczywiście Filip Bergerz "Polityki".

Znali go oboje z dawnych czasów, Marek bardzo mu kiedyś pomógł³, kiedy jeszcze miał³ możliwości.

Teraz przyszedł³ czas rewanżu.

Zostawili Ewę w domu, wezwali taksówkę przez radio-taxi i pojechali prosto na S³upeck¹.

Mieli tyle szczęścia, że zastalili dziennikarza w redakcji.

- A co ja z tego będę miał³?

- spytał³ Berger, dając do zrozumienia, że chętnie się zrewanżuje, ale nieca³kim bezinteresownie.

- Ten zatrzymany to obywatel Ukrainy, syn poety i działacza Jewhena Michaluka ze Lwowa.

Na pewno znów aresztowali go bez powodu, po prostu od jakiegoś czasu uwzieli się na niego.

Trzeba go bronić.

Zrobisz to pierwszy, będziesz miał³ pięć minut we wszystkich mediach - przekonywała Karolina.

Marek nie zaprotestował³, choć dręczyły go ponure myśli.

Dziennikarz tymczasem poszukał³ czegoś w Internecie, pokręcił³ tajemniczo głowę¹, gdzieś zadzwonił³, wreszcie wrócił³ do nich.

- Dobra, spróbujê.

Mam pewne wejœcia napolicji wRzeszowie, mo¿e coœ przew¹cham.

Rozumiecie tylko,¿e nie mogê tegorobiæ publicznie.

Zaczekajcie na mniew Sobieskim, co?

Wszystko to podoba³o siê Markowicoraz mniej.

Czekaliw hotelowym barze przy placu Zawiszy mo¿e trzy kwadranse,
udaj¹c,

194.

że pij¹ koniak.

Oboje odwykli od warszawskich cen i teraz wyda³y im się po prostu nieprzyzwoite, alkohol z trudem przechodzi³im przez gard³a.

Wreszcie dziennikarz pojawi³ się w drzwiach z min¹ nieobiecuj¹c¹ nic dobrego, więc Marek niechętnie zamówi³ trzeci¹ lampkê.

- To, o czym mówicie, œmierdzi- zacz¹³ Berger, nie próbuj¹ckluczyæ.

- Nie wiem, czy powinienem się za to braæ.

Zadzwońcie znówu, jak dojedziecie na miejsce, i wtedy się zastanowimy.

Streœci³ im krótko, czego się dowiedzia³ swoimi kana³ami.

Poprzedniego popo³udnia w lesie niedaleko Wilczej Polany znaleziono nagie zw³oki m³odej kobiety.

Dzień wczœniej wysiad³az autobusu w Zimnem i zadzwoni³a do ludzi, u których zamówi³akwaterê, że jest w drodze.

Potem znik³a.

Do wieczora nie pojawi³a się, a jej telefonicznie odpowiada³, więc gospodarz zadzwoni³ na policjê.

Obiecali, że się rozejrz¹, ale chyba nie zd¹¿yli nawet zaczą¹æ poszukiwañ.

Kilkanœcie godzin póŹniej cia³o znaleŹli grzybiarze w ca³kiem niespodziewanym miejscu, niedaleko drogi na Wilczy Przesmyk.

Kobieta zosta³a zgwa³cona, nie by³o tylko jeszcze pewnoœci, czy przed œmierci¹, czy dopiero potem.

W pobli¿u zw³ok nie natrafiono na ¿adne rzeczy zabitej.

Ktoœ je bardzodok³adnie usun¹³.

Policyjny pies podj¹³ trop, który doprowadzi³ go prosto do Górskiego Pa³acu.

Policjanci, którzy nareszcie mieli powód, ¿eby dopaœæ Michaluka, rzucili siê na niego z broni¹, obalili na ziemiêi skuli.

Potem, g³odni szybkiego sukcesu, koniecznie chcieli wydobyæ z niego przyznanie siê dowiny.

Nie uda³o siê.

Ukrainiec przysiêga³, ¿e nie mia³ z tym nic wspólnego, a ko³omiejsca, gdzie le¿a³y zw³oki, przechodzi³ wczœniej wiele razy, tropi¹c wilki.

- Zdaje siê, ¿e to niez³y numer, ten wasz znajomek.

- Dziennikarz pokiwa³ g³ow¹, pocieraj¹c³oni¹ szczêkê pokryt¹ kilkudniowym zarostem.

- Co ty wygadujesz!

Wasia?

- oburzy³a siê Karolina.

- Wasia, Wasia - przedrzeŹni³j¹ Berger.

- Na waszym miejscubym tego nie nag³acenia³.

Na pewno nie przys³u¿ycie siê w ten sposób pojednaniu.

To jakieœ furiat, ten wasz Ukrainiec.

Stawia³opór, znokautowa³ policjanta.

We trzech nie mogli mu daæ rady.

Mój informator jest pewny, że to on zabił tę biedaczkę.

Może nieumyślnie, wystarczyło, że w takiej furii uderzył jej głowę o coś twardego.

- Filip, oni kłamali!

- Kłamali?

Bardzo wątpię.

Zrobili błąd, bo myśleli, że jak smarkacz przycisną, to szybko pęknie, a on się okazał twardy.

Ale się nie mylił.

Zabił, założył się.

195.

- Taki jesteœ pewny z odleg³oœci trzystu kilometrów, po jednym telefonie?

-Znam Ÿycie.

S³uchajcie, powiemszczerze, to nie jest temat dla mnie.

Chwa³a niewielka, a smród duży.

Nie powiem, moŸnaz tego wykroiaæ zgrabn¹ sensacyjkê, ale jeœliwam na tym zależy, to powinniœcie pójeæ raczej do "Super Expressu".

- A Ÿebyœ wiedzia³, Ÿe pójdziemy - rzuci³a ze z³oœci¹ Karolina.

-Proszê bardzo - nad¹sa³ siê Berger.

- Bêdziecie Ÿa³owaæ.

Marek zauważy³, Ÿe dziennikarz zap³aci³ przywyjœciu za swój koniak.

- Patrzcie, jaki honorowy.

Nie da³ siê skorumpowaæ - rzuci³szyderczo.

- Nie musimynikogo korumpowaæ.

Mamyracjê - wziê³a tonadspodziewanie serio.

Na Pragê postanowili wróciæ kolejk¹.

Kilkanacie minut czekali na peronie przystanku Warszawa Ochota.

Marek nie mó³och³on¹æ.

Bez przerwy myœla³ o tym, w jakim stanie znalaz³ Michaluka, kiedy niespodziewanie wróci³ do Górskiego Pa³acu.

Czu³gniew, nieokreœlony lêk przed tym, co jeszcze mog³o siê wydarzyæ, ale przede wszystkim wielki zawód.

Mia³ wrażenie, że zosta³oszukany przez wszystkich, a najbardziej przez Karolinę, którą wci¹ł mu wmawia³a, że Wasia to taki porz¹dny ch³opak.

- Musimy dzia³aæ.

- Karolina nie wytrzyma³a bezczynności.

- Wiesz co, zadzwoń do tego swojego.

senatora.

Naprawdę bardzo jej zależy, jeżeli zdecydowa³a się poprosić o pomoc Miko³aja.

Odk¹d razem mieszkali, prawie nigdy nie rozmawiali o Kiedroniu.

Marek skrzywi³ się

- Dlaczego do niego?

- On będzie wiedzia³, do kogo się zwrócić, żeby ruszyć sprawę.

- Wci¹ł jesteście przekonana, że powinniemy się w to zaangażować?

- spyta³, się na spokoj.

- Przecież Wasia tego nie zrobi³, nie rozumiesz?

- Jeżeli czegoś nie rozumiem, tego, sk¹d w tobie taka pewność.

- Znamgo.

- Może nie doćać dobrze.

Obudź się!

Kogo ty bronisz?

- A ty jesteście pewny, że to on?

- Popatrz³amu prosto w oczy.

- Powiedz szczerze.

Nie by³ już niczego pewny.

Sk¹d móg³ wiedzieæ?

W ostatni³tygodniach znów prze³żywa³ zadu¹ hu¹etawkê nastrojów.

Od nowaczu³ siê corazbardziej osaczony.

Przez kogo?

Przez córkê i najbli¹sz¹ mu kobietê?

Nonsens.

Musia³ siê¹jak najszybciej otrz¹sn¹æ, odzyskaæ kontrolê nad sytuacj¹.

Nie móg³ siê gniewaæ na Karolinê.

Powinienj¹ przekonaæ.

- Nie jestem.

Po prostu przez chwilę wyobraziłem sobie, że tak kobieta znaleziona w lesie to mogłaby być Ewa - powiedziać.

Teraz Karolina stropiła się, ale tylko na chwilę.

- Wasia nigdy by tego nie zrobił - zapewniła z takim przekonaniem, że spyta:

- Może ty jednak wiesz coś, o czym ja nie wiem?

Potrzebna go, nie przestajcie patrzeć na niego.

- No, co ty?

Myślisz, że kryłbym to przed tobą?

Po prostu.

Przyjechał pociąg i nie dokończyła.

Tok w wagonie nie pozwolił im prowadzić dalej tej rozmowy.

Marek tymczasem zaczął odyskiwać trzecie spojrzenie.

Myślał, że gdyby Michałuk wyjechał wreszcie na Ukrainę, wiele spraw by się rozwiła.

Może warto byłoby mu w tym pomóc.

Wysiedli na przystanku Stadionie szlupiechot przez park Skaryszewski.

- Jeżeli tak ci na tym zależy, zadzwonię do tego.

senatora - zdecydowała się.

Usiedli na ławce nad jeziorem; Marek wyjął telefon i wybrał numer Mikołaja.

Na szczęście stary odebra³ prawie od razu.

- Pamiêtasz takiego³odego Ukraiñca, Wasyla Michaluka?

Us³ysza³ w s³uchawce, ¿e Kiedroñ by³trochê zdziwiony pytaniem.

- No, oczywiœcie.

Przecie¿ to syn Jewhena, tego poety ze Lwowa, prawda?

- To akurat nie ma znaczenia.

Nieznam Jewhena Michalukaani jego poezji.

- Jak to, nie ma znaczenia?

- oburzy³ siê Kiedroñ.

-Nie masz siê czym chwaliæ, ¿e nieznasz twórczoœci naszych przyjació³ na Ukrainie.

- S³uchaj, topilne!

Przerwa³ bez ceremonii, bo obawia³ siê,¿e stary zacznie siê rozwódziæ nad rol¹ literatury w pojednaniu narodów.

Szybko opowiedzia³, cosiêsta³o.

- Biedny Jewhen.

- Miko³aj naprawdê siê przej¹³.

-Taki porz¹dny ch³op.

I to w³acenie jemu zrobiæ takie œwiñstwo.

- Nieprzesadzajmy.

- Marek skrzywi³ siê do s³uchawki.

-Narazie ch³opakzosta³ zatrzymany, to jeszcze nie tragedia.

Chodzitylko o to, czyby³ mia³ w³ac³ciw¹ opiek³e prawn¹, bo dojdzie do jakiego³ skandalu.

Móg³by³ na tow³yn¹æ?

- Oczywiście, natychmiast.

Dobrze, czy do mnie zadzwoni³æ.

W g³osieKiedronia dr³ca³a gotowo³æ dodzia³ania,
musia³o mudoskwiera³, czy w ³yciu publicznym odgrywa³ coraz mniej³ rol³.

-To pomys³ Karoliny.

- Marek nie odmówi³ sobie ma³ej z³oeliwo³eci.

197.

Miko³aj chrz¹kn¹³, jak zazwyczaj, kiedy chcia³ zyska^æ na czasie.

- Aha.

No, nic.

Wa³ne, ³e sprawa s³uszna.

Marek nie przestawa³ dziwi^æ si^ê naiwno^æci starego.

Kiedro^ñ mia³ wiele cech starych dia³aczy, którzy kiedy^æ zaczynali odmarksizmu.

Kiedy w gr^êwchodzi³o dobro sprawy, reszta si^ê nieliczy³a.

Z g^óry za³o³y³, ³e Michaluk jest niewinny, bogdyby si^ê okaza³ gwa³cicielem i zab^ójc¹, nie by³oby to dobre dla polsko-ukrai^ñskiego pojednania.

Tym lepiej.

O to przecie³ chodzi³o.

Sko^ñczy³, schowa³ aparat do kieszeni.

Karolinach wyci³ajego d³o^ñ i u^æcisn^ê³a.

G³upi, ob³udny telefon sprawi³, ³e zarobi³u niejkilka punkt^ów.

Nie chcia³ d³u³e³ trzyma^æ jej wniewiedzy.

Mo³etak by³oby wygodniej, ale nie czu³by si^êpotem w porz¹dku.

- Nie powiedzia³em ci jeszczeca³ej prawdy - przyzna³.

-Tak podejrzewa³am.

A teraz?

Opowiedzia³ jej wiêc o pijanym Michaluku,uciekaj¹cym i kryj¹cym siê przed nim w ciemnoœci.

Od pocz¹tku mia³ obawy, ¿e Karolina Ýle to przyjmie.

Nie przewidzia³ tylko, z jakiego powodu.

S¹dzi³, ¿e potraktuje jego opowieœæ jako wyraz uprzedzeñ doUkraiñca.

Ona tymczasem oburzy³a siê:

- I dopiero teraz mi o tym mówisz?

-Nie chcia³em ciêdobijaæ.

- Dobijaæ?

- wykrzyknê³a.

- Chyba siê zgodzisz, ¿e zachowywa³siê podejrzenie.

-Jesteœuprzedzony, nie lubisz go.

Gdybyœ nie by³, zrozumia³byœ, ¿e ch³opak by³ po prostu przera¿ony.

Musia³zobaczyæ coœw lesie.

Dlatego tak siê ciebie przestraszy³.

Przecie¿ onw ogólenie pije, dobrze o tymwiesz.

Poczu³, ¿e tobeznadziejne.

Ona te¿ wszystko t³umaczy³apojemu, tak ¿eby pasowa³o do jej wyobra¿eñ.

A on nadal nie by³w porz¹dku.

Wci¹¿ przecie¿nie powiedzia³ jej o samochodzienaleœnej drodze.

Podró¿ do Sanoka by³a mêcz¹ca.

Marek musia³ teraz przyznaæ, ¿e Karolina mia³a racjê, nalegaj¹c, by wybrali nocny poci¹g.

Jechali przez to znacznie d³u¿ej, ale w sypialnym przedziale moglibyæ sami.

Ewie kilka razy robi³o siê niedobrze i choæ stara³a siê le¿eæ cicho inieruchomo, nie wytrzyma³a d³ugo.

S³yszeli, ¿e by³o jej duszno i Ýle wka¿dej pozycji.

Dwa razy wychodzi³a do toalety, a wtedy Karolina zeskakiwa³a z górnej pryczy i dyskretnie

sz³a za ni¹.

Niezmru¿yli oka, zjada³y ich nerwy.

Zbli¿ali siê ju¿ do Rzeszowa, kiedy Ewa wreszcie usnê³a niespokojnie.

W³acenie wtedy odezwa³ siê telefon Marka.

Sprawdzi³ na wyœwietlaczu, ¿e to Miko³aj dzwoni³ z Warszawy.

Wyszed³ na korytarz.

- Mia³eœ racjê.

- G³os Kiedronia a¿ kipia³ gniewem.

- Ta wasz policjato jacyœ bandyci.

Marek odsun¹³ aparat od ucha.

Zmêczony po nocy, by³ w jeszcze gorszym nastroju ni¿ poprzedniego dnia.

- Nie przesadzasz?

Mieli prawo zatrzymaæ Micha³uka, jeœli pad³o na niego podejrzenie.

- Próbowa³ byæ rozs¹dny.

- Wszystkosiê wyjaceni.

- Zatrzymaæ?

Kpisz sobie?

Ma³o nie zat³ukli ch³opaka, a ty powiadasz, ¿e mieli prawo?

A wiêc wygl¹da³o to jeszcze gorzej, ni¿ Marek sobie wczêœniej wyobra¿a³.

Myœla³ teraz tylkoo tym, ¿eby Ewa nie zorientowa³asiê za szybko.

- Ju¿ siê z tego zrobi³a miêdzynarodowa aferã - ci¹gn¹³ Kiedroñ.

- Ambasada Ukrainy wie owszystkim, oficjalny protest mamy jak w banku.

Dzwonili do mnie przyjaciele z Kijowa.

S¹ wœciekli.

Oni tak siê staraj¹, a tu najpierw ta nieszczêсна wystawa, a teraz taka aferã.

Rêce opadaj¹.

- Wybacz, Miko³aj, ale ja z tym niemia³em nic wspólnego.

-Wszyscy mamy z tym coœ wspólnego, Marku.

Wszyscy za ma³osiê jeszcze staramy, ¿eby do takich skandali nie dochodzi³o.

Markowi coraz trudniej by³o œcierpieæ jego gadanie.

Jak ostatniozawsze, kiedy Kiedroñ wchodzi³ w rolê mentora i moralisty.

- Miko³aj, jest pi¹ta rano.

Mam córkêw zaawansowanej ci¹¿y.

PrzejdŸmy do konkretów - przerwa³ staremu.

- Wybacz, ponios³o mnie- odpowiedzia³ Kiedroñ ju¿ spokojniej, ugodowo.

- Mo¿e nie mam prawa wymagaæ od ciebie niczego wiêcej, ale sam siê do mnie zg³osi³eœ.

Więc proszę cię tylko, żebyś się porozumiał z moim znajomym mecenasem z Rzeszowa.

Może da się zrobić coś jeszcze.

- Dobra, zrobię, co będę mógł.

Marek chciał już tylko uciąć tę rozmowę, zanim straci cierpliwość.

Karolina, która przed chwilą wyszła z przedziału, rzuciła mu pytające spojrzenie.

Streścił jej rozmowę z Kiedroniem, niespokojny, że da tym powód do nowych wyrzutów.

Nie miał pewności, jak by je zniósł.

Onajednak tylko wzięła go za rękę i spytała:

- I co zrobisz?

- To, co będę musiał.

Otworzył okno, wpuszczając do wagonu strumień rzeckiego, wilgotnego powietrza.

Przez chwilę spojrzeli w milczeniu na siebie

snute deszczem krajobrazy Podkarpacia.

Wreszcie zadała następne pytanie:

- A konkretnie?

-Zabierzesz mnie na Wilczy Przesmyk, a ja zostanę w Sanoku i zobaczę.

- Nie wiem jeszcze wszystkiego, prawda?

-Prawda - przyzna.

Opowiedział jej o samochodzie, który widział w lesie.

Nie spytała, dlaczego zrobił to dopiero teraz.

Tylko uścisk jej ręki stał się mocniejszy.

Jednak tym razem musieli zmienić plan.

Ewa zaprotestowała jeszcze gwałtowniej niż poprzednio.

- Coby sobie myśleć?

Chcecie mnie trzymać z daleka od najważniejszych spraw?

Jeżeli tak ma wyglądać nasze wspólne życie, to dziękuję.

Zatrzymali się więc wszyscy w Sanoku, w hotelu Pod Trzema Różami na miejskiej skarpie.

W innej sytuacji byłoby to idealne miejsce na spędzenie rodzinnego weekendu.

Teraz uroda tego miejsca tylko potęgowała w Marku złość.

Ewa położyła się od razu, a Karolina zaczęła wydzwaniać do znajomych dziennikarzy miejscowego oddziału "Nowin".

Wkrótce wiedzieli, jak w ciągu ostatnich kilkunastu godzin rozwijały się wypadki.

Jeszcze poprzedniego wieczoru przyjechał z Lwowa ojciec Michałuka.

Przed południem miał pojawić się w Sanoku ukraiński wicekonsul z Krakowa.

Nie dałoby się dłużej ukrywać prawdy, że Wacek po przesłuchaniu leżał w izolatce zezłamanym nosem, rozciętym kciukiem brwiowym i wybitymi szczękami.

Rzecznik policji wydał oficjalny komunikat, z którego wynikało, że Michałuk w trakcie przesłuchania dostał szarpi, rzucił się na funkcjonariuszy i większość obrażeń zadał sobie sam.

- I jak to teraz można naprawić?

- zdenerwował się Marek.

- Po czymś takim sam bym znienawidził Polaków.

Ewa nie powiedziała nic, odwróciła się do ściany.

Marek przyglądał się bezradnie, jak zadrapały jej plecy.

Poczuł ulgę, kiedy zmęczona poprzednią nocą, szybko zasnął.

- Nie sidiem, że aż tak się tym przejmie - szepnął.

Karolina tylko spojrzała na niego dziwnie.

- Nie patrz tak, przecież nie wiemy.

Sam mówił.

Wzruszył ramionami z dezaprobatą.

On też usłysza³, że niezabrzmia³o to dobrze.

Powinien działaæ.

Wszed³ do holu, żeby nie obudziæ Ewy, i zadzwoni³ na numer, który poda³ mu Kiedroñ.

- Dobrze, że się pan odezwa³ - przywita³ go adwokat.

- O czter200.

następnie jest posiedzenie sądu w sprawie tymczasowego aresztowania.

Marnie to wygląda.

- Dlaczego?

- przerwa mu Marek.

- Przecież.

- Spotkajmy się wcześniej.

Nie będziemy o tym rozmawiać przez telefon.

Był w budynku sądu o wpół do jedenastej.

Mecenas okazał się siedemdziesięcioletnim o twarzy smutnego psa.

- Wbrew pozorom szum, jaki został zrobiony koło tej sprawy, nie pomoże chłopcu - powiedziało z zawodową troską.

- Teraz policja stanie na głowie, żeby dowiedzieć, że jest winny.

- Tylko że nie mają dowodów, prawda?

- zablokował.

- Ale przesłanki są mocne, bardzo mocne.

Te wilki.

- skrzywił się.

- Bajeczki dla dzieci.

- Tak pan sądzi?

- Panie ministrze.

Pan wie, ja wiem, ale opinia publiczna.

Marek, wóćiek³y, że adwokat nazwa³ go ministrem, z trudem nad sob¹ zapanowa³.

- Wiêc pan s¹dzi, że go aresztuj¹?

- Da³by Bóg, żeby nie.

Bo wtedy ch³opak danogê do swoichi problem z g³owy, prawda?

- Spojrza³ na Marka z niespodziewan¹ przenikliwoœci¹.

- Ale szansê s¹ ma³e, bardzo ma³e, w³acœciwie prawie żeadne.

Wiem, jak bêdzie rozumowa³ s¹d.

Chyba że wyjd¹ jakieœ nowe okolicznoœci.

Problem w tym, że policjanie jest nimizainteresowana.

- Nie mo¿na ich zmusiaæ, żebysiê zainteresowali?

- A ma pan jakie pomys³?

Marek mia³ pomys³.

Tylko bardzo nie mia³ ochoty z niego skorzystaæ.

Jeszcze kilka minut wczœniej nie opuszcza³a go nadzieja, że nie bêdzie takiej potrzeby.

Teraz coraz bardziej gas³a.

Porozstaniu z adwokatem nie wróci³ do hotelu.

Kr¹ży³ d³ugoposkarpie aż do zamku i cerkwi katedralnej, parê minut patrzy³ nap³yn¹cy w dolinie San, zanim wreszcie zawróci³ do centrum miasta w nag³ym przyp³ywie stanowczoœci.

Zanim dotar³ do celu, naniwoopad³ygo w¹tpliwoœci.

Do posiedzenia s¹du zosta³o trochê czasu.

Okr¹ÿ³ kilka razy siedzibê prokuratury, lic¹c na to, ÿe stanie siê coœ, co pomoÿe muw podjêciu decyzji.

Doczeka³siê.

Za którymœe nawrotem zobaczy³ zatrzymuj¹cy siê przed budynkiem policyjny samochód.

Wsiad³ z niego aspirant Gibad³o.

Na odwrótby³o za póÿno.

Komendant komisariatów Zimmem zaczeka³ naniego.

- Pan tutaj?

A my pana szukamy od wczoraj.

Nuta oskarÿenia wg³osie policjanta zdenerwowa³a go.

- Tak?

W jakiej sprawie?

201

- Przecież pan doskonale wie.

-Dopiero się dowiedzia³em.

'By³em w "Warszawie.

- Wygodne usprawiedliwienie, prawda?

-Nie wierzy pan?

Niech pan sprawdzi.

- Już sprawdziliœmy.

Dzia³amy szybko, jak pan widzi.

- Widzê.

Szkoda tylko, że sprawdzacie nie tych, co trzeba.

- A paniê ci¹gle upiera?

Wspó³czujê.

Ostrzegaliœmy.

- Zawaha³ siê krótk¹ chwilê.

-A czego to nie sprawdziliœmy, wed³ug pana?

W oczach policjanta ujrza³ takie lekcewa¿enie, że już nie by³ w stanie siê powstrzymaæ.

-Co to za samochód jeŹdzi³ po lesie w okolicy, gdzie znaleŹliœcie zw³oki.

Giba³o pokiwa³ g³ow¹ z politowaniem.

- Myœla³em, że pan jestrozs¹dnie jszy.

Tak panu zależy na tym Ukraińcu, żeby pan gotów nawet złożyć fałszywe zeznania?

Ciekawe dlaczego?

Nie miał już wyboru.

Odrązu poczuł ulgę.

- Zdajesz, że to panu tak zależy, żeby tego Ukraińca dopaść za wszelką cenę, zatajając inne dowody.

Ja też mógłbym zapytać dlaczego.

- Bzdura!

- Zobaczymy, co powie na to prokurator.

Marek zrobił krok w stronę schodów.

- Zaczekaj pan.

- Policjant zastąpił mu drogę.

- Jaki samochód?

- Ostatnio dużo padało.

Musieli zostawić ślady.

Leccicy takimi nie jeżdżą, żebybyś atwo odróżnić, gdyby się tylko chciało.

Tylko że to by nie pasowało do Michaluka, prawda?

W miarę jak Marek mówił dalej, na twarz Gibadzi wróciło poczucie przewagi.

-Chce pan powiedzieæ, ¿e jeŸdzi³ tamtejnocy autem paniChmury na Wilczy Przesmyk?

- Dok³adnie.

-Ale przecie¿ pan niema prawa jazdy?

- Prawa jazdynie je¿d¿¹, tylko kierowcy.

-Ale zdaje pan sobie sprawê, ¿e tacy kierowcy mog¹ mieæ du¿e k³opoty?

- Trudno -rzuci³ Marek, omin¹³ policjanta i wszed³do budynku.

Prokurator prowadz¹cy sprawê okaza³ siê sympatycznym³odym cz³owiekiem, eleganckim i grzecznym, lecz w jego pustychoczach Marek nie dojrza³ wiêkszego zainteresowania.

- Zapamiêta³ pan numer rejestracyjny?

202.

- Tylna tablica była zachlapana błotem, przedniej nie widziałem.

-Marka?

- Nie umiałem rozpoznać.

Duży.

Terenowy albo minivan.

- Albo minivan.

Kolor?

- Ciemny.

-Czarny?

- Czarny, granatowy, brązowy, nie jestem pewien.

Na pewno srebrnymetalik.

- Przyzna pan, że to niewiele.

-Przyznaję, ale musiał zostawić ołady.

O ile wiem, policja ichnie zabezpieczyła.

Czy tak powinno wyglądać obiektywne śledztwo?

- Ocena pracy policji należy do pana.

Podaj pan znane panofakty i dobrze.

Sprawdzimy to.

Jednak proszę się nie spodziewać, że z takiego powodu wycofam wniosek o tymczasowe aresztowanie.

Pod żadnym naciskiem pana politycznychprzyjaciół też się nie ugnę.

Już miał spytac, czy nieugiętośc prokuratora pozwala mu godziac się na bicie podejrzanych, ale powstrzyma się.

Tylko by pogorszy sprawę.

Wszedł z gabinetu z poczuciem daremnej ofiary.

Sam nie wiedział, poco wróci do s¹du.

Chyba tylko po to, żeby zostac cęwiadkiem w³asnej klęski.

Niepotrzebnie znalazł się przed sal¹ rozpraw.

Wszyscy patrzyli na niego jak na wroga.

Niedziwił się, że aspirant Gibad³o, a nawet g³adki prokurator, nie mieli w oczach sympatii.

Ale Jewhen Michaluk?

Poznał go od razu.

Jeszcze w Warszawie odszukał w Internecie jego zdjęc.

Wacęka, którego prowadził nasalę policjant, nawet na niego nie spojrzal, kryjąc pod opadaj¹cymi w³osami obit¹ twarz.

Za to jego ojciec, kiedy zobaczył Marka, drgn¹³ i zrobił dwa kroki w jego stronę.

Marek zaszczepił się już ucemiechac, bo s¹dził, że Jewhen dowiedzial się o jego zeznaniu i zechce mu podziękowac.

Kiedy jednak zajrzal w oczy Ukraińca, twarz mu zastygla.

- A ja tłumaczyłem wiersze pana ojca - powiedzial Jewhen Michaluk po polsku, tylko z lekkim akcentem.

I zaraz odszedł, nawet nie przystaj¹c.

Niczego lepszego Mareknie doczyta³ siê we wzroku m³odego wicekonsula z Krakowa.

Nawet adwokat, który w todze wygl¹da³ jak³ysy ksi¹dz w zbyt du²ejsutannie, spojrze³ naniego jak na mebel.

Mimo wszystko nie odchodzi³,nie by³ wstanie tego zrobia^æ, nie wiedz¹c, jakie bêdzie postanowienie s¹du.

Ustawi³ siê tylkodalej, przy samychschodach.

Czeka³ niewiele ponad p^ó³ godziny.

Drzwisiê otworzy³y iwyszed³ z nich Wasyl bez kajdanków na rêkach, prowadzony nie

przez policjanta, ale przez swego ojca, który obejmowa³ go przezplecy.

Marek wiedzia³ ju^z, co chcia³.

Ulga by³a wielka.

Nie mia³ zamiaru czekaæ na podziêkowania.

Kiedy tamci zatrzymali siê, œcisn¹c sobie rêce z wicekonsulem, wycofa³ siê na schody.

Napó³piêtrze dogoni³ go ³ysy adwokat.

- No i uda³o siê.

- Zatar³ rêce.

-Ma pan strupa z g³owy.

- Dobrze, ¿e siê mog³em na coœ przydaæ - mrukn¹³Marek.

-Pan?

Proszê siê nie gniewaæ, pani ministrze, ale trochê pannaiwny.

A kto panu uwierzy³?

Czarny samochód, kolejna bajka.

I to nie z tej epoki.

Naprawdê pan myœla³, ¿e to chwyci?

- To co chwyci³o?

- spyta³ Marek przezgard³œciœniête z gniewu na samego siebie.

- Ma siê wejœcia tu i tam.

Popchnę³o siê parêspraw, przyspieszy³o parê postêpowañ, które normalnie trwałyby jeszcze tydzieñ.

No i proszê, bingo!

Okazuje siê, panie ministrze, że za pomoc¹ kart p³atniczych tej zamordowanej ktoœ wyp³aci³ wiêksze sumy z bankomatów w Przemyœlu i Rzeszowie akurat w czasie, kiedy nasz poczciwy Wasia leża³ z obit¹ gęb¹ w policyjnej izolatce.

S¹dnie mia³ ruchu.

- A co z pobiciem?

- wyrwa³o siê Markowi.

- Nie z³ożono skargi.

Bo ipso co?

Tak siê za³atwia sprawy, pani ministrze.

Adwokat znikn¹³, ale to jeszcze nie by³ koniec przykroœci.

W holu na dole Marek wpad³ na Karolinê i Ewê.

Musia³y wejœæ w³aœnie przed chwil¹.

Jego córka nie odzyska³a jeszcze formy, ci¹ż nigdy wczeœniej nie rzuca³a siê tak w oczy, jak teraz.

- Córka, co tytu robisz?

- spyta³.

- Dlaczego nie odpoczywasz?

- A co ty myœlisz?

-ebêdê siedzia³a sama w hotelu?

- Po coœcie tu przysz³y?

- zwróci³ siêwzburzony do Karoliny.

- Nie by³o¿adnej potrzeby.

-Zaaresztowali nasz samochód - odpowiedzia³a z wymuszonym spokojem.

- Co ty mówisz?

Co zrobili?

- ZnaleŸli ³adê na parkingu,a potem mnie.

Da³am im kluczykipo dobroci,co mia³am zrobiæ?

- Po co?

-Bêd¹ szukaæ mikroœladów czy czegoe w tym rodzaju.

Pan Gibad³osiê odgrywa.

- Nonie, chyba mnie zaraz krew zaleje.

Tego nie mo¿na takzostawiaæ.

- Dajspokój, oczywiœcie, ¿e mo¿na.

Podrêcz¹ siê i jutro oddadz¹.

Zostaniemy po prostujeszcze jeden dzieñ,odpoczniemywszyscy.

204.

- Dobrze, to chodźmy - powiedzia³ poœpiesznie.

Zagarn¹³ obie ramionami i pchn¹³ w stronê wyjœcia.

Za póŹno.

Ukraiñcy w³aczenie wy³onilisiê zzazakrêtu schodów.

- Wasia!

- zawo³a³a Ewa.

Wasył odruchowo odwróci³ g³owê.

Nie by³ to przyjemny widok.

Jego chmurna, ale ³adna przecieŹ twarz by³a teraz opuchniêtai posiniaczona, w kilku miejscach pokrywa³y j¹ plastry.

Kiedy zobaczy³, kto gowo³a³, w jego podbitych oczach pojawi³siê wyraz takiego Źalu, pomieszanego z odraz¹, Źe Marka aŹ œcisnê³o za gard³o.

Sam wtej samej chwili przy³apa³ spojrzenie jego ojca.

Jewhen Michaluk znów sprawia³ wraŹenie, jakby go o coœ oskarŹa³.

Wicekonsul tak samo.

Mia³ ochotê krzykn¹æ: "Czego chcecie, do cholery!

Co ja jestem temu winien?

". Zanim och³on¹³, wszyscy trzej wyszli na ulicê.

39

Po powrocie do hotelu Marek po³oŹy³ siê na swoim ³óŹku nawznak, patrzy³ w sufit iby³ coraz bardziej zmêczony.

Wg³owieczu³ zamê^t.

Teraz ju^z mia³ corazmniej w¹tpliwoœci, ^ze ojcemdzieckaEwy jest
Wacêka Michaluk, choæ on samzapewne otymnie wiedzia³,
przynajmniejdo tej pory.

Ewa wci¹ ^znie zaj¹knê³asiêna ten temat nawet jednym s³owem.

On nadal o nic nie pyta³.

O pi¹tej nad ranem obudzi³ go g³os córki:

-Karolina!

Przyt³umionyokrzyknie by³ g³oœny, ale Marek spa³ czujnie.

Karolina unios³a siê na ³okciach.

- S³ucham?

-Chod^Ÿ tu szybko.

Coœ mi siê sta³o.

Karolina wysunê³a siê zwinnie spod koca i podbieg³a boso do³ó^zka
Ewy.

Marek nie potrafi³ d³u^zej udawaæ, ^ze siê nie zbudzi³.

Otworzy³ oczy.

Jego córka siedzia³a na pos³aniu z koszul¹ uniesion¹ ponad du^zyju^z
brzuch i zmieszani¹ zdumienia i strachuwpatrywa³a siê miêdzy swe
roz³o^zone nogi.

Ogarnê³y go najgorszeprzecucia.

O ma³o co nie wyskoczy³ z poœcielinago.

Powstrzyma³siê w porê inaci¹gn¹³ pod kocemslipy, zanim pod¹Ïy³ w celad zaKarolin¹.

Ewa tkwi³a pocerodku mokrej ka³uÏy, rozlewaj¹cej siêpo przeœcieradle.

NiezauwaÏy³ krwi i dopiero teraz razem z ulg¹poczu³ s³abocœæ.

Ewa podnios³a nanich bezradnie wzrok.

- Coto jest?

-To nic - odpowiedzia³ pierwszy.

- Zaczê³acœ rodziæ, córcia.

205.

Na twarzy Ewy pojawiło się przerażenie.

- Ja nie chcę go stracić.

Zróbcie coś.

Myślicie, że ja specjalnie?

Ja nie chcę!

Karolina usiadła przy niej na skraju mokrego prześcieradła i pogadziła ją po policzku.

- Nie stracisz go.

Wiem, że się boisz, ale będzie dobrze.

- Skąd wiesz?

To przyszło za wcześnie.

- Nie tak bardzo.

Mareksysza, jak Karolina silisze na ton pełen optymizmu.

Dzięki temu sam miała czas, żeby się opanować.

Szybko jeszcze raz policzy w myślach, który to był tydzień.

Jeżeli się nie pomyli, to rzeczywiście nie było powodów do paniki.

Chyba żeby wydarzyło się coś jeszcze.

Nie dało się tego wykluczyć, więc nieumiała już być całkiem spokojna.

- Wezwiecie pogotowie?

- spytała Ewa z lękiem.

- A po co?

- spyta³ najspokojniej, jak umia³.

-Ubierz siê, zawo³amy taksówkê.

Masz jesczetrochê czasu.

- Sk¹d wiesz?

-Sama ci¹gle powtarzasz, jaki jestem stary - rzuci³ lekko i uœmiechn¹³ siê.

Spojrza³a na niego niepewnie i odpowiedzia³abladym uœmiechem.

- A nie jesteœ?

No, sama powiedz, Karolina.

Niejest?

- Wkrótce go odm³odzisz - powiedzia³a Karolina.

Kolejny raz podziêkowa³Karolinie w duchu.

Ewa chyba wreszcie uwierzy³a, Ÿe jeœli Ÿartowali, to widocznie nie by³o tak Ÿle, jak wydawa³o siê jej jeszcze przed chwil¹.

W szpitalulekarz uspokoi³ ich, Ÿe do rozwi¹zania zosta³o jesczeczprzynajmniej kilka godzin, poszliwiêc poza³atwiaæ najpilniejsze sprawy.

Odebrali samochód z policyjnego depozytu, póŸniej Marek odby³ mœcz¹c¹ rozmowê z Miko³ajem.

Stary niewiedzieæz jakiej racji znów robi³ mu wyrzuty:

- Teraz sam widzisz, jak Ÿle siê sta³o.

Straciliœmy go.

Zabrzmia³o w tym jakie^o niedopowiedzenie.

Kto straci³ Wa^okê Michaluka?

Polska?

Stronnictwo pojednania?

Czy.

Marek zada³ sobie pytanie, czy przypadkiem Miko³aj te^z nie domy^oła³ siê, ^zeto w³acenie z Wa^ok¹ wpad³a Ewa.

Zako^oczy³ rozmowê najszybciej jak siê da³o.

Karolina wróci³a na porodówkê.

Ewa chcia³a, ^zeby przy porodzie by³a obecna w³acenie ona.

Marek poczu³z tego powodu ma³yzawód, ale musia³ przyzna^æ, ^ze sam te^z niewyobra^za³ sobie siebie patr¹cego na rodz¹c¹ córkê.

Bardziej wiêc ucieszy³ siê, ^ze wybra³a Karolinê.

Powoli stawali siê rodzin¹.

206.

Sam wst¹pi³ jeszcze do hotelu.

Musia³ mieæ jak¹œ lekturê naczas d³ugiego oczekiwania, jakiego siê jeszcze spodziewa³.

Nabie^ç1c¹ prasê nie móg³ ju^ç nawet patrzeæ.

Zabra³ wiêc "Rzeczpospolit¹ obojganarodów" Paw³a Jasienicy, któr¹ ostatniowszêdziez sob¹ wozi³.

Opowieœæ o tym, jak przez kilka stuleci Polska traci³a Ukrainê, wraz z ni¹ znaczenie, a w koñcu i niepodleg³oœæ, nieby³a rozweselaj¹ca, ale dziwnie pasowa³a do jego nastrojów.

Stawia³apytania, które i jego drêczy³y.

Mija³y godziny, a on wci¹çczyta³ albo tylko udawa³, çeczyta, çeby odizolowaæ siê od innychczekaj¹cych w holu, i pogr¹ça³siê w myœlach.

Powraca³y wspomnieniadawno zatarte, których rozpamiêtywanie, kiedyjego córka rodzi³a, nawet jemu wydawa³o siê bezsensu.

Jednak przyp³ywa³y same, czy chcia³ tego czy nie.

Uœwiadamia³ sobie,çe w czasach, kiedy wydawa³o mu siê jak nigdy, çepanuje nad swoim çyciem, w ogóle nim nie kierowa³.

Z³udzeniew³adzy, jak¹ posiada³ nie tylko we w³asnych oczach, dawa³o mufa³szywe poczucie, çewszystkokontroluje.

W rzeczywistoœcip³yn¹³ tam, gdzie nios³ago fala.

Zreszt¹, przecieç wszyscy naoko³otak w³acenie mówili:çe by³ na fali.

A on, g³upi, nawet siê z tegocieszy³.

Czêstoustêpowa³ Miko³ajowi, bo wydawa³o mu siê wtedy, çe jest to staremu winien.

Jak wtedy, gdyda³ mu siê namówiaæ do wyjazdu na polsko-ukraiñsk¹ sesjê naukow¹ do Lwowa.

W tym czasie, przed spotkaniem prezydentów we Lwowie, oba rz¹dy usilnie stara³ siê o tak zwane zbli¹enie stanowisk w sprawie wspólnej historii.

Marek nie bardzo wierzy³ w sens podobnych imprez, ale Miko³aj mia³ tam wyst¹piæ jako ¹wypry³ ad r¹ki wyci¹gniêtej do zgody.

Trzeba by³ o wesprzeæ starego psychicznie, nie mia³ sumienia odmówiaæ.

Tym samym samolotem lecia³ a na uroczystoœci grupa dziennikarzy, przewa¹ nie ludzi przed trzydziestk¹, którzy s³ abo pamiêta¹ likomunê, a co dopiero czasy walk polsko-ukraiñskich.

Jeszcze na lotnisku Marek nie bez z³ oœliwej satysfakcji zauwa¹ y³, ¹ e wiêkszoœæ tych m³ odych heroldów pojednania mia³ a do niepodleg³ ej Ukrainy nastawienie lekcewa¹ ce, w najlepszym razie protekcyjne, jakiego maturzysty mo¹ e mieæ do m³ odszego du¹ o brata, który dopiero idzie do podstawówki.

Marka œmiesz³ Miko³aj, z trudem powstrzymuj¹ cy siê od wybuchu.

Prawdziwy cyrk nast¹ pi³ na p³ ycie lotniska, kiedy ci m³ odzi, oblatani przecie¹ po zachodniej Europie, zobaczyli samolot.

Na linii do Lwowa lata³ wiekowy, odziedziczony po Aerof³ ocie i³-18 Awiacii Ukrainy.

Tylko czerwone gwiazdy na jego skrzyd³ ach zosta³ y zamalowane, a na ich miejscu pojawi³ y siê tryzuby.

- Tym mamy lecieć?

- wyrwa³osię komu^æ na ca³y g³os.

-Tewiećniak!

nie maj¹ nawet prawdziwychsamolotów?

Miko³aj ca³y poczerwienia³ i w powietrzu wisia³a piekielna awantura, któr¹ Marek wola³ uprzeciać i³artem:

- Proszę państwa, bez paniki, zapewniam, że to najbezpieczniejszy samolot świata.

-Tak?

Czyżby?

W niepewnych g³osach brzmi³oniedowierzenie, ale równocześnie rozpaczliwa chęć, żeby ich przekona³.

-Oczywiście.

To wojskowa maszyna, wypróbowana na frontach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Nawet jeżeli wysi¹d¹ jej obasilniki, może jeszcze wyl¹dować nawet na³¹ce lotem celizgowym, jak szybowiec.

Mówi³ prawdę, im jednak wydawa³o się, że z nich kpi, choć wstydy przedokazaniem jawnego strachunicy pozwala³ im zareagować gniewem.

Bawili go teraz bardzo, postanowi³ ich dobić.

- Wiem, co mówi.

Sam kiedyś za komuny lecia³em takim z Warszawy do Rzeszowa i niedaleko przed Jasionk¹stan¹³ najpierw jeden silnik, a potem drugi.

Siad³ na pastwisku inikomunicby siê nie sta³o, gdyby nierów melioracyjny.

Jak ko³awpad³ydo niego i szarpnê³o,urwa³ siê fotel zjedn¹ babci¹ i zabi³o j¹.

Poza tym nikt nie by³ nawet draçeniêty.

Tym razemniecorozatmin¹³siê z prawd¹, choæ niewiele.

Rzeczywiœcie lecia³ kiedyœz Warszawy doRzeszowa i³em-I8, jednak jegolot przebieg³ bez zak³óceñ.

Dopiero tydzieñ póŸniej tensam samolot l¹dowa³ awaryjniena ³¹kach obok lotniska izginê³a starsza kobieta, która mia³a pecha usi¹œæ na Ÿle przyœrubowanym fotelu.

Trochê wiêc sk³ama³, ale by³o warto.

Jeszcze po latach ucemiechn¹³ siêsam dosiebie na wspomnienie, jakie miny zrobilipo jego opowieœcim³odzi przedstawiciele mediów.

Autobuspodjecha³ juŸ podschodki i kilkoro z nich mia³o wyraŸn¹ ochotê uciekaæ z powrotemna piechotê pop³ycie lotniska.

Powstrzymywa³a ich tylko obawaprzed ocemieszeniemiê.

Lot przebieg³ w ciszy, nie by³o juŸs³ychaæŸartów z Ukrainy i jej lataj¹cych tryzubów.

Nastrój popsu³siê Markowi od nowa dopiero w czasie obradsesji.

Polscy ukraiñscy historycy, choæ w wiêkszoœci znali nawzajem swe jêzyki, wogóle siê nie rozumieli.

Awantura wybuch³a,kiedy polski profesor z Lublina upiera³ siê, Ÿena Wo³yniu Ukraiñcyzamordowali sto piêædziesi¹t tysiêcy Polaków, choæ

z mówienia o takich liczbach wycofali się dawno nawet najwięksi ortodoksi.

Na trybunę wdarł się akademik z Kijowa, wyrwał swemu polskiemu koledze mikrofon i krzyczy, że naszym Wołyniu nigdy nie mieszkało sto pięćdziesiąt tysięcy Polaków i naprawdę

208.

polских ofiar mog³o byæ najwyzej trzydzieœci tysiêcy, niewielewiêcej ni¿ zabitych przez polskie bandy Ukraiñców.

Teraz krzyczeli nawet umiarkowani po polskiej stronie, ¿e hañba tak mówiæ, bo Ukraiñcówzginê³o przynajmniej dziesiêæ razy mniej ni¿Polaków, i to w akcjach samoobrony.

W koñcu nie wytrzymali te¿umiarkowani Ukraiñcy.

Marek wyszed³ z sali posiedzeñ i wiêcej na ni¹ nie wróci³.

Wzajemne wydzieranie sobie trupów, licytowanie siê, kto kiedyœ wiêcej ludzi zastrzeli³, zar¹ba³ siekierami i spali³,budzi³o w nim niesmak.

Wola³ b³¹dziaæ bez celu ulicami starego Lwowa, wœródkwitn¹cych w³acieniekasztanów i stuletnich kamienic, œwie¿oodmalowanych naprzybycie prezydentów, i przygl¹daæ siê m³odymUkraiñcom, wychodz¹cym w³acenie z Uniwersytetu na plac Mickiewicza.

Byli ca³kiem tacsami jak ich koledzy w Warszawie naKrakowskim Przedmieœciu przypomniku tego samego wieszcza.

Potemwspi¹³ siê na wzgórzezamkowe, d³ugopatrzy³ z góry nacerwone dachy miasta, które kiedyœ by³o mieszkaniem wielu narodów, i w koñcu poczu³ siê lepiej.

Miko³aj mia³ doniego pretensje, ¿ezlekcewa¿y³ takwa¿nedlamieszkañców obu krajówobrady.

- Oczywiêcie, ¿e jeszcze nie jest idealnie - perorowa³.

- Ale nigdy niebêdzie, jeœli bêdziemy od siebie uciekaæ.

Kiedroñ wci¹¿ tak by³ przejeñty swoj¹ wielk¹ spraw¹, ¿e Mareknie mia³sumienia odpowiedzieæ muszczerze, ¿e uciek³ po prostuod bicia piany.

Szlachetne intencje starego itak by³y bez przerwy wystawiane napróbê.

W powrotnym samolocie do Warszawy m³odzi dziennikarze, na nowo ocemieni tani¹ ukraiñsk¹ brandy i œwie¿o zdobyt¹ wiedz¹, ¿e i³y-I8 nie zawsze spadaj¹, odzyskali dowcip.

Najpierw wyœmieli dworzec lotniczy we Lwowie, dogaduj¹c, ¿e wygl¹da gorzej ni¿ przystanek kolejowy w Chabówce, a potem ukraiñsk¹ stewardesê.

By³a to naprawdê przystojna kobieta, jej cia³o rozsada³o s³u¿bowy kostium.

- Niez³a wieœniara, ale sznytsowiecki.

- dobieg³a uwagazy³u.

Miko³aj niewytrzyma³.

- Polskie pany - odezwa³ siê dostatecznie g³oœno, ¿eby mo¿nago by³o us³yszeæ w ca³ym samolocie, ale jego s³owa zabrzmia³y bardziej bezradnie ni¿ szyderczo.

Zatopiony w tych wspomnieniach, Marek poczu³ nagle, ¿e ktoœemu siê przygl¹da.

Nawyki³y dotego, ¿e od czasu do czasu ró¿ni natrêci przypominaj¹ sobie, ¿e kiedyœ widywali jego twarz w telewizji, nie odrywa³ oczu od ksi¹¿ki.

Jednak wra¿enie by³o tak upor209

czywe i w końcu denerwuj¹ce, że nie wytrzyma³.

Przykiosku sta³jego te^æ, mecenas Bogucki, patrz¹c na niego niepewnie, jakby nie mógł³ się zdecydowa^æ, co teraz zrobi^æ.

Dopiero kiedy ich spojrzenia się spotka³y, post¹pi³desperacko kilka kroków naprzód.

Marek podniós³się, gotów zagrozi^æmu dalsz¹ drog^ê.

- Nieprzyjecha³em się bi^æ - powiedzia³ Bogucki ugodowo.

Marek jednak nie by³ skory do ugody.

- Jaki^æ p^æwiedzia³?

- spyta³ agresywnie.

- Daj spokój, nie wyg³upiaj się z tym mówieniem na pan.

Jeste^æmy wci¹ż spowinowaceni, tosi^æ nie zmienia.

Trzeba by³o o tym my^æle^æ, kiedy odbiera³e^æ mi córk^ê, pomy^æla³Marek.

- Ja wol^ê tak- powiedzia³sucho.

-Cóż, jak uwa^żasz.

Jak pan uwa^ża.

- Wi^êc sk¹d pan wiedzia³?

-To proste.

Jestem jej prawnym opiekunem.

Szpital mnie zawiadomi³.

- Niespodzianka?

-Tak pan s¹dzi³?

Bynajmniej.

Przecież myśmy nie byli nieświadomi, że Ewunia jestw ci¹ły.

Co prawda zorientowaliśmy się za póŹno, żeby.

- żeby co?

-Ja absolutnie nie by³em za tym - zapewni³ tak żarliwie, jakby naprawdę ba³ się Marka.

- Zreszt¹, nie by³o o czymgadaæ.

Aleteraz.

- Co teraz?

-Usi¹dŹmy - poprosi³Bogucki.

Otar³ czo³orêk¹, choæ nie by³ spocony.

Nie wygl¹da³ teraz naadwokata wygrywaj¹cego najtrudniejsze procesy, ale nastaregocz³owieka u kresu si³,który się zagubi³.

Marek nie czu³ anitrochêwspó³czucia.

- Czy ju¹?

- spyta³ bezradnie jego teææ, jakby z lêkiem.

- Czego się pan takboi?

To nieegzekucja - wycedzi³ szyderczo.

- Chcia³ pan spytaæ, czy ju¹ zosta³ pan pradziadkiem?

Jeszcze, ale ladaminuta.

Bogucki skuli³ siê, jak przeduderzeniem.

- Ona sobie niszczy³ życie - niemal wyszepta³.

-Bzdura!

Dziecko jeszcze nikomu nie zniszczy³o życia.

- To zależy, jakie dziecko.

Z ukraińskim przyb³êd¹.

Zdo³a³ szczê³eliwie powstrzyma³ siê przed okrzykiem, przed jakim³ gwa³townym ruchem, który zdradzi³by, ³e do tej pory jeszcze mia³ nadzieję, a teraz Bogucki zgasi³ j¹ brutalnie.

Jed³linaweton ju³ wiedzia³, to trudno by³oby ³udzi³æ siê d³u³ej.

Marek policzy³

210.

w myślach do dziesięciu, oddychaj¹c g³ęboko, dopiero potem
odpowiedzia³, sil¹c siê, żeby zabrzmia³o to gniewnie:

-A co to za rasistowskiebrednie!

- Jeszcze jest czas na ratunek - ci¹gn¹³ Bogucki, jakby chcia³ju
wyrzuciæ z siebie wszystko do końca imię to z g³owy.

- Można dziecko zostawiæ w szpitalu.

Postaram siê, żeby trafi³ow do braterêce.

Mam mo³liwoœci.

- Pan jest chyba chory!

Jak to siê sta³o, że s¹d przyzna³ panu opiekê nad Ew¹?

To nies³ychane!

- Ja bym to wszystko zrozumia³, naprawdê.

Jestem tu tylko na proœbê żony.

Dla niej to cios podwójny.

Na pewno zaakceptowa³aby innego prawnika, nawet wzięlibyœmy go
na wychowanie, żeby Ewunia mog³a siê dalej kształca³cia.

Ale takiego.

Przeży³apowstanie na Woli.

Mia³a dwanaście lat.

Widzia³a, jak Ukraiñcy z band Kamińskiego mordowali cywilów, gwa³cili
kobiety.

Nawet Niemcy byli wstrząśnięci, przecie¿ dopiero genera³ von dem Bach powstrzyma³ tê masakrê.

Rozumiem j¹, tego siê nie da zapomnieæ.

- Niech pan przestanie- powiedzia³ Marek.

-Nie dziwiêsiê, ¿e pan nie chce zrozumieæ, pan przecie¿ nale¿y do innej szko³y.

Mimo wszystko wierze,¿e Ewunia, jak znowubêdzie sob¹, zrozumie swój b³¹d.

Porozmawiam zni¹, przekonam.

Wyprostowa³ siê nakrzeczele, jego g³osodzyska³ si³ê.

Nie przypomina³ ju¿ przegranego starca sprzed paru chwil, nibysportowiec, który z³apa³ drugi ddech.

- Proszê nie próbowaæ mi przeszkodziæ.

-Nie muszê.

Ewai tak nie bêdzie chcia³a z panem rozmawiaæ.

- Mam nadzieje, ¿e bêdzie rozs¹dna.

Wci¿ jest niepe³noletnia, a ja jestem jej prawnym opiekunem.

- Ju¿ nied³ugo.

-Mimowszystko.

Wola³bym nie egzekwowaæ moich praw si³¹,ale jeœli bêdê musia³.

Jestem to winien mojej ¿onie.

- Wy siê nigdy nie zmienicie - powiedzia³ Marek g³ucho.

-Proszê siê nie obawiaæ, chcê z ni¹ tylkoporozmawiaæ.

Jecelijej nie przekonam, trudno.

Widocznie Bóg postanowi³ nas takciê¿ko doœwiadczyæ.

Marek ju¿ mia³ochotê wyg³osiæjakieœ szyderstwo, bo pocz¹tkowy szok zacz¹³ w jegog³owie przeradzaæ siê wz³oœæ, kiedy jegoteœæ podniós³ siê z now¹ energi¹ i odszed³ bez po¿egnania, jakbychia³ daæ do zrozumienia, ¿e to jeszcze nie koniec.

Zatrzyma³ siêprzy automacie telefonicznym i d³ugoz kimœ rozmawia³.

Marekusi³owa³ wróciæ do lektury, a kiedy spojrze³ w tamt¹ stronê po

d³u¿szej chwili, Boguckiego ju¿ nie by³o.

Stary gdzieœ siê przyczai³, czekaj¹c na odpowiedniejsz¹ chwilê.

Michaœurodzi³ siê krótko przed siódm¹ wieczorem.

Nie by³ du¿y, ale zdrowy.

Po paru minutach pojawi³y siê tylko ma³e trudnoœci z oddychaniem, wiêc lekarz postanowi³, ¿e na wszelki wypadek zatrzyma go parê dni w inkubatorze.

Kiedy Marek zobaczy³ Karolinê, jak schodzi³a po schodach, wymachuj¹c torebk¹, ju¿ wiedzia³, ¿e wszystko posz³o dobrze.

Zbli¿y³a siê powoli i objê³a go.

- No, to mamy ju¿ naszedziecko - upewni³a go.

By³ jej wdziêczny, ¿e powiedzia³a w³acenie to, zamiast "Maszwnuka" albo czegoœ w tym rodzaju.

- Wszystko w porz¹dku - doda³a.

- Niestety, nie wszystko.

By³ tu jej dziadek.

Karolina machnê³a rêk¹.

- Ju¿ z nim rozmawia³a.

Nawet nie chcia³a go widzieæ.

Gdyby œ³ysza³, jak go spuœci³a po drucie!

By³by œ z niej dumny.

Spojrza³ jej uwa¿nie w oczy.

- A ty?

Odkiedy wiedzia³a?

Zmiesz³a siê.

- Te¿ nie by³am pewna, s³owo dajê.

Pozwolili mu zobaczyæ córkê przez chwilê.

By³a jeszcze s³aba, ale najego widok uœmiechnê³a siê przeprasza¹co, jakby chcia³a powiedzieæ: "Tak wysz³o".

40

Pó³tora tygodnia póŹniej Karolina przywioz³a Ewêz Michasiem do Górskiego Pa³acu.

Dzieñ by³ ch³odny jak na lipiec, od wielu godzin drobny deszcz raczej wisia³ w powietrzu ni¿ pada³, góry skry³y siê we mgle.

Mimo to Marek wyj³ dziecko z ceratowej torby i uniós³ na rêkach.

- Niebó¿ siê deszczu, ma³y - powiedzia³.

- Jesteœ Nowicki.

Twój prapradziadek by³ wielkim pogromc¹ wilków.

Mówi³ byle co, ¿eby tylko ukryæ, co siê w nim dzia³o.

Dopiero teraz zaczê³o do niego docieraæ, ¿e naprawdê wszystko siê zmieni³o.

Przygarn¹³ córkê do siebie, jakby siê przestraszy³, ¿eby nie poczu³a siê usuniêta na drugi plan przez w³asne dziecko.

W tej samej chwili przy³apa³ spojrzenie Karoliny, które nie by³o przeznaczone dla niego.

Tak jakby nagle ona poczu³a siê na boku.

Trwa³oto tylko moment.

Zaraz siê opanowa³a.

212.

- Już my z twoj¹ mam¹ zadbamy, żebyœ nie by³ taki, jak prapradziadek!

G³os Karoliny brzmia³weso³o, ale w gruncie rzeczy mówi³a serio, Marek by³ o tym przekonany.

- S³ysza³eœ, ma³y?

Jeszcze widzisz wszystko dogórnogami, a już próbuj¹ za ciebie decydowaæ, jaki masz byæ - zamrucza³.

Wszed³ dzieckiem na rêkach na werandê, przyjrza³ musiêuwa³niej.

Noworodek wyda³ mu siê uderzaj¹co ma³y, Ewê po urodzeniu zapamiêta³ du¿o wiêksz¹.

G³owa Michasia po prostu nik³aw czepku najmniejszego rozmiaru, jakiby³ do kupienia.

Ale spa³spokojnie, oddychaj¹c równo i cicho.

- Dobra robota, córcia - odezwa³ siê niem¹drym tekstem, jakby chcia³ zamaskowaæ to, co czu³ naprawdê.

Spojrza³a na niego niepewnie.

- Nie gniewasz siê na mnie?

By³ tym pytaniem bardziej zmieszany ni¿ zaskoczony.

Przywyk³ do myœli, że to na siê naniego gniewa³a.

- Gniewaæ siê?

Na ciebie, córcia?

Coty?

Jestem z ciebie ca³y dumny.

Wszed³ szybko dalej.

Jeszcze nie by³ gotów na takie rozmowy.

Wola³ poœwiêciæ siê sprawom praktycznym.

Na szczêœcie obecnoœæ ma³ego dziecka w domu sprawia³a, ¿e by³o siêczym zajmowaæ.

Wieczorem ani Ewa, ani Karolina nie odwa¿y³y siê k¹paæ noworodka.

Znów, jak przed laty, spad³o to na Marka.

Przygl¹da³ysiê, jak torobi³, z lekkim przera¿eniem w oczach.

Dziecko zachowywa³o siê spokojnie, dopóki nie zacz¹³ mydliæ mu g³owy, a wtedy w odpowiedzi na jego wrzask one obie te¿ straci³y resztki opanowania.

Marek widzia³, ¿e zw³aszcza Karolina najchêtniej wyrwa³aby mu Michasia, gdyby wci¹¿ nie ba³asiê, ¿e zrobimu krzywdê.

- Spokojnie, dziecko nie jest ze szk³a - bawi³ siê ich strachem.

- Bóg tak je stworzy³, ¿eby siê nie st³uk³o i nie z³ama³o od byleczego.

Nawet szympanśice nie robi¹ krzywdy swoim ma³ym, a wybyœcie sobie nie poradzi³y?

- Och, ty faszysto!

- zawo³a³a Karolina.

Ewa tylko spuszcza³a oczy, jakby wci¹¿ czu³a siê winna.

Wyta³krzycz¹cego Michasia, przewin¹³i odda³ córce.

- Wybacz, ale we wszystkim nie będę cię wyręczał - próbowałem dalej
żartować.

Ucieknęła się przeprosząc, co, wysuszyła pierze koszulki podając
dziecku.

Marek robił wszystko, żeby równocześnie nie patrzeć i
nie uciekać wzrokiem.

Nie udawałomu się ani jedno,

ani drugie.

Jego córka Ÿle to zrozumia³a i po chwili znów odwa¿y³a siê odezwaæ:

- Jednak trochê jesteœcie z³y, prawda?

Nie z powodu Michasia, tylko.

- Tylko jego ojca?

Ju¿ nie - odpowiedzia³, tym razem szczerze.

- Aleswoj¹ drog¹ mog³aœ mi powiedzieæ.

Nie rozumiem, czego siê ba³aœ.

- Nikomu nie powiedzia³am.

- Jemu te¿?

Spuœci³a oczy i pokrêci³a g³ow¹.

- Dlaczego?

- niemal krzykn¹³.

- Naprawdê na to nie zas³ugiwa³?

- Chcia³am, ale nie odwa¿y³am siê.

Mia³ takie plany.

Tyle mówi³, jak to bêdzie bada³ wilki w Kanadzie, na Syberii.

Tak o tym marzy³.

- Bo¿e!

- westchn¹³ Marek.

-Naprawdê myœla³aœ, ¿e wilkiw Kanadzieby³yby dla faceta wa¿niejsze od dziecka?

- Sama niewiem.

Pomyœla³, ¿e chyba jednak wiedzia³a.

Wci¿ nie mówi³a mu ca³ej prawdy.

Pewnie by³o tak,¿e Wacêka Michaluk po prostu niemia³ zamiaru wi¹zaæ siê z ni¹ na d³u¿ej.

Czu³a,¿e tak by³o.

Zawczasudawa³ jej to do zrozumienia.

Usunê³a siê wiêc, a on wtedy po¿a³owa³, ¿e straci³ naiwn¹ i chêt¹ panienkê, chytrze wkrad³ siê do Górskiego Pa³acu i nawet próbowa³ ob³askawiæ Marka.

A kiedy siê okaza³o, ¿e to nie ¿arty, tylko naprawdê decyzja na ca³e ¿ycie, skorzysta³ z pretekstu i umkn¹³.

Nie umia³ siê na nic zdecydowaæ, jako smaracz.

W gruncierzeczy nie by³ wart Ewy.

- Teraz ju¿ i tak jest za póŸno, prawda?

- spyta³a.

-Po tym, coœmy mu zrobili.

Nie odpowiedzia³.

Nie chcia³ jej pocieszaæ, tworzyæ z³udnychnadziei.

A mo¿e i przyznaæ siê przed samymsob¹, ¿e w gruncierzeczy nie mia³ nic przeciw temu, ¿esta³o siê, jak siê sta³o.

Dni mijały teraz pod dyktando potrzeb nowogoczonka ich rodziny.

Marek znów spędzał codziennie z córką wiele godzin, jak przed laty.

Michał szybko nadrabiał opóźnienia i po kilku tygodniach był już niemal tak gruby, jak Ewa w jego wieku.

Karmiła teraz przy ojcu bez żadnego skrępowania, jakby niezauważając, że to on wciąż nie umie zachowywać się naturalnie na widok jej nabłonionych piersi.

Na początku sierpnia przyszedł upał i często chodził po domu w samych majtkach, co najwyżej zasłaniając się ramieniem.

Każdego dnia nowo ogarniał go zdumienie, że jego córka jest już kobietą, a im lepiej to sobie uświadamiał, tym bardziej

siê martwi³.

Narazie pewnie jeszcze o tym nie myœla³a, ale Marekwiedzia³, ¿e w koñcu przyjdzie dzieñ, kiedy poczuje brak mê¿czyzny przy sobie.

I co wtedy bêdzie?

Nie umia³ wymyœliaæ niczego sensownego.

Przeœladowa³a go myœl, ¿e powinien jednak napisaaø wszystkim Wasyłowi, jeœli ona nie umia³a siêna to zdobyæ.

Ba³siê jednak, ¿e Ewa by mu tego nie wybaczy³a.

Próbowaa³ delikatnie porozmawiaæ o tym z Karolin¹, ale ona przerwa³a mu brutalnie:

- Zwariowa³eœ?

-Chcia³em siê tylko poradziæ.

- Nie próbuj ¿yæ zanikogo.

Takajest moja rada.

Czu³, ¿e Karolina ma racjê.

Kiedy pojawia³a siê w domu po pracy, Ewa w³acenie z ni¹ spêdza³a wiêcej czasu.

Prowadzi³y z sob¹ d³ugie rozmowy, Marek podejrzewa³,¿e bardziej szczerze ni¿ z nim.

Mia³y swoje babskie sekrety, do których gonie dopuszcza³y.

- Niemam zamiaru - odpowiedzia³ z uraz¹.

-To dobrze.

Myœelê, ¿e Waœkanie jest taki g³upi, ¿eby siê do tejpory przynajmniej nie domyœliæ.

Ty nie masz tu ju¿ nic do roboty.

No, chyba ¿eby jemucoœ siê odmieni³o.

Ale na to nie wygl¹da.

Mo¿eto i lepiej.

Wola³ nie pytaæ, co mia³a na myœli.

Jej stosunek do Michalukanieby³ ju¿ taki bezkrytyczny jak dawniej.

Mia³ nadziejê, ¿e intuicja dobrze jej podpowiada³a.

Musia³ wierzyæ Karolinie.

Czasem myœla³, ¿e to w³aczenie dziêkiniej odzyska³ córkê.

Przynajmniej pomog³amu w tym.

A teraz wspiera³a nie tylko sam¹ swoj¹ obecnoœci¹.

Wci¹gu paru tygodni nauczy³a Ewê gotowaæ.

A w³aciwie obudzi³a w niej kuchenn¹ pasjê, której Marek nigdy by u swej córki nie podejrzewa³.

Karolina kupowa³a uhodowców baraninê, a u ch³opów œwie¿emleko, które kwasia³y domowym sposobem, a potem same robi³y z niego sery mas³o.

Kisi³y te¿ w domu ogórki i m¹kê na ¿ur.

Tylko warzywa, których w górach prawie nikt nie uprawia³, Karolina przywozi³a z miasta, a Ewa codziennie wymyœla³a nowe dania.

Zdumienie Marka rosło, kiedy sobie uświadomił, że nie tak dawno jego córka nie wiedziałaaby nawet, jak smażyć jajecznicę.

Żeby było na czym gotować zupy, kiedy Michał już do nich dojechał, Karolina kupiła gdzieś w wiosce koguta i kury z kurczakami.

Chowali je w szopie, która wcześniej miała być dla koni.

Zanim nauczyli się, jak chronić kurczaki, dwa porwały jastrząb z ogrodu, a resztę jednej nocy wydusił lis albo lisica.

Karolina posadziła więc kury odnowa na jajach, a na ich bieżące potrzeby przywiozła kilka już podrośniętych kurczaków.

Marek trochę pokpiwał, że gotowe udka można po parę groszy kupić w każdym sklepie.

- Możesz sam jeść gotowe udka, jeżeli masz ochotę, ale nie wyobrażaj sobie, że będę faszerowałam dziecko i karmiłam matkę koktajlem z hormonów i antybiotyków - ucięłam jego szyderstwa Karolina.

Tylko jedno pytanie wzbudziło niepokój Ewy.

Podsłuchała, jak sobie rozmawiali na ten temat w kuchni.

Siedziała w kącie przy komputerze i próbowała wymyślić coś sensownego w związku z możliwym zamianami na giełdzie, którego spodziewała się w najbliższej przyszłości trwać więcej miesięcy.

- A kto będzie zabijał kurczaki?

- usłyszała przez otwarte drzwi córki.

- Ten, kto będzie jadł - stwierdziła krótko Karolina.

- Nie lepiej kupić od razu zabite?

- spytała Ewa niecierpliwie.

- Jeżeli ktoś uważa, że zwierzę nie powinno się zabijać, może zostać wegetarianinem.

Ale pojechała do kina, a brudny robot zostawia innym, to szczyt obrazy, nie uważasz?

- No, czy ja wiem?

Dla mnie to trochę nieprzyjemne.

- Ewa broniła się niepewnie.

- Kto powiedział, że ma być przyjemne?

Przyjemny jest rosó³ek.

A na przyjemnoœæ trzeba sobie najpierw zas³u¿yæ.

- To jak?

No¿em?

- Mo¿na no¿em.

Ale tasakiem jest szybciej.

Mniejszy stres dlakury.

- Jesteœ pewna?

-Nie jestem.

Niewidzê sposobu, ¿eby to sprawdziæ.

Ale taksobie wyobra¿am.

Marek by³ przekonany, ¿e Karolina przywioz³a zabitego kurczaka z Zimnego Do³u i tylkodra¿ni³a siê zEw¹, wiêc ta pods³uchana rozmowa dosyæ go rozœmieszy³a.

Pamiêta³, ¿e u dziadkaStanis³awazarzynianiemdrobiu zajmowa³a siêzawsze kucharka, która gotowa³a posi³kidla robotników leœnych.

Tote¿ nicjeszcze nie podejrzewa³, kiedy Ewa wetknê³a g³owê przez drzwi spyta³a:

- Tata, chcesz rosó³ na kolacjê?

-Jasne.

Pod warunkiem, ¿e nie bêdê musia³zabijaæ osobioœiekury.

- Bez obawy.

Jeszcze nie tym razem.

Uciechn¹³ się iwróci³ do Internetu.

Szuka³ bezpiecznych, a w miarę dobrze rokujących zrównoważonych funduszy inwestycyjnych, do których mógłby przenieść swój udział rezerwując na czas przewidywanego pogorszenia koniunktury.

Od ekranu laptopa oderwał³ go dopiero przez chwilę wrzask w ogrodzie.

Wyjrzał³ przez okno i ze zdumieniem ujrzał³ swoją córkę z wyrywającą¹²¹⁶.

cym siê m³odym kogutkiem w rêkach.

Podesz³a z nim do pniaka, na którym Marek zwykle r¹ba³ drewno, podnios³a z ziemi siekierê.

Jedn¹ rêk¹, pomagaj¹c sobie biodrem, próbowa³a zmusiaæ ptaka, Źeby po³o¹y³ g³owê na pieñku.

Wreszcie uderzy³a, a raczej opuœci³a siekierê zniewysoka na jego szyjê.

• le trafi³a, ostrze zecelizgnê³o siê po piórach, kogutek wrzasn¹³ dwa razy g³oœniej, wyrwa³ siê i z rozpostartymi skrzyd³ami ucieka³ w g³¹b ogrodu.

- Nie tak!

Us³ysza³ g³osniewidocznej przez okno Karoliny, która chwilê pó¹niejmignê³a mu, zaganiaj¹c kurczaka dosk³adziku na drewno.

S¹dz¹c po dobiegaj¹cych stamt¹d odg³osach, schwyta³a goca³kiem szybko.

Wrzaskumilk³.

Karolina wy³oni³a siê przy pniaku.

Trzyma³a kogutka obur¹cz zatu³ów, przyciskaj¹c mu skrzyd³ado boków.

Tym razem nie wyrywa³ siê.

Szybkim ruchem uderzy³a jego g³ow¹ o pniak, szyjaptaka sflacza³a i opad³a bezw³adnie.

- Teraz - powiedzia³a Karolina,

Marek zobaczy³, jak jego córka unios³a siekierê w dr¹cyhd³oniach.

- Niezamykaj oczu!

- zawo³a³a Karolina.

-Jeszcze mi ręce poobcinasz.

Patrz, gdzie uderzasz.

I Ewa uderzy³a.

Marekwszed³ do kuchni dopiero pó³ godziny pó³niej.

Musia³najpierw trochę och³on¹æ.

Jego córka tylko w majtkach i biustonoszu siedzia³a na taborecie.

Skuba³a martwegokogutka, trzymaj¹c go miêdzy nagimiudami.

Jego pozbawiona g³owy szyja dynda³a, owiniêta zakrwawion¹ szmatk¹.

Jednak najbardziej uderzy³Marka wyraz zadowolenia na twarzy Ewy.

Wyczu³a jego wzrok, podnios³a oczy.

- No, cosie¹ tak gapisz?

- spyta³a.

-Ros³ek bêdzie.

Uæmiechn¹³ siê do niej.

W³acenie wtej chwili uwierzy³, że najgorsze minê³o, a jego córka na pewno ze wszystkim sobie poradzi.

41

W zapadaj¹cymz mierzchu siedzieli w starej ambonie na skraju polanki, jakieœdwa kilometry od Wilczego Przesmyku.

Drugiego sierpnia znów była mokra, ale przed wieczorem nad górami pokazała się na krótko słońce, lasy zadymiały mgłami.

Prognozy mówią, że lepsza pogoda potrwa kilkanaście godzin, potem ma nadejść kolejna fala deszczów.

Tego dnia księżyc zbliża się akurat do Pełni i Karolina orzekła, że może to ostatnia okazja,

aby zniechęcić watahê Siwej Mañki i Bandziora do wêdrówek napastwiska nad Tokarni¹ i Berezow¹ przez Wilczy Przesmyk.

Od czerwca znów nasili³y siê w tej okolicy ataki wilków na owce. Poprzednie lato hodowcy mogli teraz wspominać jako bardzo spokojne. W tym roku napada³ już nie jeden samotnik.

Conajmniej piêć, a może isiedem wilków urz¹dza³o prawdziwe polowania, masakruj¹c stada.

Nie ba³y siê niczego.

Po³ar³y wielemniejszych pasterskich psów, zabi³y nawet dwa owczarki, wyszkolone przez specjalistów z Zimnego Do³u.

Wreszcie zagryz³y krowê tu³ przy szosie z Zimnego do Sanoka, i to na oczach pilnuj¹cej jej kobiety.

To przewa³ly³o.

Kierowana przez so³tyśa Drewniaka samoobrona hodowców osi¹gnê³aw końcu swój cel.

Wojewoda zgodzi³ siê na odstrza³ wszystkich wilków poluj¹cych na pastwiskach w gminie Zimne.

Myœliwi czekali już tylko na pierwszego wrzœcia, bo od tego dnia mia³o obowi¹zywaæ pozwolenie.

Tej nocy Ewa pierwszy raz zosta³a sama z Michasiem w Górskim Pa³acu.

- Wiem, że to jeszcze nie najlepsza pora, żeby ciê zostawiać, ale następnej pe³ni ksiê³yca nasze wilki mog¹ nie doczekać - t³umaczy³a Karolina, jakby usprawiedliwiaj¹c siê.

- Kumplena dle cenniczego Prawicy z rozkosz¹ rozstrzelaj¹ je wszystkie, ca³ watahê.

Karolina nie mia³a w¹ tpliwoœci, ¿e to stado Siwej Mañki nauczy³o siê zabijaæ gospodarskie zwierzêta.

A w³ aœciwie Bandzior wyszkoli³ resztê wilków, którym teraz przewodzi³.

On te¿ pokaza³ im szlak przez Wilczy Przesmyk, na którym przed laty Prowidnyk przez wiele miesiêcy wodzi³ za nos najlepszych myœliwych.

Odk¹ d sprowadzi³ a siê tu Ewa z dzieckiem, wilki regularnie cokiłkanocy krêci³ y siê w pobli¿u schroniska, nastêpnego ranka któryœ z hodowców znów znajdowa³ resztki swoich zagryzionych owiec.

- Wyg³ upiasz siê?

- oburzy³ a siê Ewa.

- Oczywiście, ¿e jedÿcie.

Co ja, nie poradzê sobie?

Popo³ u dni u pojechali do jedyne go hodowcy z Berezowej, z którym Karolina jeszcze dobrze ¿y³ a.

By³ to dziwak zwany Ksiêciem, stary bogacz udaj¹ cy hipisa.

Kilkanacie lat wczesniej zapl¹ ta³ siê tu na zlot Rainbow Family i zosta³.

Za³ o ¿y³ ekologiczn¹ hodowlê owiec bez u¿ycia antybiotyków.

Spêdza³ w górach tylko wakacje, przez resztê roku gospodarstwem opiekowali siê bezdomni, okradaj¹ c swego dobroczyñcê, z czego siê tylko da³ o.

Straty mia³ i tak bardzo du^ze, jagniêta pada³y mu od chorób zaka^znych, abarany, którymuda³o siê prze^zyæ, bezdomni sprzedawalipok¹tnie na pieczeñ, zrzucaj¹c winêna wilki.

Ksi¹żênajwyra^zniej wkalkulowa³to z góryw koszty, bo w ogólesiê nie przejmo²18.

wa³ i g³osi³ dooko³a, że wilki też musz¹ coe³ że re^æ, czym doprowadza³ do pasji Drewniaka i jego samoobronę.

Wszystko musieli przeprowadzić w konspiracji, więc mogli zaufa^æ tylkojemu.

Sk³ócony z ca³reszt¹ hodowców, na pewno byich nie wyda³.

Wszystkoprzygotowa³ zawczasu i kiedy do niego przyjechali, czeka³a już na nich ma³a przyczepka na dwóch ko³ach, szczelnie zakryta plandek¹.

Marek zosta³ wcześniej wtajemniczony przez Karolinę, wiedzia³ więc, że eskrzyńiakry³apad³aowc^ê, poranion¹ przez wilki trzy dni wcześniej.

Pozosta³o tylko zamocowa^æ przyczepkę do haka holowniczego ³ady.

- Nie wiem, co tam kombinujesz, ale że cz^ê ci powodzenia.

- Gospodarz mrugn¹³ do Karoliny.

- Jeżeli tylko twoim zamiarem jest zagra^æ na nosie naszym przem¹drza³ym przyjacio³om, którzy uważaj¹ się za w³adców tej ziemi, to jestem po twojej stronie.

Pomacha³im na pożegnanie.

- Szkoda, że nie ma takich więcej - westchnę³a Karolinazakierownic¹.

- Wariaty mają¹ doce^æ w³asnych problemów, żeby się jeszcze w to angażowa^æ.

Azreszt¹, Ksi¹ że te³ nie będzie, bo ma to w nosie.

Nikt nie zast¹pi Jurka Hry^æki.

Marek nic nie odpowiedzia³.

Denerwowa³ siê za Karolinê; nieby³oby dobrze, gdyby ludzie ich zauważyli je²d²ycych po lesiez przyczepk¹.

Po wszystkim mogliby z³atwoœci¹ domyœliæ siêprawdy.

Niestety, Marek i Karolina musieli to zrobiæ za dnia, żebyprzedzapadniêciem zmierzchu byæ ju²na stanowisku.

Ryzyka nie da³osiê wiêc unikn¹æ.

Karolina jednak zadobrze zna³a i okolicê, i obyczaje leœników.

Dojechali na miejsce, nie spotkawszy nikogo.

Marek szybko pomóg³ jej wyci¹gn¹æ martwe zwierzê ze skrzyni i zawlec na polankê pod ambon¹.

Potemwsiad³ za kierownicê, odstawi³ ³adêdo Górskiego Pa³acu, a przyczepkê ukry³w szopie.

Kiedy wróci³i wspi¹³ siê do Karoliny na ambonê, s³oñce w³œniezachodzi³o.

- Wiesz, trochê dziwnie siêczujê - przyzna³a.

- Nie polowa³amosiem lat, od œmierci dziadka Chmury.

Licencjê selekcjonera robi³am ju² tylko dlaszpanu.

̄eby myœliwych krew zala³a.

- To dzieæ dziadek siê ucieszy -powiedzia³Marek.

Nie mia³ na myœliniczego z³ego, ale pos³a³a mu gniewnespojrzenie.

- Nie wiem, czy² piek³a widaæ, co tusiê dzieje.

Mam nadziejê, ²e nie.

Zacemia³ siê.

- Taka jesteœ pewna, ¿e w³acenie tam trafi³?

-Tylkoza to, ¿e mi wymyœli³ to koszmarne imiê, nale¿a³obymu siê.

219

- Coœ ty?

- spyta³ zdziwiony, bo nigdy wczœœniej nie skar³ly³asiê na swoje imiê.

-Ostatnio jest bardzo modne.

Mnie siê podoba.

Pozatym,jeœli mówisz,¿e to pomys³ dziadka,to chyba siênastaroœæawróci³?

Przecie¿ to na czœœæ papie¿a Polaka, prawda?

- W³acenie¿e nieprawda.

Dobrze, ¿ewszyscy tak myœl¹.

Naszczêœcie zapominaj¹, jaka jestem stara, nie kojarz¹, ¿e kiedy siêurodzi³am, Karol Wojty³a jeszcze nie by³ papie¿em.

Pan pu³kownik tak wykombinowa³, ¿eby uczciæ genera³a Œwierczewskiego,pijaka, zabójcêi swego idola.

A ja ten garbmuszê nosiæ.

Mareknie potrafi³ podejœæ do tego powa¿nie.

- Nie widaæ, ¿ebyci ci¹¿y³.

-Bo dziêki Bogu dzie to ju¿ prawie nikomu nie przychodzi dog³owy.

Ale ja swoje wiem.

Pamiêtam na przyk³ad, ¿e jedynym zachodnim pisarzem, którego ksi¹¿ki pu³kownik mia³ wdomu, by³Hemingway,bo zas³u¿y³ siê sportretowaniem Œwierczewskiego "Komu bije dzwon".

Pewnie dlatego ja nigdy nie mog³am tegoczytaæ.

Niestety, chcesz czy nie chcesz, przez imię coe na ciebieprzechodzi.

- Chyba w to nie wierzysz?

- Wzruszy³ ramionami.

-Nie widzę, żeby coe ze Ćwierczewskiego przesz³o na ciebie.

No, może pozas³ynn¹³ysin¹.

Poczu³ na łęczach kolbę strzelby i z trudem powstrzyma³krzyk.

Gęstniej¹cy zmierzch rozjaśni³się na powrót blaskiemwschodz¹cego księ¹yca.

Karolina szepnę³a:

- Koniec gadania.

Od tej chwili cisza!

Swój sztucer zlunet¹ po³o¹y³a w poprzek na udach i zastyg³aw bezruchu.

Stara³ się j¹ naceladowaæ.

Nie s¹dzi³wczecniej, że totakie trudne.

Zmursza³e deski starej ambony skrzypia³y przy najmniejszym poruszeniu, cierpia³ więc, ale robi³, co mógł³.

Najtrudniejszy by³ zreszt¹ pierwszy kwadrans, potem straci³poczucie czasu i tylko przesuwa¹cy się naddrzewami księ¹yca wskazywa³, że kosmiczny zegar się nie zatrzyma³.

Wyobrazi³ sobie, że wataha już się zbli¹a, wiedzionanieomylnym instynktem swego przewodnika.

Odk¹d Bandzior zast¹pi³Jednookiego na pozycji samca alfa przy boku Siwej Mañki, ¿arciaim nie brakowa³o.

Pod koniec zimy, kiedy w w¹wozach le¿a³y jeszcze g³êbokie œniegi, polowa³y na jelenie.

Tradycyjnani enawioæ, jak¹czuli do nich myœliwi z ko³a nadleœniczego Prawicy, siêgnê³aszczytów.

Ofiar¹ watahy pad³y trzy najpiêkniejsze byki, naktórych nadleœnictwo spodziewa³o siê nieŸle zarobiaæ w nastêpnym sezonie ³ownym.

Noc¹, kiedy rozmarzniêty przez dzieñ marcowy œnieg pokrywa³ siê lodow¹ skorup¹, wilkizagania³y jelenianadno w¹wozu, gdzie zapada³siê po brzuch, aone, utrzymuj¹c siê

na powierzchni, osaczały go.

Na unieruchomionym bykudokonywały egzekucji.

Leccnicy użyli wszystkich swoich wpływów, aby przekonać władze, że ta wataha to banda zdegenerowanych leccnych szkodników, które bezwzględnie należy wyeliminować.

Łelady ich nocnych biesiad fotografowali jak od wody.

Kiedy tylko owce wyszły napastwiska, do myśliwych znów przychodził hodowcy.

Jeszcze nigdy ich straty nie były tak duże.

Nowy przewodnik dba, żeby jego stado nie chodziło gładnie.

Badacze z Zimnego Dołu byli zdania, że dzięki temu z ostatniego miotu przeżyły do jesieni trzyszczeniaki, co zdarza się bardzo rzadko.

Marek przypomina sobie krwawe łelady miłości Bandziora z Siwą Mańką w styczniu na Długim Garbie i ucemniechnie siedło siebie w ciemności.

Bandzior był dobrym ojcem.

Polanka leżała pod nimi cichai jasna w metalicznym blasku, nagle niewiedzieć skąd pojawiło się na niej bezszelestnie kilkakrotnie.

Jeden z wilków zbliżył się do padliny, inne usiadły w rzadkim szeregu i czekały.

Karolina wciła się nie ruszając.

Chrzest kości miażdżonych przez wilcze zęby zabrzmiał w nocnej ciszy niespodziewanie głośno.

Na tensygna do łarcia rzucił się pozostała wilki.

W dole Marek widzia³ poruszaj¹cysię ciemnyk^{31b}, s³ysza³ wyraŹnie mlaskanie i ciche powarkiwania.

Dziwi³się,naco Karolina jeszcze czeka.

Dopiero po chwili zarejestrowa³ruch po drugiej stronie polanki, przy zarocelach.

Na ich tlepojawi³się nowy cień, ledwo st^{1d}widoczny, nieruchomy.

Nag³ymruchemsamych ramion, w którym nie bra^{3a}udzia^{3u}reszta cia^{3a}, Karolinapodnios^{3a}sztucer.

Marek odruchowo otworzy³usta, ale huk strza^{3u}i tak ma^{3o}nie rozsadzi³mu czaszki.

Cień po drugiejstronie polankiuniós³się w górê,zrobi³w powietrzu koz^{3a}iupad³w zarocela.

Zanimecho ucich^{3o}, po innych wilkach nie zosta³nawet celad.

- No i porobocie -powiedzia^{3a}cicho Karolina.

Odchrz¹knê^{3a}, prze³knê^{3a}g³oceno œlinê.

Chwilê siedzia^{3a}nieruchomo zesztucerem na kolanach,jakby nie mia^{3a}si³ysię poruszyæ.

Wreszcie znalaz^{3a}w sobie now¹energiê.

- Dobra, zwijamy siê.

Dopieroby siê nadleœniczyPrawicaucieszy³, gdyby mnie z³apa³na sk³usowaniu wilka przed terminem pozwolenia.

Po Bandziora wrócimy za dnia - dorzuci^{3a},kiedy by^{3a}juŹ na dole drabiny.

- Szkoda by było takiejskóry.

- Skąd wiedział, który to?

- spytał Marek, zdumiony.

- Zdaliśmy się dobrze poznać.

Nawet go polubiłam, chociaż złe nawyki.

- Jesteś pewna, że go tylko nie ranił?

- artujesz?

Dostał na sztych, nawet nie poczuł.

Znów mu zaimponowała, nie mógłby temu zaprzeczyć, nawet gdyby chciał.

Kwadrans później zgasił silnik przed Górkim Pałacem, a leniwie wysiadł z samochodu.

- Posiedź tu ze mną jeszcze trochę, co?

- poprosiła.

- Nie mogłabym teraz zasnąć.

Następnego przedpołudnia Karolina zgłosiła w nadleśnictwie znalezienie w lesie skusowanego wilka.

Skórę oddała do muzeum przyrodniczego w Ustrzykach.

Pod koniec lata Marek większość czasu poświęcał Ewie i Michasiowi.

Przy okazji jednak zaobserwował, że wilki nie chodzą już przez Wilczy Przesmyk.

Ataki na owce ustały.

Wataha najwyraźniej wyniosła się w bezpieczniejsze okolice.

Któregoś na początku października zaginęł stary pan Skowronek.

Szukali go prawie cały dzień.

Z samego rana Ela Wariatka zadzwoniła do Górkiego Pałacu, że jej ojciec zniknął, a trzy kwadransy później pojawiła się sama na archaicznym motocyklu Wariata.

Na wybojach z trudem panowała nad ciężką maszyną.

- Ico, wiadomo już coœ?

- zawo³a³a Karolina, wybiegaj¹c jejn³aprzeciw.

- Nie wiem, nic nie wiem, nie mogê zebraæ myœli.

- Ela zsiad³az motoru roztrêsi³ona i opad³a na schodek, jakbynagle straci³asi³y.

-Tatomusia³ wymkn¹æ siê w nocy.

Jestem pewna, że po³o³y³siê wieczorem, co dzieñ sprawdzam, czy niezasn¹³ z papierosem.

- I nicwiêcej?

Tak po prostu znikn¹³?

- Chybazabra³ ze sob¹ szkicownik.

W ka³dy³m razie nigdzie nie mog³am go znaleŹæ.

- Poszed³rysowaæ?

- spyta³a Karolina.

-Po ciemku?

- A bo ja wiem?

Przecie³macie œwiadomoœæ, że on nie jest.

ca³kiem.

- Noc by³a ksiê³y³cowa, mo³e to mu wystarczy³o?

-Albowiedzia³, że ma przed sob¹ d³ug¹ drogê - odezwa³ siê Marek.

- W³acenie!

- ożywiła się Ela.

- Podobno o ćwiccie drwale widzieli kogoś najakiejś starej ćwiccie.

Zadzwoń gajowy.

Może to on?

Stara ćwicka, mówi to wam coś?

- Owszem.

- Karolina pokiwała głową.

- Był kiedyś taki skrót.

ze wsi na Wilczy Przesmyk przez Jamy.

Jakieś dwadzieścia lat temu w kilku miejscach zawaliły go wiatromy.

Nie wszystkie drzewa opadły i tak zostało.

Ciekawka do dzieła całkiem zarosła, ale jak się dobrze zna las, można ją odszukać.

Tylko że tosiś zupełnie opadła, trzeba się przedzierać przez chaszczę.

Ale jest tam pięknie.

Może chciałaby namalować wschód słońca nad doliną?

- Tata nie maluje pejzaży.

- Wariatka wzruszyła ramionami.

- Iskry by znał dobrzy las?

- Zdaje się, że już kiedyś bywał w tych stronach?

- spytała Karolina.

- Dawno temu, w wojsku.

Nigdy o tym nie mówi.

Nie wydajemy się, żeby dużo pamiętała.

- Wiesz co, zanim postawimy na nogi służby ratownicze, niezawadzi sprawdzić - zdecydowała za nią Karolina.

Uwinęła się szybko, wzięła służbowy krótkofalówkę i GPS, potem jeszcze wrzuciła do plecaka zwykły kompas, swój stary wojskowy mapę i apteczkę.

Wyruszyli kilka minut później, znów zostawiając Ewę z dzieckiem w schronisku.

Karolina prowadziła bez wahania, nie korzystając z map.

Tuż przed przecięciem skręciła nagle w las, w miejscu, które Markowi wydawało się zupełnie nie do odróżnienia.

Kilkadziesiąt metrów dalej rzeczywiście trafili na coś, co wyglądało na bardzo starą drogę, zarosniętą trawą, a po bokach miodymi wierkami.

Miejscami była wyraźnie jęsza, a miejscami zanikała zupełnie i Marek był pełen podziw dla Karoliny, która bezbłędnie odnajdowała szlak.

Nienawykła dotychczas eskapad Ela ledwo za nimi nadłazała, prawie przecząc.

Najpierwszym ze starych wiatromów, porośniętym już gęsto malinami, utknęła nadobrze.

Karolina musiała wrócić i przeprowadzić przyjaciółkę za rękę przez plataninę powalonych przed laty pni.

- To bez sensu - jęczała Wariatka.

- Przecież tatoby w życiu kiedy nie przeszedł.

- Jak już zaczniemy, to sprawdzimy do końca - uciekała dalszą dyskusję Karolina.

Szli jeszcze prawie godzinę, miejscami przedzierając się przez gęste zarosła i kolejne wiatromy, a las nieco się przeczesał, a ponad gęstym maliniakiem na zboczu odsłonił się widok na Bukowe Źebro.

Karolina podniosła do oczu lornetkę, chwilę przepatrywała zarosła i widny bukowy las wokół nich.

Wreszciewyci¹gnê³a rêkê.

- Tam coœ jest.

Zbiegli lasem, œlizgaj¹c siê na zes³orocznych liœciach, a¿
dozmursza³egopnia, na którym le¿a³ zamkniêty blokrysunkowy.

w tekturowych ok³adkach, a na nim pude³ko pasteli.

W pobli¿unieby³o nikogo.

- Mia³æ racjê, to jego!

- zawo³a³a Ela.

-Ale gdzieon siê podzia³?

Przeszukali okolicê w promieniu kilkudziesiêciu metrów, alenie natrafili na ¿aden œlad wiêcej.

- Tato!

- wo³a³a Wariatka.

-Tato, gdzie jesteœ?

Odezwij siê!

- Spokojnie.

- Karolina próbowa³a zapanowaænad sytuacj¹.

- Zastanówmy siê.

Zajrzyj do œrodka, zobaczemy, czycoœ namalowa³.

Ela pos³uszenie otworzy³a ok³adki.

-Jezu.

Marek spojrze³jej przez ramiê.

- Jednak pejza¿.

- powiedzia³.

Wszyscy troje stali teraz w milczeniu, wpatrując się w zamalowaną pastelami kartkę.

W tle można było rozpoznać wzgórza Bukowego i ebra na horyzoncie, widoczne z miejsca, w którym stali.

Reszta też wydawała się podobna, tylko miejsce obecnych chaszczajmowa i alecena droga, przy której rosła samotna jarzębina.

Dolna część kartki przedstawiała to, co było pod ziemią.

Leżały tam nagie ciała kobiety, narysowane sińskim kredką, z niego wyrastały korzenie jarzębiny.

W ciele widać było żyły, z których krew przenikała do korzeni, stamtąd dopnia, gałęzi i aż do czerwonych jagód, a potem skapywała na zieloną trawę.

- Ładny pejzaż - szepnęła Karolina.

- Nie bierzcie mojego ojca poważnie - powiedziała Ela.

- Przecież wiecie.

Lepiej pomóżcie mi go znaleźć.

- Bojcie się, że ten rysunek jednak trzeba traktować poważnie.

Może nawet dosłownie.

- Karolina uniosła głowę i wskazała ręką:

- O, tam rośnie ta jarzębina.

Marek podłżył za jej wzrokiem.

Całkiem już duże drzewo nierzuciło się w oczy, z tej odległości nie było widać jagód.

Ruszyliw jego stronê.

Karolinatorowa³a drogê przez gêtwinê malin, ledwo za ni¹ nad¹¿ali.

Stary pan Skowronek le¿a³ w wykrocie, kilka metrów od jarzêbiny, skulony, w swojej p³óciennej marynarce naci¹gniêtej nag³owê.

- Jezu!

- krzyknê³a znowu Ela.

Pierwsza do le¿¹cego przypad³a Karolina.

Fachowozbli¿y³amu lusterko doust, przytknê³a palce do szyi.

Po chwili odwróci³ag³owê.

- Bez paniki.

Po prostu zasn¹³.

Dopiero teraz Wariatka pochyli³a siê nad ojcem.

- Tato, obudŹ siê!

-Potrz¹snê³a leŹ¹cym.

- Tato, co ty wyprawiasz?

Stary usiad³ nagle, w jego oczach, szeroko otwartych, pojawi³o siê przeraŹenie.

Zas³oni³ siê rêkami.

- Co, co?

O co chodzi?

Nic nie wiem, nic nie wiem.

- Tato, to ja, Ela.

Oprzytomniej, s³yszysz?

Powoli twarz starego przybra³a bardziej przytomny wygl¹d.

Potr¹sn¹³ g³ow¹, zmierzwione w³osy przeczes³ palcami.

- ElŹunia?

Sk¹d siê tu wziê³acê?

Co siê dzieje?

- I znów b³yskprzeraŹenia wewzroku.

-Dziewczynki?

Co siê sta³o dziewczynkom?

Mówi³em, Źeby nie chodzi³y same po lesie.

- Tato!

Dziewczynki s¹ w domu.

Powiedz lepiej, co siê dziejez tob¹?

Musia³am je zostawiæ, ¿eby ciebie szukaæ.

Co ty tu robisz?

Rozejrza³ siê naoko³o, jakby dopiero teraz przypomina³ sobie, gdzie jest.

- Rysowa³em.

- Wiemy, ¿e rysowa³eœ.

Ale dlaczego wyszed³eœ z domu w nocy?

Co ci strzeli³o do g³owy?

- Musia³em zd¹¿yæ.

- Zlituj siê, na co zd¹¿yæ?

- Mówi³em, ¿eby nie chodzi³a sama po lesie.

- Kto?

O kim ty mówisz, tato?

- Nie mêcz mnie, nic nie pamiêtam.

- Nagle spojrze³ córce przenikliwie w oczy.

- Lepiej pilnuj dziewczynek, bo wiesz.

Karolina wyrwa³a szkicownik z r¹k Wariatki.

Podsuniê³a staremu przed oczy.

- Panie Skowronek, co to jest?

Stary wzdrygn¹³ siê.

Patrzy³ na w³asny rysunek, jakby nie poznawa³.

- Obrazek.

To tylko taki obrazek.

- Zerwa³ siê pan w œrodku nocy, ¿eby narysowaæ po prostu taki obrazek?

Niech pan nie k³amie.

Przecie¿ nie mo¿e pan ju¿ d³u¿ej z tym wytrzymaæ, prawda?

- Karolina, przestañ!

- próbowa³a przerwaæ jej Wariatka.

- Niech pan nam powie, copan tu narysowa³, panie Skowronek - ci¹gnê³a Karolina, nie zwracaj¹c uwagi na przyjació³kê.

-Kto to jest, takobieta?

- ona kierownika szko³y, tak?

Starycz³owiek trz¹s³ g³ow¹, zas³aniaj¹c uszy d³oñmi.

- By³em tylkokierowc¹ - powiedzia³.

-Tylkokierowc¹.

- Panie Skowronek, gdzie j¹ zakopali?

-Czego chcecie, janic nie wiem.

Teraz z kolei Wariatka chwyci³a blok rysunkowy i usi³owa³a odebraæ go Karolinie.

- Daj mu spokój!

- krzyknęła.

-Nie widzisz, co się z nim dzieje?

Ale w Karolinę jakby coś wstąpiło.

Marek nie poznawał jej.

Odepchnęła przyjaciółkę i przycisnęła szkicownik starego malarza do piersi.

- Oczywiście, że pan wie, panie Skowronek - powiedziała tak bezwzględnie, że Marek aż poczuł się nieswojo.

-Ja tylko posadziłem drzewko.

Nie wolno?

- Nagle podniósł wzrok.

-Nikt się nie dowiedziało.

Tylko drzewko.

- A ja wcale nie chcę się dowiedzieć!

- wrzasnęła Karolina, tracąc do reszty panowanie nad sobą.

-Po pięćdziesięciu latach chyba może już pan powie, co?

Panie Skowronek!

Złapała starego za ramiona i potrząsnęła, zanim Wariatka zdołała jej przeszkodzić.

Niczego jednak w ten sposób nie osiągnęła.

Malarz osun¹³ siê naziemiê, obj¹³ kolana ramionami i zacz¹³ kiwaæ siê w przód i wty³, dziwnie zawodz^{1c}.

- Widzisz, conarobi^{3aæ}?

- spyta^{3ajego} córka.

-Nie rozumiesz,¿e on jest chory?

Karolina nagle siêuspokoi^{3a}.

- Masz racjê.

Sprowadzê pomoc - powiedzia^{3a} rzeczowo i siêgnê^{3a}pokrótkofalówkê.

Pó³ godziny pó³niej przylecia³helikopter Stra¿y Granicznejz lekarzem napok^{3adzie}.

Starego Skowronka trzeba by^{3o} uœpiæzastrzykami zanieœæ naodleg³¹ okilkaset metrów polanê, gdzie maszyna mog^{3a} wyl^{1dowaæ}.

Ela polecia^{3a} z ojcem.

Dopiero wtedy zostali sami i ruszyli z powrotem do domu t¹ sam¹ drog¹, któr¹przyszli.

- To ja zachowa^{3am} siê jak wariatka, co?

- Karolina pierwszazaczê^{3a} rozmowê.

-Biednej Eli do mnie daleko.

- Trochê mnie zaskoczy^{3aæ} - przyzna³.

-Sam¹ siebie te¿.

Nawet nie przypuszcza^{3am},¿e to mnie jeszcze tak obchodzi.

- Ty coæ wiesz?

-Nicnie wiem.

Kombinujê.

- Myœlisz, Ÿe obaj nasi dziadkowie naprawdê mieli z tym coœwspólnego?

-Nie mam pojêcia.

To siê sta³o na ich terenie.

Twój by³ nadleœniczym, mój komendantem odcinka granicznego.

Wiêcco najmniej kryli morderców.

- Naprawdê chcesz siê dowiedzieæ?

To dla ciebie takie wa¿ne?

- Dla ciebie nie?

-Sam nie wiem.

Nawet jeœli byli winni jej œmierci, toco z tego wynika dla nas?

226.

- Przynajmniej powinniemy zadbaæ, ¿eby ta nieszczêsna mia³a wreszcie swój grób, nie s¹dzisz?

Wzruszy³ ramionami, spojrze³ na zegarek.

Pomyœla³, ¿e jeœlisiê poœpiesz¹, zd¹¿y jeszcze wyk¹paæ Michasia.

Ewa wci¹¿ba³asiê robiæ to sama.

W tej chwili to by³o dla niego najwa¿niejsze.

- I po co to pani by³o?

Nadlecœniczy Prawica patrzy³ na Karolinê spod ciê¿kich powiek.

Siedzieli przy stole we czworo.

Z Warszawy przyjecha³dziennikarz "Rzeczpospolitej", ¿eby napisæ reporta¿ o szcz¹tkach zabitej przed pó³ wiekiem kobiety, odnalezionych w lesieprzez szalonego malarza.

Spotkali siê w miasteczku, w restauracjiRatuszowej,gdzieo tej porze by³o jeszcze pusto i da³o siê swobodnie rozmawiaæ.

- Pan zawsze wszystko wiedzia³, prawda?

- spyta³a.

- Niczego nie wiedzia³em.

By³em m³odymleœnikiem œwie¿o postudiach.

Kr¹¿y³y ró¿ne plotki,ale ja siê zajmowa³em swoj¹ robot¹, a nie polityk¹.

To by³ dopiero rok piêædziesi¹ty szósty, proszêpani, wojnêmia³o siê œwie¿o w pamiêci, mo¿na powiedzieæ,w oczach.

Zabardzo chcia³o mi siê ζ yæ, ζ ebym zadziera³ z panidziadkiem.

Nie uœmiecha³o mi siê skończyæ podœció³k¹ z kul¹w g³owie, jak ona.

- Przecie ζ pan podobnonie mia³ o tym pojêcia.

-Mo ζ na siêby³odomyœliæ.

A ja mia³em m³od¹ ζ onê, ma³edziecko.

- Onate ζ by³a m³od¹ ζ on¹, mia³a ma³e dziecko.

-Tym bardziej.

Sygna³ by³ czytelny.

Jœeli ona znik³a, mog³o tospotkaæ ka ζ dego.

By³y ju ζ znane wyniki ekshumacji.

Po tylulatachuda³o siê tylko stwierdziaæ, ζ e koœcinale ζ a³ydo kobietymiêdzy dwudziestymi¹tyma trzydziestym pi¹tym rokiem ζ ycia.

Przyczyn¹ jej œmierci by³ najprawdopodobniej strza³ w ty³ g³owy.

Otwór wlotowyznaleziono wpotylicy.

Wewn¹trz czaszki pozosta³ silnie sp³aszczonypocisk pochodz¹cy zapewne z sowieckiego pistoletu TT.

W tamtych latachmodel ów s³u ζ y³ jako broñ osobistaoficerom Ludowego Wojska Polskiego.

Byæ mo ζ e zabita by³a we wczesnym stadiumci¹ ζ y, ale nie mo ζ na by³o mieæ co do tego pewnoœci.

- Niech pan mówidalej- ponagli³a Karolina.

-Po co to pani?

Prawica zgodzi³ siê z nimi spotkaæ, ale najwyraŹniej nie mia³wielkiej ochoty rozmawiaæ z reporterem, ignorowa³ go, zwracaj¹csiê ca³y czas do Karoliny.

- ˆeby prawda wysz³a na jaw.

To nie wystarczy?

- Apanisiê wydaje, ¿e jaka ta prawda jest?

-Czekam, a¿ pan mipowie.

By³a kochank¹ mojego dziadka?

Zgwa³ci³ j¹?

Zasz³a w ci¹¿ê?

Trzebaby³o usun¹æ dowody kompromitacji pana pu³kownika?

Prawica po raz pierwszy wtrakcie tej rozmowyzacemia³ siê.

- Nie przypuszcza³em, ¿e pani jest a¿ tak sentymentalna.

Niby taka nowoczesna, mówi¹, ¿e prawiefeministka, a myœli, pani siênieobra¿a, jak czytelniczka "ˆycia na Gor¹co".

Wtedy mê¿czyŹni byli honorowi.

Gdyby pu³kownik zrobi³ dziecko tej pani, zaopiekowa³by siê ni¹, jak genera³ Œwierczewski swoj¹ sekretark¹.

- To co, wiedzia³a coœ?

Co takiego?

- Nie chodzi³o o to, co wiedzia³a, bo to prawie wszyscy wiedzieli, tylko ¿e nie trzyma³a buzi nak³ódkê.

Szkalowa³a dobre imię Ludowego Wojska Polskiego.

Demoralizowa³a m³odzież.

- Panie nadleceńcicy, co to za bredniepan opowiada?

Z takiego powodu zabijaæ?

Chyba pansam w to nie wierzy.

- Ja tylko sobie wyobrażam, jak na to patrzy³ pani dziadek, nic wiêcej.

Zreszt¹, bo to tylko on?

A leceńcicy Nowicki to co?

- Prawica spojrze³ znacz¹cona Marka.

-Ta samaszko³a.

By³moimpierwszym prze³ożonym, to coena ten temat wiem.

- Panie nadleceńcicy, pamiêtam, że kiedyœchwali³ pan mojegodziadka - mrukn¹³ Marek.

-I dalej bêdê go chwali³.

Bo to porz¹dny cz³owiek by³, dobryPolak, wspania³y leceńnik.

Ale że Ukraińców nienawidzi³, to innasprawa.

By³y powody.

No ico?

Dalej chcecie siê w tym grzebaæ?

Jeœli tak, to ja siêwam dziwiê.

Mamy z Ukraińcami pojednanie, tak?

To poco od nowa j¹trzyæ?

Co innego starzy, jak ten biedny, chory malarz.

Oni już inaczej nie mog¹.

Alewy?

Marek zaczyna³ wierzyæ, choæ wbrew sobie, że w tym, co mówi Prawica, jest sens.

Jakieś strzępy rodzinnych rozmów, zająd³oææ, z jak¹ dziadek Nowicki do samej æmierci upiera³siê, że wilki zjadaj¹ ludzi, to wszystko musia³o coæ oznaczaæ, dok¹dæ prowadziaæ.

Jednak wci¹ż nie wiedzia³ dok¹d.

Pamiêta³ zbyt ma³o.

- Chwileczkê, panie nadleæniczy.

- Karolina wygl¹da³a terazna zbit¹ z tropu.

- Do czego pan zmierza?

Co maj¹ do tego Ukraińcy?

Przecież.

- A o to niech już pani lepiej spyta swojego tatê.

Topan Chmura jest historykiem, a ja tylko skromnym inżynierem od lasu.

Co ja mogê wiedzieæ?

- Mogę ja o coś spytać?

- Milczycydo tej pory dziennikarz dopiero teraz jakby się ocknął¹³.

- Przepraszam, cały czas tylko ja gadam, nie dopuszczam panado głośno - spieszy się Karolina.

-Nie szkodzi, ja i tak słucham.

Chodzi mi tylko to.

Ktoś państwa wspomni tu o jakimś malarzu.

Chorym.

jak się domyślam, psychicznie?

Chciałbym spytać, czy nie chodzi przypadkiem o autora tej skandalicznej wystawy, w sprawie której protestowała ambasada Ukrainy?

Niestety, nie widziałem jej, ale tego, co czytałem.

Zapadła cisza.

Dziennikarz nie był już młody i należał do typuludzi, na których nikt nie zwraca uwagi, jednak miał opinię jednego z najbardziej przenikliwych reporterów i Marek pomyślał teraz, że nie byłoby w tym przesady.

- Autor wystawy pozostał anonimowy - powiedział.

-Rozumiem, ale.

-Wysłannik "Rzeczypospolitej" ucieszył się prawie niedostrzegalnie.

- No i zupa się wylała!

- Nadleńcicy Prawica nie próbowała ukrywać złościwej satysfakcji.

- Te obrazy s¹ ci¹glew magazynie.

To niedaleko.

Zaprowadzêpana - zdecydowa³a siê nagle Karolina.

- Mo¿e ju¿ doœæ tego zamiatania œmiecipod dywan.

Jej ojciec jakbyspecjalnie czeka³ na nich w domu kultury.

Wcale nie wydawa³ siê zdziwiony wizyt¹.

- Wiedzia³em, córca,¿e w koñcuzechcesz obejrzeæmoj¹ wystawê.

Trochê siê tylko dziwiê,¿e dopiero teraz.

Pan, redaktorze,oczywiœcie, te¿ mo¿e zobaczyæ te obrazy, dlaczego nie?

Malarzmalowa³ po to, ¿eby ogl¹daæ.

Pokuœtyka³ przodem, aoni wmilczeniu pod¹¿yli za nim.

W magazynie by³o ciemno, Chmura wyniós³ po kolei obrazy Skowronkana widny, nieuczêszczany o tej porze korytarz wbiurowej czêœcibudynku.

Pozbawione ekspozycji, zbliska robi³y jeszcze gorszewra¿enie.

- Ale koszmary, ale koszmary.

Dziennikarz niepowstrzyma³ siê od komentarza, Marek niewiedzia³ jednak, czymia³ na myœli okropnoœæ przedstawionychscen, czy poziom wykonania.

Sam zatrzyma³ siê przy ostatnimobrazie.

Niepamiêta³ go, mia³ wra¿enie, ¿e na wystawie takiejsceony nie zauwa¿y³.

Malowidło przedstawiało ludzi płonących w ogniu.

Wszyscy byli nagi.

Tylko postacie na pierwszym planie, wrzucające w płomienie dzieci, miały na sobie mundury.

Tłonie było wyraźne, przypominało kocie pozbawiony łap, jakby pociąg, żeby nie zasłaniało tego, co działo się w środku.

Coś go.

w tym tle zaniepokoi³o.

Zanim zorientowa³ siê, co to by³o, wyrêczy³ go wys³annik
"Rzeczpospolitej", który te³ przystan¹³ oboki nagle wykrzykn¹³:

- Ale³to nie koœció³, tylko cerkiew!

Zaskoczeni, wszyscy spojrzeli na Adama Chmurê.

- No tak - powiedzia³ po chwili ojciecKaroliny.

- Bo tonieUkraiñcy pal¹Polaków, tylko Polacy Ukraiñców.

Tym w³acenie ró³ni siê ten obrazod ca³ej reszty.

- S¹dzi³em.

czyta³em, ³e ten malarz, nazwijmygo tak, j¹trzy³przeciw Ukraiñcom.

Tak to przedstawia³y media.

- Panieredaktorze, pan najlepiej wie, jakie s¹ media.

On nikogo nie ocenia³, a tym bardziej nie j¹trzy³.

Prostu namalowa³to, cowidzia³, tak,jak zapamiêta³.

Z pocz¹tku ja te³ nierozumia³em,co ten obraz robi wêródpozosta³ych.

S¹dzi³em, ³e,mówi¹cbrutalnie, wszystkemu siêcorazbardziej miesza.

Po tych wszystkich ostatnich wydarzeniach ju³ tak nie myœlê.

Tamto widzia³ zapewne jako dziecko kilkunastoletnie, a to ostatnie jako
m³ody³o³nierz.

Tak siê mo³emy domyœlaæ, bo on namtego przecie³ niepowie.

- Chyba jednak mo³na dotrzeædo jakichœ dokumentów

-wtr¹ci³ reporter.

- Na pewno zachowa³y siê spisy ¿o³nierzy.

- I co by ztego przysz³o?

Chcia³bypan powo³aæ pana Skowronka na œwiadka?

Przed jakico¹s¹d historii?

Myœlipan, ¿e wtedy dowiedzielibyœmy siê wiêcej?

- Chmura ucemiechn¹³ siê.

-On wypowiada siê malowaniem i tyle.

- Ale tego obrazu nie powiesi³œœ - odezwa³a siê z pretensj¹Karolina.

-Có¿.

Cel wystawy ustali³oStowarzyszenie Ofiar ZbrodniUkraiñskich.

Po prostu nie pasowa³.

- Ale jesteœ hipokryta, wiesz?

Markowi zrobi³o siê przykro w imieniu starego.

Wyobrazi³ sobie, ¿e nie jest³atwo mieæ a¿ tak szczer¹ córkê.

- Chcia³abyœ, ¿eby starszemu panu przytrafi³o siê coœ z³ego?

-spyta³ Chmura.

- Niby z jakiego powodu?

Zbrodnia w Czereszni od latnie jesttajemnic¹.

- Ale siêo niej nie mówi.

-A niby dlaczego?

Ty też, jeżeli już chciałbyś przypominać, powinienbyś przypomnieć wszystko, jak to zrobił Skowronek.

Onsiênie bał.

Ty siê przestraszyłbyś za niego?

- Nie bał siê?

Tak ci siê zdaje?

- Chmura coraz bardziej traci humor.

-To chodźcie na chwilê do mojej kanciapy.

Może wypijecie ze mną kielicha?

- Tato, dalej pijesz w pracy?

- spyta³a z niechêci¹Karolina.

-Wkoñcu ciê wywal¹.

- A niech wywal¹ - odpowiedzia³.

- Nie bêdê siê musia³ mêczyæ tylko po to, ¿eby potem wszyscy psy na mnie wieszali.

Karolina i dziennikarzodmówili.

Choæby dlatego Marek czu³,¿e powiniennapiaæ siêz ojcem Karoliny.

Przez solidarnoœæ.

Nawetgdyby Karolina mia³a byæ z tego powodu wœciek³a.

- No wiêc, moi drodzy, prawda nie wygl¹da³a tak, jak do dzieœoficjalnie przedstawiaj¹ historycy.

-Proszê, jeszcze coœ nowego -mruknê³a Karolina.

- A ty siêpewnie dopiero dzisiaj o tym dowiedzia³eœ?

- Dawnosiê bi³em z myœlami, córca,czy ci mówiaæ.

Tym bardziej ¿etonic pewnego.

W ka¿dym razie nie wygl¹da mi na to, ¿eby Czeresznia to by³a po prostu zemsta ¿o³nierzy za œmieræ kolegów.

Wszyscy pisz¹,¿e spalili wieœci cerkiew bez rozkazu.

Alemniesiê wydaje, ¿e rozkaz by³.

- Jaki by mia³ sens, pana zdaniem?

- zainteresowa³ siêreporter.

- A jaki sens, pana zdaniem, ma wojna?

Topan je Ędzi³ do Jugos³awii, niech pan nam wyjaœni.

Mo¿e chodzi³ o to, ¿e jaka œukrai³nskawieœcie¿ powinna sp³on¹æ?

Dla przyk³adu?

- Chcesz powiedzieæ, ¿e dziadek wyda³ ten rozkaz?

- spyta³a Karolina.

- Nie jestem jasnowidzem, córcia.

Mo¿e ktoœ wy¿ej.

Ale jeœliby³ taki rozkaz, dziadek nie móg³ o nim nie wiedzieæ.

Przykro mi.

- Powie pan to do gazety, z imieniem inazwiskiem, jako syn pu³kownika Chmury?

- o¿ywi³ siê nagle wys³annik "Rzeczpospolitej".

- Oczywiście ¿e powie - odpowiedzia³a za ojca Karolina.

- Niebêdziemniej odwa¿ny ni¿ ta biedaczka, która sko³czy³a z kul¹w g³owie podjarzêbin¹.

- Tak, oczywiście, mo¿e pan napisæ, co panchce.

Adam Chmura wzruszy³ obojêtnie ramionami i jeszcze raz nala³ sobie wódki do fajansowego kubka.

Kilka dni póĘniej Karolina obroni³a w Warszawie doktorat.

Zadzwo³ni³a wczesnym popo³udniem.

- Od dzieci możesz mi mówić pani doktor.

Naprawdê siê ucieszy³, ale równocześnie poczu³, że znowu coesiê skończy³o.

- To pewnie teraz nawet nie bédziesz chcia³a patrzeæ na wieæ.

-Przeciwnie.

- Westchnê³a.

-O niczym innym nie marzê.

Trzydni wWarszawie to już za dużo.

Przyjadê póŸno, ale czekaj namnie, obiecujesz?

Od tej chwili nie mó³g³ sobie znaleŸæ miejsca.

Próbowa³ coærobiæ, ale nic mu nie sz³o, nie potrafi³ siê skupiaæ nawet na parê minut.

Wszed³ przed schronisko i zdziwiony spojrze³ na córkê, zas³oniêt¹wielk¹ p³acht¹ "Rzeczpospolitej".

Zwyklenie czyta³a codziennejprasy.

Teraz wydawa³a siê pogr¹żona w lekturze bez reszty.

Tylkonog¹ leniwie porusza³a ko³yskê, w której spa³o dziecko.

Zapowiada³a siê zmiana pogody.

Deszcz niepada³ już od kilkugodzin, wzgórza wokó³ doliny parowa³y mg³ami.

Mia³ nadziejê, że wreszcie nadchodzi³o spóŸnione babie lato.

Ewa podnios³a na niego wzrok z leżaka.

Michaæ w³aænie siê budzi³.

- Pójdiesz z nami na spacer czy wolisz zostać idalej oddawaæ siê tym twoim wstrêtnym spekulacjom gie³dowym?

- spyta³a.

Uda³ obra¿onego.

- Zatakie gadanie teraz w ogóle siê odemnie nie uwolnicie.

-Obiecanki cacanki.

Podnios³a siê, wziê³a ma³ego i w³o¿y³a do noside³ka.

Kilka minut póŸniej dzieckoznowu zasnê³o.

Poszli grzbietem a¿ do starejambony, z której kilka tygodni wczesniej Karolina zastrzeli³aBandziora.

- Ale fajnie!

- zawo³a³a Ewa.

-Wejdziemyna górê?

Zanim zd¹y³ zaprotestowaæ, wspie³a siê po drabinie, wci¹¿ zecapi¹cym Michasiemna brzuchu.

Patrz¹c, jak wchodzi po szczeblach, szybko i pewnie, przesta³ czuaæ niepokój o ni¹ i ma³ego.

Uømiechn¹³ siê sam dosiebie.

Sporty ekstremalne mia³a we krwi.

Nie weszli do ørodka.

Naplatformiedeski ju¿ obesch³y, usiedliwiêc,opuszczaj¹c luŸnonogi na zewn¹trz.

Ambona, choć wiekowa, była solidna i wysoka, z góry otwierała się ponad miodnikami szeroki widok na Bukowe Łęby.

- Ty, tato, o co właściwie chodzi z nauczycielką, którą znalazłaś w lesie?

Co to za aferą była?

- spytała nagle.

- W gazecie napisali taki wielki artykuł, ale ja nie miałam zdrowia, żeby takiego tasiemca przeczytać do końca.

Wyjaśnisz mi w skrócie?

O małoż znów nie popełniła błądu.

Już miała odpowiedzieć, żeby lepiej jednak przeczytała, to się wszystkiego dowiedziała, wiedza zdobyta z trudem na jej zapadła w pamięć.

Tak właśnie zbywa ją nieraz, kiedy jeszcze mieszkała raz w Warszawie, ona chodziła do gimnazjum.

Teraz w porę zrozumiała, że wiedza dała jej.

szansê, żeby z nią poważnie porozmawiać.

Spojrzała na cępiatego Michasia i zaczęła:

- W największym skrócie.

- Zastanowiła się chwilę.

- W największym skrócie to chyba wyglądało tak, że ktoś jej strzelił w głowę, bo była tak nieostrożna, że ośmieliła się podważyć najważniejszą z polskich prawd wiary.

- Wszyscy naokoło: Niemcy, Ruscy, Żydzi, Ukraińcy są źli, tylko Polacy są dobrzy.

- A nie są?

- spytała niewinnie.

- Sama co o tym wiesz.

- No, fakt, masz rację.

Ważenie dlatego chciałam, żebyście mikrótka opowiedziały, o co tu biega.

Ale nie przesadzaj, nie musibyście aż tak krótko.

Rzucisz jakieś szczegóły?

Musiała więc użyć dla niej tej historii w sensowną fabułę.

A przy okazji także dla siebie.

Opowiedziały jej więc, że była kiedyś taka wieś, Krasne.

A w rzeczywistości dwie wsie: Krasne Polskie i Krasne Ruskie, w których mieszkali Ukraińcy.

Krasne Polskie spalili ukraińscy partyzanci.

Kilka tygodni później polskie wojsko otoczyło Krasne Ruskie i puściło je z dymem.

Wracający z akcji oddziały wpadły w ukraiński zasadzki pod Czereszni.

Rano ukraińska chłopka znalazła w szopie dwóch rannych polskich żołnierzy.

Niewydawała ich swoim, opatrzyła rany i próbowała przetrzymać do nocy.

Nie udało się.

Ktoś zauważył, jakże ślad chory z nienawiści do Polaków, a może tylko strachliwy.

On wydał.

Partyzanci wrócili, polskich żołnierzy powiesili na drzewie przy cerkwi.

Nad babę się zlitowali, ogolili jej tylko głowę, a potem rozebrali do naga i przegonili podrozdze, a każdy mieszkaniec musiał uderzyć ją przynajmniej raz.

Ledwo żywa, zdołała jednak dowieść się do domu.

Następnego dnia do Czereszni wróciło polskie wojsko.

Partyzanci uciekli.

Na widok zamordowanych kolegów żołnierze wpadli w szale.

Kogo zdołali zapaść, kto nie uciekł w porę, zagonili do cerkwi i podpalił.

Michał znowu się obudził i zaczął marudzić.

- Wystarczy - powiedział.

- Nie opowiadaj wiêcej.

To chore.

Rozpiê³a koszulêi da³a ma³emu pierœ.

Marka ju¿ ten widoknie peszy³, by³ dumny z urody swojej córki.

- Samachcia³acê- mrukn¹³, jakby siê usprawiedliwia³.

-Wiem.

Ale mam ju¿ doœæ.

Kiedy to by³o?

Sto lat temu.

- Piêædziesi¹t.

-To jakaœ ró¿nica?

Uœmiechn¹³ siê.

- Dla ciebie niewielka.

-Po cholerê do tego wracaæ?

233.

- Nie trzeba wracaæ.

To wraca samo, chcesz czy nie chcesz.

- No tak, przekona³am siê.

To chore jeszcze bardziej, ni¿ myœla³am - powtórzy³a.

Nadchodzi³ wieczór.

Musieli ju¿ wracaæ, zbli¿a³a siê pora k¹pania ma³ego.

Ruszyli³ powrotem.

- Powinnicemy mieæ psa - odezwa³a siê Ewa zniecka.

- Czu³abym siê pewniej.

Nie móg³byœ wzi¹æ Sobaki?

Niejest mu dobrzeu tych ludzi.

Wprawi³ago t¹ niespodziewan¹ propozycj¹ w zak³opotanie.

- I co byœmy z nim robili w Warszawie?

- spyta³, udaj¹c zdziwienie.

-Dopiero by³by nieszczêliwy.

- Nie chcê wracaæ do Warszawy.

Przecie¿ wiesz.

Milcza³.

Od jakiegoœ czasu nie wracali do tego tematu, choœwiedzia³, ¿e Ewa rozmyœla³a teraz po ca³ych dniach, co ma dalejzrobiæ ze swoim ¿yciem.

Nie odzywa³siê, bo nie przygotowa³ sobie żadnej odpowiedzi.

Samwci¹¿ zwleka³ zdecyzyj¹.

- Jesteœ pewna?

- spyta³ w koñcu.

- A ty nie?

- Woln¹ rêk¹ pokaza³a przed siebie.

-Jak mo¿nabychcieœ zamieniæto na Warszawê?

- Wierzê, ¿e teraz tak myœlisz- powiedzia³.

- Ale cobêdzie,jak cisiê odmieni?

Jesteœ miejskim dzieckiem.

Powinnæ zdaæmaturê, pójøæ na studia.

W przeciwnym razie mo¿esz ¿a³owaæ dokoñca ¿ycia.

Przepraszam,¿e taktrujê.

- Nie trujesz -powiedzia³a³agodniej.

- Jate¿ siê tego bojê.

Pójdê siê uczyæ, jak tylko Michaœ bêdzie trochê wiêkszy.

Zreszt¹,mogê coœ robiæ przez Internet, nie muszê po to mieszkaæ w Warszawie, prawda?

Znów milcza³.

S³owa córki burzy³y plany, które ju¿ od jakiegoœczasu budowa³, nie mówi¹c o nich jeszcze nikomu.

Czeka³, żeby Karolina mia³ajuć zasob¹obronê.

Nie rozmawiali o tym wiele, ale wiedzia³, że dosta³a propozycjê zuchelni.

Do tej pory siê waha³a.

Teraz sytuacja siê zmieni³a.

Co mog³aby robiæ w Wilczej Polanie?

Najwyżej prowadziaæ badania terenowe przez kilka tygodni w roku.

To by³ dobry moment, żeby podj¹æ decyzjê.

Nie wygl¹da³oby to na ucieczkê.

- Wiesz - zacz¹³wreszcie ostrożnie - tylko że ja siê chyba jednak nie nadajêdo prowadzenia schroniska.

Najlepszy dowód, że wci¹ę go nie otworzy³em.

Ci¹gle coæ stajena przeszkodzi.

Lubiêtu mieszkaæ, ale to nie to samo.

- To moze ja siê nadajê, co?

- Ewa popatrzy³a na niego z nadziej¹.

-Pozwolisz mi spróbowaaæ?

Zaskoczy³a go, nie wiedzia³, co odpowiedzieaæ.

To by³o wariactwo.

Co innego, gdyby Michałuk zosta³, ale tak.

Nie mia³apojê.

cia o prowadzeniu czegokolwiek.

Dopiero co nauczy³a siê gotowaæ, przed urodzeniem Michasia nigdy nawet samodzielnie niczego niewypra³a.

Nie zna³a wartoœci pieni¹dza, nie umia³a oszczêdzaæ, kalkulowaæ kosztów, w sklepie nigdy nie sprawdza³a reszty.

- adenbanknie w³o¿y³by grosza w tak beznadziejny projekt.

On jednak nie by³ bankiem.

- Jasne - odpowiedzia³.

- Poważnie?

Wiesz, ¿e jeœli siê nie uda, to ty zostaniesz z d³ugami?

- Nie zapominaj, ¿e jestem spekulantem gie³dowym.

- Uœmiechn¹³ siê.

- Wreszcie bêdê mia³ okazjê przeznaczyæ brudne pieni¹dze na szlachetny cel.

Ale dlaczego w³aœciwie mia³oby ci siê nie udaæ?

Przez chwilê wydawa³o mu siê, ¿e Ewa ma ochotê rzuciæ musiêna szyjê i zrobi³aby to, gdyby nie dziecko wnoside³ku.

Chocia¿, byæmo¿e, ³udzi³ siê tylko.

- Jasne, przecie¿ tylko ¿artowa³am - mówi³a podniecona.

- Wszystko ju¿ obmyœli³am.

W zimie zarobimy na obozach narciarskich.

W samej Warszawie znam masę ludzi, którzy przyjadą na ski touring.

A wiosną.

Wiosną może by się jednak kupiło jakieś konie, co?

Choć ze dwa?

- No.

Czemu nie.

Nie miał sumienia pozbawiać jej zatrudnienia.

Nie wierzy w powrót Wasyla.

I by zdania, że ona też nie powinna.

Tylko potrzebował jeszcze trochę czasu.

Zanim doszli do schroniska, chmury porozrywały się i stoki Bukowego Źebra znalazły się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

- Masz rację - odezwał się.

- Nie warto poświęcać tego dla Warszawy.

Zatrzymali się na chwilę.

- Sam widzisz - powiedział.

- Tato.

- No co?

- Przestań się już przejmować, nie przeżywaj tego tak.

Jawiem, że Waciek nie wróci.

No i trudno, przeżyjê.

Nie dlatego chcêtu zostaæ.

Olewam to.

Już siê pogodzi³am.

Poradzêsobie.

Nawet siê tak bardzo nie zdziwi³, że zna³ajego myœli, jakby
zagl¹da³amu do g³owy.

Znowsiê potwierdza³o, że nie na darmo spêdzi³z ni¹ najwczeœniejsze
lata.

- Ale w takim razie dlaczego.

-Nie pytaj mnie, bonie wiem.

Takchcia³am i już.

Zamilk³a.

Z daleka zobaczyli przed schroniskiem obcy samochód.

Duży, terenowy.

Wokó³ domu krêcili siê jacyœ ludzie, zagl¹daj¹c do œrodka.

ka przez okna.

Kiedy podeszli trochę bliżej, Marek rozpoznał ptasią sylwetkę i wysłuchał czaszkę radnego Ognika.

Zaklął w duchu.

Już wiedział, co to za ludzie i po co przyjechali.

Te też musieli pojawiać się w arenie teraz.

Chwilabyś najmniej odpowiednia.

Ewanic nie powiedział na ich widok, ale wyczuł, że się zaniepokoił.

Spojrzał na niego pytająco.

- To nic - powiedział.

- Zaraz ich sprowadzę.

Nie był pewny, czy córka czegoś się nie domyślała.

Czasem okazywała się zdumiewająco bystra jak na swoje lata.

Nie był aż tak potrzebna szczególna przenikliwość, żeby wycenić ludzi, którzy przyjechali z Ognikiem.

Szczuplejszy z nich, który nawet na wyprawę nie zapomniał włożyć krawata, był zapewne pośrednikiem w handlu nieruchomościami, o którym radny wspominał Markowi już kilka tygodni wcześniej.

Drugi, ogolony i w podkoszulku, spod którego wystrzeliły się wymyślne tatuaże, służył mu najwyraźniej za goryla.

Gdyby wierzył Ognikowi, jacyś inwestorzy z dużymi pieniędzmi byli zainteresowani Górkim Pałacem.

Marek stał im na przeszkodzie, bo miał nie tylko wadliwą umowę, ale w dodatku zastrzeżone w niej prawo pierwokupu.

Podobno, gdyby się gozrzek, byłoby gotowe zapłacić.

Po zamordowaniu turystki awanturach z młodym Michałkiem zaczął się wahać.

Dał radnemu do zrozumienia, że gdyby odstąpił, miało się okazać dostatecznie kuszące, to można by o tym pogadać.

Teraz bardzo tego chciał.

- No, gdzie pan się podziwiał?

- przywitał go ten pod krawatem.

W tej chwili stracił ostatnią szansę załatwienia z Markiem czegokolwiek.

- Nie umawialiśmy się - odpowiedział niezachęcająco.

- Owszem, ja zrozumiałem, że zawarliśmy umowę.

Pan radny zapewnia, że będzie pan cały czas na miejscu.

- Pan radny nie jest moim szefem.

- Niech pan nie próbuje się teraz wykręcać.

Ponieważ liczyliśmy już koszty.

i

Marek zaczął rozumieć, kogo ma przed sobą.

Spojrzał znacząco na Ognika.

Radny opuścił wzrok, chyba po raz pierwszy, odkąd się poznali.

Przesun¹³ d³oni¹ po ³ysinie, jakby chcia³ zetrzeæzniej pot.

- Panowie,po co te nerwy - odezwa³ siê.

- Spokojnieprêdzejdojdziemy do porozumienia.

Marek nigdy wczesniej nie s³ysza³ go tak niepewnego,
naglestraci³ swoj¹ natchnion¹ pozê.

Wygl¹da³o na to, że radny ca³kiem.

zwyczajnie się bał.

Marek spojrzął za siebie.

Ewa zatrzymała się przed werandą i z niepokojem obserwowała, co się dzieje.

- Córcia, weź małego i wejdź do domu - powiedziała.

- A w życiu!

- odpowiedziała.

- Zostań tutaj, dopóki ci panowie sobie nie pojedą.

- Może lepiej spotkać się innym razem - zaproponował niepewnie Ognik.

- Chyba wszyscy powinniśmy sobie jeszcze przemyśleć.

- A co tu jeszcze jest do przemyślenia?

- spytał twardo ten podkrawatem.

- To prawda, już nic - powiedziała Marek.

- Propozycja zrobiła się nieaktualna.

- Pan chyba nie zrozumiał - wzruszył ramionami pośrednik.

- Dla nas wszystko jest aktualne jak najbardziej.

Teraz rozejrzymy się po nieruchomości, a potem pojedziemy podpisać umowę.

Notariusz czeka, to kosztuje.

Najgorszą dla Marka wiadomością, że jego córka wszystko wyszała.

Dowiedzia³a siê, że chcia³ przehandlowaæ Górski Pa³aci jej marzenia.

- To pan niezrozumia³.

Nigdy nie by³o ¿adnej propozycji - powiedzia³.

Pocerednik tylkoskin¹³ rêk¹ na swegogoryla i obaj ruszyliw stronê schroniska.

Ognik patrzy³ na to bezradnie.

Marekzast¹pi³im drogê.

Zna³ ten stan, w którym by³ gotów na wszystko.

Ogarnia³ go bardzo rzadko, ale teraz w³acenie siêzbli³a³.

On ju³otymwiedzia³, oni nie.

- Nie zapraszam panów - powiedzia³ jeszcze spokojnie.

Ochroniarz zbli³y³ siê tak bardzo, że ustami prawie dotyka³ ju³ twarzy Marka.

- Chyba ¿artujesz - wydysza³ mu do ucha.

Iwtedy to nadesz³o.

Marekniezdo³a³by siê ju³ powstrzymaæ, nawetgdyby chcia³.

W wiêzieniu pisa³ starymrecydywistom podania, wzamian czegoœ go nauczyli.

Przyda³o siê to w³acenie teraz.

Nawet niez¹¿y³ pomyœleæ, jego cia³o samo odchyli³o siê, a potemca³¹ si³¹ wystrzeli³o do przodu.

Bez³êdnie trafi³ gorylabykiemprosto w usta.

Na chwilę go zamroczyło, bardziej z nerwów niż odsamegoudczenia.

Kiedy odzyska świadomość, ujrza, jak zakrwawiony
osiękuje próbuje apas równowagę, wymachuje ramionami.

Wtedy nie upada, cofną się kilka kroków i wali plecami o samochód.

Marek zaczął gorczkować, co dalej.

Przypomni sobie, że siekierka wbita w pniak obok skądziku na
drewno, a sztucer Karoliny wisi na ościanie w jednym z pokoi na górze.

Jednak przy 237

bysze nagle stracili ca³¹ wolê walki.

Ochroniarzotr¹sn¹³siêwprawdzie szybko i juŹ siê zbiera³ do nowego ataku, ale ten podkrawatem powstrzyma³ go jednym gestem.

W tej samej chwilioc¹³ siê Ognik.

- Nie tak siê umawialiœmy, panowie!

G³os radnego odzyska³ sw¹ natchnion¹ moc.

W jego d³oni pojawi³siê telefon komórkowy.

- Nie œwiruj pan!

- uprzedzi³go szybko poœrednik.

-Nie, tonie.

Tyle panu powiem, panie radny, Źe zawiedliœmy siê na panu.

Niechpan juŹ na nas nie liczy.

Machn¹³ rêk¹na swojego goryla, tenpos³usznie wsiad³ za kierownicê iodjechali.

NiezaleŹnie od tego, co jeszcze mog³o siê wydarzyæ, incydent wprawi³ Marka w doskona³y nastrój.

Obroni³swoje terytorium, przepêdzi³ intruzów.

- I co?

Nie wstyd panu, panie radny?

- spyta³ prawieweso³o.

- Nie chcia³em, Źeby tak wysz³o.

Wójtoci¹gn¹³ do gminy swoich inwestorów, ja też chcia³em zdobyæ jakieœ wsparcie finansowe dla opozycji.

Naprawdê nie mia³em pojęcia, ¿e to tacy ludzie- t³umaczy³siê bezradnie Ognik.

- No i zostawili pana.

Szkoda, ¿e nie mam akurat samochodu, podrzuci³bym pana do wsi - zlitowa³ siê Marek.

- To zbyt czyste.

- Radny próbowa³ ratowaæ godnoœæ.

-Pan wie,¿e piechuram jestem dobrym.

I jakby chcia³ to natychmiast udowodniæ, ruszy³ naswoich d³ugich nogach naprze³aj przez polanê.

Marek patrzy³za nim, dopóki nie znikn¹³w lesie.

Dopiero teraz, kiedy zagro¿enie minê³o, przynajmniej na razie, odwa¿y³siê znów spojrzeæ na córkê.

Niepotrzebnie siê niepokoi³.

Ewa patrzy³ana niego, nie kryj¹cpodziwu.

- O, ja nie mogê!

- wykrzyknê³a.

-Nigdy bym siê czegoœ takiego po tobie nie spodziewa³a.

Kto ciê tego nauczy³?

- ycie - odpowiedzia³ niezbyt oryginalnie.

Weszli dokuchni i Ewa zajê³a siê opatrywaniem jego g³owy,
naktórej zosta³y œlady po zêbach ochroniarza.

Z rozciêtego czo³akrew sp³ywa³amu po nosie.

Córka, z braku innych œrodków, pola³a ranê scottish leaderem.

Sykn¹³, potem odruchowo popatrzy³ nazegarek.

- Nie mo¿esz siê jej doczekaæ, co?

- spyta³a Ewa, zaklejaj¹cmu czo³o plastrem.

- To Ýle?

-Sk¹d¿e.

Ju¿ dawno chcia³am ciê zapytaæ.

- Nie krêpuj siê, pytaj.

-Dlaczego tyw³aœciwie nie zrobisz jej dziecka?

Zaskoczenie by³o zupe³ne.

Spodziewa³siê najbardziej bolesnych pytañ, ale nie takiego.

Odchrz¹kn¹³ niepotrzebnie.

- Karolina jeszcze siê nie zdecydowa³a - powiedzia³wreszcie.

-Nie zdecyduje siê, bonie wie, czy ty chcesz.

- Rozmawia³a z tob¹ o tym?

- spyta³ zaskoczony.

- Zwariowa³eœ?

Prêdziej by sobie jêzyk odgryz³a.

- Ewa potrzeb¹snê³a ramionami.

-Tu nie ma co rozmawiaæ.

Musisz to wzi¹æ nasiebie.

Nie wiedzia³, co powiedzieæ.

Nie by³ przygotowany na tak¹ rozmowê z nikim, a co dopiero z córk¹.

- Tosk¹dwiesz?

- spyta³.

- Wiem i ju¿.

Wiêcejnaten temat nierozmawiali.

Wyk¹pali razem Michasia, po k¹pieli Marek wytar³ go, zawin¹³ w pieluchê i odda³ Ewie.

Kiedy usypia³a ma³ego, powiedzia³:

- IdŹcie spaæ, posiedzêtrochê przed domem.

Wyszed³ na dwór, usiad³ na werandzie.

Wieczornieniebo by³o juŹ prawie bezchmurne.

Karolina na pewno mia³a jeszcze przedsob¹kawa³ drogi, wiêc ucieszy³ siê, Źe przynajmniej pogoda jejsprzyja³a.

Wróci³ do mieszkania.

Ewa i dziecko juŹ spali.

Zabra³ materaci œpiwór, roz³oŹy³ je w ogrodzie.

Obszed³ schronisko dooko³a.

Nie zauwaŹy³ nic podejrzanego, wokó³ panowa³a niezm¹cona cisza.

Po³oŹy³ siê.

Po raz pierwszy od wielu miesiêcy by³ naprawdê spokojny.

Teraz mó³ czekaæ choæbydo œwitu.

Noc¹ podgo³ym niebem zawsze dobrze musiê rozmyœla³o.

Wypatrywa³, czy nie zobaczy spadaj¹cej gwiazdy, Źeby pomyœleæ Źyczenie.

Nie dojrza³ Źadnej.

Widocznie nie by³a to ich pora.

Trzeba by³o poczekaæ parê dni, a moŹe tygodni, Źeby znów siê pojawi³y.

Patrzy³ wiêc tylko na ksiêŹycwychodz¹cy z za lasu inas³uchiwa³, z którego miejsca tym razem odezw¹ siê wilki.

Koniec.